

CZESŁAW DOBEK

DRUGI RZUT

I INNE OPOWIADANIA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI

1968

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 155

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

✓

CZESŁAW DOBEK

DRUGI RZUT

I INNE OPOWIADANIA

Biblioteka Polska
Kolegium SPK

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

DRUGI RZUT

*„Wpisała wam legenda w znaki tożsamości
nielitościwie mało...”*

Tadeusz Sowiński

„Czy nie możesz pisać o Monte Cassino?”

Żona

Szef wioził ich północną drogą. Dodżka skrzybiała i rzeziła przedzierając się przez ciemności wąwozu. To pod górę, to w dół. Jałowik piłował na pierwszym biegu. Szef w szoferce kłął. Stukała butelka i gulgotało, gdy pociągał wino. Pod płachtą trzytównówki było cicho. Siedzieli ściśnięci, przygnieceni. Skrzynki i plecaki spychały ich do tyłu, jakieś płachty zsuwały się na głowy i ramiona.

Milczeli od posterunku żandarmerii, który ich przepuścił zatrzymując następny samochód.

Nikt nie przemówił ani słowa. Tylko plutonowy Brzeziński jęczał nie mogąc dać sobie rady z obolałym żołądkiem i wywichniętą szczęką.

— Ty — krzyczał szef z szoferki — ty idioto sakramenka. Nie zgrzytaj.

Jałowik wziął właśnie zakręt i próbował zmienić bieg, z czego wyszło niesamowite charkotanie.

— Spokojnie, szefie — odpowiedział i dodał gazu, aż się dodżka zatrzęsała.

Samochód posuwał się naprzód w ciemność, która zgęstniała, szumiąca gałęziami krzaków, przytłoczona zboczem góry, opadała gdzieś na samo dno doliny. Na niebie błyskały nagle gwiazdy.

Za dodzką włóknął się kurz i syczało kamyczkami wyskakującymi spod opon.

— O Jezusie Nazareński — płakał plutonowy Brzeziński.

— Skurwiel — mruknął Sadowski — wychłał wermut dla całego dywizjonu i skurczybyk płacze.

— O Mateczko Najświętsza.

Wacusz pomyślał, że Sadowski nie ma racji. Brzeziński ma, na co zasłużył, ale nie o wermut chodziło. Pijakowi tylko wermut w głowie. A forsa? Brzeziński stracił forszę, zmarnował piętnastkę, skrzył sobie kark i podszedł pod rękę szefa. Nic dziwnego, że pocieszył się wermutem.

Tylko po co takiego łajdusa wysyłali do Campobasso?

— Ja bym takiego skurwysyna rozstrzelał — mruczał Sadowski.

— Ciszej — krzyczał szef na Jałowika, bo znów ze skrzynki biegów dodzki wystrzeliło jak z karabinu maszynowego.

— Co ja zrobię — złościł się Jałowik — trzeba było wziąć dzemsa, nie tę starą kobyłę.

— Trzymajcie tę kurewską skrzynię — wrzasnął ktoś w głębi wozu. Inni się ruszyli, skrzynia złapana kilkoma rękami została rzucona do środka.

Brzeziński wzywał świętego Piotra na pomoc.

Znów milczenie. Dodzka zsuwała się trochę bokiem, chropowatą szosą w dół niewidzialnej przepaści. Znów nastawiła dziób w górę i jak okręt z czarnej fali dobywała się pod górę.

— Jedziemy po warstwicy — powiedział Szulc.

— Co?

— Po warstwicy, wzdłuż zbocza — tłumaczył Szulc swym kulturalnym gardłowym głosem — widziałem mapę.

— Żeby was wszystkich zaraza wydusiła — syknął Sadowski. — Żaden nie ma kropli wina?

Odpowiedziało mu milczenie. Samochód drżał i syczał. Podskakiwał na kamieniach, przechylał się niebezpiecznie, ślizgał na boki na pryskającym o blachę żwirze.

— Ostrożnie, Jasiu — wołał szef — ostrożnie, ofermo bez głowy. Gdzie do cholery kierujesz?

— Niech się szef nie boi — brzmiał głęboki bas Jałowika — to nie pierwszy raz. A jak spadniemy to co? Stąd bliżej do szpitala, niż stamtąd.

— Stąd? Stamtąd? — Wacusz wstrząsnął się ze strachu. — Co to znaczy? Aha, że niby z każdym chybotnięciem dodzka oddala się od bezpiecznego, szczęśliwego obozu.

— Budziel sobie śpi — podpowiedział czytając w myślach Sadowski — skurwiel z boku na bok się przewraca. Może na szefa łóżko wlaźł? Szefie! — krzyknął do przodu. Szef nie słyszał.

— Co robisz, wariacie?

Zaskrzybiały stare hamulce i samochód stanął. Umilkło rzenie motoru i charkot zębatach trybów we wnętrzościach. Nagle zapadła kompletna cisza.

Nie! Nagle noc ożyła. Gdzieś raz po raz obuchem walił ktoś o ciężkie dechy. Trzaskały nieregularne bicze. Wypuścił paciorek szybkich stukotów kaem.

— Zagrzał się — mówił Jałowik i trzasnął drzwiczkami — musi ostygnać.

— Jałowik — zawołał szef służbowo — ruszaj! Zaraz następny nadjedzie.

— On się też zagrzeje — spokojnie odpowiedział szofer — odlać się trzeba.

Znów szczęknęły drzwiczki, tym razem od strony szefa. Zaszurały buty po żwirze.

— No, to chłopaki wyłażcie. Rozprostować nogi — huknął szef prosto w twarz Wacusia. Uderzyło go, jakby nagle z nocy przemówił głos Pana Boga.

Sadowski go popchnął. Inni zaczęli się tłoczyć. Wyskakiwali dziarsko, szybko i stawali obok samochodu niespodziewanie, jakby ich jakaś ręka zatrzymywała.

Samochód zatrzymał się na samym występie zakrętu. Przed nimi rozpościerała się dolina wielka i ciemna jak jezioro wzywające do śmiertelnej kąpieli.

Noc nie była taka czarna, raczej szara; na dnie jej leżał tułman, poprzez który szły czerwone i żółte ogniki. W tę i tamtą stronę. Żywe gwiazdy, rakiety śmigające jaskrawym błyskiem i kończące się gdzieś leniwie. Tylko że nie strzelano ich w górę, a płasko, nisko, nanizując mgłę na błyskotliwe igły. Daleko błysnęło cicho, bezszmerne jak na wiosnę. Na tle błyskawicy rozlewającej się szeroko zaczerniał ciężki masyw gór. Potem równe głucho uderzenia obucha. I gwizd daleki, ćwierkanie przez powietrze. Daleko. Jeszcze dalej odpowiedziały uderzeniom skrzypliwe echa jak gniewne staruchy. Góry zaśmiały się. Zaniósł się rechotem hyeny. Szybkie łkające kwilenie odezwało się ze wszystkich stron. I długi trzask, w którym trudno rozróżnić lecące jedna po drugiej rzezane nuty. Znów błyskawica, krzywo z boku; na jej tle kawał góry stanął poszarpanym okaleczonym profilem. Dalej od tego ostrego grzbietu biegła pustka, za nim nie było już nic, tylko błysk i noc. I znów błysk. Gwizdało wy-

soko i o wiele bliżej. Leciały ptaki tak szybko, że powietrze płakało.

Zygzaki czerwone, białe, żółte dekorowały mgłę na dole.

— To Cassino — powiedział szef odejmując butelkę od ust. I on na tle błyskawic ukazał się im wielki, zwalisty, z butłą jak fanfara uniesioną.

— Wojna, kurwa jej mać — stwierdził Sadowski. — Dałby się szef co napić.

— To Cassino — powtórzył szef i wyciągnął rękę za siebie. Sadowski złapał butlę z winem i zagulgotał pociesznie. Słysząc go było, bo na chwilę ciemność spauzowała ze swoją śmieszną zabawą w błyski i huki, w śmiech tłuczący się w górach i trzaski kolorowych biczy. Słysząc było nawet jak Jałowik sika na suchą trawę. Odetchnęli.

— Tam na samym końcu to klasztor — mówił szef — i góra koło niego najwyższa, o ta — zawołał z pośpiechem, bo błysnęło ukazując piramidę wiszącą prawie nad nimi po drugiej stronie doliny — ot ta, nazywają ją Kairo. W dzień Niemiec, pies mu mordę lizał, widziałby nas stamtąd jak robaczki na ścieżce.

— A te czerwone szefie? Te kolorowe? — zapytał Szulc.

— To pelotki i pepance. Tak sobie na wiwat. Groźna tylko artyleria. O... — Po błyskawicy wytryskującej czerwonym wachlarzem gdzieś zupełnie z boku, z tyłu, od strony skąd przyjechali zagwizdało tak blisko, że powietrze poruszyło krzakami. Wybuchy uderzyły w góry tuż nad nimi i słysząc było pękanie suchej ziemi.

— To zza Terelle — objaśnił szef odbierając wino Sadowskiemu — sakramenckie cholery siedzą dokoła. Jałowik...

W tej chwili huknęło nad nimi. Nad głowami. Zatrzęsła się ziemia, zafurkotały kamienie po krzakach. Błysk na niebie złał się z hukiem powtórzonym czterokrotnie.

Wacusz padł na ziemię. Poczul jak obok niego ktoś się wali. Zdawało się, że ziemia podskoczywszy do góry zaraz zamknie się nad nimi.

Na tle powtarzających się po przeciwnej stronie doliny odbłyśków szef stał wielki, gruby, trzymający się pod boki. Jałowik obok gramolił się dopinając rozporoka.

— Ha, ha — śmiał się szef — wstawajcie dupaki, to nasza. To najcięższa z Aqua Fondaty. Niech się Niemce boją. To nasza artyleria.

Wreszcie zrozumiałwszy powstawali niepewni siebie i zagubieni całkowicie. Nagle przestali być widzami.

— No, włazić chłopcy, jadziem — skomenderował szef stukając drzwiczkami szoferki.

— Panie szefie — zapytał ochryplym głosem Warszak — a co z nim? Z plutonowym?

— Co z nim? — krzyknął szef nie rozumiejąc.

— Może go wyprowadzić? On tam choruje, zdaje się.

— Niech sra w spodnie, niech rzyga sobie na głowę — wrzasnął szef gniewnie — mnie to nic obchodzi. Dwadzieścia tysięcy lirów! Dwadzieścia tysięcy lirów!

Ładowali się ciężko, z trudem trafiając stopami o występy i gwinty dodżki, z bólem wznosząc nogi, aby przekroczyć tylną klapę. Ktoś trącił przy tym Brzezińskiego, bo ten znów zaczął płakać.

— Jezusicku, Jezusie, mateczko ty moja. Litości nie macie dla rannego.

— Litości — krzyknął Sadowski popychając Wacusia w głąb.

— A miałeś ty dla nas litość, synie italiańskiej owcy? Dwadzieścia tysięcy składkowych lirów przepił w jeden dzień. Masz ci Campobasso.

— A szef, proszę panów — powiedział Szulc — ma zimną krew. Zazdroszczę mu spokoju. Pokazywał nam wszystko dokładnie jak w cyrku.

— Skurwysyn — zahuczał odzywając się po raz pierwszy Jedynal — nas do tego cyrku wiezie, a sam wróci sobie i dobra. Będzie z Budzielem wermut popijał.

— Dostaliśmy się chłopaki w gulasz — mruzczał Dumaniec — pomieł nas trochę tymi czerwonymi i zielonymi bawidełkami.

— No, panowie — trzeźwo zauważył Szulc — żeby tylko dojechać. Tam mają schrony i dobrze są zabezpieczeni.

— Idiota — zaśmiał się Sadowski — żydowski entuzjasta, taka jego mać. — Kolorowe światełka. Dadzą ci po kulach. Tu nie uniwersytet, panie Szulc.

— No, my się nie nadajemy do służby frontowej — dobrodusznie odpowiedział Szulc — nas na pomoc na tyłach. Takie wybiórki.

— He, he, he — roześmiał się Sadowski — właśnie że wybiórki. Panie Szulc, same wybiórki na przepierdolenie.

— Panie kolego...

Nagle Jałowik zdecydował włączyć motor i sprzęgło równocześnie. Jak uderzony strzałem samochód skoczył do przodu. Szef zaklął od matuszki. Sadowski uderzywszy o Wacusia przywtórował strumieniem kurw i ich potomstwa.

— Ojcie święty! Ojcie ukochany! — zapłakał Brzeziński.

Znów dygocząc i podskakując, chyląc się to ku przepaści, to ocierając się o kolczaste krzaki lauru, rżąc i postępując dodżka

ciągnęła na pierwszym biegu. Spod kół wyskakiwał żwir i trząskał o blachę podwozia. Skrzynki przewalały się po nogach, szmaty jakieś zaplątywały się na głowach. Nogi uderzały o nogi. Ramiona obijały się o ramiona. Wóz coraz częściej chylił się w dół, dziobem nurkując między zagęszczającymi się chaszczami.

I coraz częściej było słychać strzały artylerii, trzaskanie angielskich browningów, smaganie spandau'ów, sykanie pelotek i wstrząsający górami gruchot tej najcięższej z Aqua Fondaty, A błyskawice zaglądały już pod plandekę. Można było zobaczyć blade twarze Sadowskiego i Jedynala trzymających się ostatniego pałaka tuż u wyjścia.

Wacusi wtulił twarz w ręce i płakał. Ssało go w pustym brzuchu. To podrzucało jakimś kwasem do ust. Drętwiały nogi przyściśnięte skrzynką. Walił się na niego spocony, śmierdzący sąsiad. Ale Wacusi płakał, bo już wiedział teraz na dobre, że jest na wojnie. Stąd nie ma powrotu. Będzie pełził i trząsał się, płakał i skrzypiał, aż uderzy go ten obuch, to tam macający góry, to tu. Zmielą żarna rozrywające człowieka jak ciasto w rękach kucharki.

— Święta Rodzino — zapłakał Brzeziński — pokarz ich wszystkim. Podnieś rękę z mieczem, święty Michale Archaniele!

— Katechizm skurwysyn zna — śmiał się Sadowski — a cudzą forszę przepija. Te najgorsze, księżę podogonia.

Zagwizdało tuż, tuż nad nimi. Trzasnęło tak blisko, że ziemia sypnęła po plandecce. I samochód stanął. Czekali w milczeniu, co to będzie.

— Jedziesz, łamago, jak czołgiem — odezwał się spokojny, obcy głos tuż za plandeką. — Rozumu nie masz? Szermany zeszłej nocy tyle nie narobiły hałasu.

— Stary wóz, panie starszy — powiedział Jałowik. — Załatwcie, gdzie trzeba, żeby nam dali lemuzynę. Owszem, przejeździe się jak mysz po maśle.

— No dość — gniewał się głos — wal bracie na lewo pod szkarpe, tam jest jeszcze miejsce.

— My wracamy zaraz — odezwał się szef.

— Zaraz? — zaśmiał się drwiąco tamten. — A może jutro? Nie posiedzicie z nami, kolego? Każdy tylko zrzuci miodek jak pszczołka i do Venafro na dziewczynki. Nie ma tak, kurwa mać, dobrze. Na wszystko jest czas.

Szef wyskoczył z samochodu i zaczął rozmawiać z żandarrem. Mówili cicho, już się pewnie dogadali.

Jałowik poderwał dodżkę i skoczył w dół. Nic uprzedzeni żołnierze poprzewracali się na siebie.

— O Jezu — krzychał Brzeziński.

— Kurważesz, ty kurwa — płakał Jedynal.

Tylne koło zaboksowało na piasku. Ale na chwilę tylko. Jeszcze kilka drgnięć. Jeszcze wstrząs jeden, drugi. Stali.

Nikt im nie kazał wysiadać, ale sami wyskakiwali. Stali na równym. Tuż koło nich czerniał kadłub innego samochodu. Z lewej sterczało z piasku żelastwo. Przekonali się o tym uderzając się boleśnie, ile razy chcieli ruszyć w wolniejszą stronę.

— Co robić? — spytał Jedynal — Jałowik? Panie szefie?

Nie było ani jednego, ani drugiego. Piasek na placyku jaśniejszy od krzaków rozświetlał trochę noc.

— Panie szefie! — wołał Szulc z popłochem.

— Ciszej tam — syknął jakiś głos przy ziemi — nie krzyczcie.

— Szukamy szefa, bo nie wiemy co robić.

— Siadaj na dupie, ofermo, albo jeszcze lepiej kładź się i śpij. I innym daj spać.

— A co z nim? — pytał Dumaniec, ostatni układając się na piasku. Nikt mu nie chciał odpowiedzieć.

Wacusz leżał na plecach nie czując, czy mu miękko czy twarde, ciepło czy zimno. Nad nim czarne niebo ożywiało się błyskami po bokach raz po raz. Jękliwie śpiewały niewidzialne pociski wędrując przez powietrze. Padały gdzieś pokaszując między górami. Czasem który walnął bliżej i zatrzęsł ziemią. Czasem gwizd szedł nisko, niziutko, ostro, groźnie, prosto w Wacusia i ze śmiechem uciekał gdzieś dalej, szydząc z ludzkiego strachu kurczącego ciało na sekundę.

Pomału już rozróżniał kierunki skąd odzywały się kichnięcia dział. Wiedział już dokąd lecą serie pepanców, gdzie szcękają bezsenne kaemy. Leżał na ziemi, która mimo nocy i zmęczenia wciąż nie spała ożywiona ludzką zabawą. Ty we mnie, ja w ciebie. Raz i buch. Dwa i buch. Fiuut, ku wam. Wiiiut, oddajmy z podziękowaniem. Z prawa i z lewa i gdzieś z bardzo daleka. Na tle nieba krzyżują się i pozdrawiają. Może zdejmują jeden przed drugim kapelusze zapalników?

Aż jeden nadleci i ukłoni się: Po ciebie, Wacusiu.

Zaczęło być chłodniej i chłodniej. Głosy jakieś szemrały jak ptaki przed świtem. Niebo blade nie od zabawy ludzkiej, ale z rozkazu naturalnego ładu.

Gdy Wacusia zbudziło targanie za ramię, znalazł się w zupełnie innym świecie. Żelastwo, o które potraçał w nocy, okazało się spalonym szkieletem samochodu. Dalej z piasku sterczały jakieś drzazgi i zardzewiałe blachy. Rząd samochodów chował się pod szkarpe. Wysoko nad nimi, z szarych od kurzu krzaków zwisały powróśla drutów telefonicznych. Tysiące, setki

tysięcy szaro-srebrnych sznurów powiązane w grube warkocze, porozdzielane wiatrem czy rękami ludzi, porwane, pozwiązywane, znów rwane i płątane — obciążały drzewka i krzewy.

Placyk, niewielki i płaski jak patelnia wysunięta spomiędzy gruzłowanych ramion wąwozu, przerzynały koleiny. Znać było świeże odciski opon samochodowych, obok nich głęboko werżnięte ślady wąskich kół łażników i osmolone, zakrzepłe, wydeptane przez ludzi ścieżki.

Nikt tędy nie jechał, nikt nie szedł. Placyk wyglądał jak morski brzeg opuszczony po orgii ruchu i rozbiegania, wrzawy i popłochu.

Z drugiej strony ciasnego, skalistego gardła wąwozu zaczynały się szare oliwki; pod gromadką drzewek na boku stał bunkier z worków z piaskiem, przy nim tkwił na straży żandarm. Inny kręcił się pomiędzy workami pokazując raz białą twarz, raz szary hełm.

— No, zabierać się, panowie — głos, który ich podrywał, należał do ogniomistrza plutonu łączności Wysockiego. Głos był uprzejmy, kulturalny, młody.

— Bierzcie plecaki, chlebaki i proszę za mną. Tylko szybko.

Ten apel do pośpiechu poparł czynnie zwracając się na pięcie i prawie biegnąc przez placyk ku żandarmom.

— To ta Kaira, jej mać — zaklął ktoś i na chwilę podnieśli głowy. Nad nimi wyrastając z bladego jeszcze świata oliwek i wzgórz tkwiła piramida.

— Tam on siedzi, Niemiec.

Nikt nie pytał Warszaka, skąd to wie. Spieszyli za ogniomistrzem. Obok sennego, spluwającego żandarma, między oliwki i bluszcz, w dół, w dół, aż otworzył się przed nimi ukryty światek. Widać placyk kiedyś był strumieniem a oni wpadli na suchy wodospad, u stóp którego leżało piaszczyste dno otoczone żółtymi kolumnami ścian.

Na samym dnie stał wielki schron z worków pokryty belkami, narzucony głazami i piaskiem. Obok tuliło się kilka mniejszych budek z worków i kamieni. W ścianie wąwozu ziały otwory jaskiń przypominających gniazda jaskółek.

Z każdego schronu patrzyli na nich żołnierze. Niektórzy siedzieli w kucki popijając z kubków, inni grzali menażki nad palnikami. Kapral Niedziński klęczał przy łącznicy i dłubał pod odśrubowanym wierzchem. Przed wielkim schronem, przy stole z pak dyktowych siedział podporucznik Kowboj. Czarny był i zarosnięty, obojętnie popatrzył na przechodzących gęsiego przybyszy.

Za zakrętem, potykając się o puszki od konserw, doszli do wzniesienia stanowiącego jakby wysoki parter tego całego miasteczka. Ogniomistrz skoczył na górę. Tam był wielki bunkier wkopany głęboko w ziemię i wiele malutkich dziurek. Wszystko jak pajęczyną — pokryte drutami.

— Rozgoście się, panowie, i napijcie się kawy.

Gołębiowski z nosem zakopconym od pracy kuchennej kiwał na nich. Wielki palnik syczał pod kwadratowym kotłem. Pachniała kawa. Dobyli kubków i siedli na piasku. Spojrzeli nad siebie, Kaira nie było widać.

Pierwszy zbliżył się Kraszy.

— Serwus — powiedział w stronę Sadowskiego — jak tam w szpitalu? Słodko?

Sadowski nie odpowiedział.

— Jak się masz, Kraszy — spróbował przypomnieć się Wacuf.

Nie widzieli się od Palestyny. Znali się tam tylko kilka tygodni. Wacuf przeniesiony został z Ośrodka do prawdziwego wojska. I zaraz na pierwszych ćwiczeniach pod Gazą złamał palec u nogi. Tylko idioci mogą mieć takie przygody. Czuł się winny, gdy go odwołali kariersem do czołówki sanitarnej.

— No, to wygramy wojnę — powiedział Kraszy — Wacusia na pomoc przystali.

Podszedł Judzik, bombardier — drucik, potem jeszcze dwóch nieznajomych, czy nie zapamiętanych.

Na dole zawarczał motocykl. Nad nimi ciągnęły samochody. Ludzie chodzili wyprostowani, kawa parzyła usta, słońce dobywało się zza wzgórz poprzez zarośla pochylone nad suchym potokiem. Tu musiało być bezpiecznie.

Ale nie. Zagwizdało. Przeleciał pocisk, pofrunął gdzieś w góry i pyknął. Znowu zabawa.

— A tu do was nie dolatuje? — nie wytrzymał Wacuf.

— I my tak myśleli — zaśmiał się Kraszy — spaliśmy na piasku. Kapitan powiedział, że jak doleci, to chyba na spadochronie. Ale doleciał. Nie wiecie? Szaroń ranny, Brzęczykowski do szpitala, dwóch z piechoty zabiło i tych tam z baterii trzech rannych a jeden tak, że i kostek nie znaleźli. Łupnęli z ciężkiej arterii.

— No i co? — spytał Jedynał.

— No i nic — Kraszy splunął i skrzywił się. Przyglądał się wszystkim: i Szulcowi, i Warszakowi, i Dumańcowi, i tym innym. Potem zatrzymał wzrok na Sadowskim, ale ten, jeszcze bardziej jak zwykle chmurny, odwracał twarz od niego.

— Uzupelnienie — gwizdnął drwiąco Kraszy. Jego koledzy zaśmiali się.

— Julek — odezwał się Kraszy bezpośrednio do Sadowskiego.
— Język ci wyrwali łapiduchy?

Sadowski najpierw splunął, potem wylał kawę z manierki i wreszcie wstał. Teraz patrzył na przykucniętego Krasęgo z góry.

— Gdzie moja wódka, ty skurwysynie? — spytał rzeczowo.
— Złodziej zamazany.

— Julek, jak Boga kocham — uderzył się w piersi Kraszy.
— O tę wodę ci chodzi? O butelkę dzinu się gniewasz? Przecież sam się zgodziłeś? Ja na front jechałem, a ty do szpitala. Komu się należała butelka? Jak pragnę skonać!

— Gdzie mój dzin? — spokojnie, ale groźnie pytał Sadowski. I usiadłszy zaczął czyścić menażkę kawałkiem szmaty. Już go Kraszy nie obchodził.

— Julek... — spróbował Kraszy, ale dał spokój. Podniósł się i odszedł.

Zostali sami. Ci co z Krasym przyszedli odeszli do swej roboty. Ogniomistrz Wysocki gdzieś znikł. Szefa nie widzieli od nocy. Byli sami, rzućni w małą kotlinkę piasku. Gołębiowski wyłączył kuchenkę i szcekał kotłami. Motocykl buczał już gdzieś wysoko. Niedaleko z dziury wkopanej skośno w ścianę dobiegały monotonne głosy. Od strony głównego bunkra słychać było nawoływanie:

— Grodno trzy, Grodno trzy. Grodno trzy! Słucham!

— No i co? — spytał Szulc.

— Gówno — odpowiedział Jedyńal. — Co? Gówno. Każą ci kopać dół, to będziesz kopał. Każą skakać, to skoczysz.

— Jesteśmy pod Cassino — stwierdził Dumaniec.

— Ale po co? — dopytywał się Szulc denerwując każdego.

— Zamknij mordę — zawołał Sadowski — nie wszystko ci jedno po co? Jedyńal ci wytłumaczył.

— Z działa strzelać nie umiem — zastanawiał się Szulc nie speszony niczym — przez radio nie umiem mówić. Z karabina będę strzelał? — poklepał swój karabinek położony na plecaku.
— A może do batalionu szturmowego?

— Panie Szulc — powiedział Sadowski — albo się pan zamknie, albo panu paszczę zamuruję. *Verstein?*

— Nie masz o co pyszczyć, Julek — mitygował Babrocki, zawsze spokojny i pojednawczy. — Faktycznie wpakowano nas w paskudną historię. Popatrz sam na Szulca. Takie chuchro na wojnę? A inni? Jedyńal z aresztu, Dumaniec z kolumny amunicyjnej, koledzy z piechoty zdaje się. No, ty ze szpitala. A w końcu Wacuś. Co taki Wacuś może nawojować?

Wacusiowi zachciało się płakać. Zawsze łzy miał tuż pod powiekami. I to nie dlatego, że najmłodszy. Przecież miał prawie

dziewiętnaście lat, ale od czasu jak został sam, jak go z tyfusu cudem wyciągnęli, jak zapadł na malarię w Iraku, jak... Same nieszczęścia. I nikogo żeby się litował.

— Słyszałem jak doktor Zaprawa mówił do naszego kapitana jak byliśmy na tamtym odcinku — ciągnął spokojnie Babrocki. — Na Wielkanoc. Siedzieli przed schronem i rozmawiali. Wtedy jak poszły opowiadania, że nas zdejmują z odcinka i wysyłają pod Cassino. Doktor mówił, że to niemożliwe. Żołnierze za starzy i wszyscy po malarii. Zdawało mu się, że nas odeślą na odpoczynek do rezerwy. Takie wojsko, stare i chore. A nas właśnie tutaj.

— Doktora wczoraj zabiło — zabrzmiał nad nimi głos — na punkcie sanitarnym. Doktora, księdza i jeszcze kilku.

Podnieśli głowy do góry. Stał przy nich Krasy. To o doktore powiedział poważnie, ale zaraz zaczął się uśmiechać, jakby miał w zanadrzu wesołą nowinę.

Nachylił się do Sadowskiego i zaczął mu szeptać do ucha.

— Julek... butelka... jakoś skręciło się... — dosłyszał Wacusię urywki.

Sadowski wstał, splunął i podciągnął spodnie. Po spełnieniu tych gestów, mających okazać, że mu właściwie wszystko jedno czy dostanie się napić, czy nie, ruszył za Krasym.

Słońce przygrzewało. Wielki kawał wąwozu był wciąż w chłodnym cieniu. Zepsuty łazik bez opon stał tam dotykając pleśniejącego bluszczu. Na wzgórku koło centrali telefonicznej piasek rozgrzewał się przyjemnie. Senność ogarniała wszystkich. Z bunkra dochodziły nawoływania telefonisty. Gołębiowski postukiwał naczyniami kuchennymi. W którymś schronie ktoś mruczał na melodię „Wyganiała Kasia wołki”.

Przestali zauważać dudnienie dalekich strzałów i pojedyncze, jęczące przeloty pocisków. Usypiali zmęczeni.

— Wstawać, chłopcy! — obudził Wacusia głos ogniomistrza Wysockiego. — Wstawać.

— Niech siedzą. To nie koszary.

Ten drugi, spokojny głos należał do kapitana Dziewickiego. Zawsze mówił spokojnie, ale miał ton głosu dźwięczny, młody, młodszy niż on sam. Teraz i wygląd też zmienił. Stał wysoki, trochę pochylony, jakby mu zmęczona ciastowata twarz ciążyła do dołu. Włosy, które zwykle zaczesywał skrzętnie, rozwiewały się odsłaniając łysy czubek wielkiej głowy. Nie tylko hełmu nie miał, ale żadnego pistoletu, nawet pasa. Rozchełstany jak ekonom w czasie młócki.

— Niech siedzą. Powiedz, o co chodzi i do roboty.

Ogniomistrz miał w ręku kartkę. Podniósł ją przed oczy.

— Przysłali was, koledzy, na pomoc łączności. Stąd na punkt obserwacyjny idzie linia prawie pięć kilometrów kabla. Stale się rwie. Nasi ludzie nie nadążają reperować, więc robimy punkty kontrolne i obsadzamy każdy po dwóch. Chodzi o to tylko, że jak kabel się zerwie, trzeba się zorientować i iść w kierunku przerwy; z każdego punktu jeden, i kabel związać. Rozumiecie?

Patrzyli milcząc. Jedni stali, jak Wacusz, inni usłuchali kapitana i siedzieli. Nie dawali po sobie poznać, że wiedzą o co chodzi.

— Macie dziś cały dzień — stwierdził kapitan — pan ogniomistrz i jego telefoniści nauczą was dokładnie, jak obsługiwać aparat i wiązać kabel. Macie czas do wieczora.

— Wedle nazwisk z tej kartki — mówił ogniomistrz — po kolei tak jak was zapisano w eszalonie „C” obsadzicie punkty kontrolne. Wedle kartki.

— Tak — potwierdził kapitan — wiem, że to ciężka robota, ale nie mamy wyjścia. Nasi telefoniści nie śpią i nie jedzą. Tych linii jest wiele, ale ta najważniejsza. Musimy ją za wszelką cenę utrzymać. Robota nie łatwa — westchnął — będziemy wszyscy robić, co się da. Pan ogniomistrz teraz was weźmie na naukę.

Ogniomistrz wreszcie zwrócił oczy na kartkę i zaczął wyczytywać nazwiska.

— Jedynal.

— Jestem!

— Warszak.

— Jestem!

— Sadowski. Sadowski! — powtórzył kilka razy rozglądając się po grupie nowych.

— Tu jest — odezwał się wreszcie Krasy. Stał z tyłu od strony centrali telefonicznej. Przy nim Sadowski chwiał się trzymając kolegę za ramię.

— A, pan Sadowski — ironicznie zawołał kapitan zwracając się w stronę przyjaciół.

— Tak jest, panie kapitanie. — Sadowski podszedł bliżej i potknął się prawie padając. — Kanonier Sadowski Julian melduje się pod nóż.

— Znowu się upiłeś — z łagodnym wyrzutem powiedział dowódca — człowieku, zginiesz z tym pićciem. Wódka cię zgubi.

— A pana nie? — Sadowski błysnął czarnymi oczami i zaśmiał się.

— Ledwie ze szpitala ciebie wypuścili, już zaczynasz na nowo. Matce przyrzekałeś, że przestaniesz.

Sadowski wolno, sztywno, jakby napięty cały podszedł do kapitana.

— A panu gównu do mojej wódki. Panu gównu do mojej matki. Rozumie pan? Piję, bo chcę.

— Sadowski! — krzyknął ogniomistrz — natychmiast odmaszerować.

Ale Sadowski nie słyszał i kapitan nie zwracał uwagi na ogniomistrza.

— Panu się wydaje, że pan dobry — śmiał się Sadowski krzywiąc gębę pijacko — pan potrafi mówić cicho i słodko. Sadowski nie pij, bo mamusia prosiła. Kurwa mać, a wie pan czemu Sadowski pije? Pana to nie obchodzi. Pan ma swoje zmartwienia.

— Upiłeś się, bracie — kapitan usiłował zazartować, ale głos mu zadrżał.

— Bracie? — zawołał Sadowski. — Znaczy się my bracia. No, to niech pan kapitan brat powie, dlaczego brata wysłał na śmierć? I tego brata — stuknął palcem w swe piersi — i tego, i tego, i tamtego — pokazywał kolejno na Szulca, Wacusia, Dumańca.

— Upiłeś się — powtarzał kapitan uśmiechając się krzywo. — Nikogo na śmierć nie posyłam. Kazano mi wykonać rozkaz, to go wykonuję. Każą, żebym sam zasiadł w dziurze na punkcie kontrolnym, to siądę. Tymczasem rozkaz jest, abym was tam posadził. Proste? Nie wiesz, człowieku, że jest wojna. Zapomniałeś? Upiłeś się — wzruszył ramionami — idź się przespać.

— Pójdę, pójdę — zgodził się Sadowski. — Prześpię się. Pan myśli, że nie wiem, o co chodzi? Żeby się miało czyste sumienie, zapieprzone sumienie. Rozkaz, panie pułkowniku. Tak jest, panie pułkowniku. A potem do Sadowskiego: Maszerować. Do Szulca... Pan widział tego Szulca? Nigdy nie widział pan takiego Szulca? — Podskoczył i podniósł małego, szczuplutkiego Żyda.

— Przedstaw się pierdolony Żydzie panu kapitanowi. Pan Szulc, profesor matematyki. Wczoraj profesor, dziś telefonista, a jutro pan Szulc bez głowy.

Kapitan poczerwieniał i zdawało się, że już straciwszy cierpliwość, albo uderzy podskakującego Sadowskiego, albo co najmniej zeklnie od najgorszych.

Ale milczał. Patrzył jak na irytujące widowisko, ale nie reagował.

— Oj bracie, bracie... — Dziewicki kiwał głową, tak jak się to robi nad psocącym dzieckiem. — Zabije cię to picie. Obiecałeś matce...

— Nie wszystko jedno — krzyknął histerycznie Sadowski — nie wszystko panu jedno co mnie zabije? A od mojej matki niech się pan odpiardoli. A najlepiej i ode mnie też.

Tak się zachwiał, że prawie uderzył kapitana w piersi. Ogniomistrz podskoczył biorąc go za ramię. Z drugiej strony podszedł Babrecki, Sadowski zaczął się im wyrywać. Zdawało się Wacusiowi, że zaraz nastąpi coś okropnego. Albo ogniomistrz zacznie dusić Sadowskiego, albo kapitan wyjmie skądś rewolwer i strzeli. Jest wojna. Żołnierzy, którzy buntują się regulamin każe strzelać. Przecież to wojsko. Jednak nagle wszystko się zmieniło. Oto z boku przyskoczył wyczyszczony, elegancki Brzeziński. Wyglądał jak do wyjścia na przepustkę do Tel Avivu. Tylko oko miał podbite i czoło pod furazerką podrapane.

— Panie kapitanie — stanął na baczność — plutonowy Brzeziński melduje się do służby.

Kapitan spojrzał uważnie. Zmierzył plutonowego od góry do dołu. Wszyscy patrzyli zaskoczeni nagłym zjawieniem się Brzezińskiego. Nawet Sadowski przestał się szamotać i mrużąc oczy patrzył ironicznie uśmiechnięty.

— Czy plutonowy jest na kartce? — spytał kapitan ogniomistrza.

— Jest, panie kapitanie.

— No, to w porządku — i kapitan zawrócił, aby odejść.

— Co to znaczy, panie kapitanie — krzyknął Brzeziński. — Plutonowy Brzeziński podoficer żywnościowy baterii dowodzenia melduje się do służby. Panie kapitanie!

Strach i gniew jednocześnie brzmiały w głosie plutonowego.

— Człowieku — kapitan zatrzymał się i pochylił jak do uderzenia głową — zamilcz mi zaraz, bo cię uderzę. Jak Boga mego, uderzę. Rozumiesz?

Brzeziński cofał się zdumiony. Sadowski prychnął śmiechem. Inni patrzyli nie wiedząc jak reagować.

Kapitan zawrócił na dobre i odszedł. Garbił się i chwiało schodząc ze wzgóрка w stronę schronu dowodzenia. Nigdy nie był taki zgarbiony.

— O Jezu. Franuś. O Boże słodki — zawołał Brzeziński w stronę ogniomistrza.



Było ciemno, gdy Wacusia załadowano na łożyska i zawieziono na punkt kontrolny. Wedle kolejności wypadł mu punkt numer cztery, tuż koło mostku. Jako parę dostał Sadowskiego. Wiózł ich kapral Szczygieł. Aparat, plecak, koce, porcję Compo, aby mieli co jeść i dwa bębny kabla. Załoga punktu numer cztery.

Sadowski spał. Pozwolił się załadować i przeklinając swoim zwyczajem trząsał się z tyłu łazika. Kierowca Maniś sadził, jakby miał kocie oczy. Ciemności były zupełne. Żandarm z latarką zwróconą ku pierścionom został daleko. Po bokach chwiały się jakieś drzewa. Jacyś niewidzialni ludzie postukiwali żelazem. Ktoś szedł. Ktoś stękał w głębi sadów oliwkowych.

Po kilku wieczornych seriach pocisków, rzuconych na placyk i w okolice wąwozu, była prawie zupełna cisza, gdyby nie liczyć tych strzałów i huków dochodzących z przodu. Stamtąd dokąd jechali.

Maniś wymijał niewidoczne leje, wpadał w wyboje, potrącał twarde głązy i uderzał o czarne blachy leżące na drodze. Przed nimi poszczykiwał inny łazik, wcześniej przez żandarma wypuszczony.

Jakaś mgła, czy dym wisiały w powietrzu. Opar z bagien, czy smród gnijącej ziemi rozoranej przez pociski, czy zasłona ze świec dymiących za dnia.

— No — krzyknął Szczygieł — macie swój punkt.

Maniś zatrzymał się i razem ze Szczygłem szybko zrzucił ładunek. Sadowskiego potraktowali nie lepiej niż bębny z kablem.

— Macie szczęście — powiedział Szczygieł — tu zaraz jest stary schron, możecie się rozgościć. Inni kopać muszą, albo kamieniami się obkładać. No dalej.

Nie wiedząc, co zrobić Wacś po ciemku szukał swego plecaka i aparatu telefonicznego.

— Zaraz znajdę linię — wołał Szczygieł. — Dawaj tu aparat.

Po chwili już bzykał brzęczykiem i zgłaszał się — Punkt kontrolny numer cztery. W porządku.

Wacś z daleka słyszał głos w słuchawce. Linia działała.

— Schron macie tu, obok tych kamieni — powiedział Szczygieł i już go nie było. Maniś zawrócił łazikiem i zniknęli na drodze. Wacś został obok aparatu. Przyłożył ucho do słuchawki.

— Karetą dwa. Tu Karetą cztery. Czy Sokół jeden jest na miejscu?

— Tu Sokół jeden. Serwus Józiu. Dziękuję za kotlety. Jastrząb też dziękuję.

— Dałeś skurwysynowi?

Wacś obejrzał się za Sadowskim. Tamten leżał blisko oddychając ciężko.

— Sadowski. Sadowski — zatargał nim Wacś. — Obudź się, Sadowski.

— Mam was wszystkich w dupie — zamruczał pijany — rozumiesz? Dlaczego Sadowski pije? Bo chce. Kurwa mać, bo chce.

Zrezygnowawszy z docucenia się kolegi, Wacusz zgarnął koło siebie plecak, koce, kable i siedział cichutko nałożywszy zapasową słuchawkę na głowę.

Był jednym z ogniw linii, miał czuwać, aby głos przechodził kablem swobodnie. Sokół jeden rozmawia głosem majora z kapitanem. O czym? „Pieprzą”, powiedziała by Sadowski. Ale on śpi.

Z ciemności wyleciało rżenie samochodu. Nadjeżdżał łązik. Za nim drugi. Trzeci. Czwarty. Cała kolumna pędziła po niewidzialnej drodze. Zbliżały się tuż, tuż. Już pierwszy był tak blisko, że Wacusz zakrzętał się lękliwie, aby go nie rozjechało.

I nagle zagwizdało nad głową. Nie pojedynczy gwizd przelatującego ptaka, ale przeraźliwy ostry wrzask drapieżnego zwierzęcia, skaczącego z nieba na ziemię. Zabłysło dokoła. Raptem zapaliły się ogniki, gwiazdy rozpadły się i uderzyło zewsząd łoskotem. Pękało drzewo z jękiem. Łamało się żelastwo krzycząc ostro, przenikliwie, powietrze uderzyło w bębniaki uszu, zatkało nozdrza, przytłoczyło go. Instynktownie upadł płasko na ziemię. Z góry sypały się kamienie, żelazo, leciał piasek.

Obok huczało. Jeden za drugim pędziły łąziki.

— Kurwa — krzyczał wściekły głos w ciemności — gazu! Gazu, kurwa!

Potem nastąpiła cisza.

— Przyslijcie wody — mówił ktoś na linii — i cukru już nie mamy.

— Powiedzcie, czego chcecie. Wszystko powiedzcie, bo Maniś rusza za godzinę.

Wacusz nie wierzył własnym uszom. Kabel łączył go z innym światem. Pomału ciągnąc ostrożnie kabel cofał się tyłem w stronę kupy kamieni. Nogami namacał dziurę w ziemi i wczuł się głęboko razem z aparatem i kocem, którym przykrył sobie głowę.

Gdy znieruchomiał, poczuł obok siebie straszliwy smród. Otułił się kocem jeszcze mocniej i starał się dokładnie słuchać, co mówią na linii. Prawie nigdy nie milczano. Jak nie dowódcy, to telefoniści mieli jakieś sprawy do siebie. Ogniomistrz Wysocki pytał o stan sprzętu. Podporucznik Pyszka nadawał cyframi jakieś informacje ogniowe.

Wreszcie gdy na chwilę linia zamilkła, odezwał się cichy głos.

— Wacusz. Wacusz. Jak ci tam.

Rozpoznał, że to Jedynal z punktu kontrolnego numer trzy.

— Dobrze — odpowiedział cichutko — tylko śmierdzi.

— Tam koło ciebie strzelali. Daleko.

— Blisko, zdaje się że blisko. Najgorzej, że tak śmierdzi.

I znów ktoś ważniejszy zajął kabel swoimi sprawami.

— Wacusz — to Sadowski wołał w ciemności — gdzie ty, do cholery jasnej? Zabili cię?

Dopiero gdy Sadowski przybliżył się i wołał na cały głos, Wacusz posłyszał go pod kocem i odchylając brzeżka odpowiedział.

Kilka razy jeszcze przelatywały koło nich samochody. Potem szli ludzie. Potykając się przeklinali. Coś wpadło do wody i brodziło z chlupotem. Wacusz ukryty w dziurze nic nie słyszał. Sadowski kłął dobierając coraz to gorsze przekleństwa.

Nad ranem obaj zasnęli.

— Trzeba zrobić, mać jego zamazana, jakiś porządek — zbudził Wacusia Sadowski.

Gdy Wacusz wylażł ze swego koca i wychylił się z dziury, przeraził się. Tuż przed nimi wznosiły się góry. Było do nich około kilometra; między mostkiem a grzebieniem skalistym leżały gruzy, poszarpane drzewa, zorana ziemia, łuski artyleryjskie, spalone samochody, deski sterczące ku niebu — chłam brud, jedna gnojąca się rana. A na górach oświetlonych promieniami słońca bijącymi zza gaju oliwek i małego lasku piniowego, spoza stanowisk artylerii, płacyku wąwozu i bezpieczeństwa centrali telefonicznej, na górach w słońcu siedzieli Niemcy. Mogli patrzeć i przyglądać się, jak ludzie pełzają nad małym strumyczkiem, jak grzebią się w śmieciach.

— Trzeba zabrać to paskudztwo — mówił Sadowski kłęzcący przed schronem. Schron był zwykłą dziurą wygrzebaną w twardej ziemi. Na dnie miał zgniłą słomę i strzępy tektury od opakowań ładunków artylerii. Przed samym schronem leżały dwa trupy. Jeden do połowy tkwił we wnętrzu. Wacusz wychylając się naciskał mu na brzuch spuchnięty, nabrzmiały, rozpierający zabłocony mundur amerykański. Twarze mieli czarne, wargi niebieskie. Muchy wyżerały oczy, białe robaki roiły się między wargami.

Wacusz wyskoczył ze schronu i patrzył na te gnijące dwa kadłuby czarnych żołnierzy.

— Trzeba to zabrać — wołał Sadowski — kurwa śmierdząca, cholera rozpieprzona. Wacusz, ciągnij go za głowę.

Nie mogąc się przemóc Wacusz tylko dotknął ramienia w zielonym mundurze. Sadowski złapał mocno za materiał i szarpnął. Trup drgnął, ale zamiast posunąć, rozciągnął się jak ciasto. Sadowski szarpnął raz jeszcze i urwał kawał sukna.

— Bierz go za nogi — krzyknął na Wacusia.

Bezradny, wylekniiony Wacusz zwrócił się w stronę wejścia do schronu. Trupy leżały jeden na drugim ukośnie. Od pasa w dół przysypane były ziemią i śmieciem. Ten górny wystawił but

do góry, ale ten dolny zakopany na progu schronu wyglądał jak kadłub bez nóg i rąk.

Wacusz złapał za wystający but. Zaczął ciągnąć z całej siły i urwał nogę. Mało nie upadł cofając się z kawałem spodni przyklepionym do buta i wystającą z tego kością, ociekającą czarną mazią.

— Kurwa mać piekielna — zaklął Sadowski — rzuć to!

Wacusz odwracając głowę cisnął nogę w trawę przy strumyku. I odszedł na bok. Młodości wezbrały w nim i pochylając się nisko starał się wymiotować. Nie wychodziło nic. Piekąca żółć i łzy.

— Słuchaj, Wacusz, szlag najjaśniejszy — powiedział Sadowski — my to zakopujemy. Przysypimy ziemią. Niech leżą, może tylko śmierdzieć nie tak będą. Co mamy robić, zaraza pieprzona?

— Co mamy robić? — powtórzył Wacusz i zebrawszy siły zaczął pomagać garściami sypiąc piasek na zwłoki Murzynów.

Trwało to długo i tylko cienką warstwą zdołali przysypać trupy, gdy nadleciała pierwsza salwa. Skoczyli do dziury. Pociski rwały się na polu drąc ziemię i rzucając czarnym błotem do góry.

— Patrz Wacusz — zachęcał Sadowski — ale pieprzą. Tyle żelaza się marnuje. Nikogo tu nie ma, nikogo nie widać, a oni solą w puste pole.

— Może się pomylili — wyjąkał Wacusz, całą siłą woli powstrzymując się od zakopania się w głębi dziury.

— Pomylili się! Przecież oni w ten mostek wałą. Regularnie. Na wypadek, gdyby coś jechało.

Ledwo uspokoiło się z furkaniem odłamków i chlupotaniem błota, gdy nadjechał samochód. Sunął wolno od strony góry. Chybotał się na boki i porykiwał. Był zielony, kwadratowy, wysoki na trzy metry. Na bokach miał wielki czerwony krzyż i flagę białą z krzyżem przyczepioną do szoferki.

Za nim przemknął szybko łązik też z flagą Czerwonego Krzyża.

— Rannych wiozą.

— Rannych? Stamtąd? — naiwnie zapytał Wacusz.

— Ty dupku z wodą w głowie — zaśmiał się Sadowski — co się dziwisz? Rannych? Przecież tam za każdym kamieniem siedzi nasz z piechoty, a naprzeciw Niemiec. Jak tam strzelą, to na pewno trafią. Tyle tam luda poszło. Krasy opowiadał, że dwa dni ciągnęli, chyba wszystkie bataliony wyszły. Będzie natarcie.

— Ja wiem — bronił się Wacusz — ja tylko tak powiedziałem.

— Ty wiesz? Gównu wiesz. Trzeba było rozmawiać z tymi, co tam byli. Gosieński całą noc siedział na punkcie, w zimnie

i bez ruchu. W dzień zaś za kamieniami ukrywali się jak pchły w kozuchu. Co się ruszyli, to walili w nich moździerzami. Powiada, że porucznik Filipek najpierw się porzygał, potem posiusiał, a potem, jak tylko się ściemniło, wiał jak zając.

— Porucznik się bał... — Wacusi stwierdził to mocniejszym głosem.

Nadjechały nowe sanitarki. Tym razem w stronę gór. Szurały szybko, aż flagi furkotały. Pewność z jaką kierowcy dodawali gazu i wymijali leje po pociskach dodawała otuchy.

Ale znów doleciały gromadnie uparte granaty. Tym razem przeniosły. Wybuchały gdzieś poza laskiem na południe.

— Kareta jeden, odezwijcie się — Wacusi podniósł słuchawkę i ucieszył się znajomym głosem telefonisty. — Kareta jeden, regulacja zegarków.

Sadowski wyciągnął z chlebaka puszkę z mięsem i suchary.

— Woda pewnie z trupami — powiedział patrząc ku strumykowi. — Masz coś w manierce?

Wacusi podał manierkę z herbatą. Była mdła i kwaśna, od tego wina, które nosił przedwczoraj.

— Co za szczyzny — złościł się Sadowski popijając konserwy. — Nie chcesz?

— Nie — Wacusi pokręcił głową — znowu podeszły mu mdłości i jakoś śmiesznie zdrętwiały szczęki. Słońce przygrzewało i ledwo przysypane trupy wydawały straszną woń.

Linia przestała działać. Telefonista z centrali gorączkowo nawoływał.

— Punkt jeden. Jesteście punkt jeden? Punkt dwa? Punkt trzy. Punkt cztery.

— Tu punkt cztery.

— Idźcie na linię. Przerwa między wami a piątką. Ruszajcie na linię.

— No, Wacusi — zaśmiał się Sadowski — pokaz, co umiesz.

Widać było, że się nie ruszy. Wacusi powoli wywlókł się ze schronu. Złapał mocno kabel i ruszył nie patrząc ni przed siebie, ni na boki. Przeskoczył mostek i biegł potykając się. Dwa razy kabel zaczepiony o ziemię szarpnął nim prawie przewracając. Wpadał butami w kałuże, przemoczył nogi, uderzył się o kamień. W ostatniej chwili przeskoczył wysuszonego, spłaszczzonego trupa. Biegł sapiąc głośno, tak głośno żeby nie usłyszeć lecących pocisków, nie dostrzec niczego, co się dokoła czaiło.

Prawie uderzył o Jedynala.

— Wacusi — zawołał tamten wesoło — dawaj kabel. — Musieli naciągać, aby dopasować przerwę.

— Moździerz chyba — powiedział Jedynal związując drut i owijając go izolacją. — U was jak? Pieprzą?

— Pieprzą — potwierdził Wacusz.

— Takie nekkanie. Raz tu, raz tam. To jeszcze nic, jak się zacznie naprawdę.

Mówił na wiatr. Wacusz człapał z powrotem. Głowę wtułił w ramiona, żeby go nie dostrzegali z tyłu.

Gdy dobiegł do schronu, sapał jeszcze głośniej.

— *O key?*

— *O key.*

— No to medal. Jak wrócimy z tej wojny, to będziesz obwieszony medalami jak cesarz. Z przodu, z tyłu i na bokach.

Poczuwszy głód Wacusz zabrał się do konserwy. Odwracał głowę od trupów i jadł popijając resztką herbaty.

Od lewej nadciągnęły ku nim smugi szare jak ciężka mgła. Zaczęło się regularne zadymianie doliny.

Koło południa nie wiadomo skąd pojawił się kapral Karolak. Niósł na plecach radiostację. Za nim dwóch telefonistów kucnęło z boku drogi. Jednym z nich był Krasny.

— Chłopaki — wołał Karolak — najważniejsza rzecz trzymać linię. Rozumiecie? Nie wolno o tym mówić przez telefon, ale dziś wieczór zaczyna się. Rozumiecie? Będą pieprzyć jak w kozi kuper, ale linia musi działać. Rozumiecie? Dziś wieczorem jak się ściemni. Tylko ani słowa przez telefon, bo podsłuch. No, chłopaki...

— Gdzie wy? — spytał Sadowski.

— Do majora. Dwudziestka dwójka nawaliła. W ostatniej chwili trzeba dawać im nową radiostację.

— I wy tak w dzień? — dziwił się Wacusz.

— Mięta — zawołał Karolak — tylko trzeba szybko. Do południa to on nic nie widzi, ma słońce w oczy. Ale dziś się zacznie. Na stanowiskach już walą drzewa co zasłaniają lufy. Trzymajcie się. Linia musi działać.

Energia i śmiałość były od niego. Wacusz czuł zazdrość, zdawało mu się, że lepiej byłoby pobiec razem z Karolakiem. Ale przypomniawszy sobie, co mu opowiadano o stanowiskach piechoty na samej górze.

Krasny podskoczył do Sadowskiego na odhodnym.

— Masz — powiedział dumnie — żebyś nie mówił, kurcze pieczone, że nie jestem dobry kolega.

Sadowski złapał butelkę z ciemnym płynem.

— Rum — krzyknął już odbiegając Krasny — ukradłem kapitanowi. Dobry sztos, co?

— No, to za zwycięstwo — krzyknął Sadowski i zębami wy-
ciągnął korek. Łyknął i podał Wacusiowi.

Ostry płyn rozlał się gorącym po żołądku. Wacusz stłumił ka-
szel i uśmiechnął się. Był wdzięczny Sadowskiemu, że włączył go
do picia jak dobrego kolegę.

Jeszcze jeden łyk i zrobiło mu się tak ciepło i błogo jak
nigdy. Nie wiedział że usypia.

Zbudził się, gdy słońce już wisało nisko nad górą klasztorną.
Wyglądała teraz czarna, szczerbata, bliska. Od niej biegł grzebień
wzgórz też ciemnych i równie milczących. Tylko te pojękiwania
to tu, to tam, smagnięcia z pepanców, i gwizdy wysokie wciąż
trwały jak nigdy nie kończąca się przygrywka.

— Wacusz, twoja nie moja — ucieszył się Sadowski kucający
u schronu — spałeś jak niedźwiedź. Chcesz rumu?

— Nie, dziękuję — czuł w ustach niesmak i w głowie za-
męt. Sięgnął do chlebaka.

— Wacusz, ty dobry kolega — płacliwie zaciągnął Sadowski
— był już dobrze pijany — ty nie chcesz rumu. Dobrze, niech,
kurwa mać, zostanie dla biednego Julcia. Dobry z ciebie chło-
piec, tylko miękki. Wacusz, a w życiu trzeba twardo.

— Twardo? Co ci przyjdzie, że twardo? Nagadałeś kapita-
nowi głupstw, inny by cię do aresztu wsadził.

— A on nie — zaśmiał się szyderczo Sadowski — a on
wsadził do dziury z trupami. Ech Wacusz, ty nic nie rozumiesz.

Zagrał brzęczyk przy aparacie. Nie trzymali słuchawki i do-
piero bzykanie przypomniało im o linii.

— Karetą jeden, dwa, trzy, cztery: regulowanie zegarków.
Za dwadzieścia sekund będzie godzina siedemnasta trzydzieści
pięć. Uwaga!

— A my nie mamy zegarków — zaśmiał się Wacusz.

— Po co ci zegarek? Jak trafi w ciebie pierdolony granat,
to i bez zegarka dojedziesz do nieba ekspresem na czas, nie
spóźnisz się.

Wacusz się obraził. Sadowski pociągnął z butelki, gdzie już
było ledwo na dzień.

— Ach, taka was wszystkich zasrana w tę i nazad — ulżył
sobie.

Wstał i poszedł na bok oddać mocz. Robił to stojąc wyprosto-
wany w rozkroku. Chwiał się tylko lekko w przód i w tył.

— Jeden pije, bo się boi — prawil — a drugi pije, bo się
nie boi.

— A dlaczego ty pijesz? — krzyknął Wacusz. — Wciąż pi-
jesz. Czy ty się niczego nie boisz?

— Jesteś durny idiota — Sadowski wrócił i nogami naprzód pakował się do schronu. — Jesteś krowa bez ogona.

— Dlaczego? Że ja nie piję? Każdy mówi, że niepotrzebnie pijesz — obrażony Wacusz odważył się na ton upominający. — Szef powiada, że byłeś najlepszy kierowca, ale pijesz. Do szpitala też cię przez to picie wzięli.

— Książd się znalazł — mruknął Sadowski. — Każdy krzyczy: dlaczego pijesz. Kapitan powiada: mamusia prosi cię, żebyś nie pił. Szef krzyczy, że najlepszy kierowca. A ja piję. I gównu wam do mego picia. Niech kapitan listów do mojej mamy nie pisze. Niech pisze do swojej. Gówno mu do mojej matki. Rozumiecie?

Uniósł się i potrząsnął pięścią pod samym nosem Wacusia.

Wacusz przestraszył się i usuwając na bok skurczył się ci-chutko.

Sadowski wydoił resztę rumu i rzucił butelkę przez otwór schronu, daleko, aż chlupnęło w strumieniu.

Milczeli przysłuchując się odgłosom strzałów. Potem znów przyleciała nawała. Rozerwała się poza nimi potrząsając schronem jak workiem.

— Sokół dwa do Sokoła jeden. Niech Sokół jeden pójdzie do aparatu.

Wacusz otulił się kocem i wsłuchując się w głosy na linii starał się być tam z nimi, gdziekolwiek oni są. Sadowski leżał milczący.

— Chcesz wiedzieć dlaczego piję? — mruknął cicho. — Bo mam syfa.

— Co ty mówisz?

— Tak, mam syfa. Ładny koniec, co? Na zasranej arabskiej kurwie w Basrze złapałem. Rozumiesz? Ot co. Najlepszy kierowca; mamusia pisze z Teheranu, że czeka. Nawet do aresztu nie chcą zamykać. Sadowski jak jaki bawidamek, najlepszy ze wszystkich. Doktor w szpitalu... E... co tam gadać. Rozumiesz? Sadowski ma syfa. Rozumiesz, kurwa, dlaczego Sadowski pije?

Zamilkł i skurczył się przykrywając głowę ramieniem. Układał się jak do spania. Wacusz nie śmiał się odezwać. Myślał tylko przerażony, że dowiedział się okrutnej tajemnicy. Sadowski jak te trupy... Syf...

— Słuchaj — nagle zaczął gadać pospiesznie, zachłystując się — teraz to leczą. Peni... peni... penicylina... Słyszałem, że mają w szpitalu. To już nie groźne. Pójdziesz do szpitala i wyleczą. Będziesz zdrow. Nic ci nie...

— Idioto! — krzyknął Sadowski. — Zamknij się! Mnie — podkreślił to słowo, jakby było niesłychanie ważne. — mnie nikt

nie pomoże. Nikt. Nikt... — coś go ścisnęło pod gardło i głos się załamał. Zakończył cicho już i płacząco — Masz rum?...

To były jego ostatnie słowa na długo. Zasnął.

Linia mrucała. Góry pojękiwały. Za schronem szarzało. Słońce spłynęło w doliny, niewidzialne, zagrodzone drutami kolczastymi, zastawione tysiącem armat i grożące śmiercią.

— Wacusz — posłyszał w słuchawce szept — Wacusz, jak ci tam?

— Dobrze — odpowiedział równie cicho, nie wiedząc kto pyta — tylko straszny smród.

— Trzymaj się, Wacusz — tym razem głos mocny, nie krępujący się używaniem linii był głosem kapitana Dziewickiego — trzymajcie się wszyscy. Od was wiele zależy.

— Panie kapitanie — zawołał Wacusz szybko i rozpaczliwie.

— No, co tam?

— Panie kapitanie, żeby kto przyszedł te trupy zabrać. Taki tu smród. Nie można wytrzymać.

— Jutro. Jutro zabierzemy.

Już inny głos się wtrącił, mówił sam pułkownik. Wyglądało jakby wszyscy siedzieli ze słuchawkami na uszach, każdy czyhając na słowa biegnące kablem.

Niby przy wielkim, wielkim stole, tak wielkim, że siebie nie widzieli, ale byli połączeni ze sobą. Albo na sznurku zawieszeni, jak ptaszki złapane siecią. To drugie porównanie bardziej odpowiadało prawdzie i Wacusowi zrobiło się smutno. Może powinien był powiedzieć, że Sadowski upił się i śpi. A upił się, bo ma syfa i wszystko mu jedno. A sam nie da rady.

Dobiegły go dziwne stuki i grzechoty. Tego jeszcze nie było. Wychylił się ostrożnie i nadśluchiwał. To w lasku dochodzącym bokiem do strumienia ktoś szedł, ale jakoś hałaśliwie, szamocząc się i postukując żelazem.

Tak się ściemniło, że nawet lasek był niewidoczny. I właśnie w tej wieczornej ciemności każdy głos mnożył się i wyostrzał. Ktoś też podśluchiwał i już gwizdały przenikliwe głosy pocisków. Na lasek szły granaty. Wysoko rozprysła rakietka i zawisła paląc się na spadochronie. Buch, buch, buch. Łomot i jęk dartego żelaza i drgania całej ziemi doszły tutaj, bo to przecież niedaleko. Wacusz patrzył niestrwożony, wiedząc, że biją nie w niego, ale tam w lasek. Zakotłowało się. Krzyczano wysokim falsetem, jakby kobiety zostały napadnięte. Szamotały się jakieś siły nieludzkie i zabrzmiały ryk bólu z gardła nie człowieka, ale zwierzęcia.

Wacusz zdrętwiał. Patrzył nieruchomo spodziewając się, że stamtąd wyskoczy jakiś potwór rozgniewany napaścią, jakieś czar-

ty podniosą się nad laskiem. Teraz wyraźnie kwiczał wieprz zarzynany. Przenikliwie, w ostatecznej trwodze.

— To nie są ludzie — krzyknął Wacusz do Sadowskiego. — To nie ludzie!

Z lasku wyskoczyło coś i skakało po łące poszczekując żelazami, jak zwierzę złapany w pułapkę.

— Boże, co to takiego?

— Wacusz, masz rum — odezwał się Sadowski. Wacusz wsunął się do schronu głęboko i otulił kocem.

Na myśl mu nie przyszło, że to był transport mułów prowadzony przez Cypryjczyków. Wylękniony oczekiwał teraz najgorszego, ale wszystko umilkło. Nawet sanitarki nie przejeżdżały. Żaden łązik nie zamącił ciszy. Zwykłe pomrukiwanie, rzadka strzelanina. Mgła i zadymianie otułały drogę i mostek, i Wacusia zakopanego w schronie.

Zasypiał. Przecież na dobre nie spał już dwa dni. Tylko się przesypiał krótko od czasu do czasu. Powinni dać mu odpocząć. Powinien móc zasnąć, tak jak Sadowski.

Na linii przestano mówić. Zimno wieczorne wpełzało i smród stawał się mniejszy, a senność coraz mocniejsza. Z trudnością utrzymywał się przy czuwaniu.

— Kazik — obudził go ktoś wołający na cały głos do mikrofonu — Kazik!

— Jestem.

— Złam nogę.

— Ty też. I nie wypij wszystkiego rumu.

— Wystarczy.

— Cholera — ktoś przestał krzyczeć i westchnął.

I właśnie w tej chwili świat nagle zatrzęsł się. Schron podskoczył do góry, w głowę Wacusia uderzyło powietrzem zbitym w jedną olbrzymią kulę wagi tysiąca ton. I grzmienie, trzęsienie, błyskanie oświetlające cały schron nie ustawało.

— Ognia! Ognia! Ognia! — słyszał na linii. — Pierwsza gotowa. Druga oddała. Ognia!

Linia telefoniczna prowadziła prosto do piekła, które napadło na ziemię trzęsąc nią jak starą, rozpadającą się kupą gnoju. Nad tym hukiem, błyskiem, dudnieniem i wstrząsaniem ziemią leżał wysoko płaszcz gwizdu. Nie pojedyncze smagania, nie ptaki, ale twarda blacha lecących pocisków zwarta w jedną śpiewającą tryumfalnie powierzchnię.

— Sadowski — krzyknął Wacusz — zaczęło się.

Sadowski zerwał się nieprzytomny i wyskoczył ze schronu. Uderzyło go w piersi ogniem i hukiem. Własne baterie waliły w twarz. Z drugiej strony na górach błyskały stłumione ogniki.

Zapalały się i gasły jeden przy drugim. Grały i tańczyły jak duszki, a góry od tego tańca chwiały się na boki.

— Kurwa mać, mamuńciu złota — Sadowski z okrzykiem cofnął się pod opiekę dziury wykopanej przez nieżyjących Murzynów. — Ależ pieprzenie.

Wacusz nie słyszał. Też wołał do kolegi, że to piekło, ale nawet swego głosu nie chwycił. Tylko w słuchawce blisko ucha szemrało.

— Dwieście jardów dalej. Cel trzysta pięć plus dwieście jardów.

Trzęśli się razem z ziemią, która sypała się na nich z każdej strony.

Z hałasu trwającego wciąż w tym samym napięciu zaczęli odróżniać poszczególne huki. Najgłośniejsze były w nich własne działa z oliwek. Wydawało się, że pociski lecą tuż nad ziemią. Grzechot rozszerzał się na cały horyzont. Kołem otaczał ich i przykrywał graniem powietrza ciętego tysiącem granatów.

Usłyszeli ryk samochodu. Walił jakiś na przełaj, ślepy, nie słyszący. Pewno wpadnie na mostek i wywróci się kołami do góry. Jakimś cudem przeleciał. Potem ludzie gdzieś wołali. Głosy były mocne, wesołe. Aż wreszcie posłyszeli uderzenia o ziemię. To było co innego. Padało tuż obok. Trzęsło nimi i sypało piaskiem.

— Odezwali się skurwysyny — krzyknął Sadowski.

Wacusz nagle uświadomił sobie, że nie siedzi bezpieczny pod parasolem żelaznym zakopany w piasek na połowie drogi między działami a celem. On jest w samym środku. To właśnie jedni i drudzy walą w niego. Urywają się lecące pociski i spadają na samą głowę.

Pac. Pac. Pac. Ktoś poklepywał po błocie i ryczał z gniewu.

— Karetą cztery. Karetą cztery. Pomarańcze. Pomarańcze. Powiedźcie do sztabu. Pomarańcze.

Wacusz przyciskany przez Sadowskiego trzymał się słuchawki. Coraz to jakieś krzyki szarpały drutem rozpaczliwie. Przekazać Samsonowi, niech rusza. Niech Samson rusza.

— Tu Karetą. Z Samsonem nie mamy połączenia.

— Pośląć gońca. Linia do Samsona nie działa. Niech Samson rusza. Wojciech mówi, niech Samson rusza.

— Michał — to był głos majora wołającego porucznika z centrali po imieniu — dodajcie czterysta jardów. Pomarańcze.

— Trzymajcie linię! Najważniejsza rzecz trzymać linię.

— Nie mamy połączenia z Łabędziem. Co z Łabędziem. Dlaczego się nie odzywa.

— Wysłany Grzela do Łabędzia. Nadawajcie stale. Nie przedstawiać próbować.

Co to wszystko znaczyło? Głosy były zdenerwowane. Musi i nimi trząsie razem z całą ziemią. Gdzieś po ciemku idą, może już walczą? Bagnetem?

— Sadowski — krzyknął przykładając usta do ramienia kolegi — czy to natarcie?

Tamten milczał. Wacuś przestraszył się, że ma jeszcze jednego trupa. Wyciągnął rękę i zaczął potrząsać towarzyszem. Sadowski gwałtownie odtrącił rękę Wacusia.

— Karetą trzy. Karetą trzy — głos brzmiał rozpacziwie.

— Już idę — odezwał się spokojny bas Jedynala — linia przerwana. Już idę.

— Punkt jeden. Punkt dwa. Punkt trzy. Odezwać się.

— Jestem — wołał Wacuś za innymi.

— Trzymać, za wszelką cenę trzymać. Wszystkie linie porwane. Musimy trzymać.

— Karetą jeden. Karetą jeden.

— Tu Karetą jeden.

— Nareszcie. Trzymajcie linię.

— Jakaś oferta zawadziła butem. Idą tędy z mułami — grzmiał Jedynal.

— Tu Herkules. Herkules, połączcie mnie z Giewontem. Połączcie z Giewontem.

— Zaraz, panie generale — to wołał kapitan.

— Podać sytuację. Herkules, jaka sytuacja?

— Sytuację podamy za dziesięć minut. Herkules żąda połączenia radiowego na fali rezerwowej.

— Ja śpię i chrapię, Maryna mnie trąca...

Nie wierząc własnym uszom Wacuś zbliżył się do Sadowskiego. Ten skulony w obwarzanek mruczał piosenkę.

— Bał Murzynów, słońca synów...

— Sadowski! Zwariowałeś?

— Wacuś, dawaj rumu.

— Sadowski, uspokój się.

— Dawaj rumu, bo cię wyrzucę na te bombardowanie, gówniarzu. Rumu!

Strzelanie artylerii ucichło, albo Wacuś przyzwyczaił się do niego. Natomiast razem z nocnym chłodem do schronu wpadało trzaskanie kaemów, dudnienie wybuchów od strony gór. Tam się gotowało w ciemnościach. Wyskakiwały rakiety, paliły się czerwone smugi pocisków i trzaskały karabiny maszynowe.

— Kazik, jak tam idzie? — wołał kapitan otwarcie bez kryptonimów.

— Tu Sokół jeden — odezwał się chrapliwy głos — pana majora nie ma.

— Co się stało?

— Tu Sokół jeden, strzelają do nas. Łabędź rozbity. Trzymajcie łączność.

— Gdzie Kazik?

— Tu mówi Jastrząb — odezwał się inny głos — proszę pilnować, aby linia działała. Jesteście jedyną linią.

— Przekazać do Samsona, że Dawid rusza za dziesięć minut.

Znów jakieś rozkazy pobiegły w pośpiechu. Nie wiadomo, kto do kogo wołał, czego chciał. Głosy płątały się, gniewnie nacierały jeden na drugi, sprzeczały się o prawo pierwszeństwa. Ale linia działała. Kabel leżał otwarty. Wacusi trzymał na głowie słuchawkę zdziwiony, napięty od strachu i oczekiwania.

— Pan major ciężko ranny. Obsypali nas porządnie. Przenosimy aparat.

Na chwilę ucichło. Oznajmienie podane spokojnym, cichym głosem uderzyło w linię. Zamilkła.

I Wacusi uświadomił sobie, że słuchawka go parzy. Prąd włączony do drutu zaraz i jego porazi. Niemcy macają wzdłuż kabla. Śledzą każdy skręt, każdy punkt kontrolny. Trzymajcie się. Trzymajcie się, bo was rozerwą, poprzecinają na kawałki i nikogo nie będzie, aby ścinki wiązać.

— Sokół jeden, natychmiast przysłać radiostację.

— Człowieku — krzyknął kapitan Dziewicki — zwariowałeś. Nie ma ani jednej. I jak bym wysłał? Teraz?

— Musimy mieć radiostację. Jak najprędzej radiostację. I Wysocki.

— Co z Karolakiem?

— Karolaka nie ma. Zginął. Prześlijcie Wysockiego. Wszystko nawaliło.

— Będziemy się starali. Co z Kazikiem?

— Nie wiemy. Zabranymy do tyłu. Prześlijcie rumu.

— Tu Sokół dwa, żądamy ognia na Widmo.

— Sokół dwa. Widmo zajęte.

— Sokół dwa żądamy na Widmo.

— Zwariowaliście?

— Pomarańcze.

— Powiedzcie Herkulesowi, żeby zgłosił się do Samsona trzy. Linia nawiązana.

— Herkules przechodzi na łączność radiową.

— Trzymajcie linię. Zaraz będą rozkazy.

— Gównno, gównno, raz jeszcze gównno.

— Podaję sytuację. Uwaga, podaję sytuację.

— Jakie straty?

Wacusz już nie mógł wytrzymać, odjął słuchawkę i przeciskając się koło mruczącego Sadowskiego wyrzwał ze schronu.

Strzelano rzadziej. Jakby armaty zmęczyły się, albo połamano je ogniem?

Wacusz poczuł parcie w pęcherzu i stanął do odlewania się. Przyniosło mu to ulgę. Świeże powietrze, wiatr, noc nad głową. Uspokoił się zupełnie. Wojna przestała być straszna. Sadowski stanął koło niego. Zachwiał się i przytrzymał Wacusia za ramię. Znalazł mocne oparcie. Zdawało się, że stali sami jedni na pustej płaszczyźnie, na połowie drogi między dwoma pasmami gór, swobodni, nie związani z niczym.

Podtrzymując Sadowskiego Wacusz schylił się do schronu. Uderzył w niego podmuch. Rzucił nim głową w przód, prosto do dziury. Sadowski za nim dał nura. Sypała się ziemia, rwały śmierdzące szczątki, przyskało na głowy, szyje, na ręce zasłaniające twarz. Raz po raz uderzało w nich, przerzucało z jednej strony na drugą. Prędkie bezładne stuki o ziemię brzmiały jak wbijanie kołków. Gwizdało i darło się tuż obok. Żelazo rozdzierane płakało. Piski trzeszczały jak szafa rozpadająca się od ciosu wielkiego młota.

— Mamo, mamó! — wołał Wacusz — mamó, złota moja.

Nikt go nie słyszał. Sadowski przyciskał się do niego zapychając Wacusia pod ziemię, aż mu oddech odbierało.

To był koniec. Wacusz namacał aparat uwierający go w bok, doszukał się słuchawki, ale ona milczała. Koniec. Nikt do nich nie mówił, nikt nie wiedział nic o nich. Czy ich odkopią.

Zadźwięczała cisza. Jakby nagle ustał deszcz.

Wacusz odepchnął Sadowskiego i poprawił się trochę.

— Linia nie działa — powiedział. — Linia nie działa! — powtórzył krzycząc.

— A ja was wszystkich... — Sadowski odkrzyknął długim przekleństwem. Ucieszyło to Wacusia. Żył.

— Linia przestała działać. Na ciebie kolej.

— Mam w dupie waszą linię. Dajcie pić, to będzie działać.

— Linia nie działa. Musimy linię utrzymać.

— Trzymaj ją, idioto. Ja mam syfa.

Wacusz się zaczął pchać, ale przyszła następna nawała. Zdawało się, że ich przewracają do góry nogami, trzęsą nimi, polewają jakąś cieczą, obsypują kamieniami, wgniatają pod ziemię. Ukrytych w ciasnym schronie dosięgało tylko to potrząsanie, ale im się zdawało, że są w samym środku wybuchu, że to ich drze

i targa ze zwierzęcym rykiem. Ze uderza prosto w nich, parowym młotem wgniatając głębiej i głębiej.

Gdy ucihało, leżeli skurczeni splątani, drżąc jak w gorączce.

Wacusz odepchnął Sadowskiego i powiedział sam nie wiedząc co i jak mówi:

— Linia nie działa.

— Gówno. Gówno z linią i z tobą, i całą tą wojną.

I Sadowski nagle zakręcił się, uderzył butami Wacusia w żołądek, szarpnął się gwałtownie i wyskoczył ze schronu.

— O Jezu! Mamo! Kochana mammo! — usłyszał Wacusz razem z hukiem pocisku. A potem wyraźne stukanie butów po twardej drodze.

Wacusz zakrył się kocem z głową i zaczął się modlić. Łzy kapły mu na złożone przy twarzy ręce. Modlił się powtarzając w kółko wszystkie znane pacierze. Modlił się za siebie, za matkę, za ojca, za kapitana, za majora Kazika, za Sadowskiego i znów za siebie. I za to, żeby słońce pokazało się i przeszła noc.

Nie słyszał nic, nie wiedział, co się dzieje, modlił się i płakał. Potem zmęczony zaczął majaczyć. Zdawało mu się, że idzie wielkim otwartym stepem, wiatr wieje z każdej strony, ale łagodny wiatr i jest mu lekko. Przed nim trzech mężczyzn niesie deskę, a na niej leżą zwłoki. Wacusz płacze. Matka jest długa, chuda, opatulona w szare łachmany. Głowę ma przewiazaną liliową chustką. Węzeł trzyma się pod brodą.

Mężczyźni stąpają powoli. Wacusz idzie za nimi i płacze. Jest sam. Wiatr przynosi chłód z gór pokrytych śniegiem. Jeden z mężczyzn ma watowaną czapkę. Dwaj odkryli głowy. Ten trzeci w nogach to sierżant. Żerko. Wacusiu, mów, rzuć garść ziemi. Jak wszystko się skończy to powrócisz tutaj jeszcze. To była dobra kobieta, zacna kobieta, powtarza ten drugi. Trzeci spluwa w ręce i łapie szpadel.

Jak wszystko się skończy, Wacusiu, mówi sierżant Żerko, i zegna go czule, niby własne dziecko. Na szerokiej płaszczyźnie nie ma nikogo i Wacusz płacze. Podchodzi do niego matka. Spod liliowej chustki wymykają się jasne włosy. Dlaczego nie uczeszsz się. Ona się śmieje i głaszcze go po policzku. Ma białe zęby. Takie ładne białe zęby. Żeby ziemia na twarz nie padła, Wacusz rzucił chustkę. Miał już tylko jedną. Musiał wejść do dołu i położyć na twarz.

Potem padała ziemia coraz głośniejsze, coraz mocniej, coraz gwałtowniej. Przyciskała zmęczone ramiona, wgniatała w dół coraz niżej, niżej; brakowało oddechu, brakowało miejsca, ręce odpychały ziemię daremno. Wyprętał się i walczył z ogromną ciężką warstwą ziemi. Wyrывał się, krzyczał.

Kiedy wreszcie wyzwolił się od zatulającego go koca i mógł odetchnąć, stwierdził, że do schronu wchodzi światło. Był już ranek. Wypełzył pomalutku, przesuwał się po gruzach, strzępach, po mazi śmierdzącej zmasakrowanych trupów i po ostrych kamieniach. Pod rękę wpadł mu szarpany odłamek żelaza. Wacusiś podniósł dłoń i ujrzał rząd czerwonnych kropelek jak koraliki. Przytknął do ust.

Staął i obejrzał się. Było zupełnie cicho. A może on ogłuchł. Niedaleko ktoś stękał. Znad łąki podnosił głowę muł. Dawał znać o sobie i znów opadał. Wacusiś schylił się i dotknął drutu, który wychodził spod ziemi przysypany rumowiskiem.

Wziął go w rękę i szedł wolno, wlokąc nogi jak nieprzytomny.

Przeszedł mostek i okrążył głęboki lej. Drut wrywał ziemi, która trzymała go setką pazurów. Szedł w kierunku gór szarych od brasku, smutnych i zmęczonych.

Doszedł wreszcie. Pod jego stopami leżał Sadowski. Leżał na boku z głową odrzuconą do tyłu, że widać było czarną jamę zamiast gardła. W wyciągniętej ręce tkwił drut.

Wacusiś stał i ten kawałek kabla łączył ich przez chwilę. Położył ostrożnie drut na ziemi i usiadł na brzegu drogi. Ramiona opadły mu i głowa pochyliła się nisko. Był zmęczony. Miękka, ciemna woda oblała go dokoła i kołysała do snu.

Ale musiał mieć otwarte oczy. Widział sanitarki ciągnące jak karawany pogrzebowe, wolno, ostrożnie. Na łąkach jechali żołnierze bez hełmów, a w bandażach. Jedni jęczeli, inni wołali do niego. Droga zaludniła się w biały dzień. Szedł jakiś żołnierz podpierając się laską. Szedł wszystkim naprzeciw. Stapał wolno, choć nie znać było na nim ani ran, ani walki. Był ubrany w czysty *battledress* i miał świecący w słońcu hełm. Przeszedł obok nie patrząc na prawo ani lewo.

Łazik załadowany skrzynkami żelaznymi z żołnierzem siedzącym na wierzchu starał się jechać pod prąd sanitarek.

Po nim ukazał się drugi. Zbaczał z drogi ustępując sanitarkom, zatrzymywał się, przeskakiwał wolne przestrzenie jak najprędzej. Był coraz bliżej.

Zatrzymał się.

— To ty, Wacusiś?

Kapitan Dziewicki wyskoczył i stanął nad siedzącym nieruchomo Wacusiś. W łąziku z tyłu siedział Wysocki, obok niego skrzynki i aparaty.

— Kanonier Gdański — zawołał ostro kapitan.

Wacusiś nagle poderwał się. Jakaś siła ruszyła go z miejsca.

— Kanonier Wacław Gdański melduje się na rozkaz.

Kapitan wziął go za ramię. Wacusz zobaczył, że twarz oficera jest szara, oczy zapadłe, ręka trzymająca go trzęsie się. Hełm przekrzywiony pokazywał pukiel włosów zwisający bezładnie.

— Panie kapitanie — meldował Wacusz najpoważniej, jak tylko umiał — linia nie działa.

— Dobrze, chłopcze — kapitan pociągnął go na drogę.

— Linia nie działała, panie kapitanie.

— Dobrze. Siadaj z nami. Przydasz się.

— A on, panie kapitanie — Wacusz ustąpił odsłaniając Sadowskiego.

Kapitan patrzył długą chwilę.

— Chodź, Wacusz — powiedział cicho — trzeba jechać.

Wacusz posłusznie szedł do łożnika i przyjąwszy rękę ogniomistrza wdrapał się na skrzynkę z narzędziami. Zapadł się śmiesznie tyłkiem w dół i nogi sterczały mu w górę.

— Sadowski — powiedział kapitan do ogniomistrza — dlaczego on pił?

— Kto to wie — odpowiedział ogniomistrz.

— On był najlepszym kierowcą — wtrącił Maniusz zza kierownicy.

— Matkę ma w Teheranie — mówił kapitan — tak prosiła, żeby nie pił. Dlaczego on pił? A taki chłopak był, jak złoto. Z Rosji go wywoziłem. Pamiętasz, Wysocki? Po tyfusie ledwo chodził. Wyciągnęliśmy go za uszy, uratowali. Po co? — kapitan zasłonił twarz rękami, jakby bał się patrzeć w tamtą stronę.

Wacusz poprawił się na skrzynkach. Podniósł głowę. On jeden wiedział wszystko.

Maniusz ruszył. Łazik skoczył z miejsca potykając się na wyboju.

— Gdzie jedziemy, panie kapitanie? — spytał Wacusz.

— Gdzie? Na wojnę. Nie wszystko poszło jak trzeba. Teraz na nas kolej. Drugi rzut.

W Wacusiu uderzyło mocno serce, ale podniósł głowę. Wiatr poranny powiał od gór i odgarnął mu włosy z czoła.

Chciał powiedzieć, że zostawił hełm i karabin, ale milczał. Patrzył prosto przed siebie.

AMNESTIA

— Każdy jeden ma ten papier?

— Tak jest, panie szefie.

Dwuszerę odpowiada niezgranym, niechętnym chórem. Są tacy, co wcale nie otwierają ust, tylko patrzą na grubego szefa drwiącym wzrokiem.

Chłodny poranny wiatr nawiewa od morza sól. Cień cofnął się pod wielki orzech. Słońce poleruje zakurzone wzgórze.

Zbiórka do apelu porannego odbywa się na zwykłym miejscu, na skraju drogi od wsi do pałacu, którego dach przegląda przez czuby drzew.

Na polanie namiot-wartownia z podniesionym bokiem. Za nim szeregi żelaznych ćwoków, baryły artyleryjskich pocisków ułożonych w długi pomost w cieniu kasztanów.

— Czytał czy nie czytał, to nie moja sprawa. Dla mnie wszystko za jedno. Ganc pomada. Możecie tą bumagą tyłek sobie podetrzeć. Dla mnie obojętność. Ale rozkaz rzecz święta. W wojsku rozkaz krytykować rzecz ostatnia. Rozkaz był, że każdy jeden ma dziś do zbiórki z tym papirem wystąpić. Zrozumiano?

— Tak jest panie szefie.

— Tak jest panie szefie — w sekundę po chórze pieje sztuczny dyszkant.

Szef spogląda straszonym, ogniem ziejącym wzrokiem w głąb szeregu. Wyłuskuje winowajcę. Żołnierz o bladej krostowatej twarzy odpowiada szefowi bezczelnym spojrzeniem.

Szef kołysze się w kolanach. Wielki jest, zwalisty, potężny. Twarz szeroka, nabrzmiąta, w niej nos jak czerwony ogórek. Koszula khaki z półksiężycami ciemnymi wychodzącymi spod pach. Spodnie drelichowe odstają na brzuchu, widać metalowe

guziki rozporka. Miedziana klamra pasa sterczy jak figura na dziobie karaweli.

Żołnierze ubrani byle jak. Niektórzy w swetrach, część w krótkich spodenkach pokazujących owłosione ciemne kolana. Kilku w czarnych od smarów szoferskich kombinezonach.

— Jest taki rozkaz, że wszyscy mają mieć tę zastraną ulotkę. To mają. Komisja będzie. Będą się pytać, to każdy jeden ma wyciągnąć papier i pokazać. Pan minister Bewin chce, aby każdy polski żołnierz przeczytał to słodkie zaproszenie. Zrozumiano?

— Tak jest panie szefie.

— Tak jest — znowu dyszkant, ale szef tam nie patrzy.

— Ja wam nie będę pod nos podsuwał. Kto chce, niech czyta. Dla czytaków, dla filozofów ma być dany czas do czytania. Po zbiórce będzie rozejść się i do obiadu macie czas. Ale nie chcę tu żadnych zbiegowisk. Żadnych sowieckich mitingów. Sam jeden w skrytości niech czyta. Zrozumiano?

Ktoś zachichotał.

— I jeszcze jedno: nie śmieć. Zeby mi żaden taki syn po rejonie papierami nie rzucał. Nie śmieć. Bo jak skurwego synka złapię, to go żaden Bewin czy Dupin nie obroni. Tu je wojsko i wojsko będzie. Baaa!!

Od pałacu spod górki podchodził porucznik. Ma na sobie taką samą koszulę khaki z nałożonymi na naramienniki szlufkami z gwiazdkami. Na rękawie powiewa przyczepiona podkładka z tarczami korpusu i oddziału. Spodenki krótkie, odprasowane, pończochy eleganckie i buty zamszowe, pustynki. Beret zdarty z czoła, w rękę trzcinka obszyta w skórę.

Twarz zgaszona, znudzona, kwaśna.

— Nie trzeba szefie — porucznik macha ręką. Odmawia przyjęcia raportu.

— Ulotkę każdy ma?

— Mają panie poruczniku.

— Pokazać.

Pomału sięgają do kieszeni w koszulach, w *battledress*'ach.

— Okej. Okej — broni się porucznik przed zbyt długim ceremoniałem. — Jak was zapytają, to każdy musi pokazać. A co dalej to wasza rzecz.

Ktoś biegnie. Wesoly zasapany, młody podchorąży. Zaspał. Żołnierze w szeregu podśmiewają się i robią miny dowcipne, szepciem podgadując.

— Panie poruczniku melduję — podchorąży staje sprężyste na baczność — że spóźniłem się szukając takowej. Oto ona.

Wyciąga papier w stronę porucznika.

— Wstąp do szeregu, idioto — szepcze porucznik wściekły.

Słońce idzie w górę. Zaczyna się nowy gorący dzień. Dokoła pachnie. Zieleń drzew jest soczysta, trawa świeża. Na rododendronowych chaszczach pękają purpurowe kwiaty.

Słychać szum motoru. Porucznik przerywa swą wędrówkę przed szeregiem, szef poprawia pasa. Żołnierze przestają rozmawiać.

Łazik zatrzymuje się o dobre sto metrów. Wyskakuje z niego pułkownik, za nim wychodzi powoli angielski kapitan z trzema potężnymi guzami na naramiennikach drelichowej bluzy.

— Bacność, na prawo patrz.

— Nie potrzeba. Nie potrzeba — pułkownik też broni się przed formalnościami.

Podchodzą bliżej. Za nimi dwoma angielski sierżant i jeszcze jeden, który ma na ramionach zielone kotlety z literami PRO.

Kapitan mówi coś po angielsku.

— Pan kapitan pyta — tłumaczy pułkownik — czy pan porucznik otrzymał ulotkę?

Porucznik sięga do górnej lewej kieszeni. Wyjmuje złożony w czworo papier. Rozkłada.

— *Have you read it?*

— *O yes, I have read it. Sufficient* — patrząc w twarz Anglika porucznik ostentacyjnie przedziera papier. Raz, drugi. Kawałki spadają na trawę.

— Niepotrzebna demonstracja, panie poruczniku Szańdec — mówi pułkownik.

Kapitan angielski z lekceważącym uśmiechem odwraca się do szeregu.

Porucznik nie patrząc na nikogo odchodzi drogą pozostawiając żołnierzy, pułkownika, piszącego coś w notesie PRO i czerwonego z emocji szefa.

Zza opierających się zielono drzew przylatuje zimny wiatr słony, uderza w twarz. Szańdec zamyka oczy.



Woda skrzy się. Słońce załamuje się w leniwych falach. Krzaki nabrzeżne ledwo poruszają się, języki morza pomalutku wpełzają na piasek i cofają się pozostawiając ciemne ślady, które momentalnie schną.

Owulski leży podparłszy się z tyłu łokciami. W tej niewygodnej pozycji z brodą wspartą na piersiach może widzieć daleko. Poprzez morze, aż po mgłę horyzontu, a za nią inny brzeg, może wcale nie istniejący.

Katarzyna podciągnęła kolana, osłoniła je szczelnie kwiecistą sukienką, opłótła rękami, oparła na nich głowę i też patrzy w tym samym kierunku.

— Nie zobaczymy się już nigdy — stwierdza smutno.

— Nic nie wiadomo.

— Nie zobaczymy się. Po co mamy się widzieć. Nawet jeżeli kiedyś spotkamy się, to będziemy obcy sobie.

— Gdybym tylko mógł inaczej...

— Nie rób sobie żadnych wyrzutów. Przecież wiedzieliśmy zawsze, że tak się skończy. Nim się zaczęło, wiadomo było, że potrwa najwyżej do wiosny.

Nie odpowiada jej. Patrzy wciąż przed siebie.

— Nic się nie martw. Inaczej nie mogło być. Widzisz my jesteśmy zupełnie inni. Patrzymy gdzieś daleko i widzimy zupełnie inne rzeczy. Ty wypatrujesz swojej rodziny w Afryce, żony, córeczki. Ja widzę... Czy to ważne co ja widzę?

Odwrocił się gwałtownie. Zaczął mówić ze ściągniętymi boleśnie brwiami.

— Przecież powiedziałaś sama, że mnie rozumiesz? Tyle lat w niewoli, tyle lat czekałem na wiadomość o rodzinie. Napisała ciotka, że mam córkę, że obie wyjechały do Lwowa i więcej nic. Jestem sam na świecie, nie mam nikogo. Tylko ta jakaś nieznama córka. Czy wolno mi ją rzucić? Sama powiedziałaś, że muszę jechać. Sama powiedziałaś. Kacha — jego czarne oczy złagodniały, zrobiły się prosiące, ciepłe — ja tylko ciebie kocham.

— Ona jest blondynka? — pyta go nie odwracając głowy.

— Przecież ja jej nie widziałem w życiu.

— Mówię o twojej żonie. O Krysi.

Odwrocił się plecami.

Rozwiązała ręce splecione na kolanach. Odrzuciła jasne włosy do tyłu. Wstaje i otrzepuje sukienkę. Uważnie gładzi zmiętą fałdy. Potem zdejmuje treпки i wysypuje z nich piasek.

Owulski leży odwrócony. Nie wstaje.

— Nie myśl, że to dla mnie tragedia — Katarzyna z góry spogląda na leżącego i wydyma wargi — nie ty byłeś pierwszy, nie ty ostatni. Wciąż mam nadzieję, że znajdę tego prawdziwego, tego na całe życie. Przestanę być pomocnicą księdza. Przestanę reperować rozbite samotne serduszka panów oficerów. Nie wstawaj — powstrzymuje go w ruchu, gdy już podciągnął pod siebie nogi gotów stanąć przy niej.

— Właściwie to zawsze było tak samo. Biedny samotny porucznik, biedna bezbronna pestka. Ona go gładzi po czole, on jej kupuje pantofle w Bagdadzie, sukienkę w Rzymie. Zapominają na chwilę o pustyni, o wojnie, o żonie w Afryce...

— Jesteś cyniczna.

— Może. Mam do tego prawo.

Wiatr się zerwał i podniósł jej sukienkę. Obnażył mocne kształtne nogi. Trochę za krótkie.

Przytrzymała materię przy kolanach, drugą ręką odgarnęła włosy z oczu.

Owulski wstaje i on teraz systematycznie otrzepuje się i oporządza.

— Ty zostań — nakazuje Katarzyna — ja pójdę pierwsza. I już od tej chwili jesteśmy sobie obcy. Znów w kasynie będziemy jak dawniej: panie poruczniku, pani Katarzyno. Jeszcze jeden dzień, jeszcze dwa dni i koniec. Po co kto ma się domyślać, że nas to boli.

Bierze ją za rękę. Przytrzymuje w dłoni i głaszcze drugą.

— Więc to rozstanie? Zdawało się że nigdy...

— Różne rzeczy nam się wydawały. Wczoraj nie znaleźliśmy się. Byłeś sobie oficerem w Murnau, czekałeś na koniec wojny, wierzyłeś, że wrócisz wprost do Polski, że zaczniesz znów swoje życie w jakimś garnizonie. A ja...

Nie patrzy na niego. Teraz ogarnia wzrokiem brzeg. Krzaki zielieniejące rudo; topole wzdłuż szosy, park burzący się liliowo i szmaragdowo; dachy pałacu, dalej miasto półkolem zataczające się nad zatoką. Białe, nasłonecznione.

— Wczoraj jeszcze była wojna. Tutaj, niedaleko stąd, pamiętam, przyjeżdżaliśmy z kantyną polową na stanowiska baterii. Tutaj — odwraca się w drugą stronę w kierunku gdzie biegną szeregami topole, gdzie oddala się szum wojskowych ciężarówek — byli Niemcy. Jakie to było proste dla wszystkich. Najtrudniej jest wracać do normalnego życia.

Słychać głosy. Wzdłuż rowu okrzaczanego, po łące nadchodzi grupa rozmawiających z ożywieniem żołnierzy.

Owulski patrzy pytająco na Katarzynę. Czeka aby odeszła.

— Nie — kręci głową dziewczyna — ty idź pierwszy — ja tu jeszcze pobędę.

Rozstają się. Jeszcze się na nią ogląda. Widzi ją jak stoi patrząca za nim nieruchomo. Znów wiatr uderza i jej sukienka oblepia się z jednej strony wzdłuż łuków bioder i piersi a z drugiej powiewa kwieścicie.

Gdy go już nie ma, gdy zniknął za krzakami, Katarzyna ciężko bezwładnie opada na piasek plaży. Podciąga kolana pod brode i zakrywa twarz ciasno splecionymi ramionami.

„W imieniu Rządu Brytyjskiego oświadczam, że bliski wasz powrót do kraju leży w najlepszym interesie Polski, która w obecnej chwili potrzebuje pomocy każdego ze swoich synów wobec mozolnego zadania odbudowy kraju oraz zacierania śladów spowodowanych wojną spustoszeń”. Podpisał Ernest Bevin.

— Przestań już do cholery — rzuca się na Krystka Wacek. Krystek spogląda znad ulotki.

— Sam chciałeś. Pytasz kto podpisał, nie?

— Nie pytam kto podpisał tę pierwszą część. Kto podpisał to drugie, że nikt z żołnierzy nie będzie prześladowany, że każdy dostanie pracę i mieszkanie? Kto tamto podpisał?

— „Do powracających oficerów i żołnierzy nie będą stosowane represje ani kary, z następującymi wyjątkami”:

Michnowski czyta ze swojej ulotki.

Siedzą kołem. Rozłożyli się na łące żółtej od zwiędłej zeszłorocznej trawy i zielonej świeżą kielkującą runią.

Nad nimi wysoki mur drzew parkowych.

— Co tu gadać, co filozofować — denerwuje się Kamień — kto będzie chciał to pojedzie, kto ma zostać zostanie i żadne ulotki nie pomogą ani żaden szef nie przetłumaczy.

— Ja ta nie pojedę — wolno cedzi Baruk — ja ta widział Sowieców tyła, że mi wystarczy na całe życie.

— Tu nie chodzi o Sowieców — unosi się Krystek — to nasze polskie sprawy. Polskę trzeba budować. Wojna się skończyła.

— W 39 też tak mówili — z flegmą odpowiada Baruk. — *Wasza wojna kończona. Polszy nigdy nie budiet.* Ja tam nie pojedę, póki jeden Sowiec na polskiej ziemi, ja nie pojedę.

— Idiota — krzyczy Kragier — on tylko to jedno i umie.

— Czego pan plutonowy krzyczy? — broni kolegi Kaczyszyn.

— Jak człowiek mówi, to trzeba go uszanować.

— To jeszcze nie aktyw partyjny, panie plutonowy — podgaduje Wacek.

Kragier uspokaja się.

— Ja tylko chcę rozsądnej dyskusji. Tamte czasy nie wrócą. Silna i niepodległa Polska jest dziś Rosji potrzebna. Dlatego stworzono tam rząd koalicyjny, do którego weszli wszyscy najlepsi ludzie, którzy walczyli z Niemcami pod okupacją.

— Dlaczego żaden się tutaj nie podpisał?

— Silna Polska! A Lwów, a Wilno?

— Jak się mówi o Lwowie i Wilnie — zabiera głos Krystek — to nie trzeba zapominać o ziemiach na zachodzie odebranych Niemcom.

— A co człowiek ma zrobić jak on jest z Wilna?

— Polska jest większa niż kiedykolwiek i potrzebuje rąk do pracy.

— A skąd pan plutonowy to wszystko wie? —

Kragier powstał. Z góry patrzył na skupionych siedzących w kucki, wpołżających, rozrzuconych po polanie kilkunastu żołnierzy.

— Ja was nie będę namawiał. Mieliśmy tu swobodnie porozmawiać sobie, rozważyć co tu napisano. Ja nie jestem agitator i nic mnie nie obchodzi, ilu was tu na obczyźnie zostanie. Ja mówię to co mnie rozum dyktuje.

— Nie pojedziesz — Krystek zwraca się bezpośrednio do Baruka — no i co? Co będziesz robił?

— Bo ja wiem. Co mam o tym myśleć. Jakosić było, jakosić będzie.

— Właśnie — zaśmiał się nad nim Kragier — on do usranej śmierci będzie robił jak mu oficerowie każą.

— A pan nie robił? — równie złośliwym śmiechem odplącił Kragierowi Wacek.

— Zastanówcie się — apeluje znowu Krystek — każdy z nas ma teraz szansę postanowienia o własnym losie. Jak była wojna, to zgoda, trzeba było słuchać rozkazów, trzeba było robić to czy tamto. To wojna. Dzisiaj każdy ma postanowić co z nim dalej. Czy zostać nie wiadomo na jak długo, nie wiadomo po co...

— Gdzie zostać — woła Kragier — we Włoszech? Kto tu nas chce? Sami nie mają co zjeść. Pojechać do Anglii? Kto nas zaprosi tam i po co? Rozjechać się po świecie, znowu na tułaczkę. Nawet jeżeli tam jest źle, nawet jeżeli nie wszystko tak jak my chcieli, to lepiej jest u siebie, w Polsce. To nasz kraj.

— Wojna jeszcze nie skończona — wykrzyknął Piotrowski.

— Jaki nie skończona?

— Ano jeszcze nie podpisali pokoju. A nie podpiszą aż się porządek z tymi Sowietami zrobi.

— Piotrowski, mówicie jak wam oficerowie każą.

— Hałuj oficerski.

— Mankirant.

— A ty gdzieś był jak my siedzieli pod Kasynem?

— W spodnie walił całą wojnę, a teraz za filozofa.

— Oficerski pacholek.

Przekrzykiwali się ze złością wynajdując coraz to inne dotkliwie przymiotniki.

— Cicho, kurwa wasza mać — wrzasnął Majtan, który miał tak potężny głos, że słycać go było na stanowisku w czasie ognia — gówniarze wy czy żołnierze?

— Uciszcie się koledzy — wtórował mu Kragier — każdy ma prawo się wypowiedzieć. Wszyscy jesteśmy kolegami.

Teraz Majtan powstał na cały swój wzrost. Taki był silny, że dwustofuntowy pocisk sam zarzucał sobie na ramię i donosił do działa.

— My dość już gadali. Pan plutonowy powiedzieli swoje, my posłuchali i koniec. Każden ma swoje prawo jechać, czy nie.

— Racja — Krystek też się podnosił — wszyscy mają prawo do głosu i do decyzji.

— Ja nie pojadę — kiwa głową Baruk.

Kragier macha ręką jak nad straconym człowiekiem. Już ma odejść z tego towarzystwa, kiedy zatrzymuje go głos Bilickiego.

— Jeszcze chwilka, panowie — Bielicki wstaje, aby go dostrzeżono; nie jest tak duży jak Majtan i nie jest tak silny, ale cieszy się poważaniem, bo choć inteligent, nie wywyższa się i z szarżą nie trzyma sztamy. — Ja chcę zwrócić uwagę na jedno; czytamy tutaj: „*Dekret amnestyjny z sierpnia 1945 r. będzie stosowany do wszystkich członków Polskich Sił Zbrojnych powracających z zagranicy*”. O jakiej to amnestii mówią do nas? Czy nam potrzebna amnestia? Myśmy bili się jak prawdziwi żołnierze, nie żałowaliśmy ani krwi, ani sił własnych. Koledzy nasi polegli w tej wojnie. Dlaczego nam ofiaruje się amnestię? Co mają nam przebaczać?

— My już jedną amnestię widzieli — woła Wacek.

— Jak chcecie — broni się Kragier — mnie nie obchodzi polityka. Ja wiem, że kraj nas potrzebuje. Ja jadę do Polski.

— Jedź pan Stalinowi dupę lizać.

— Wał pan, panie plutonowy. Bez pana damy sobie radę.

— A wy komu będziecie się lizać?

— Hałuje.

— Stalinowskie pachołki.

— Cicho, kurwa wasza mać — krzyczy na całe płuca Majtan.

Słychać gong na obiad. Podnoszą się i idą przez chwilę nic nie mówiąc. Milcząc. Idą pomieszani ze sobą choć rozdzieleni.



Pan generał siedzi u szczytu stołu. Na samej górze podkowy. Nad nim czarne ściany zimnego zamku. Spłowiałe draperie, podpryskiwane pozłocenia. Niemyte szyby ledwie sączą światło.

Stoły zwykłe, żołnierskie, na żelaznych nogach. Obrusy polane winem i herbatą.

Dwóch żołnierzy w białych kitlach roznosi zupę.

— Jakie wiadomości z pola bitwy? — mówi generał.

Szef sztabu nie rozumie. Pytająco spogląda na dowódcę.

— Jak wojsko przyjęło tę ulotkę — objaśnia generał.

— Normalnie, panie generale. Bez wrażenia.

— Normalnie? — pułkownik podnosi głos oburzony na majora. — Jak pan może mówić o normalności w momencie, kiedy dzieje się coś tak anormalnego? Jak wojsko wojskiem nigdy jeszcze nie było takiej sytuacji. Wprowadzać do szeregów politykę.

Z drugiej strony generała siedzi gość, kanonik. Objężdża oddziały, wizytuje kapelanów i tu w generalskim kasynie spożywa obiad.

— Pan major ma rację — ksiądz broni szefa sztabu — sytuacja jest zupełnie niegroźna. Nasz żołnierz przesiąknięty z jednej strony wiernością sztandarom i duchem chrześcijańskim z drugiej głęboką nienawiścią do sowieckich okupantów — zareaguje właściwie na propagandę.

— Co mnie denerwuje — prawie krzyczy kapitan Cołek — to te angielskie komisje. Jak można dopuścić do czegoś podobnego, żeby obcy kontrolowali nasze postępowanie w armii.

— Jesteśmy w dużej mierze na łasce Anglików i Amerykanów — tłumaczy podpułkownik Andrzewski.

— Po tośmy się bili na wszystkich frontach — huczy pułkownik po tośmy się krwawili, aby nasi kochani alianci traktowali nas jak oddziały drugiej kategorii. Kontrola!

Generał delikatnie stuka łyżką w brzeg talerza.

Wydaje się, że chce zabrać głos, ale on wraca do zupy. Siorpie tak że słyhać. Porucznicy i podporucznicy dalej siedzący uśmiechają się złośliwie.

Jeden z nich czarniawy ze złymi oczyma patrzy wprost na dowódcę.

— Panie generale — odzywa się z odległości — co mamy mówić wojsku? Są tacy, którzy chodzą jak pijani. Pytają: panie poruczniku co robić? Dla nich sam fakt wydania im ulotki to jakby popchnięcie do wyjazdu. Wyrzucacie nas? pytają. Co mamy mówić?

Generał patrzy na porucznika. Cały stół zwrócił się w tę stronę. Każdy składa usta do odpowiedzi, ale bokiem zerkają na dowódcę, czekając jego reakcji.

Generał mierzy porucznika wzrokiem. Niszczy go, przygniata, osadza na miejscu i przywołuje do porządku. Ale porucznik podnosi głowę coraz wyżej, wyzywa generała, nie daje się pokonać samymi piorunami generalskich źrenic.

— Poruczniku — wreszcie mówi generał — panu zupa nie smakuje?

— Nie, panie generale, nie smakuje.

Porucznik wstaje ze swego miejsca i sztywno jak kot obchodzący psa kroczy ku wyjściu. Generał patrzy teraz na szefa sztabu. Sygnalizuje mu coś wzrokiem.

— Nasz żołnierz jest wierny do szpiku kości — mówi kanonik — żołnierz-katolik. My, księża, wiemy najlepiej.

Żołnierze w białych kitlach wnoszą klops z buraczkami. Na końcach stołu jakieś szepty.

— Zapominamy o naszym gościu — powiada generał chyląc się ku księdzu. — Chłopcze — wzywa obsługującego — przynieś no butelkę wina czerwonego. I dwa kieliszki — patrzy na swoją drugą stronę ku kwaśno uśmiechającemu się pułkownikowi i poprawia zamówienie: — trzy kieliszki.

Szepty przy porucznikowskim stole wzmagają się. Po chwili jeden z nich wstaje i wychodzi. Kiedy wraca, ma w obu rękach po butelce.

— Wojsko jest wojskiem — peroruje generał. — Wszędzie wojsko jest takie same. Jak nie ma co robić — to gnije. Wojsko trzeba zająć. Ja wprowadziłem naukę historii. Słyszał ksiądz kanonik? Niech poznają, przypomną sobie nasze dzieje od czasów walk Chrobrego po Konstytucję Trzeciego Maja. Pożyteczne zajęcie. Żołnierz musi być gotów na przyjęcie wszelkich sytuacji i wojskowo i ideowo. Najnowsze czasy wykazały, że musztra formalna nie wystarcza, potrzeba wyszkolenia ideowego.

— Nasz żołnierz — przytakuje kapelan — żołnierz pana generała jest najbardziej ideowym żołnierzem w Europie.



— Powiedziałem mu: mam cię w dupie. Powiedziałem mu: ty pieprzony, zamazany zupaku. Jak mi nie dasz przepustki, to ci flaki z tego zupackiego kałduna wypruję. Tym nożem.

Pijany żołnierz wyjmuje z kieszeni sprężynowy majcher i pokazuje koledze.

Opiera się przy tym o ścianę domu. Nad głową ma czerwona farbą nasmarowany sierp i młot i wpoprzek tego napis czarny: „Hejże wiara na komara”.

Uliczka jest pusta, boczna, dochodzi do głównej ulicy miasteczka, którą przebiega szosa.

Słońce stoi w samym zenicie i ciepło wisi między kamiennymi ścianami. Miasto milczy, przeżywając siestę, szosa milczy.

Z okien wyglądają tu i ówdzie głowy ciekawych Włochów. Nie bardzo ciekawych, więcej znudzonych.

— Chodź, Mieciu — chodź — prosi kolega równie miękki w nogach.

— Idziemy do Felicji?

— Idziemy.

— Należy nam się?

— Należy.

— No widzisz — Miecio chowa nóż do kieszeni, odrywa się od ściany — życie jest dobre. Wino jest dobre. Sinioryny są *moulto bouno*. Fajno jest, Franek, fajno jest.

Idą w kierunku szosy. Trochę zataczają się uśmiechnięci i szczęśliwi. Włosi z okien spoglądają pobłaźliwie.

— *Eviva Italia* — woła Miecio machając ręką do ciężkiej, piersiatej czarnuli. — Widzisz Franek, to życie.

— A my myśleli, bracie, że już koniec — potwierdza Franek.

— Kiedy? Wtedy na Czerniakowie? Nie dali nam Szkopy rady. Spalili miasto skurwysyny, ale nam nie dali rady. Głodem morzyli, ale nie dali rady. My im na złość po całym świecie jeździm. Dziś tu Franuś, jutro tam. Dziś Rzym, jutro Ankona. No nie?

— Racja Mieciu, racja. W dupie mamy Szkopów.

— I szefa.

— I szefa.

— Idziemy do Felicji.

— Idziemy.

— *Moulto bouno* dupa.

Idą teraz główną ulicą. Mijają ludzi, zataczają się na jezdnię pod koła samochodu.

Naprzeciw nich dwóch oficerów. Jeden zatrzymuje się, ale drugi, młodszy, ciągnie go za łokieć.

Miecio i Franek stoją pod ścianą i patrzą wyzywająco.

— Jużście zdążyli się zalakierować? — pyta starszy z oficerów.

— Tak jest panie kapitanie — Franek prostuje się z trudem.

— Od samego rana?

— Tak jest panie kapitanie.

Ten młodszy oficer znów trąca kolegę w ramię. Odchodzą.

— Niech żyje Warszawa! — woła za nimi Miecio.

Kapitan odwraca się i śmieje.

Na skrzyżowaniu dróg zatrzymanie. Dwa samochody nadjechały od strony kwatery głównej i jedna ciężarówka skręca w wąską uliczkę pod górę.

W pierwszym łożyku siedzi wysoki sierżant. Oparł się o kierownicę i rozmawia z plutonowym. Obaj są eleganccy, wyświeżeni. Ze sztabu.

Na środku skrzyżowania stoi żandarm. Wysoki, młody. Ma na sobie wyprasowany drelch i białe pasy. Spinacze również wybielone nieskazitelnie. Sztynna, okrągła czapka z zadartym przodem, z orłem z podniesionymi skrzydłami.

Żandarm rozłożył ręce i jedną dłonią kiwa do kierowcy wielkiego džemsa wskazując mu drogę.

— Patrz Franek! — krzyczy Miecio stając na rogu.

— Co Mieciu?

— Nie widzisz? *Verfluchte donnerwetter*. Niemiecka świnią.

Tam.

Franek patrzy na żandarma.

— Mieciu, to on — krzyczy równie podniecony.

— Ten co nas prowadził z Mokotowa.

— Ten sam.

— Strzelił do Komotki. Skurwysyn. Pamiętasz?

— Czekaj. My go dostali.

Miecio dobywa swego noża i wychodzi na jezdnię. Chwieje się i zatacza, ale przybliży się do niewidzącego go żandarma. Nóż trzyma przy piersiach wystawiając długie ostrze gotowe do uderzenia.

— Patrz — woła plutonowy z łaziku do sierżanta — co on robi.

— Uwaga tam! — wrzeszczy kierowca džemsa.

Żandarm odwraca się i widzi szykującego się do skoku żołnierza. Z podniesionymi rękoma współskręcony zamiera bez ruchu. Twarz mu blednie z przerażenia.

— Stofler! — krzyczy Miecio ze złością. — Mamy cię, ty świnió.

Nóż wysuwa się jak żmija.

W tej chwili sierżant wyskakuje z łazika, wyszarpuje z kieszeni rewolwer i uważnie celując strzela.

Miecio pada łapiąc się za udo. Nóż uderza o bruk. Franek leci do przyjaciela. Biegną też plutonowy i sierżant. Wyskakuje z szoferki kierowca džemsa, podskakują kapitan i dwóch szeregowców. z drugiego auta.

Żandarm stoi blady bez ruchu. Sięga po czapkę i unosząc ją ociera pot z czoła.

Miecio leży na ziemi i patrzy przytomnie na sierżanta, który zbliża się z pistoletem w ręku.

— Nie chciałem wam zrobić krzywdy — sierżant się schyla i przygląda się nogawce spodni, na której rośnie czerwona plama.

— Nie chciałem wam nic złego zrobić.

— Że też pan bronił tego esmana — wykrzywia się pogardliwie Miecio — niemieckiej świni.

Sierżant przenosi wzrok na bladego żandarma.
— Broniełem polskiego munduru.



Major nigdy nie będzie wielkim dowódcą. Nie pomaga krzyż Virtuti i podwójny Walecznych. Nie pomaga furazerka zamiast beretu noszona na bakier. To co majorowi przeszkadza, to jego wzrost.

Każdemu innemu by wystarczył, ale majorowi nie.

Szef za to gruby i potężny góruje nad przełożonym. Nawet Szańdec jest wyższy od majora nie mówiąc o większości mocnych twardech kanonierów dywizjonu.

— Niech szef go wprowadzi i proszę nas zostawić samych.

Szef spode łba patrzy na siedzącego na biurku dowódcę. Widać, że chciałby wypowiedzieć się w tej sprawie. Jeżeli milczy to nie dlatego by się bał majora, ale dlatego, że nie warto.

Szańdec obserwuje ciekawie. Patrzy na drzwi, którymi wschodzi plutonowy Kragier.

Szef zamyka za sobą drzwi.

— Panie majorze, plutonowy Kragier melduje się do raportu.

Plutonowy prostuje się i pręży, na dowódcę patrzy wyraźnie z góry. Nie tylko z wysokości swego wzrostu, ale z widoczną ironią także.

Szańdec myśli to samo: Jak ty sobie tutaj poradzisz?

— Proszę spocząć — mówi spokojnie major — to nie jest raport. Chcę z plutonowym porozmawiać prywatnie.

Major opuszcza jedną nogę dotykając czubkiem buta podłogi. Bokiem, jednym tylko pośladkiem siedzi na skraju sosnowego biurka.

Kragier wysunął stopę na spocznij i założył ręce za plecy.

— Plutonowy zdecydował się na wyjazd do kraju?

Powiedziane jest to tak spokojnie i zwyczajnie, jakby chodziło o wycieczkę do Ankony.

Kragier łyka ślinę i opuszcza oczy.

— No? Nie może plutonowy odpowiedzieć na to pytanie?

— Panie majorze — wygłasza — uważam, że naszym obowiązkiem jest wracać i pomagać w odbudowie Polski. Minister Bevin...

— Zostawmy Bevina — przerywa major — to są przecież nasze sprawy, polskie. Plutonowy wraca?

— Tak panie majorze.

— Aha — major namyśla się chwilę, patrzy na Kragiera z pewnym rozrzewnieniem, jak na niegrzecznego chłopca.

Ten chłopiec ma metr osiemdziesiąt wzrostu i beczelne, złośliwe spojrzenie.

— Aha — powtarza major. — Powiem plutonowemu radosną wiadomość, że w tych dniach powstaje koło Rimini obóz dla tak zwanych repatriantów i plutonowy tam odjedzie. Będzie wam tam dobrze, w swoim własnym gronie.

Wietrząc jakąś pułapkę Kragier nie rozchmurza twarzy.

— A teraz następna sprawa — majora głos twardnieje — jak dawno plutonowy jest w dywizjonie?

— Cztery miesiące panie majorze.

— To długo...

Major opuszcza biurko. Robi kilka kroków w bok, z powrotem i staje naprzeciw Kragiera.

— Ja ten dywizjon objąłem w Rosji. 32 żołnierzy tego dywizjonu pochowałem w Uzbekistanie. Ja tych ludzi prowadziłem cały czas. Czy plutonowy wie, że oni mi zaufali swoje życie? Opowiem panu zabawną historię. Był u nas taki kanonier Wojdecki, który bał się zastrzyku. „Choć tu bawole” powiedziałem mu. „A jeżeli ja cię ukłuję igłą, będziesz się bał?” Ukłułem go igłą, zwykłą igłą i nie bał się. Bo kłuł go jego dowódca. Poszedł i zrobił sobie zastrzyk. Rozumie plutonowy?

Kragier nieznacznie, ostrożnie wzruszył ramionami. Major udał że nie widzi.

— Ja tych żołnierzy prowadziłem od Rosji po dzień dzisiejszy i ja za nich odpowiadam. Rozumie plutonowy?

— Nie rozumiem, panie majorze. Oni są dorośli ludzie.

Twarz majora skurczyła się, na szczękach wystąpiły guzy muskułów.

Kragier z trzaskiem stanął na baczność. Wciągnął brodę i wyprostowany patrzył na majora wyzywająco.

— Jak plutonowy nie rozumie, to nie ma o czym gadać — głos majora stracił całą łagodność i wyrozumiałość, stał się ostry, tnący, krzykliwy. — Ja plutonowemu mówię tylko jedno: jeszcze raz dojdzie moich uszu, że Kragier dopuszcza się tutaj agitacji, to rozprawię się z wami tak, że was łyżkami zgarnię z ziemi będą, w taczkach do tego Bieruta zawiozę.

— Pan major mi grozi?

— Nie. Ja tylko powiadam.

— Ja mam za sobą prawo.

— A ja mam lata wspólnego marszu. Za nami są tysiące mil przewędrowanych żołnierskim krokiem. Za nami są polegli. Ja ten dywizjon od Rosji prowadzę do wolnej Polski i doprowadzę. I żaden zasrany plutonowy Kragier mi nie będzie stał na drodze.

Kragier milczy. Zdecydował widać, że struna lada moment może się zerwać, że grozi mu gniew dowódcy, nie wiadomo jak daleko sięgający. Woli nie ryzykować.

Szańdec siedzi przy stole bocznym i obserwuje wyprężonego plutonowego i stojącego przed nim w rozkroku majora.

— Jak świat światem takiego wojska jak nasze nie było — major znowu wraca do tonu perswazji. — Ochotniczo, z własnej woli brnęliśmy przez tysiące przeszkód aby tylko walczyć, aby walczyć o drogę do ojczyzny. Zarł nas tyfus, malaria, biegunka, nie ma w dywizjonie człowieka, który by wyszedł cało z tych tarapatów. Widział plutonowy nogi szefa? Widział plutonowy sine doły po cyndze? Plutonowy myśli, że dla nas był to lekki, przyjemny spacer? To są wszystko bohaterowie. A ja jestem ich dowódcą. I gdy obejmowałem dowództwo na pustyni uzbeckiej, powiedziałem sobie, że albo polegnę, albo ich doprowadzę do wolnej i niepodległej. I dojdziemy tam — major podnosi głos i krzyczy dramatycznie — dojdziemy, czy się Kragierowi i jego komunistom będzie to podobało czy nie.

— Wojna się skończyła, panie majorze.

Przez chwilę zdaje się, że major uderzy plutonowego. Ze machnie go na odlew, albo skoczy na niego w porywie nieprzytomnego gniewu. Ale twarz dowódcy naraz spokojnieje, krzepnie w maskę zimnego rozsądku.

— To się Kragierowi tylko zdaje.

Następuje milczenie. Tylko major sapie rozdymając lekko nozdrza i plutonowy oddycha rytmicznie nosem. Do tego Szańdec zaczyna wtórować stukając ołówkiem po stole.

— Przestań — rzuca w jego kierunku major. Szańdec podnosi ołówek i przypatruje mu się pilnie. „Czemu draniu stukasz?” pyta go wzrokiem. „Ty cholerny, niespokojny ołówku”.

— Co tu dużo gadać — zaczyna major — plutonowy wie: jeszcze jeden wypadek demagogii, agitowania i lepiej żebyś się bracie nie rodził. Nikt, żaden Bevin, czy sam Churchill plutonowego nie obroni. Więc lepiej zaczekać na ten obóz w Rimini. Plutonowy i jemu podobni pojedą tam spokojnie i będą się w pokorze przygotowywać do radosnego całowania Bierutowej dupy. A my panie Kragier pójdziemy dalej. Do końca.

Jeszcze przez moment patrzą na siebie. Obaj drwiący, obaj starający się oczyma przekazać drugiemu lekceważenie i litość wobec braku rozsądku. Major pierwszy się odwraca. Idzie do biurka i siada na nim tyłem do pokoju. Ręką sygnalizuje Szańdecowi. Porucznik wstaje i gestem wyprasza Kragiera.

Kragier waha się na moment. Stuka obcasami służbiście.

— Odmeldowuję się panie majorze.

Major skręca się całym ciałem i pokazuje wściekłą, psią twarz.
— Won, ty sowiecki pacholku.

I znów wydaje się, że skoczą do siebie. Otwierają się drzwi i w nich stoi groźny olbrzymi szef. Jego sam brzuch zasłania szerokie wejście.

— Kragier! — woła i odsuwa się robiąc przejście dla plutonowego.

Skończyło się. Szańdec oddycha jak po biegu. Major podnosi z biurka ołówek i teraz on wystukuje marsza po blacie.

— Antek — pyta Szańdec — powiedz Antek, czy ty w to wierzysz?

— W co?

— Powiedziałeś, że doprowadzisz dywizjon do wolnej Polski. Czy w to dzisiaj wierzysz?

Major zeskakuje z biurka. Sprężycie, zgrabnie. Wydaje się wesoły i bez troski.

— Gdybym nie wierzył — powiada — powiesiłbym się.



To jest Stacja Zborna. Wydaje się, że ściągnęli tu ludzi z całej Europy. Na podwórzu stoi samochód, z którego wyładują toboły. Przybył z Niemiec. Kierowca opowiada o podróży przez Bremen.

Kręcą się cywile. Kobiety w płaszczach ciemnych i zniszczonych, z chustkami na głowie zawiązanymi dokoła szyi.

Piszczą na korytarzach dzieci.

Oficerowie w mundurach z Września, w miękkich polówkach. Wychudli jeszcze po obozie, mężczyźni w niedopasowanych ubraniach. Dziewczyny z numerkami wytatuowanymi na ramieniu. Starzy, ponuro zamyśleni panowie.

Na korytarzach, na podwórzu, na drodze nadmorskiej, w kancynie szerokiej i niskiej zastawionej gołymi stolikami tłok.

— Józiu, musisz coś zrobić, jego nie chcą przyjąć do Korpusu.

— Cóż ja mogę? Żebym miał kogoś w sztabie...

Szczupły, łysawy kapitan spostrzega się, że wypadł z roli. Dokoła stołu siedzą koledzy z obozów, dla nich on stary „drugokorpusowiec” jest półbogiem. Tak przynajmniej go traktują, oni którzy nie mają niczego. Inna sprawa gdy porosną w pierze, gdy będą mieli dopasowane mundury, liry włoskie, „kasztań”, wino i powodzenie u signorin.

Romek, którego już nie chcą przyjąć do Korpusu, patrzy na kapitana jak wierny pies.

— Pojadę do Ankony. Pomówię z pułkownikiem Jedlickim,

on może poradzi. Przecież to nasz wykładowca ze szkoły podchorążych.

Wszyscy są młodzi, ale kapitan mocniejszy od nich, bardziej ogorzały i bardziej pewny siebie. Wolność wieje od niego, od tamtych sześćioletnia niewola.

— Nie martw się Romek. Masz co jeść i gdzie spać i nie damy ci zginąć.

— Ani wrócić do Niemiec — dodaje grubawy porucznik.

— Józiu czy wiesz, że Jerzy wraca?

— Do Niemiec?

— Nie. Postanowił wyjechać do kraju.

— Zwariował?

— Porozmawiaj z nim sam.

— Mówi, że nie może tu wytrzymać. Że tu dyletanci sami rządzą.

Jeden przez drugiego opowiadają historię kolegi, fachowca od broni motorowej, który uważa, że umie więcej od tutejszych speców. On po latach niewoli?

— Idiota — stwierdza kapitan — jak może pchać się ze swoimi kursami sprzed 39. Przecież ci ludzie wojnę przeżyli, na żywo doświadczenie zdobywali.

— Jeszcze jedno — ostrożnie pochylając się na stołem wyznaje śniady podporucznik — on ma dosyć Niemców.

— Każdy ma dosyć. Ale wojna się skończyła przynajmniej z Niemcami.

— Chodzi o tych Niemców, których na grandę przyjmują do wojska. Jerzy powiada, że bardziej ceni się zdrowego esmana niż żołnierza, który bił się we Wrześniu.

— No, z tymi esmanami to przesada.

— Przesada? Idź tam do nich i przypatrz się, jakie to wojsko stoi na prawym skrzydle. W białych pasach, w białych spinaczach, ze wstążeczkami przy beretach.

— Po co się pchał do fasoniarzy. Zresztą — kapitan odgania od siebie przykrości jak muchy — niech wraca. Niech tam jedzie, będzie jeszcze żałował, a tu znajdzie się miejsce dla innych wartościowszych.

— Ty go nie znałeś przed samą wojną. To był prawdziwy spec motorowy.

— Niech wraca — ucina kapitan takim tonem, jakby skazywał tamtego na gilotynę.

— Ja też wracam.

— Ty?

Byli kolegami w szkole. Żyli jak bracia ze sobą. Zdawało im się kiedyś, że zawsze tak będzie.

Kapitan Czerko przeszedł Rosję, Irak, Palestynę, Egipt, kampanię włoską.

Uspielski ma za sobą Powstanie Warszawskie. Są w tym samym stopniu kapitańskim, gdzie indziej w innych okolicznościach zarobionym.

Spotkali się ponownie nad Adriatykiem. Nad małym morzem pogodnym i ciepłym i stwierdzili, że dzieli ich ocean.

Czerko patrzy na Uspielskiego z lekką ironią. Uspielski drwi z Czerki.

— Więc wracasz, czyli jedziesz do Bieruta?

— A cóż mam tu robić?

Uspielski jest duży i szeroki, ramiona ma jak atleta, twarz ciężką, ale oczy w niej żywe, błyszczące zawsze niespokojne. Pochyla się nad stołem tak, że Czerko chcąc zachować perspektywę musi odchyłać się do tyłu.

— Wracam do Niemiec.

— A więc do Niemiec?

— Tam są jeszcze możliwości.

— O jakich możliwościach myślisz? Niemców mordować, wilkolaków ganiać po Bawarii, esmanów tropić...

— Eh — Uspielski macha wielką dłonią — zwariowałeś? Tam jeszcze można się dorobić. Tutaj wszystko już obsadzone.

— Więc ty teraz o dorobieniu się myślisz?

— A o czym? Nie powiesz mi, że ty nic nie robisz tylko marzysz o dalekiej ojczyźnie. Ile masz „kasztanów”?

Czerko rozkłada ręce na stole, pokazuje puste dłonie.

— Powiedz, że nie masz?

— A cóż ty wyobrażasz sobie, że cośmy tu robili? Wojna była. Biliśmy się.

— Terefere. A „kasztanki” złote, a handel postal orderami, a sprzedawanie papierosów nafijskich Włochom, a oliwa... Czy myślisz że jesteśmy ślepi? Tylko dla nas już nie ma. Za późno. Za duża konkurencja.

— To były wyjątki.

— Tak? — Uspielski śmieje się na całe gardło, patrzy przy tym na czerwonego Czerkę. — Pozwól sobie powiedzieć, jeżeli sam o tym nie wiesz, że w Bari, byłem tam także, jest pewien Żyd, który handluje walutą i złotem. On mi sam oświadczył, że nie ma takiego wyższego oficera, który by nie był jego klientem. A o „złotej kacze” słyszałeś?

Kapitan wstaje. Ignoruje śmiech Uspielskiego, omija go wzrokiem.

— Czas na kolację — mówi i stara się wycofać z kręgu kolegów.

Nie zrobił jeszcze trzech kroków, gdy zatrzymuje go kobieta. Młoda i przystojna, tylko zaniedbana, mizerna. Ma na sobie kostium, który pamięta Warszawę przedwojenną. Granatowy kostium, tak zwany angielski. Spłówiały na kolor zielony.

— Niech mi pan pomoże. Pan jest tutejszy z Korpusu...

Ma jasne oczy pełne niepokoju, zmęczone.

— Ja szukam męża. Przyjechałam rano z Niemiec. On na pewno jest w Korpusie. Pisał z Rosji do domu, więc musiał dołączyć do Armii. On tutaj gdzieś jest.

— Czy pani pytała się w kancelarii, w biurze opieki?

— On był oficerem, porucznikiem artylerii z Warszawy. Pan go może znać.

Czerko przygląda się kobiecie uważnie.

— Jak on się nazywa, proszę pani?

— Naszylski, Bogdan Naszylski.

Usta kapitana otwierają się, ale nie wypowiadają żadnego słowa. Czerko ogląda się. Z boku stoją koledzy i przyglądają się mu uważnie.

— O co chodzi? — pyta zalekniona kobieta — Pan coś chciał powiedzieć i nie mówi. Co... co się stało?

Czerko opanowuje się. Uśmiecha się łagodnie. Pochyliła się nad nią uprzejmie.

— Proszę iść do dowództwa, drugi dom za kościołem, wielka brama, pani jej nie minie. Proszę iść do dowództwa, to powiedzą pani.

— Pan nie zna mego męża?

— Wydaje mi się, że słyszałem to nazwisko.

— Przecież pan sam jest artylerzystą?

Znów usta Czerki układają się boleśnie. Chce powiedzieć. Milczy.

Kobiecie nagle napływają łzy do oczu.

Kapitan odwraca się w bok i odchodzi. Ucieka po prostu. Przepycha się przez wchodzącą do kantyny grupę żołnierzy, wyskakuje na chodnik przed domem i ucieka.

Wielkimi krokami sady za nim Uspielski. Dogania.

— Czego chcesz? — Czerko zatrzymuje się.

— Dlaczego jej nie powiedziałeś?

— Co miałem powiedzieć?

— Znałeś tego Naszylskiego?

Kapitan kiwa głową.

— Poległ?

— Tak.

— I nie powiedziałeś jej. Stchórzyłeś. Wstydziliście się?

Kapitan poczerwieniał i krzywi się ze złością.

— Jego nie potrzebuję się wstydzić. On poległ w walce, nie zbierając kasztany, jak tobie się zdaje. Wstydzić się mogą tylko za takich jak ty.

— Ha, ha — Uspielski wybucha śmiechem i wtedy kapitan pluje mu pod nogi. Z całym rozmysłem.

Zawraca i idzie z powrotem do kantyny.



— Panie Fredziu, jest co dobrego?

— Świeża wątróbeczka, panie rotmistrzu. Dzisiaj rano jeszcze wieprzkowi się żyło.

— No, to dawaj pan i tej pańskiej cytrynowki.

Z boku przy barze oparci niedbale stoją dwaj oficerowie. Jeden ma na rękawie Syrenę, na naramienniku gwiazdkę i dwa paski, drugi ma takie same paski i taką samą gwiazdkę, ale na czarnym naramienniku.

— Dowódca, rozumie pan, poległ. Zastępca stanął na czele i został ciężko ranny. Czterech oficerów i dziewięciu ułanów straciliśmy w tym natarciu. A Monte Cassino... Czy pan wie, ilu padło pod Monte Cassino?

— No — odpowiada ten z czarnym naramiennikiem — u nas było gorąco, bardzo gorąco. Pan wie ilu poległo nad kanałem Mark? W moim szwadronie dowódcy plutonów zmieniali się prawie co dzień. W jednym szwadronie, rozumie pan, panie majorze, dwudziestu zabitych. Pięciu oficerów.

— Niech pan liczy tylko samych poległych pod Cassino, a później? A natarcie na Piedimonte?

— Kiedy nas okrążyli pod Falaise...

Rotmistrz z boku przy barze kraje wątróbkę, nakłada na widelec i spokojnie niesie do ust.

— Dobra, panie Fredziu.

— Co znaczy dobra, panie rotmistrzu?

— Wątróbka panie Fredziu. Siup — podnosi kieliszek i zgrabnie wrzuca płyn do gardła.

— Artyleria niemiecka biła tak gęsto, że ziemia skakała jak błoto w czasie deszczu...

W kącie przy stoliku siedzi pułkownik. Po obu jego bokach kolorowe dziewczyny. Brunetka i blondynka w jedwabnych kwiecistych sukienkach.

Jedna kraje mięso na talerzu odstawiając frywolnie mały pa-luszek. Druga pochylona chichocze — pułkownik szepcze jej coś do ucha. Lewą ręką manipuluje pod stołem.

— Co, już? — pyta rotmistrz patrząc w tamtą stronę.

— Normalnie, panie rotmistrzu — odpowiada bufetowy — *Même chose chaque soir.*

— Ścięło mu wierzch czaszki jak brzytwą, ale się nie przewrócił, siedział na workach i charczał.

— Był pan majorze w palącym się czołgu? Ten swąd przy piekanego mięsa...

— Panie pułkowniku — krzyczy blondynka — tak nie można.

— A jak można? A jak nie można to z ostrożna.

Brunetka podnosi kieliszek.

— Trąćmy się panie pułkowniku.

— Za nasze.

— Do dna panie pułkowniku.

Pułkownik powstaje i podnosi kieliszek wysoko.

— Będziemy się bić! — woła. — Będziemy się bić!

Majorowie przy bufecie odwracają się w tę stronę. Patrzą z niechęcią. Pułkownik wlewa w siebie wódkę. Ręka mu się trzęsie i płyn spływa po brodzie.

— Będziemy się bić — woła i marszczy się jak do płaczu.



— Podbijam.

Ten w podkoszulku tylko podsuwa na środek stołu dwa błyszczące krążki. Robi to z miną obojętną. Piękna, męska jego twarz nie wyraża żadnych uczuć.

Przeciwnik, który trzyma karty przy piersi i zastanawia się czy dać czy nie dać, zdradza niepewność i lęk.

Dwaj inni siedzą odchyleni do tyłu. Odstąpili i nie chcą by ich proszono o sympatię dla którejś ze stron.

Dwóch kibiców patrzy podnieconych.

— Dołoży czy nie? — szepcze piegowaty.

— Boi się — odpowiada kędzierzawy — ale da.

— I cztery — zdenerwowany pokerzysta popycha sześć złotych monet. Na środku stołu jarzy się złoto.

— I szesnaście — głos przystojnego gracza brzmi znudzenie. On sam odwraca się od stołu i patrzy za okno.

Okno otwarte. Morze podchodzi i ucieka z szumem miarowym. Z daleka wracają barki rybackie. Mają czerwone trójkątne żagle.

Gdzieś w sąsiedztwie ktoś śpiewa. Słychać głosy kłócących się, czy zabawiających się Włochów.

Zdenerwowany, lękliwy gracz wygrał. Miał pełną rękę króli

i łatwo pobił dwie pary przeciwnika. Zgarnął kupę mieniących się monet.

— Cholera — nie wytrzymał kędzierzawy kibic — tyle „kasztanów”.

— Ale spokojny. Widziałeś jaki spokojny?

— Prawdziwy gracz.

— Taki sam był pod San Angelo, pod Pessaro. Wszędzie.



Szeroką aleją idzie żołnierz. Dobrze, że aleja jest szeroka, miejsca wiele. Żołnierz zatacza się od drzewa do drzewa. Jest pijany. Płacze.

Dochodzi do pół drogi. Już widać ciężkie haubice stojące szeregiem przed rozległym kompleksem Casy Maniola, już słychać gwar głosów i czuć zapach kolacji.

Żołnierz nie może dalej iść. Zataczając się uderza o mocny, szeroki pień grabu i opada przy nim. Siedzi na ziemi i płacze.

Idzie drugi żołnierz. Trzeźwy. Idzie niedbałym wolnym krokiem, podchodzi do pijanego i podnosi go, zaczepia pod łokieć i holuje ku armatom i kolacji.

Pijany mamrocze coś pod nosem. Trzeźwy śmieje się i taszczy bezwładne, oklapłe ciało.

Tak wisząc jeden na drugim dochodzą pod samo wejście do budynku. Staje przed nimi porucznik. Surowy, gniewny.

— Mleczko, znowu się ululałeś?

Nie ma odpowiedzi, tylko jakieś mamrotanie wydobywające się z wnętrza zgiętego w pałąk człowieka.

— Co sobie wyobrażasz człowieku? Przecież na dobrą sprawę powinieneś w pierdlu siedzieć codziennie. Powinieneś zgnić w areszcie. Mleczko!

Na ostry okrzyk żołnierz podnosi głowę. Trzyma się kolegi i stara stanąć na baczność.

— Dlaczego to robicie Mleczko? Dlaczego?

— Bo ja... jezdem... — mówi z wysiłkiem lecz nie bez pijackiej godności — bo ja... jezdem... nagoło... nałogo... gołona... nago... nałogowiec.

Z tryumfem kończy dręczące go słowo i patrzy na porucznika dumny z siebie.



Szosa pędzi brzegiem morza. Na gładkim asfalcie śpiewają opony samochodu. Drzewa miarowo fukają odchodząc w tył na zawsze.

Na morze spokojne i gładkie kładzie się cień wieczoru. Wzgórza parują skwarem dnia, rododendrony, migdały, orzechy prostują się, pęcznieją rosą zachodu.

Opony śpiewają.

W rozdygotanej „piętnastce” siedzi dwóch szeregowców, podporucznik i pestka. Kołem siedzą na tobołkach. Po środku stoi beczka. Mała baryłka podskakująca przy każdej nierówności szosy.

Z przodu przy kierownicy oficer o drapieżnym profilu, o gęstych włosach spadających na szerokie, niskie czoło.

Obok niego starszy otyły kapelan wojskowy z krzyżami na kołnierzu drelichowej bluzy.

Szosa numer 16. Mogłaby się nazywać polska szosa. To nad samym morzem wolna, owiana wiatrem, obsypana piaskiem z plaży; to między domami miasteczek, przeciskająca się nagłymi zwrotami, to odbiegająca w bok między wzgórz, na zakosy i serpentyny.

Z południa, od Foggii, Ortony pachnącej pomarańczami, od San Vitto gdzie siadają amerykańskie samoloty, po San Benedetto z wieżą na straży miasteczka, po San Giorgio z pałacem kuzyna Bonapartego, po Recanatti i sosny skoślawione wiatrem, po Loretto, Anconę, Rimini, Ravennę...

— Nie zdążymy na kolację do kasyna w Anconie — mówi porucznik.

— Tak, tak — mruży ksiądz — za późno wyjechaliśmy.

— Czyja wina? Księdza wina. Zachciało się kapelanowi taszczyć tę oliwę.

— Malutka beczuleczka — usprawiedliwia się ksiądz.

— Zachciało się księdzu...

Z tyłu szemrzą głosy, postukuje baryłka.

— Widzi ksiądz tam z boku? Osimo.

Miasto czernieje na tle gasnącego nieba.

— Cholerne życie — woła kierowca — zdaje się, że to było wczoraj. Waliliśmy tą szosą jak zwariowani. Na przełaj po białych drogach, na których kurz leżał na pół metra. Na łeb na szyję. To było życie. Czy ksiądz może sobie wyobrazić? Jechaliśmy od Rosetty w bok między pogórki. Niemcy wiali, a my za nimi. Siedziałem na budzie pancernego wozu i patrzyłem na pokratkowane pola. Niemcy uciekali, a Włosi już napłynęli na te pola. Jechaliśmy, a oni przy zniwach. Złote zboże garściami zgarniają, sierpami tną, w snopy wiążą, składają. Jak u nas. Tak samo jak w Polsce. A do nas tymi sierpami, kosami, bukiętami kłosów... Ech. Powiem szczerze, jechałem siedząc na górze samochodu i płakałem. Nie ze wzruszenia, ale ze złości, że to nie nasze zboże, nie nasze zniwa, nie nasze dziewczuchy z sierpami...

Ksiądz siedzi nieruchomo jakby brewiarz odmawiał. Patrzy przed siebie ponad krótką maskę wozu na nadbiegającą szosę.

— Osimo — kierowca mówi więcej do siebie niż do towarzysza — za nim San Bagio, Filotrano... Ksiądz naturalnie nic o nich nie wie. Księdzu nic nie powiedzą te nazwy. Tam za górką jest cmentarzyk, prawdziwy włoski z cyprysami i murkami, w których jak akta w szufladkach leżą nieboszczycy. Tam pochowaliśmy podchorążego Miesiołka. Teraz już go przenieśli do Loretto, dali mu kamień i napis i wszystko co należy. Szkoda, tam pod cyprysem było jakoś ładniej. A ta masa ciemna to nie potrzebuję księdzu przypominać: Loretto. Ksiądz jako osoba duchowna znalazłby tam co zjeść i ładnie by się pomodlił, ale my żołnierze mamy swoje karty żywnościowe, swoje magazyny, swoje kuchnie i kasyna. Już nie wolno tak na wariata się prowiantować. Chyba że masz bracie papierosy, to wal do Włochów na makaron, na wino Chianti, na wino „cotto”. Dawniej było inaczej. Jak wpadaliśmy do miasteczka, to nas chlebem i solą witali, winem i zielonymi brzoskwiniami. Wojsko było pijane i chorowało na żołądek. Ale wesoło, co?

— Tam, proszę księdza, po drugiej stronie doliny jest małe miasteczko. Do tego miasta weszliśmy pierwsi my. Nie ułani pancerni, nie patrol piechoty, ale my. Ja z kapitanem Rolkiem na łąziku. Mieliśmy zabawę! Sam podesta nas witał. Kobiety rzucały się całować, dzieci włożyły na łązik. Chryja jak na Białanach. A Rolcio stał na siedzeniu i rozrzucał angielskie papierosy i argentyński *corned beef*. A potem wyciągnął ręce i woła „Całujta chamy”. I całowali. Żeby ksiądz wiedział, całowali.

— Tak, tak — mruczy ksiądz — ładnie było, ładnie.

— A pewno, że ładnie. A pod Cassinem? Był ksiądz pod Cassinem? Jak już wszystko się skończyło, jak już wyleźliśmy ze schronów na świeże powietrze i patrzyliśmy na tę flagę, to przybiegła do nas stara kobieta. Nie wiem skąd się wzięła. „Inglezi, powiada, no, Franzesi, powiada, no, Amerykani no, Polacchi si”. Krzyczy „si” i podnosi kciuk do góry. Cholernie wbiła nas w dumę.

— No cóż wojna, wojna...

— Zdążymy do Ancony. Naciśniemy na gaz i zdążymy. Prześpimy się w hotelu oficerskim na ulicy Polskich Ułanów. Cholera. Ułani to mają szczęście. Nam same trudy a im chwała. Ciekaw jestem, czy po latach zostanie coś z naszej chwały, czy pamiętać tylko będą, żeśmy walczyli o te sierpy i młoty na murach. Tfu. Na południu podobno komuniści zaciukali jednego, który kazał im ścierać ze ściany „Eviva Stalin”.

— No cóż — kiwa się ksiądz — polityka.

— Wie ksiądz, zastanawiam się czasem czy warto było?

— Co?

— No, to Cassino, Monte della Crestia... O tam na końcu doliny. Tu już zdobywaliśmy Anconę. A potem zawiozę księdza do Forli. Faenzy, Bolonii. Tam nad Senio było trochę gorąco. Ach, proszę księdza, można by opowiadać i opowiadać.

Ksiądz milczy jakiś zgarbiony. Kierowca zamyśla się także. Naciska gaz, pnie się pod górę w cieniu zabudowań Loretto. Widać nad nimi bastiony bazyliki. Wóz płynnie bierze zakręt i nowa dolina otwiera się napełniona zmrokiem, ciemnozielona. Wchodzą na prostą drogę obrzeżoną mocnymi drzewami.

Kierowca potrząsa głową.

— Warto było.

— Co takiego — pyta ksiądz.

— Nic — gniewnie odpowiada kierowca — powiadam, że dowiozę księdza do Udino szczęśliwie i oliwa się nie rozleje.

— To na dobry cel — broni się ksiądz, ale nie umie przekonać.

Mały zakręt. Potem samochód zwalnia i przechodzi na moście Baileya, ostrożnie po dwóch deskach. Potem znów gwizdże i śpiewa na gładkim asfalcie.

Zbliża się skrzyżowanie. Ze wzgórz sływa prosta droga wysypana żwirem, przecina szosę szesnastkę i biegnie do miasteczka poprzez dolinę i ku morzu, które już gdzieś daleko, gdzieś poza warstwicami otaczającymi Anconę.

— Co tam?

Kierowca pochyla się do szyby, żeby lepiej widzieć.

Na skrzyżowaniu ktoś stoi i macha rękami.

Samochód zwalnia. Podjeżdża. Gestykujący żołnierz podbiega do kabiny.

— Co się stało?

— Wypadek. Potrzebujemy pomocy.

Kierowca wyskakuje na szosę. Z tyłu spod plandeki wychylają się pasażerowie.

— Wypadek samochodowy?

— Nie. Napadli żandarma.

Idą, skaczą przez rów przydrożny. Na trawie pod krzakiem leży żołnierz w białym pasie. Okrągła czapka obok przewrócona ziele wnętrzem.

— Żyje?

— Szedłem od strony naszych kwater, chciałem złapać auto-stop — tłumaczy ten, który zatrzymał samochód — i usłyszałem jak rzeźił. Chyba jeszcze żyje. Żeby go dowieźć do szpitala.

— Zaraz się zrobi.

Kierowca samochodu pochyla się nad leżącym. Tamten ma otwarte oczy, ale nieruchome. Na ustach, na nosie krew.

Ksiądz doszedł i przykleknął obok rannego.

Ręką dotyka pulsu. Zbliża swoją twarz do twarzy leżącego.

Przez ciało ofiary przebiega drganie. Ksiądz coś mruży, żegna go krzyżem; jeszcze raz schyla się i znów szepcze modlitwy.

— *Ego te absolvo...*

— Co takiego? Co ksiądz robi?

— On już nie żyje. — Ksiądz wstaje z trudem, otrzepuje kolana, poprawia bluzę. Wraca do samochodu.

Kierowca zbliża się do ciała i ogląda je uważnie. Ujmuje za ramię i przewraca na bok. Z bluzy munduru coś sterczy. Nóż. Czarna rękojeść noża.

— Kto mógł go napaść?

— Kto wie, panie kapitanie — odpowiada ten, który pierwszy znalazł zamordowanego — swoi albo Włosi.

Żołnierz, jeden z pasażerów, podchodzi i łapie zabitego za rękę. Podnosi rękę i pokazuje poszarpaną bluzę, spod której widać goły bok i pachę.

— Znak SS.

Kapitan się wstrząsa, odstępuje krok do tyłu i klnie pod nosem.

Ale przypomina sobie słowa księdza: *Ego te absolvo*.

— Ego te..? „Te” czy „me”. Jego czy nas...?

„FREE COUNTRY”

Gruba, o krótkich palcach, szerniała, spracowana dłoń zacisnęła się na ramieniu śpiącego i szarpnęła.

— Wstawaj! Ty... — zakrzuszył się przekleństwem Wilos. Szarpnął jeszcze mocniej i odwrócił Kupisza na wznak. Trząśł nim, aż głowa latała po wyszmelcowanej poduszce.

— Ty dziadu sakramencki! Ty pijaczyno cholerna! Ty... twoja mać...

— Zostaw go — przerwał Maciejewski. — Nie dasz mu rady. Nie widzisz? Teraz to go i armaty nie ruszą.

— Już ja go ruszę. Już ja go skurwysyna na nogi postawię! — Zamachnął się i trzasnął nieprzytomnego po gębie, aż echo poszło po baraku.

Maciejewski podskoczył, chwycił Wilosa z tyłu za kołnierz i z niespodziewaną siłą odrzucił na sąsiednie łóżko. Wilos przysiadł zdziwiony.

— Co ty? Maciuś?

— Ty chamie! — krzyczał błądy ze złości Maciejewski. — Po gębie to możesz takich samych chamów... Rozumiesz gnojku podoficerski? Zupaku z wiechciami w butach! Na szyftbosa się wkręciłeś, to myślisz, że ci wszystko wolno.

— Co ty, Maciuś? — powtórzył Wilos. — Ja go przecież chciałem tylko do przytomności...

— Tylko nie po gębie, nie po twarzy — pomrukiwał Maciejewski.

— Wróć... wróć... wróć do ciebie przez fale mórz... — zachrypiął nagle Kupisz.

Spojrzeli na niego. Siedział na łóżku w podkoszulce i kalessach. Tarł ręką policzek i uśmiechał się głupawo przed siebie.

— *My Bonnie is over the ocean...* — przeszedł na angielski tekst — *Dze ołszeeen...* — ciągnął przeraźliwie.

Wilos popatrzył na Maciejewskiego z triumfem.

— Nie znasz go? — wzruszył tamten ramionami. — Śpiewać to on będzie, ale nieprzytomny jak ten wół, co go w rzeźni młotem po łbie trzasnęli. Do jutra rana z miejsca nie ruszysz.

— Co będzie?

Maciejewski nie odpowiedział. Łagodnie przechylił pijanego na poduszkę i ułożył wygodnie. Ściągnął koc z sąsiedniego łóżka i dokładnie obetkał nim dokoła, odgarnął zlepione potem, rzadkie włosy z czoła i uśmiechnął się do nieprzytomnego.

— Chodź — pchnął Wilosa do wyjścia.

— Maryś, moja Maryś mam pieniędzy kupę... — Kupisz zaczął znów na nutę ludową.

Trzasnęli drzwiami i wyszli przed barak. Rozpogodziło się, deszcz przestał padać, tylko z drzew skapywało. Wiatr ciągnął chmury, które wałkowały się ze zbocza gór, żeglowały nisko nad głowami hen nad jeziorem i znów uderzały w stoki zielono-rudych pagórów wyrastających z tamtej strony wody.

— Co będzie? — wrócił do tego samego pytania Wilos.

— A no nic — odparł Maciejewski. — Na niego nie licz.

— Taka jego mać! Parson się wścieknie.

Maciejewski milcząc ruszył w górę, ścieżka była wąska, więc suwając ciężkimi gumowymi buciskami zagarniał rosę z wysokiej trawy. Zatulwszy się w brudną kapotę wojskowego typu Wilos szedł za kolegą. Zimny wiatr uderzył im w twarz.

— Zeby nie ten rekord — psioczył Wilos — to gwizdać. Ale rekord! Psia mać! Jeszcze te jakieś dwadzieścia *feet* będzie brakować. Rozumiesz?

— Pluń na ten ich rekord.

— A bonus, bracie? Ty wiesz jaki to bonus wypadnie? I tylko te głupie dwadzieścia *feet* na naszą szyfę... Parson się wścieknie.

— A nie damy to rady?

— Bez niego? — Wilosa poderwało do przodu. — Bez najlepszego maszynmana?

Stanęli na kamienistej drodze idącej bokiem przy barakach w górę, w las i do tunelu. Zza zakrętu dolatywały głosy ludzi i szum motorów. Wiatr targał przewody elektryczne zawieszono nisko na tykach.

— Chyba kogo dapożyczyć? — zasugerował Maciejewski.

— Skąd? Niedziela, jak kto ma wolne to do miasta wyrwał.

— Spróbuj w drugim kampie.

Wilos stał niezdecydowany. Zesunął kaszkiet i tarł ręką po twarzy.

— Ale co ci powiem — zdecydował nagle — to tego twego Kupcia wron z brygady. A n r y j a l a b e l! — przekreślił trudne angielskie słowo *unreliable*. — Rozumiesz.

— Jak chcesz. — Maciejewski przekreślił głowę i spojrzął z boku.

— Czyż nie jesteś bosem? Nie płacz tylko, jak sam ze swoim Filkiem zostaniesz.

— Poszedłbyś za nim?

— A bo to ja jeden.

— Takiego bonusu z kim innym nie zarobisz.

— Zatkaj sobie ten bonus wiesz gdzie... — rozeźlił się Maciejewski. — I przestań odgrywać, bo to nie wojsko, a my nie rekruty. Ważny pan szef. Szyftbos z łaski mister Parsona, a sam wiesz, że bez nas jesteś gównem. Jak się nam zechce, to pójdziemy choć zaraz.

Wilos tarł szeroką twarz coraz bardziej desperacko, aż sobie smarki rozcierał po sterczącej rudej szczecinie.

— Maciuś, Maciuś... — prosił — wszyscy na mnie, a ja to co? Szyftbos, a bez was gównem. Racja. Tylko sam powiedz, czy taki Karpień lepszy? A może do Ajrysza byś poszedł? Już tak na mnie nie gadaj. Czy nie robisz mi na rękę jak mogę?

Maciejewski w milczeniu kopnął kamyczki na drodze.

— Ja wiem, że od was lepszych nie znajdę w całym kampie, ale wy też nie znajdziecie takiego bosa. No nie? Słuchaj — zatrzymał Maciejewskiego łapiąc za poły nieprzemakalnego płaszcza — jak chcesz to ty zostań szyftboscem! Chcesz? Ja mogę nawet mokować. Ino żeby brygada się razem trzymała. Bo takiego bonusu gdzie indziej nie wyrobisz. Ni ma bracie. Na to trzeba z samym Parsonem sztamę trzymać. No gadaj...

Maciejewski kopnął kamień, aż potoczył się daleko z drogi w rzadki zamoknięty lasek. Podniósł ostry, zły profil i spojrzął na Wilosa.

— Ostatni raz. Wiesz — wycodził przez zęby. — Jeszcze raz ruszysz czyją gębę, to koniec. Odejdziemy, a ciebie zostawimy, ale w szpitalu. To sobie zapamiętaj.

— Maciuś — płacząco zaniósł się Wilos — ja przecie tylko tak z nerw. Ja dla was jak najlepiej, ale powiedz sam, czy człowiek nie może stracić usposobienia? Nie obiecywał to, że kropli do gęby nie weźmie? A ty sam, tak — wyciągnął palec w pierś Maciejewskiego — sam powiedziałeś, że będziesz miał baczenie. No i co? W ostatni dzień uchłał się jak świnia. Ostatni dzień!

Maciejewski otworzył płaszcz i sięgnął w zanadrze. Wyciągnął czarny portfel i otworzywszy go pokazał gruby plik banknotów.

— Widzisz?

— No co?

— Kupciowe. Zabrałem mu wszystko co miał. Co więcej chcesz? Jak mu bez forsy dają pić? I pilnować go, też pilnowałem, ale się człowiek odwrócił, a on już prysł. Poszedłem do Wacikowskiego, a jemu już ktoś dał lifta i masz. Sam nawet nie wiem, kiedy go w tym pijackim widzie na kubik podrzucili.

— Kto?

— Kto? Ten sam co go na drinka wyciągnął, ten sam co mu forsy dał i na picie do hotelu zaprowadził.

— Cholera! Żeby go dostał, takiego syna.

— A bo to trudno? — zakpił Maciejewski.

— Ty wiesz kto?

— A ty nie wiesz?

Zaśmiał się i zawrócił skręcając w boczną ścieżkę do baraków. Wilos stał przez chwilę, ale zaraz zatulił się mocniej w osmoloną kurtkę, nacisnął czapkę na czoło i ruszył w górę głównej drogi.



Filek poślinił palce i wolno przesuwiał karty zaglądając tylko pod same rozki. Póty tarł i wyciskał zniszczone pięć kart, aż dojrzał trzy podwójne brzuszki ósemek. Sięgnął ręką do kieszeni spodni i wyciągnął banknot dziesięcioszylingowy, rozprostował go i położył na środku kupki srebra. Potem powoli podniósł głowę i spojrzał swymi żółtymi, tuż przy nasadzie nosa błyszczącymi oczkami na Hrabiego.

Hrabia uśmiechnął się ironicznie. Kowalczyk i Zemko już dawniej odpadli rzuciwszy karty na kupę zrzutków i teraz patrzyli ciekawie na pojedynek Filka z Hrabią.

Przed Hrabią leżały równo ułożone monety srebrne, w stosikach przyciskających dość grube pliki banknotów. Z jednego z nich wyciągnął czerwony papierek i z lekceważeniem rzucił do banku, zawahał się trochę i dorzucił jeszcze zielonego funta.

— Podbijasz? — zapytał Filek z trudem ukrywając radość.

Hrabia skinął kędzierzawą głową.

— Funta?

— Nie widzisz? Ślepy jesteś? — odpowiedział z boku Kowalczyk.

Filek znowu sięgnął do kieszeni i pogmerawszy wydobył pomięty banknot. Westchnął fałszywie przymykając oczy i sięgnął znów tym razem za pazuchę. Stamtąd dostał dwa nowiutkie

szeleszczące funty. Położył jednego z nowych na starym i delektując się wolno posunął oba na środek stołu.

— Masz, udław się — powiedział Hrabia i dołożył.

— Trzy kobyłki. — Filek rozłożył karty w wachlarz.

— No i było z czym się rzucać — skrzywił się Hrabia. — Co to już obywatela Filka na wyższą kartę nie stać?

Z namaszczeniem wyłożył jedną po drugiej trzy dziewiątki.

— A niech cię cholera! — Kowalczyk uderzył pięścią w stół. Zemko śmiał się piskliwie po kobiecemu, trzęsąc przy tym całą swoją korpulentną osobą.

Leżący na łóżku z książką Kiryło podniósł głowę.

— Co się tam stało?

— Fi... fi... filka... czyszczą... — jękał się ze śmiechu Zemko.

— Już nowymi rzyga — dodał Kowalczyk.

Po szerokiej twarzy Kiryły przebiegł uśmiech. Chwilę patrzył na grających i znów podniósł książkę i zaczął czytać.

Hrabia bawił się nowiutkim banknotem robiąc do niego duże miny i zerkając w stronę Filka. Wreszcie cmoknął w powietrzu tkliwy pocałunek i schował funta w zanadrze.

Kowalczyk zebrał karty i zaczął tasować.

— Hrabiego dziś nie pobijesz, jemu wali — rzekł do nadejtego Filka.

— Nie takich hrabiów z gołym tyłkiem puszczało się.

Hrabia wyrównał kupki pieniędzy, podciągnął krawat, jedyny w tym towarzystwie, ruszył rękoma jakby poprawiał nieistniejące mankiety i położywszy dłonie na stole czekał, gotów do dalszej gry, tylko lewym okiem mrugał w stronę Zemki, aż ten nie mógł powstrzymać chichotu.

— Powiedz Hrabia — zatrzymał się Kowalczyk przy rozdaniu — co ty z tą forszą zrobisz?

Hrabia podniósł oczy do sufitu, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Nie wiesz — pospieszył wtrącić Filek — ubranko pan Hrabia wykupi. Już dwa tygodnie jak wisi w warsztacie u Gryczana gotowe, a pana Hrabiego nie stać na ostatnią ratę.

— U hrabiów wiadomo, raz na wozie, raz pod stołem.

— Mylicie się ciemna maso — Hrabia spojrzął na Filka i na Zemkę — forse się miało, choć przyznam, że dwa ostatnie tygodnie karta nie szła, ale cóż kiedy ten w igłę szarpany mistrz „kaszka gryczana” na modzie się nie zna i do szarego garniturku dał żółtą podszewkę.

— A żółte skarpetki? — zapytał naiwnie Kowalczyk, wywołując tym tylko pełne ubolewania spojrzenie Hrabiego.

— Skarpetki, to są skarpetki. Skarpetki i szaliczek to takie dwie plamy uzupełniające na tle szarzyzny życia emigranckiego. Rozjaśnienie skąpej w barwy doli tułaczey. *Compris?* Ale co wam gadać — machnął ręką ze zniechęceniem — czy wy zrozumiecie potrzeby duszy człowieka wyższego szczebla kultury. Dawaj Jasiu te karty, bo czas ucieka. Jeszcze te kilka świeżych od kolegi Filka wyciągnęmy i trzeba będzie się zbierać.

— Coś mi się widzi, że znów klub będzie na rzesach chodził.

— Kowalczyk roześmiał się i zaczął rzucać kartami po stole.

— Nie wiesz jak to hrabiowie — chichotał Zemko. — Jak to było cztery tygodnie temu? Dwie taksówki pod klub: w jednej pan hrabia, a w drugiej jego kapelusz!

— To było po wybitnie dobrym sztosie na piaskach — tłumaczył się Hrabia. — Dlaczego taki taksówkarz nie ma zarobić?

Filek ściągnął swe karty i ukradkiem szybko zajrzał. Nie mógł ukryć rozczarowania.

— Jak jest to szelest, a jak bida to do Żyda — przygadał Hrabielemu.

— Do szanownego obywatela nie pójde, nie obawiaj się, ani po forszę, ani z forszą.

— A on by chciał. Nieprawda Filek? — wtrącił Zemko. — Cieszysz się z każdego szylinga co do skarbonki grubej Moiry wpadnie. Co?

— Co mi znowu z tą Moirą wyjeżdżasz, no? Zresztą, jak chcesz wiedzieć żebraku, to dla kogo Moira, a dla ciebie Mrs Gray.

— Oho! — zdziwił się Kowalczyk — Mrs Gray? Ładnie się nazywa jak na bajzel mamę. A tak zwane córeczki jak? Też Gray?

— Nie żartuj Jasiu — zrobił poważną minę Hrabia. — Mrs Gray jest dama i córeczki też... damy.

— Za grubą forszę — zapiszczał Zemko.

— Powiedz tak szczerze Filek — spytał Kowalczyk — ile procentu dostajesz od tego interesu?

— Fe co za podejrzenia — bronił wciąż udając powagę Hrabia — najwyżej jakieś małe świadczenia w naturze.

— Chi... chi... — trząsał się Zemko.

— Gramy, czy nie gramy? Do cholery! — wybuchnął Filek.

— Gramy, naturalnie, że gramy — uspokajał Hrabia i nie patrząc w karty rzucił srebrem o stół. — Dwie półkorony.

— Daję — otarł łzy z okrągłego oblicza Zemko.

— Podbijam — szczeknął Filek.

— Ktoś znowu podskakuje — Kowalczyk dołożył. Przez chwilę grali spokojnie. I znów Hrabia ściągnął bank.

— Nie wiele, ale cieszy — układał srebro i banknoty.

— Powiedz Hrabia — spytał Filek — jak ty robisz, że w karty nie patrzysz, a wygrywasz. Idzie ci jak po rycynie.

Hrabia tasując karty, spojrzął z góry na Filka.

— Nie wiesz? Zwyczajnie. Wysmaruj sobie dłoń ekskrementami i karta się klei. Śmierdzi trochę, ale się oplać.

— Czym?

— Gównem — wyjaśnił Hrabia jak dziecku i puścił karty w ruch z wprawą prawdziwego szulera.

— Filek — po chwili podjął Kowalczyk — ale ten nasz Wilos, to on ci forsę napędza, co? Powiedz tylko, do której on chodzi?

— Nie wiesz? — Hrabia podniósł brwi. — Do wszystkich. Ten wasz szanowny szyftbos to kawał byka. Jak tam wejdzie w sobotę, to go w poniedziałek taksówką wprost do tunelu wiozą. Dwa dni i nocę pracuje na wyprzódki z tymi Murzynami z Jamajki z drugiego piętra. Kolega Filek to tylko po piwo i kiełbasę z czosnkiem do Wtorkowskiego biega tam i z powrotem.

— Odczepcie się do jasnej cholery. Cóż to jeden tam chodzę czy co? Każdy tam może, jak go stać i nikomu się z tego tłumaczyć nie potrzebuje. Dla niej taki sam Filek dobry, jak Kowalczyk, czy sam pan hrabia Szpiglas.

— Tylko z daleka od szlachetnego rodu Szpiglasów — wprostował się Hrabia. — Jeśli zły los rzucił nas na obczyznę i nawet zmusza do grania w karty z byle obywatelem Filkiem, to jeszcze nie dowód, żebyśmy mieli się spotykać na gruncie tajnego trzeciorzędnego burdeliku.

— I ty nam Filek w oczy piaskiem nie rzucaj — pogroził palcem Kowalczyk. — Wiemy dobrze jak i co. Jak to było z Wańtowskim? Sam nam tu opowiadał. Kiedy prosił Moirę o kredyt, to co powiedziała? Przynieś „not” od Stanleya, powiedziała. Co?

— Co ty mnie z jakimś Wańtowskim — zaczerwienił się Filek. — Gramy, czy nie gramy? Bo tu mi się zdaje ktoś zerwać partię kombinuje i z forsą nawiać.

— Jeśli do mnie obywatel pije — odezwał się Hrabia — to ja jeszcze nie wiem. Nie jeszcze, dopóki te nowiutki funciaczki widzę.



Stuknęły drzwi. Weszli Pańczyk, Wierzbicki i Suślik. Zrzucili nasiąknięte płaszcze i strzepnęli z nóg ciężkie welingtony. Pańczak i Suślik siedli na łóżkach wyciągając papierosy. Wierzbicki w skarpetkach podszedł do grających.

— Widziałeś Maciusia? — oparł rękę o ramię Filka.

— Co takiego?

— Szuka cię.

— Jak mnie szuka to znajdzie — zlekceważył Filek. — Ja tam nic do niego nie mam i nie wiem po co ma mnie szukać.

— Nie wiesz? — Suślik poderwał się z łóżka. — O Kupciu też pewnie nic nie wiesz?

— Co z Kupciem? — spytał Kowalczyk.

— Ano zalał się znowu.

— Nie podobno.

— Leży jak kawał trupa na kubiku. Wilos powiadam wam wścieka się.

— Pewnie — kiwnął głową Kowalczyk. — Ostatnia szyfta na rekord i najlepszy maszynman odpala. Ale Macius? Czemu nie upiłnował?

— Pilnował — wtrącił teraz Pańczak z daleka — forszę za-rekwirował, ale ktoś mu pomógł. Ktoś zabrał do hotelu i spoił jak świnię.

Wierzbicki i Suślik patrzyli znacząco na Filka.

— On? — spytał Kowalczyk. — No, Filek, to trzymaj się bracie, bo z Maciusiem nie ma żartów.

— I to nie pierwszy raz — Pańczak uzupełnił oskarżenie.

— Co mi tam wasz Macius — odezwał się wreszcie Filek trochę drżącym głosem. — Mam go gdzieś.

— Nie bądź taki bohater — zaśmiał się Pańczyk — nie wiesz co to Macius.

— Właśnie — przytaknęła Wierzbicki. — Nie darmo on w Legii służył.

— Nie darmo z Polski wiać musiał. O nim powiadają, że jak z nerw wyjdzie to człowieka ubić, jak muchę ubije.

— Nożem. Oni z tej Legii tylko nożem.

Filek zerwał się na nogi.

— Co się przyczepili jak psu do ogona? — zawołał. — Byłem z Kupiszem. Byłem! No to co? Piliśmy. Co? Nie wolno? Dlaczego nie pić jak pan porucznik prosi? — obrzucił ich wyzywającym spojrzeniem. — Mnie tak w wojsku uczyli. Jak starszy prosi, to młodszy mówi: Tak jest!

— Za czyją forszę? — zapytał Wierzbicki.

Filkowi piana wyszła na wąskie wargi. Rzucił się, jak szczur przyparty do śmietnika.

— Za czyją? — wrzeszczał — podsuwając Wierzbickiemu pod nos swoją wąską szczurzą twarz. — Nie za twoją. Nie za twoją! Nie twój interes. Nie wasz. — Zakreślił się w kółko każdego obrzucając ogniem żółtych czerwono obwiedzionych

oczek. — Przyczepili się i ssą jak pijawki. A ja wam mówię: Nie wasz zas... byznes! Jak Filakowski chce, to Filakowski stawia! I wam g... do tego! Moja forsa! I na was i na waszego Maciusia i tego waszego pana porucznika Kupcia s...! S.... S....! — krzychał obracając się w kółko, aż napotkał oczy Kiryły.

— Nie podoba się, co?

Kiryło leżąc na plecach spojrział sponad odłożonej na piersi książki i rzekł spokojnym basem:

— Przestańcie krzyczeć, bo nie jesteście w lesie.

— Nie podoba się szanownemu panu? — zasyczał Filek. — To proszę na kubik. Do rynstokracji. Do takich samych panów. A ja jestem proletariat i mnie wolno. Wolno pić, wolno krzyczeć, bo tu jest *free country! Free country!*

Kiryło zsunął książkę i podniósł się opuszczając nogi z łóżka. Zrobiła się cisza.

— Gramy, czy nie gramy? — odezwał się spokojny głos Hrabiego. — Albo poker, albo rozrabianie. Ja mam tylko pół godziny i jeśli nie przestaniecie, to stracę ostatnią szansę wyciągnięcia forsy od kolegi Filakowskiego.

Filek odwrócił zahipnotyzowany wzrok od Kiryły i pochylił się nad stołem.

— A ja ci powiadam... — zaczął z wściekłością w stronę Hrabiego, ale nie skończył. Usiadł, obtarł spoczone dłonie o spodnie, wyciągnął je po karty.



Znowu stuknęły drzwi. Weszły dwie osoby: starszy mężczyzna opatulony w wojskowy płaszcz khaki i młody chłopiec lat najwyżej dwudziestu.

— Serwus Piotruś — zawołał Suślik w stronę młodszego i kiwnął ręką po przyjacielsku.

Starszy przybysz złożył plecak na podłodze.

— Dzień dobry panom — rzekł zdejmując z głowy beret i odsłaniając prawie łysą czaszkę.

Odpowiedziało mu mruknięcie tego i owego i spojrzenia spode łbów. Tylko Suślik podszedł z wyciągniętą dłonią.

— Dobrze, że pan przyszedł i naszego Piotrusia przyprowadził, bo baliśmy się, że bez lokodrajwera nie damy sobie rady. A tu jeszcze jeden nam zachorował.

— Jak powiedziałem, że będę na czas — ujął się Piotr honorem — to będę i niepotrzebnie martwiliście się. Wcześniej byłbym, tylko że tatko musiał się zebrać.

— To pan ojciec Piotrusia? — Wierzbicki podszedł od stołu karcianego.

Hrabia podniósł głowę i zawołał z daleka:

— Cześć profesorze. Pan profesor z wizytą czy na stałe? Profesor dobrotliwie pokiwał ręką.

— Urlop mam w swojej pracy — wyjaśnił bliżej stojącym Wierzbickiemu i Suślikowi — i zdecydowałem się spróbować, czy nie da się trochę grosza dodatkowo zarobić.

— No cóż — Wierzbicki przyznał — jak nie tu, to gdzie?

— Panowie nie będą mi mieli za złe — skierował się do wszystkich profesor — że ja tutaj już razem z synem. Rozmawiałem z *campbossem* i powiedział, że wszystko w porządku.

— Naturalnie — potwierdził Suślik — miejsce jest, ot tam zaraz obok Piotrusia nawet.

— Dziękuję.

Profesor nie pozwolił Piotrusiowi wyręczyć się i sam poniósł swój plecak w stronę wolnego kąta.

Leżący na swym łóżku Pańczak podniósł się, przeciągnął i rzucił w przestrzeń z krzywym uśmiechem:

— Coraz to lepsi panowie do nas przybywają, chłopaki.

— Pfi... — Filek tylko błysnął na to oczkami. — Wiadomo na forszę każdego leci.

— Co prawda to prawda — potwierdził Kowalczyk — niezadługo to tu same Polusy będą tunele wiercili.

— I to jakie — ironizował Filek — prezesy, doktory, profesory. Dawniej rączek bali się byle czym poplamić, a teraz to ze zwykłym proletariatem nie wstydzą się na jednym baraku barłoczyć.

— Dla chleba panie, dla chleba... — zanucił znad kart Hrabia.

— A ja wam powiadam chłopaki — wypiął się Pańczak — że to nie forsa tak ciągnie lepsze elementa emigracji politycznej do pracy w tunelu.

— A co?

— Sława. *Glory, ladies and gentlemen*. Czy nie powiedziała sama królowa, że pokolenia szkockie będą pamiętać Polaków za to, że im tunel przekopali i światło do hajlandu sprowadzili.

— To wcale nie królowa powiedziała — Wierzbicki począł prostować — i nikt w ogóle o Polakach nie mówi tylko o fo-rynerach.

— Gazety pisały.

— A mnie tam u tyłka wisi — zawołał Filek — co tam królowa czy inna wielka pani powiedziała. Ja mam gdzieś taki honor, dla mnie forsa to grunt. No nie chłopcy?

— Chłopcy to są u szewca — zgasił go Hrabia.

Profesor, który rozpakowując plecak bokiem słuchał rozmowy, ruszył w stronę stołu.

— Mam wrażenie panie kolego — zwrócił się w pierwszym rzędzie do Filka — że pan się myli. To nie jest mała rzecz, że Polacy pomagają przy rozbudowie tego kraju. Jeśli nas los rzucił poza granice własnego kraju powinniśmy dbać o to, by imię polskie...

— Każdy żołnierz polski jest ambasadorem na obczyźnie — przerwał Kowalczyk.

— Baczność! Na prawo patrz! — Filek poderwał się z ręką przy czole. — Panowie Ambasadorowie! — krzyczał wykrzywiając się komicznie.

— Zamknij pan twarz! — podskoczył ku niemu Piotr z zaciśniętymi pięściami, ale ojciec złapał go za rękaw.

— Nie ma co się denerwować, panowie, ja wcale nie to miałem na myśli — i spojrzawszy na Filka spokojnie ciągnął. — Widzi pan to już jest tak, że czy pan chce czy nie chce stawia pan jedną cegielkę do naszej wspólnej budowy. Tu gdzie może nigdy o Polsce nie słyszano, teraz znają nas i cenią i będą wspominać z wdzięcznością. Czy pan wie, że w tak odległym od Polski kraju jak Australia, każde dziecko w szkole uczy się kto to był Kościuszko? A wie pan dlaczego? Bo polski podróżnik Strzelecki nazwał tym imieniem najwyższą górę kontynentu.

— To niby nasz tunel będzie się nazywał Kościuszko?

— A może coś z dzisiejszych czasów?

— A może Wilos?

— Albo i Filek, przepraszam Filakowski!

Jeden po drugim zaczęli puszczać się na dowcipy. Profesor uśmiechał się do tej zabawy. Filek czekał aż skończą i skierował się wydymając wargi do profesora.

— Pan może jest i profesor, uczony, znaczy się z klasy inteligentkiej, co zawsze prostego człowieka czymś otumanic chce, aby swoje skorzystać. Ale ja jestem proletariat i powiem panu prosto: ja pałę kładę na to jak się będzie ten tunel nazywał i kto będzie się z niego cieszył. Dla mnie ważna rzecz to forsa, pieniądze.

Wyciągnął rękę i poruszał palcami tuż przed nosem profesora.

Piotra parło do zabrania głosu, ale dłoń ojca mocno zaciskała się na jego ramieniu i trzymała w miejscu.

— Ty Filek już przestań — mocno rąbnął Kowalczyk podsuwając karty pod nos Filkowi — patrz z czego żyjesz i zamknij kloakę, bo śmierdzi.

Filek już porwał się do odpowiedzi, ale bokiem dojrzał karty i raptem ucichł, zakręcił się na stołku i uważnie spojrzął na graczy. Naprzeciw niego ironicznie uśmiechnięty Hrabia poklepywał swoje karty, do których zdawało się jeszcze nie zaglądał.

Wszyscy wyczuli, że zanosí się na poważniejsze spotkanie i skupili się dokoła stołu. Tylko profesor z synem wycofali się do swego kąta.

Przechodząc obok łózka Kiryły profesor napotkał proste, szczere spojrzenie i uśmiechnął się odwzajemniając uśmiech.

Schylił się na moment i podniósł z podłogi kartę papieru: fotografię dziewczynki w białej sukience pierwszej komunii. Oddał ją leżącemu bez słowa.

Szeroka, z wystającymi kośćmi policzkowymi twarz Kiryły poczerwieniała jak burak.



Kowalczyk i Zemko odpadli zaangażowawszy się nie więcej jak po funcie każdy. Gra znowu stała się pojedynkiem między Hrabią i Filkiem. Przebijali uparcie raz za razem, wreszcie Filek dobył z bocznej kieszeni pięć nowych funtówek i wyłożył z triumfem. Na to Hrabia wydał pogardliwie wargi i przeliczył szybko wszystko co leżało przed nim na stole.

— Dwadzieścia dwa funty i piętnaście szylingów. Wszystko co mam.

Podsunał pieniądze na środek.

— Zaraz, zaraz... — spłoszył się Filek. — Tak nie można.

— Nie można? Pięcioma funciaczkami straszyć można, a dwudziestoma nie? Wóz albo przewóz. Komu kurka jajko zniesie.

— Dobrze — zdecydował się Filek. — Daję. Ale rozumiesz nie mam tyle „cash”. Kwit wypiszę.

— Kwit... — skrzywił się Hrabia. — My na kwity nie grywamy...

— I.O.U. formalnie jak należy podpiszę.

— Nie ma.

— Nie wierzysz mi?

— Może wierzę, może nie wierzę... Ale kwitu nie chcę.

— A gdyby tak — zawahał się Filek — gdyby Kowalczyk podpisał?

— Cholereę ci w bok — oburzył się Kowalczyk z boku.

— A gdyby na przykład Kupisz dał ci kwit?

— Idź do diabła! — rozżłościł się Hrabia. — Forsa na stół i koniec. W pokera gramy, a nie na Kiercelaku targujemy.

— Ja ci poważnie mówię — zaciętrzewił się Filek. — Od Kupisza kwit przyjmujesz?

— Kupiszem sobie gęby nie wycieraj. Kupisz u mnie murywany gość, któremu i setkę zaufam, ale tobie nic. Rozumiesz? Ani peniaka.

Filek sięgnął szybko ręką pod marynarkę i wyciągnął papier, który zaczął gorączkowo rozwijać.

— Ot masz. Ot Kupisz. Dwadzieścia pięć, stoi za dwadzieścia dwa i piętnaście szylingów. Przyjmujesz?

Hrabia wyciągnął rękę i uważnie obejrzał kwit, potem spojrział na Filka, który zmieszał się i skulił.

— Przyjmuję.

— Co masz? — zawołał wesoło.

— Dwie pary asów.

— Było co się pchać. — Filek rozkładał wachlarzem pięć kart. Cztery z nich były damami.

— Burdelik — wołał radośnie i zagarniał pieniądze.

— Komu jak komu, ale Filakowi pasują cztery bładzie — śmiał się Kowalczyk.

— Wygrał sukinsyn — piszczał Zemko.

— Zaraz, zaraz — wtrącił Wierzbicki stojący za plecami Hrabiego. Hrabia jeden po drugim otwierał cztery asy.

— Jak to? Skąd? — wybałuszył oczy Filek.

— Dwie pary asów, mówiłem. Nie dwie pary asowskie. Przegrał obywatel.

Filek zamarł z rękoma na stole i z rozpaczą patrzył jak Hrabia zgarniał banknot po banknocie, delektując się męką pobitego przeciwnika. Kiedy sięgnął po kwit z podpisem Kupisza, raptem jakaś ręka wyciągnęła się nad stołem.

Hrabia i Filek jednocześnie podnieśli głowy. Filek zbladł. Nie wiadomo skąd i kiedy przybyły Maciejewski wolno darł kwit wpatrując się w Filka palącym wzrokiem.

Filek wstał, chciał uciekać, ale dwie mocne, żylaste ręce pochwyciły go za kłapy i podniosły prawie do góry. Maciejewski nie krzyczał, nie bił, wsadził tylko rękę w zanadrze Filkowi i wy dobył kolejno trzy papierki, które podarł na drobne strzępki.

Filek nie śmiał słowa powiedzieć, ale w oczach miał ból i nienawiść.

— No dobrze — odezwał się Hrabia — a moja wygrana? Maciejewski spojrział na niego drwiąco i odwrócił się tyłem.

Hrabia pociemniał ze złości. On teraz podskoczył do Filka i złapał go za koszulę na piersiach.

— Teraz ty mi tu pisz weksel, bo jak nie to kiszki wypruję! Filek obejrzał się nieszczęśliwy szukając poparcia.

— Szefie! — wołał dostrzegając stojącego przy drzwiach Wilosa. Ale ani Wilos, ani nikt inny nie odezwali się słowem.

— Pisz tu zaraz! — wołał Hrabia, jedną ręką wyciągnawszy pióro z kieszeni, a drugą złapawszy wprawnie za ucho nagiął Filka nad podsuniętym usłudnie przez Zemkę kawałkiem papieru na stole. Jego zawsze ironiczna twarz miała teraz wyraz drażnienia, zdecydowany na wszystko.

Filkowi łyzy kręciły się w oczach. Zagryzł wargi i pisał: I.O.U. £ 22.15.00 — Stanley Filakowski.

Hrabia zgarnął kwit i resztę gotówki ze stołu. Sięgnął po płaszcz.

— *Sorry* — uśmiechnął się do wszystkich. — Rozumiecie panowie, nauczka, żeby z zasańcami w karty nie grać. Ani nie pić. A Kupiszowi się kłaniajcie i powiedzcie, że jak będzie się chciał zalać to zawsze i chętnie stawiam.

— Chybaj synku stąd pókiś cały — rzucił Maciejewski z kąta i Hrabia raptem skurczył się i nie wciągając płaszcza na rękawy wysunął się z baraku.



Filek pomału zbierał karty ze stołu nie podnosząc oczu. W baraku panowało milczenie, każdy starał się znaleźć coś do roboty dla siebie. Kiryło podniósł z powrotem książkę do oczu, Wierzbicki i Suślik rozciągnęli się na łózkach patrząc w sufit, Pańczak, Kowalczyk i Zemko powodowani widać zgodną troską zaczęli grzebać w walizkach szukając czegoś wytrwale. Maciejewski podszedł do profesora.

— Niech to jasny szlag! — zaklął Wilos. — Nie dość, że człowiek ma same kłopoty, to jeszcze mu ludzie biją się w brygadzie.

Zemko podniósł głowę znad walizki i zaśmiał się.

— Nikt tu się nie bił — i po przerwie dodał znacząco: — Jeszcze.

— Faktycznie nic się nie stało, tylko jeden sfajdał się w spodnie.

— Nie czujesz jak śmierdzi?

Filek podskoczył w stronę Wierzbickiego.

— Co, miałem się bić? Co? — parsknął wściekle. — Może majchra na niego wyciągnąć? A potem gnąć w więzieniu. Nie, mnie już na takie sztuki nie nabierzecie. Nie mnie. Ale ja sobie odbiorę swoje, jeszcze mi ta mizerota hrabiowska zapłaci... I w ogóle — z ukosa spojrzął na Maciejewskiego — jeśli komuś się wydaje, że można człowiekiem pomiatać, to myli się. Ja powiadam, że myli się. Tu jest *free country*.

— Zamknij się Filek! — ryknął Wilos, aż tamten przysiadł zdumiony.

— Panie szefie!

— Zamknij się, dobrze? — przeszedł na spokojniejszy ton. — Ja sam mógłbym ci mordę skuć na naleśnik, czyli na krowie łajno. Rozumiesz? Rekord, cholera, największy bonus jaki kiedy był, a on diabelskie nasienie najlepszego maszynmana unieszkodliwia na amen! Panowie — zwrócił się do wszystkich i rozpacz zadrgała mu w głosie — co zrobim? Parson nam nie daruje. Najlepsza brygada, polska brygada nie może zawieść. A my co? Bez Kupcia nie damy rady...

— Nie można to jakiego chłopaka ściągnąć? — spytał Kowalczyk.

— Gdzie tam — machnął ręką szyftbos — niedziela, kaźden jeden poleciał do miasta. Żadnego Polusa w kampie ani na lekarstwo.

— A ten chudy Ajrysz, co się koło nas pętał ostatni tydzień? Wilos wykonał niezdecydowany ruch ramionami.

— *Headforeman* też radził jakiegoś Ajrysza, ale wiecie panowie, jakże to? To przecież polska brygada, no nie?

— Usrać się na to — Filek podskoczył do Wilosa. — Tommy fajny chłop i robotnik pierwszorzędny.

— Ajrysz! — szcęknął Suślik.

— To co, że Ajrysz? O co chodzi? Monte Cassino idziemy zdobywać czy co do cholery? Panie szefie, bierzmy Tommiego, Ajrysz czy nie, to jest *free country!*

Wilos patrzył jeszcze na innych szukając poparcia.

— Ile ci Judaszu zapłacił? — rzucił Maciejewski i wszyscy ryknęli śmiechem.

— Chi, chi, chi... — pochłipywał Zemko. — To ci handlowiec z Filka, na dwa końce pracuje.

Prócz wściekłego Filka nie śmiał się tylko profesor. Wyszedł spomiędzy łózek i przystąpił do Wilosa.

— A może ja mogę pomóc?

— Że jak proszę?

— Jeśli panom brakuje, to mogę w zastępstwie stanąć do pracy.

Wilos otworzył szeroko oczy. Z kąta, w którym siedział Pańczyk dobiegło ironiczne parsknięcie; zawtórował mu pogardliwy śmiech Filka.

Inni milcząc patrzyli na przygarbioną, jakby niedorozwiniętą postać inteligenta.

— Pan nie... pan nie da rady... — sapnął Wilos z trudnością

znajdując słowa, które by nie uraziły profesora. — To ciężka praca.

— Pan nie wie bosie... — zaczął krzyżeć Piotr, ale Maciejewski przerwał mu i podszedł do Wilosa.

— Bierz pana i koniec. Nie wiesz to, że jemu nie pierwszyna? Na jesieni trzy miesiące pracował z Ambrozym.

— Jako maszynman?

— I jako maszynman także — potwierdził profesor.

— Ale dziś rekord, rozumie pan? — wahał się Wilos. — Raz pan zabije dryl, to koniec.

— Nie zabiję, może pan być pewny.

Wilos jeszcze się skrobał w głowę.

— Można by kogo przesunąć. Pańczak do bora... Albo nie, bo kto na Einke? Filek, może ty?

— Ja? Ja tam nikomu szczęścia nie będę odbierał. Jak się pchają to niech się męczą. Mnie dobrze, gdzie jestem, niech się inteligencja kształci.

— Przestań się wygłupiać ty wszarzu! — krzyknął Maciejewski.

— Co już mówić nie wolno? Co? Terror faszystowski?

Filek się stawiał, ale cofał się jednocześnie w stronę drzwi. Już przy kłamce odwrócił się w stronę Maciejewskiego i stanął na baczność.

— Melduję posłusznie, co idę się w..... To wolno, nie? *Free country mister Maciejewski, free country.*



Na odgłos wybuchu idący na przedzie Wilos podniósł głowę i krzyknął wesoło.

— Fajno jest panowie. Durciak jeszcze wystrzelił, będzie co mokować na sam początek. Filek — zawołał do wlokącego się na końcu brygady — skacz do *powdermonkey* i sprawdź czy mamy dosyć *jelly!*

Filek roztrzącił mokre krzaki i poszedł w bok ze ścieżki. Reszta minęła rozkopisko zarzucone sprzętem i gruzem i wchodziła do tunelu.

Szli jeden za drugim schylając się niepotrzebnie, przestępując szyny, podkłady, nawalone kamienie, pokręcone węże gumowe i ocierając się o wózki. W brudnym świetle żarówek zawieszonych pod chropowatym stropem mijali czarnych, zakopconych zharowanych kolegów z szyfry schodzącej. Pokrzykiwali i poklepywali się w przejściu.

Wynurzył się z półmroku Parson wraz z dwoma inżynierami i zatrzymali Wilosa. Z tyłu doleciał szum diesla w loco, który zapuszczał Piotr. Zaczęły stukać wagoniki.

Weszli w smugi zagęszczającego się dymu i zaczęli zbierać porzucone narzędzia. Dogonił ich Wilos.

— Chłopaki na start! — rzucił ich z miejsca do pracy. — Kiryło, Wierzba, Kowalczyk łapać pajpy, rozpędzać smokę. Maciuś ciąć światło. Pańczak sprawdzaj Einkę. I nie lenić się. Tylko te dwadzieścia fitów!

Już komenderował, wciskał kilofy i łopaty do rąk i popychał do działania. A im i tego nie było potrzeba. Już syczało powietrze z rur rozpędzając dym po wybuchu. Krztusząc się i ocierając łzy postępowali naprzód. Maciejewski ciągnął kabel z żarówką i nad rumowiskiem kamieni zabłysło światło. Zaczęła sapać Einka i zazgrzytała szufla o kamienie.

— Dawać skipy! — wzywał Pańczak.

— Relsy! — komenderował Wilos pierwszy rzucając się do dźwigania.

Sprawnie, celowo ruszali się w ciasnym tunelu kładąc szyny. Jedni dźwigali sektory, łącząc jedne z drugimi, inni oczyszczali przed nimi teren z głazów i wyrównywali. Podciągali rury i kable, podsuwali świdry. Zaterkotał motor lokomotywki, zastukały wózki podpychane pod Einkę gotową do ładowania.

Kiryło kuł kilofem rozbijając kawały skały naruszone wybuchem. Maciejewski obłupywał kamienie wiszące u stropu. Kilofy, łopaty, szufle dźwięczały w ruchu. Parskała i syczała Einka rzucając kamienie do wózków. Gruz huczał w blaszanych pudłach.

Już łał się pot i soczyste przekleństwa goniły się wzajem dopingując wysiłek.

— Bliżej skipę, ty maślana rączko! — darł się Pańczak na Zemkę.

— Nie stój jak ten dyszel na weselu! — posunął kogoś rozgrzany, uradowany tempem roboty Wilos.

Usuwanie gruzu czyli mokowanie postępowало szybko i z bezkształtnej ciemnej jamy wyłaniało się sklepienie tunelu. Wilos i Kiryło zbliżyli się do przedniej ściany skalnej. Szyftbos podniósł świder i naznaczał nim miejsca do borowania. Kiryło i Wierzbicki po bokach przystawiali się do skały i zaczęli się wżerać świdrami. Dryle huczały i prychały pomału zagłębiając się w kamień i wypuszczając przetarty miążz z wodą.

— Profesor! — Wilos odstał do tyłu i wcisnął świder profesorowi. Ty Kiryło stawaj we środek.

Popchnięty na boczne miejsce profesor przyłożył świder do napoczętego otworu, rozstawił szeroko nogi, podsadził się i ruszył.

Przez chwilę każdy oderwał się od pracy i obserwował. Świder gładko zagłębiał się w skałę idąc w górę pod nieznacznym kątem.

— Do de! — Wilos krzyknął — nie tak! Profesor, stój! Wyrwał świder i sam założył go z powrotem.

— Tu ręce. Ramię wyżej. I prosto, prosto! Rozumie pan? Nie krzywym ściegiem jakby wół najszczał.

Kiryło podsunął się i stanowczym ruchem odepchnął Wilosa. — Idź no stąd do cholery. Damy sobie rady bez ciebie.

Sam nie ułomek Wilos na Kiryłę musiał spojrzeć w górę. Odepchnięty cofnął się, zmełł w ustach przekleństwo i odszedł.

Przez chwilę Kiryło tłumaczył profesorowi istotę poprzednio uczynionego błędu i znów świdry zawarczały zgodnym rytmem.

— Okey — podniósł w górę kciuk Kiryło i sięgnął swoim drylem aż pod pułap. Pod niego podepchnął się Maciejewski.

Wgryzali się w skałę drążąc otwory, w które miały wejść ładunki szykowane przez Suślika i Filka. Wilos sprawdzał zapalniki. Zemko rozpiął druty. Ostatnie skipy z mokiem ruszały do tyłu. Pańczak odtaczał Einke.



Naszpikowana ładunkami ściana gotowa była do wybuchu. Z każdej dziury wybiegał drut i łączył się z innymi w jeden kabel biegnący daleko do tyłu do maszyny zapalającej, przy której czuwał Filek. Wilos kończył sprawdzanie.

— Panowie, zmiatać — zapędzał kolegów w dół tunelu sam biegnąc za nimi.

Przypadli dysząc do ściany, kryjąc się w załamaniach skały. Wilos obejrzał się i policzył wszystkich wzrokiem.

— Filek! Ognia!

Filek nacisnął dźwignię, raz drugi — milczenie.

— Szefie! — zawołał. — Nie działa.

— Cholera! — Wilos oderwał się od ściany wściekły na zacięcie się całej maszyny roboczej. To on powinien był obsługiwać zapalniczkę, ale z prędkości wysłał Filka. — Próbuje. Sam sprawdzałem! — krzyczał do tyłu.

— Musi, przerwa na linii — odezwał się Maciejewski.

— Naturalnie — potwierdził profesor — tam gdzie ściana waliła się.

— Co? — spytał Wilos.

— Nie pamięta pan? Tam gdzie ściana zawaliła się.

— Gdzie?

— Panie szefie! — wzywał Filek. — Co robić? Mam lecieć po nową baterię?

— Rąbać żarówkę! — Pańczak doradzał niebezpieczny, ale czasem stosowany sposób odpalania przez łączenie kabla z prądem oświetlającym tunel.

— Jeszcze raz. Jeszcze raz spróbujemy. — Wilos stał bokiem przy skale odwrócony w stronę Filka.

— Stój — krzyknął Kowalczyk — Profesor — wskazał ręką na postać wspinającą się po kamieniach w odległości kilkunastu metrów w przędzie.

— Stać! — wrzeszczał Maciejewski podskakując do zdętwiałego Wilosa. Wszystko było za późno. Wybuch targnął górą i rzucił ich o ziemię. Zamigotało światło. Zadudniły sypiące się kamienie. Tunel napełnił się dymem.

Pierwszy podniósł się Maciejewski i skoczył w kłębiącą się ciemność. Za nim chwając się wpół ogłuszony Kiryło.

Wilos pomału podnosił się z ziemi i patrzył jak nieprzytomny to na przewalający się dym w przodzie, to w tył na skurczonego Filka.

— Ty... ty skurwysynie!

— Kto kazał raz jeszcze? Kto kazał raz jeszcze? — piszczał przerażony Filek potrząsając rękami przed sobą.

Zasyczało sprężone powietrze. To Wierzbicki, a za nim Zemko i Kowalczyk ciągnęli pajpy i szli rozpędzać dym wybuchu.

Wilos zebrał się wreszcie i ciągnął za nimi światło.

Z opadającego kurzu i dymu wynurzyli się Kiryło i Maciejewski, prowadząc między sobą profesora. Wilos stanął przed nimi oświetlając bladą twarz rannego. Przez czoło i pół łysej czaszki biegła czarna nalewająca się krwią krecha. Szyja, ramiona, podarty podkoszulek były w smugach ziemi i krwi.

— Kabel był przerwany — powiedział profesor — tylko przytknąłem i już...

Uśmiechnął się z trudem i zaczął kaszlać krztusząc się dymem.

— Żyje pan? — zdobył się na słowa Wilos.

— Nie widzisz idioto! — parsknął gniewnie Maciejewski. Szyftbos odzyskał przytomność i zakreślił się, rzucając się do akcji.

— Filek! — komenderował. — Leć po doktora. Pańczak po nosze!

— Nie trzeba — profesor wyzwolił się z rąk podtrzymujących. — Dam radę, tylko chwilkę odpocznę. A panowie do roboty. — Wyprostował się i ręką popchnął Wilosa.

— Jak to?

— Rekord panie Wilos! Rekord.

— Bonus — zaśmiał się Maciejewski.

Wilos wciąż jeszcze nie rozumiał. Inni patrzyli z lękiem na profesora i wahali się co robić.

— Naprzód. Do roboty! — zawołał Kiryło i zagarnął ich wszystkich ze sobą.

Maciejewski szybko zdarł z siebie koszulę i chciał opatrywać głowę profesora, ale ten odepchnął pomoc i tylko chustką od nosa delikatnie tamponował i ocierał ranę. Zostawił mu tę koszulę i jeszcze jedną chustkę i pobiegł za Kiryłą.

Wilos tylko jeszcze stał niepewny, ale zebrał się w sobie.

— Filek! — krzyknął na cały głos, choć ten stał przy nim cały czas. — Do przodka! A pan... — pochylił się pieczołowicie ku profesorowi. — Da pan radę z... z tymi ładunkami?

Profesor skinął głową, wysyłając go naprzód do reszty.

Wilos poszedł, a za nim przesunął się zgarbiony, cichy Filek.

Kiedy nadjechał z railsami Piotruś, profesor przyjął go wyprostowany, swobodny jakby nic się nie stało. Głowę przewiazaną dwoma chusteczkami trzymał wysoko.



Nie skończyli jeszcze swej szyfty, nie wywieźli ostatnich skip, a już Parson z dwoma inżynierami zaczął mierzyć i sprawdzać ile wybrali skały. Wilos został z nimi a reszta wyszła z tunelu na powietrze.

Deszcz siąpił i skrzył się w świetle żarówek, czarna ściana lasu bliska i zgęstniała okapywała szemrząc kroplami, gdzieś w dole nad jeziorem szumiał północny wiatr.

Stali czarni, wysmarowani, okrwawieni, zmęczeni, zziębnięci wdechając w płuca haustami zimną wiosenną noc górską. Pośrodku Kiryło wielki jak skała, obok Maciejewski, profesor z głową białą przewiazaną i inni.

— Pobiliśmy. Chłopaki! Pobiliśmy rekord!

Dobiegł ich z tyłu radosny głos nadbiegającego Wilosa. Wyskoczył z tunelu i roztrzącił ich na boki. Za nim wyszedł Parson z inżynierami.

— *Well done, boys. Well done! Congratulations* — przemówił menażer.

Wyciągnął rękę do każdego potrzęsając gwałtownie. Najdłużej zatrzymał się przed Kiryłą patrząc na potężną postać.

— Patrzcie — zwrócił się do inżynierów — to są polscy chłopcy. *Polish tough boys*. Ja jestem dumny panowie, że mogę z wami pracować.

W tej chwili z boku podsunął się Filek.

— *Mr. Kiryło is Ukrainian, Mr. Parson.*

Kiryło tylko niewiele okręcił się w bok, ale pięść wystrzeliła jak błyskawica i Filek już siedział na ziemi trzymając się oburącz za szczękę.

— Mr. Kiryło — zachnął się Parson — *why you have done it? Why?*

— *It is free country, isn't it?*

Nie patrząc na Parsona, ani na Filka, Kiryło zawrócił się i ruszył ścieżką w dół do baraków. Za Kiryłą szedł profesor, Maciejewski, Kowalczyk, Wierzbicki, Zemko, Suślik, Pańczak i Piotruś.

Wilos przystanął chwilę nad Filkiem, ruszył ramionami i powlókł się za brgadą.

NOTA

Zaraz po wojnie, w ramach akcji uprzemysłowienia Szkocji, podjęto na szeroką skalę budowę elektrowni napędzanych wodą z górskich jezior (*loch'ów*). Woda opadająca na turbiny płynęła licznymi tunelami, które trzeba było przebić w skałach.

Najbardziej znane i największe było połączenie tunelami, przekopami pomiędzy dwoma jeziorami — Loch Sloy (mniejsze i wyższe) i Loch Lomond pod Glasgowem.

Robotnicy pracujący — jak to się popularnie nazywało — w tunelach, przeważnie sprowadzeni z Niemiec z obozów Dipisów, stanowili mieszaninę narodowości; wśród nich Irlandczycy i Polacy, także i byli żołnierze, którzy przeszli PKPR.

Mimo bardzo ciężkiej pracy i trudnych warunków życia w niezbyt dobrze zorganizowanych obozach, wielu szło do tunelu ze względu na wysokie zarobki sięgające 20 funtów tygodniowo (zarobek robotnika niewykwalifikowanego wynosił wówczas około 5 funtów).

Nie zrażały też niebezpieczeństwa i liczne wypadki, poranienia a nawet śmierci spowodowane najczęściej zupełnym brakiem doświadczenia.

Polacy byli cenieni jako robotnicy i polskie brygady brały udział w zdobyciu rekordu świata na przekopanie tunelu w skale — w ciągu tygodnia wywiercono 431 stóp tunelu.

Obce środowisko, praca dotąd nie znana i narzędzia nie używane dotychczas a posiadające nazwy angielskie — to wszystko spowodowało powstanie żargonu „tunelowego”; wydaje się więc pozytywne załączenie krótkiego słowniczka.

SŁOWNICZEK

Ajrysz (*Irish*) — Irlandczyk

Bonus — wynagrodzenie za przekroczenie normy w pracy

Fit, fity (*feet*) — stopy, miara długości

Foryner (*foreigner*) — cudzoziemiec

Dryl (*drill*) — świder

Einca, einka lub emka — maszyna do usuwania gruzu napędzana sprężonym powietrzem.

Jelly, dzely — dynamit plastyczny
Loko (loco) — lokomotywka ciągnąca wagoniki w tunelu
Maszynman — pracujący świderem
Mok — gruz po wybuchu ściany tunelu
Kamp (camp) — obóz, *kampbos* — kierownik obozu
Kubik — oddzielny pokój w baraku
Pajpa — rura, wąż gumowy z wodą albo sprężonym powietrzem
Powdermonkey (wym.: paudermonkey) — odpowiedzialny za materiały
wybuchowe
Relsy, railsy — szyny
Skipy (skep) — wagoniki — wywrotki do wywożenia gruzu
Szyfta — zmiana, *szychta*, brygada robotnicza
Szyftbos — brygadier, starszy *szychty*
Wystrzelić — spowodować wybuch ściany w tunelu
Zabić dryl — unieruchomić świder, np. bez dopływu wody do świdra,
przetarta skała zaciska świder w ścianie.

NA ZACHÓD OD BARANOWICZ

Chce pan wiedzieć jak to było? O tych Burawskich? Kto jak kto, ale ja wiem najlepiej, bo żyłam z nimi prawie przez ścianę. Jak to powiadają, mogłam im do garnka zaglądać. Nikt panu lepiej całej historii nie opowie. Nikt.

Zacząło się w Baranowiczach.

Bo ja jestem z Baranowicz. Zna pan Baranowicze? Nie takie znowu małe miasto jak komu się wydaje. Garnizon duży, a to dla mojego zawodu było ważne, bardzo ważne.

Kim ja byłam? Teraz mogę powiedzieć szczerze. Tyle się ma lat i tyle się przeszło, że tamto już zupełnie jest nieważne.

I co w tym złego, że kiedyś przyjmowałam gości? Tu się to nazywa „hostessa”, pani gospodyni i najlepsze panny na to idą. I zarobek dobry i życie wesołe. Ale do pewnego wieku. Kiedy kobieta nabierze lat i rozumu, to więcej pragnie spokoju, stałości.

Pan zna Baranowicze? Tuż koło koszar Traugutta była mała uliczka a na niej stały dwa „pałace”. Nazywali je tylko tak. Jeden miał okiennice pomalowane na zielono i był „Zielonym pałacem”, drugi miał okiennice białe. W tym białym, lepszym pałacu u „mamaszy” ja pracowałam.

Tuż za płotem koszary i żołnierze chodzili śpiewając:

*„W Baranowiczach uliczka mała,
Na tej uliczce kawiarnia stała
Hej, hojra, hojra, hojra
Na tej uliczce kawiarnia stała.*

*A w tej kawiarni za firankami,
Stoi łóżeczko z poduszczkami...”*

To o nas. Tylko, że żołnierzom wstęp był wzbroniony. Od chorążego w górę. Tak zarządziła „mamasza”, żeby lokalowi reputacji nie psuć.

Najczęściej przychodzili po pijanemu. Nie tyle żeby znaleźć to, co pan wiesz, ale żeby się wypłakać. Kobiet nie brakowało w Baranowiczach i zgrabny przystojny porucznik nie potrzebował płacić pięciu złotych. Ale tamte nie wiedziały, czego najbardziej mężczyźnie potrzeba.

Nas „mamasza” uczyła.

— Co mu twoja... jemu sierca chce się. Sierca. Ot jak. Ty jemu rewliwo, płaczliwo, ty jowo za sierce...

Po co ja panu to mówię? No właśnie żeby wytłumaczyć, że wiem czego mężczyźnie potrzeba. Łóżko to nie wszystko. Jemu daj serce. Pochwal go, pogłaszcz, powiedz jaki mądry, poproś o opiekę, bo on silny a ty słaba. Wtedy chłop czuje się jak sam Pan Bóg i zrobi co zechcesz. Im większe chuchro, im większa oferma, tym bardziej go to bierze.

No widzi pan, ja tej Burawskiej tłumaczyłam nie raz: Ty go traktuj z szacunkiem, mówiłam, jak pierwszą osobę. Onże mężczyzna. Ty mamy nie słuchaj.

— Co ci ta ka... z Baranowicz głowę kręci? — krzyżała pani Bubienko na córkę i goniła mnie precz. Bo trzeba powiedzieć, że obie Bubienki były też z Baranowicz.

Pani Bubienko miała sklep na rogu Szosowej i znała „mamaszę” bardzo dobrze.

No i widzi pan świat jak pustynia ogromna, nieprzemierzony a my w tym malutkim obozie w tym *Summer Camp*’ie musiały się spotkać.

— Pani Bubienko — powiedziała jej z miejsca — ja pani nie znam, pani mnie nie zna, bo inaczej jak pani zacznie mi dobre imię psuć, to lepiej pani było się nie rodzić.

Bo ja byłam szanowna pani Kołodziak, żona chorążego, zasłużonego i przy pieniądzech. Nikt na mnie nie śmiał marnego słowa powiedzieć. Nie to żeby się bali Kołodziaka, bo oferma była jakich mało, niech tam mu światłość wiekuista przyświeca, ale wszyscy wiedzieli, że siedział na pieniądzech. A to ludzie szanują.

Ja byłam... Ach, panie czym ja nie byłam. Na początku w Rosji jak wszyscy bez papierów stawiali się do wojska, to ja byłam pani majorowa Siennicka. Znałam taką panią i bieduli zmarło się na sowieckim posiołku. Pomyślałam sobie, że dlaczego nie mam być majorową? Wojska znałam nie mało. Nawet, jakby pan wiedział, ów ten major Siennicki do mnie przychodził. A ja mu opowiadałam bajeczki jak mnie wujcio uwiódł, jak

mnie tato z domu wyrzucił, jak mnie mąż na ulicę wygnał na zarobek w Brześciu. A on mnie o swej smutnej doli, że go awansować nie chcą, że mu młodszy nogi podstawiają, że żona go nie rozumie, że go zdradza...

No i poznałam na posiołku panią majorową. Chuchro było to i musiałam jej pomagać. Na nic to się nie przydało, umarła na miesiąc przed amnestią. A on, major, zginął pod Kockiem jak bohater.

I ja zostałam majorową Siennicką. Głupio zrobiłam, bo przecież musiał się znaleźć jakiś ich znajomy.

Cóż ja, znałam tylko Szereszew rodzinny i Baranowicze, gdyby nie „mamasza” to bym dwóch słów powiedzieć nie umiała. Zdawało mi się, że dwa kroki od Baranowicz odejdę a już całkiem inny świat, inni ludzie będą koło mnie.

A tu w takiej dalekiej Anglii pani Bubienko podchodzi do mnie i pyta:

— Czy to panna Fela? Z Baranowicz? Od pani Gielstow?

Mnie, żonę chorążego, jedną z pierwszych pań w „kampie” tak zagaduje.

Cóż dopiero w wojsku w Buzułuku. Po miesiącu się wykryło. Sąd zrobili i mało nie wyrzucili na śnieg, ale ujął się za mną jeden major.

— Nie uwłoczyła godności żony oficera polskiego swoim zachowaniem się.

Płakałam naturalnie i opowiadałam różne smutne historie, których się nauczyłam u „mamaszy. I wzięło. Kazali odejść z oddziału do szpitala. Poszłam na sanitariuszkę. A ten major to miał chrapkę na mnie, tylko ja się bałam „uwłaczać” tak zaraz po sądzie.

Ale co ja panu będą opowiadała o sobie. Tu chodzi o Burawskiego. Pan o nim chce wiedzieć wszystko.

Więc oni przybyli z Niemiec. Burawski służył w dywizji pancerniej i przywiózł żonę z teściową jak już obóz nasz był zorganizowany, a wszystkie lepsze baraki zajęte i wszystkie posady obsadzone.

On i tak nie pchałby się ani na kuchennego, ani na magazyniera, ani księdzu do mszy nie chciałby służyć, bo sam był bezbożnikiem czyli ateistą.

Ksiądz go naturalnie nie lubił i trzymał z Bubienką.

Powie pan: Polak i bezbożnik to nie pasuje do siebie. Ma pan rację. Dużo bezbożników i bezczelników między Polakami, ale żaden do tego się nie przyzna. Każdy ksiądz w mankiet, jakby to gwarantowało wygraną na pulu.

Ale Burawski był z Francji. Z dawnych emigrantów. W roku

40 zmobilizowali go do wojska polskiego i tak już został. Podobno chciał wracać do swego Lille, ale teściowa się uparła. Co jej była za różnica we Francji, czy w Anglii w obozie? Widać tak na złość. A może ją inne kobiety namówiły?

Biedny Burawski po angielsku nie umiał, a po polsku nie bardzo się nauczył. Gdy był zdenerwowany, mówił po francusku i niejednego można było się nauczyć. *Merde, sale bête* i inne słówka edukowane.

Był dobrym elektrykiem, pracował kiedyś w zakładach samochodowych, i zaraz znalazł posadę. Nie próżnował, nie rozrabiał, na zebrania nie chodził i nie kłócił się, gdzie mamy wymurować kapliczkę i jak. Pracował i pieniądze przynosił do domu. Dobre pieniądze.

Są tacy mężczyźni. Chodzi toto z głową pochyloną jak dzik, ani się uśmiechnie. Nie zajrzyć mu w oczy, nie zgadnąć o czym myśli. Tak jakby ciągle coś knuł.

Z takimi najciężej, ale sprytna kobieta i z dzikiem umie sobie poradzić. Tylko na osobności, bo taki się wstydzi najwięcej. Poklepiasz go, a on by cię gryzł. Trzeba na ustroniu, ostrożnie, pomału.

Uczyłam tę Olę, ale ona, panie, jak żołnierz w Baranowiczach, tylko komendę rozumiała. W prawo zwrot, w lewo zwrot. I to na cały głos trzeba taką komenderować. A mamuficia Bubienko umiała się rozedrzyć. Córka wtedy biegała jak cyrkówka na sznurku a Burawski zaciskał szczęki, jeszcze bardziej pochylał głowę i przysięgnę, już wtedy widziałam to: oczyma błyskał jak zbój gotów zamordować.

Mieszkali w połowie baraku, beczki takiej, jak to pan wie. Teraz pewnie cały obóz się rozleciał, blaszane beczki porzdzewiały i przepuszczają deszcz, a kapliczka, o którą tak się kłócili, rozmiękła na pewno i wsiąkła w ziemię.

Ciekawa rzecz taki polski kamp. Ni to wieś, ni to miasteczko, ani to obóz wojskowy. Wszystko to razem pomieszane.

Do miasta było niedaleko, tam ludzie w murowanych porządnych domach mieszkali. Na kominku paliło się, kuchnia jak się należy, *sitting-room* i sypialka z porządnym łóżkiem. Można było zaglądać przez okna do tych normalnych ludzi, do ich normalnych mieszkań. Ale naszych pan by kijem z obozu nie wypędził. Gdy przyszło do likwidacji — to zaczęły się zebrania, protesty, chodzenie delegatów, pisanie do gazet i do panów posłów angielskich. Wszystko robili, żeby zostać w tych śmiesznych beczkach, w tych barakach, gdzie dziury w ścianach trzeba było zatykać szmatami.

Ja sama, przyznam się, trzymałam się mocno swego baraku.

Chorąży miał dobrą robotę, pieniądze się odkładało, ogródek przed barakiem ładnie wyprowadzony, kurki swoje. Co więcej chceć? Dokoła sami swoi. Jest z kim poplotkować, z kogo się pośmiać. Na kogo ponarzekać.

Myśleliśmy o przyszłości. A jakże. W niedzielę chodziliśmy do miasta i oglądaliśmy domy. Jaki sobie kupimy? Taki mały jak to się nazywa „bangelow”, albo duży, żeby mieć lokatorów?

Chorąży nie doczekał. Okazuje się raka miał biedak i umarł nim z tego obozu zrobiła się ruina. Płakałam, bo to człowiek na darmo pracował, zabijał się, a rezultatów nie zobaczył. Został tyle pieniędzy, że jak pan widzi kamieniczkę ładną w Londynie kupiłam i dawno już o obozie zapomniałam. Przy lokatorach to na wspomnienia czasu nie ma.

A teraz, że to pan zapytał, wszystko znowu wraca.

Najbardziej pamiętam kaplicę. Ileśmy się naskładali, żeby zmienić ten barak ponafijski w jakiś polski kościół. Był w obozie pan Kuładziński, bardzo zdolny człowiek, i malarz, i figury lepił z gipsu albo cementu, i wierszyki na akademie układał.

Co ładne w tej kaplicy — to wszystko ten pan Kuładziński wyrobił. O wszystko też się z księdzem kłócili, bo jeden chciał tak, a drugi inaczej. Jak przyszło do stawiania kapliczki — to pan Kuładziński w końcu manatki spakował i wyjechał.

— Opuszczam — mówił — to centrum plotek i ciemnoty.

Niby to o księdzu, że uparty był w swoich przekonaniach.

Rzeczywiście proboszcz nasz miał swoje upory. Dobry był zasadniczo, tylko za dużo z „szatanem walczył”.

— Szatan świat pod swe panowanie zagarnia — wołał do nas, swoich parafian — jeden ksiądz was obroni od szatana.

Musiał mieć siły do tej walki i okazuje się tylko dżin mu pomagał. Silny on z natury był bardzo, wielki jak góra i głowę miał niby ceber, ale widać szatan też nie ułomek, bo tylko po buteleczce dżinu proboszcz bił diabła jak chciał.

Rano chodził po obozie z czerwonymi oczyma i bladą twarzą a jak otworzył usta to pachniało wódką.

— Ciężką miałem walkę z szatanem, moi mili — powiadał nam kiwając wielką głową. — Sił już na te zmagania nie starcza.

Mogliśmy mieć gorszego proboszcza. Nasz to przynajmniej za babami nie latał i regularnie w niedzielę sumę odprawiał.

Zbierało się wtedy w kaplicy wiele luda. Z Baranowicz, z Zimnej Wody, z Drohobycza, z Białegostoku...

Z całej Polski. Stali zgnieceni, bo kaplica była mała, siedzieli na skrzypiących krzeselkach, szarzy i spoceni, poważni i smutni. Gdy zaśpiewali to jakby we wsiowym kościółku, jakby u siebie. Takie same baranie głosy, taki sam żal.

Mieliśmy nawet fisharmonię, na której pan Drostek, nasz nauczyciel, grywał. Podobno fałszował, ale ja się nie znam, nie mogę powiedzieć.

Mama Bubienko na samym przodzie siedziała rozpierając dzieci, które miały pierwszeństwo do ołtarza. Obok niej córka, Ola Burawska, z wielkim brzuchem. Jego naturalnie nie zobaczyć w kościele. On był bezbożnik.

Ile razy stara Bubienko się żegnała z rozmachem, można było przysiąc, że żegna się za swego zięcia, który sprzedał się szatanowi. Bezbożnik to on był i sam o tym mówił szczerze, ale grzeszył mniej od innego chrześcijanina. Nie pił, nie grał w karty, tylko czytał różne książki po francusku, po polsku i nawet po angielsku. Wolno bardzo czytał i z trudem. Jak mu się pożyczyło jaką książkę, to miesiące całe trzymał. A jak nie czytał — to siedział przed barakiem i patrzył w niebo albo coś tam majstrował.

Pan wie, w takim obozie każdy był majstrem. Mieliśmy swoje własne meble, szafki, stoły, krzeselka. Porobili okna wielkie i szerokie, poobijali ściany od środka na zimę, wyporządzili podłogi. To już nie baraki były ale prawdziwe pałace. Każdy starał się jak mógł.

Burawski okazał się jednym z najlepszych majstrów do takich rzeczy. A robił tak szybko, że robota furczała. Zwłaszcza jeżeli chodzi o elektrykę, to lepszego nie znaleźć nad niego. Przecież to jego zawód. Kto chciał jakiś piecyk założyć albo światło lepsze zaprowadzić — to tylko do Burawskiego. Pieniądzy za to nie brał jak inni. Ale wszystko musiało iść z licznika, żadnych machlojek, żadnego kradzenia prądu, włączania się do linii. Taki uczciwy.

Tak to, panie, z bezbożnikami. Chce być lepszy i uczciwszy. Nie grzeszy, nie chodzi do spowiedzi, nie płacze za winy, ale nie boi się Boga i jak przyjdzie co do czego — to nie ma nic co by go powstrzymało.

Ksiądz Burawskiego naturalnie nie lubił; chociaż nie ganił go publicznie, tyle tylko, że powiedział czasem coś o szatanie, który osiedlił się między nami i że to są tacy, którzy w grzechu wolą żyć, niż do kaplicy przyjść, żeby związek przed Bogiem zadokumentować.

Burawski naturalnie jako ateista ślub brał w urzędzie niemieckim, bez błogosławieństwa i bez welonu u panny młodej.

— Oni, pani droga — rozповідаła mama Bubienko — w grzechu żyją. To nie jest ważne i jak tylko mojej Oli ta łuska z oczów zleci, to pani zobaczy, droga pani, to nie potrwa, nie potrwa...

Mamie Bubienko odpowiadała taka sytuacja. Wciąż miała nadzieję znaleźć dla córki królewicza.

— Modłę się, droga pani, o to, modłę dzień i noc, aby Oleńka przejrzała.

A ksiądz walcząc z szatanem na pewno miał też na myśli ponurego, patrzącego wilkiem Burawskiego.

Wojna rozpałała się na całego, kiedy Burawski zabrał głos w sprawie kapliczki. Po co poszedł na to zebranie? Nigdy nie interesował się życiem obozu, nie kłócił się o to czy ma być parafia, czy koło kombatantów, nie stawał po tej stronie ani po tamtej. Raz go chcieli wybrać do Zarządu, ale powiedział, że nie, i koniec. A na to zebranie poszedł.

Ksiądz powiedział, że jak nas nie stanie — to musi po nas zostać jakieś widome świadectwo na tej ziemi, która nam dała schronienie. Ładnie to powiedział i wszystkich ujęło. Postanowili zbudować kapliczkę murowaną. Taką jak u nas czasem stawiają na pamiątkę różnych cudownych zdarzeń.

Pan Kuładziński zaraz powiedział, że jak kapliczka to drewniana wedle polskiego zwyczaju, Męka Pańska przydrożna.

Nim zebrali jednego pena na budowę, już zaczęli się spierać.

Wtedy głos zabrał Burawski i zaproponował, żeby zamiast na kapliczkę zaczęli zbierać na cele kulturalne i że dość u nas potrzeb innych, jak na ten przykład pan Rzeszko, staruszek, któremu nie ma kto nawet łóżka posłać.

— Stwórzmy opiekę społeczną — wołał Burawski.

Nieskładnie mu to wszystko szło, bo po polsku tak jakby nie umiał i co dwa słowa po francusku gadał i nikt nie rozumiał. Kiedy skończył, nikt mu brawa nie bił. Jakby nic wrócili do swojej sprawy: murowana, czy drewniana.

W końcu wybudowali murowaną i żeby pan wiedział, że za pieniądze Burawskiego. Ironia losu, można powiedzieć. Ale to było później, znacznie później już po wszystkim.

Tymczasem ksiądz wypowiedział wojnę bezbożnictwu.

— Są tu wśród nas w polskim naszym narodzie czciciele szatana — wołał na kazaniu w niedzielę najbliższą — żyją sami w grzechu i złe siły na nas sprowadzają. Złe się dzieje w naszym społeczeństwie, jeżeli nie ma nikogo, kto by się nie sprzeciwił ludziom grzesznym i zaprzańcom, sługom ciemnych sił...

— Matrono polska — krzyczał — czy możesz dozwoić, aby twoje dziecię w grzechu żyło bez katolickiego ślubu?

Cicho było w kaplicy, bo wszyscyśmy zdrętwieli na takie słowa. Tylko ksiądz sapał i słychać było chlipywanie Bubienkowej.

— Ludzie chrześcijańskie — publicznie płakała potem przed kaplicą — co ja winna? Co ja winna? Otumaniał mi córkę, ocza-

rował z pomocą złego i nic nie mogę poradzić. Mówiłam jej: Ola nie gódź się bez ślubu chrześcijańskiego. Płakałam, kiedy jak Żydy jakie do urzędu niemieckiego szli, ale co poradziłam? Co poradziłam?

Dostał ksiądz za swoje po tym kazaniu. Pan Kuładziński i pan Nadrzyński prezes Zarządu i pan Wurczyk z Koła Kombatan-tów wzięli go w obroty za takie słowa.

— Co ksiądz sobie myśli? W jakich czasach my żyjemy? To nie średniowiecze, nie parafia piekucińska, nie Górki Małe. My mamy wiek dwudziesty, druga połowa wieku dwudziestego tu jest wolność słowa i wolność sumienia.

— Księżę proboszczu — wtórował pan Nadrzyński panu Kuładzińskiemu — wie ksiądz co powie Warden, gdy dowie się o tym kazaniu? Zażąda przeniesienia proboszcza. Niech się ksiądz liczy z tym, że w tym kraju ślub cywilny jest równie ważny co kościelny.

— Ważniejszy — odpowiedział Wurczyk.

— Chrześcijanie! Chrześcijanie! — ksiądz trząśł głową jakby nie rozumiał czego od niego chcą i zaraz poszedł „walczyć z szatanem” u siebie w baraku.

To kazanie niczego nie zmieniło, ale mamie Bubienkowej zakreśliło w głowie ze szczeniem.

Dobrze, że Ola o tym wszystkim nie wiedziała, bo właśnie była w szpitalu. Rodziła. Przyszedł na świat mały Burawski taki sam czarny jak ojciec.

— No — powiedziałam — teraz się wszystko uspokoi. Dziecko ich pogodzi.

Faktycznie tak powinno było się stać. Mama Bubienko została babcią i miała koło czego chodzić. Ola też powinna bardziej zająć się dzieckiem i mniej wodzić oczyma za Burawskim. A on dla dziecka mógł poświęcić swoje przekonania i w dodatku rozchmurzyć się. Już nie był sam, było dwóch Burawskich.

Ilu ja znałam takich mężczyzn co modlili się, żeby mieć syna, przysięgali, że nigdy by już kieliszka nie wzięli do rąk, nigdy by na złe ścieżki nie zstąpili. I często tak się działo. Jedno małe, nieporadne dziecko zmieniało życia wielu dorosłych.

Burawskim też zmieniło, ale jak, ale jak...

Wie pan, to takie smutne, że dziś jeszcze nie mogę powstrzymać się od płaczu.

Weź pan tę Olę, jaka to była śliczna dziewczyna. Biała jak mleko, oczy niebieskie jak te kwiaty polne, włosy złote. Polska prawdziwa wiosna.

Ładne tu są dziewczuchy, nie można im nic zarzucić, zwłaszcza gdy się wymalują, wysztafirują. Ale wdzięku takiego nie mają.

Albo patrzy przed siebie jak wpółumarła, albo uśmiecha się niby aktorka spalonego teatru. Tak nazywała głupie dziewczuchy „mamasza” w Baranowiczach. A kiedy taka angielica zacznie mówić, to jakiś charkot przez nos wydaje ze siebie.

Ola była prosta dziewczyna, ubrana chodziła jak to nieszczęście, byle jak i za tanie pieniądze. Burawscy, jak wszyscy, oszczędzali na czym tylko mogli. Ale, panie, jak ta Ola się uśmiechnęła... Nie dziwić się Burawskiemu, że światła nie widział poza nią.

Potem to ta miłość przeszła na syna. Chodził koło niego na czubkach palców i chuchał, i dmuchał, i uśmiechał się nawet. To był jedyny raz, że Burawski się uśmiechał. Do swego syna.

Urodził się synek pod koniec lata. Na jesieni zaczęły się na dobre awantury o chrzest.

Wszystko to na naszych oczach i uszach. Trudno coś w obozie ukryć. Ściany cienkie jak papier i sąsiedzi ciekawi.

Drugą połowę baraku obok Burawskich zajmowała wdowa, głucha jak pień. Zarabiała szyciem i sztuczną biżuterią.

Trzeba panu wiedzieć, że ta sztuczna biżuteria niejednemu kupiła domek po wyjściu z obozu. W dzień pracował w fabryce a wieczorem brał się za wklejanie szkiełek do broszek i naszyjników. Pan Gromaka miał ten interes na cały obóz. Jeździł raz na tydzień do Londynu i przywoził robotę, którą rozdzielał wedle własnego widzimisię. Trzeba było z nim dobrze żyć, bo jak człowiek otrzymał trudną robotę, to ani pena na godzinę nie wyciągnął. Ja sama ślęczałam nad tymi kamuszkami, chociaż chorąży na mnie krzyczał. Ale *money* jest *money* no nie?

To myśmy do tej pani Lenczyk schodzili się niby to z robotą krawiecką, niby to na wspólne wklejanie kamyczków, a właściwie posłuchać, jak się Bubienkowa z zięciem kłóci.

W dzień jak Burawski był w pracy — to babcia chodziła koło swego wnuka i opowiadała wciąż jak to ładnie będzie, kiedy oni wszyscy wyzwolą się od tyрана.

— Pojedziemy, Dzidzieńku, do Manchesteru. Kupimy sobie sklep z mieszkaniem i będziemy sprzedawali wiktuały. Cichutko, spokojnie, zacisznie. Nikt nam nie będzie krzyczał, nikt nam nie będzie nad głową się pieklił. Żaden cham francuski, żaden tyran cudzoziemski...

Chciało się uderzyć w ścianę baraku i zawołać:

— Gdzie pani pojedziesz? Za czyje pieniądze? Za czyje funty pani kupisz ten sklep? Do czyjego syna to pani prawisz?

A ona znów na inną nutę:

— Ola, jak on tylko przyjdzie, masz mu powiedzieć, że koniec. Koniec zaraz na miejscu. Niech się wynosi na cztery wiatry.

— Mamó, on-że mój mąż...

— Jaki mąż? Psi tak ze sobą żyją nie ludzie. Ślubu nie było, to on żaden mąż.

— A Francio?

— Syn jest twój. Syna on nie śmie dotknąć. On go urodził, on boleści przechodził? On tylko...

Czasem jak mama Bubienko rozpuściła język — to gadała takie rzeczy, że za podobne słowa nasza „mamasza” w Białym Pałacu w Baranowiczach po twarzy biła.

— Ty szanuj żenszczyzną w sobie. Ty bładź...

Mama Bubienko nie szanowała kobiety ani w sobie, ani w córce swojej.

Raz nie wytrzymałszy powiedziałam jej to w oczy. Dlaczego nie? U mnie nie kupić. Jak uznam że przyszedł czas, to wygarnę każdemu. Opowiedziałabym panu, jak utemperowałam naszego komendanta szpitala, który za dużo sobie pozwalał. Ale czas ucieka i pan tylko tych Burawskich ciekaw.

Więc w oczy prosto wypowiedziałam mamie Bubienko, co myślę o jej postępowaniu.

— Pani małżeństwo rozbija. Pani dziewczynę od męża odmawia. Pani nieczystą robotę robi, pani Bubienko.

— Ach ty kurwo z Baranowicz — zaczęła na mnie wrzeszczeć publicznie na ulicy obozowej. — Ty się do moich rodzinnych spraw nie wtrącaj. Ty sprzedajna ulicznico. Ty dziewczko.

— To były dawne czasy pani Bubienko — odpowiedziałam jej spokojnie. — Nawet Chrystus jawno grzesznicy przebaczył. Ale to co pani w Niemczech wyprawiała, to nie da się ukryć, pani Bubienko. Kto puszczał się ze Szkopami na robotach? Kto własne dziecko wypędzał na zarobek? Kto na kolanach błagał Burawskiego, żeby was zabrał z obozu, bo ludzie mieli dosyć i chcieli wam łby ogolić?

Jak jej wypomniałam prawdę to rzuciła się na mnie, bo innych argumentów rzeczywiście nie miała.

Na końcu, gdy ludzie nas rozdzielili, przekleła mnie.

— Żeby na ciebie pomór i choroby, żebyś jałowa była wiedzmo i żeby ci się jedzenie w truciznę obracało...

Ja się nie lękam zabobonów. Nie jeden raz mnie przeklinali, bo twarda byłam dla innych i dla siebie. Życie nauczyło. Jednak tej Bubienkowej, to się bałam. I miałam rację.

Przekleństwo czy nie, ale po miesiącu chorąży poszedł do szpitala i już nie wyszedł z niego.

Chudł w oczach i ludzie w obozie gadali, że go przez skąpstwo głódzę. A to rak już go zjadał od środka. Jak go rozkrajali, to powiedzieli, że na wszystko za późno. Zabrali go w strasznych bólach w listopadzie, a w lutym już leżał pod ziemią.

Najgorsze dla mnie czasy przypadły właśnie na tę awanturę, o którą pan pyta.

Ja panu powiem, to że ochrzcili małego Franka to moja w tym zasługa.

To przekleństwo Bubienkowej za mną chodziło i żarło mnie. Pomyślałam sobie więc, że jak się przyczynię do czegoś dobrego, to mi minie. Wzięłam więc Burawskiego na rozmowę.

Pan wie, że z mężczyznami umiem gadać.

— Panie Alojzy — przemawiałam mu do rozumu. — Panu na tym nie zależy, ale weź pan pod uwagę Olę. Ona wierząca dziewczyna i dla niej to znaczy niemało. A syn pana jak dorośnie, będzie mógł być czym zechce, nawet samym biskupem bezbożników.

— *Sale bête* — powiedział — ona chce syna mi ukraść.

— Nie ukradnie. A nawet jakby i tak było — to czy chrzczoney czy nie, nie robi różnicy.

I zgodził się. Babcia Bubienko zrobiła z tego imprezę nie gorszą niż akademie Trzeciego Maja. Na rodziców chrzestnych zaprosiła pana Nadrzyńskiego i żonę naszego Wardena. Mrs Kay. Tylko okazało się, że ona protestantka, więc w jej imieniu występowała w kościele pani Gromaka.

Ona ubrała się w jasną sukienkę i drżała z zimna, bo matka kazała jej płaszcz zostawić w przedsionku kaplicy.

Sama Bubienkowa zachowywała się jak najważniejsza osoba. W futrze z wyskubanych źrebaków, w kapeluszu i z woalką. Straszna była pompa, tylko że przyjęcie się nie odbyło, bo ksiądz nie życzył sobie przestąpić progu domu bezbożnika, a bez księdza co za uczta? Burawskiego w kościele nie widziano. Siedział w tym czasie w świetlicy i rozmawiał z panem Kuładzińskim, który o tę drewnianą czy murowaną kaplicę z księdzem walczący nie spieszył się do kościoła.

Po chrzcie jakby przycichło.

W obozie proszę pana to nie jedno nieszczęście, nie jedno zmartwienie, żeby już o niczym innym nie myśleć, niczym się nie zajmować tylko Burawskim i jego teściową.

Właśnie po raz któryś wybuchła wiadomość, że na wiosnę najdalej będą nas likwidować. To miało być najzupełniej pewne i zebranie za zebraniem radziło, do kogo się zwrócić, do kogo protestować.

Mrozy nadeszły i kłopoty z węglem. Ludzie gadali, że magazynier kradnie, chodzili do Wardena na skargę. Łuczyk z Niwiaszkim pobili się właśnie o węgiel, a Żaczyński oskarżył Jadoniecką przed policją, że mu podbiera koks.

Mój chorąży był w szpitalu po operacji. Co drugi dzień tam

jeździłam i wyklócałam się z siostrami o lepszą opiekę. A całymi dniami męczyłam oczy przy sztucznej biżuterii. Musiałam z czegoś żyć, bo fabryka przestała płacić po miesiącu i kapitału nie chciałam naruszać.

Miałam tyle kłopotów i nieszczęść, że o Burawskich nie myślałam.

Faktycznie przyszła do mnie w grudniu pani Szymczyk.

— Pani Kołodziak — powiedziała — z Burawskim bardzo źle. Bubienkowa rozgaduje po obozie, że on przysiągł ją zabić. Z siekierą podobno na nią się rzucił.

— Szkoda, że nie zabił — rzekło mi się samo.

— Może to i prawda, bo ona dąży do unieważnienia małżeństwa i córkę chce do Manchesteru zabrać ze sobą.

Z tym Manchesterem to było tak jak u każdego w obozie. Taka legenda. Ktoś kiedyś przeniósł się do Manchesteru i napisał do Bubienkowej, że mu się świetnie powodzi. To ona nie widząc, nie znając, nie wiedząc nic o tym mieście, stale ten Manchester miała na ustach.

U innych był to Leicester, Nottingham, Bradford czy inne miasto. Londynu to jakoś się bali, o Londynie nikt u nas wtedy nie mówił. A przecież w Londynie najlepiej; ja się przeprowadziłam i sobie samej winszuję.

I naturalnie choć każdy mówił o jakimś mieście, nikt nie miał zamiaru się wyprowadzać. A jak tylko pogłoska się rozchodziła, że obóz likwidują, to wszyscy krzyczeli ze zgrozy.

I ja nie wierzyłam w ten Manchester pani Bubienko.

— Czemu pani do mnie z tym pani Szymczyk? Jeżeli już jest obawa jakiejś tragedii, to lepiej iść do księdza, do Zarządu, do Wardena, do policji nawet.

— Pani na niego ma wpływ, pani Kołodziak. Pani jednej on się posłucha.

— I co? Mam mu powiedzieć, żeby puścił żonę, żeby oddał dziecko i wyniósł się na cztery wiatry albo wrócił do Francji? Do niej, do Bubienkowej trzeba iść i jej do rozumu przemówić.

— Ale kto?

— Ksiądz. Jeden ksiądz proboszcz. Ona tylko w księdza wierzy.

I wie pan co? Nie tylko ja miałam ten pomysł. Sam Burawski udał się do księdza. Nikt o tym nie wiedział, dopiero potem wyszło na jaw, że nieszczęśliwy Burawski rozmawiał z księdzem i ksiądz obiecał mu pomóc.

Nie był on wcale zły ten nasz proboszcz, tylko zapalczywy. Ale naturę ludzką rozumiał i przy spowiedzi czasem tak przemówił do serca, że na miesiąc grzeszyć się odechciało.

Ksiądz obiecał porozmawiać z Bubienkową, ale już nie zdążył.

Po pierwsze nie miał czasu. To było tuż przed świętami. Wiadomo, roboty było wiele, i kaplicę wyszukać, i choinkę obok ołtarza ustawić, i kolędę zorganizować. A najważniejsze chór.

W tym czasie nasz proboszcz objął sąsiedni obóz, który był w stanie likwidacji. Musiał jeździć tam z obowiązkiem i pociechą religijną. Więc sam pan widzi, że sprawa Burawskich z przyczyn niezależnych weszła w złe stadium.

Jeszcze w piątek rozmawiałam z nim. Szłam do siebie od autobusu wieczorem. On siedział przed barakiem. Chociaż zelżał mróz i śnieg się roztopił — to jednak było chłodno i przejmująco tak jak zawsze w tym kraju.

— Co pan robisz na dworze, panie Alojzy? — przystanąłam koło niego.

— Czy to ładnie tak siedzieć na zimnie — powtórzyłam bo nic nie mówił — jeszcze pan się zaziębisz.

— Nie ma placu dla mnie w tym domu — wreszcie się odezwał.

— Jak tam, Ola zdrowa, a Franeczek?

— Oni są zdrowe, a jakże. Oni zdrowe.

— Niech się pan nie martwi, panie Alojzy, wszystko się ułoży.

— Pani Kołodziak — Burawski podszedł do mnie tak blisko, że się trochę przestraszyłam — ona go zabierze. Ona wszystko chce zabierać.

— Niech pan temu nie wierzy. Gdzież one pojedą, za co będą żyć?

— Ona ma pieniądze. Ona pojedzie do Manchester.

— Dał pan jej pieniądze?

— Nie. Ja schowałam pieniądze *dans le cache*. Ale ona ma swoje pieniądze. Ona ucieknie. Ale ja nie dam. *Je tue* — co znaczy że zabije ją — *Je tue moi, je tue mon fils...*

— Nie mów pan takich rzeczy po nocy. Nie zabijesz pan nikogo, a wszystko się ułoży najlepiej. Wychowa pan sobie syna, może i córkę w przyszłości...

Nie było co z nim gadać. Bałam się nawet go, bo wyglądał na wariata. Z oczu patrzyło mu niedobrze, bardzo niedobrze. A na drugi dzień zabił żonę, zabił syna i poranił teściową. Jak to się stało, nikt nie wie. Nie było świadków i nikt nie słyszał nic, bo sąsiadka, wdowa Lenczyk, głucha jak pień.

Tylko tyle wiedzieliśmy, co zeznała Bubienkowa przed sądem. Nawet rozprawę dla niej odkładali, żeby się wyleczyła z ran.

— Weszłam — powiedziała — do baraku, a on stał nad

łózczykiem dziecka z siekierą okrwawioną. Krzyknęłam i wtedy spojrzął na mnie dzikimi oczyma. Chciałam uciekać, ale coś mnie w tył głowy uderzyło i nic już nie pamiętam.

Zabitej córki, leżącej we krwi z raną w głowie, nie widziałam.

O tragedii dowiedzieli się wszyscy, gdy Burawski wbiegł na świetlicę. Stał u wejścia i rozłożył okrwione dłonie jakby pokazywał wszystkim.

— Zabiłem żonę, zabiłem syna — zawołał takim głosem, że wszyscy się zerwali od stolików.

A potem już tylko po francusku gadał najróżniejsze słowa które nie wszyscy rozumieli: „*Merde, putain, sale bête*”...

Pierwszy dobiegł do baraku pan Wurchyż. Nic już nie dało się zrobić. I dziecko i matka były nieżywe.

Zadzwonili po policję. No i resztę to pan wiesz z gazet i z sądu. Co więcej dodać do takiego nieszczęścia.

Może to, że po sądzie pani Bubienco oddała pieniądze księdzu.

— Nie chcę, powiedziała, tych krwawych funtów, niech ksiądz proboszcz nimi rozporządzi. Mnie tylko tyle, żeby grób córki i wnuka jako tako oporządzić. A dalej sama sobie będę radzić.

I ksiądz postawił kaplicę murowaną. Żeby przebłagać za straszny grzech i na pamięć polskich wychodźców, którzy mieszkali w tym obozie.

Obóz się rozleciał, baraki zgniły i kapliczka pewnie też się rozpadła.

Burawskiego nie skazali na śmierć. Powiedzieli, że wariat i nie wiedział co czyni. Zamknęli do zakładu, ale mu to nie pomogło. Trzy razy próbował się zabić, za czwartym razem udało mu się.

I tak się to wszystko skończyło. Gdy pochowałam chorążego w lutym — to rzuciłam ten obóz bez żalu. Dziś, jak pan widzi, mam domek niemały i żyję z lokatorów, co nie jest rzeczą lekką i wrogowi bym nie życzyła.

Jeżeli pan chciałby dowiedzieć się czegoś jeszcze w tej sprawie, to niech pan porozmawia z panią Bubienco. Mieszka tu w „bejzymencie”.

Biedna kobieta zupełnie zniszczona. Ale czy ona chciała źle? Robiła to co wiedziała. Ileż to kobiet nie umie dać sobie rady z mężczyznami. A to takie łatwe, trzeba tylko go brać z włosom i prosto do serca.

Jak pan chce z nią rozmawiać niech pan zjeździe tam w dół. Tylko nie wiem, czy pan ją zrozumie. Biedaczce pomieszały się Baranowicze z obozem. Sama nie wie, gdzie co się odbywało.

K A Z I O

- Co pan umiesz?
— No... szyć... Jestem krawcem...
— Ale co pan umiesz? Marynarkę pan zrobisz? Spodnie pan uszyjesz?
— Skończyłem kurs kroju i szycia, przez sześć miesięcy praktykowałem u londyńskiego krawca.
— A te marynarkę co pan ma, sam pan szyłeś?
— Sam.
— Na psie frak.
— Co?
— Leży jak na psie frak.

Pan Stasio był mały i zadzierał głowę gdy mówił, siląc się na powagę i stanowczość. Żeby nie wiem co zrobił zawsze wyglądał jak podskakujący Wańka-Wstańka w opadających spodniach. Te spodnie były jego utrapieniem. Za każdym ruchem podciągał je łokciami, które stale przyciskał do boków. Do gestykulacji pozostawały małe grube rączki o wałeczkwatych palcach.

Mówili mi wszyscy: Nie idź pan do Polaków, idź pan do Żydów. Żydzi, panie, najlepsi *boss*'owie. Żyją, ale płacą. A Polacy gnają z robotą, siedzą na karku i piłują, a jak dojdzie do płacenia to zarwą. Polski *boss*, panie, najgorszy. Lepszy Szkot, a najlepszy Żyd.

Na początku spróbowałem Szkotów. Byli uprzejmi i wścibscy. Wypytywali o przeszłość bliską i daleką. Od Kościuszki po PKPR. Współczuli z naszą Ojczyzną i obiecywali, że może później, może kiedyś, jak interesy się poprawią. Nie sezon.

Spróbowałem Żyda. Pearl & Co na bocznej od głównej ulicy. Wystawa wcale porządna jak na owe czasy, gdy materiały były

trudne do nabycia. Kilka tweedów i dwie marynarki zabite fastrygą.

Mr. Pearl był gruby i spocony, po krawiecku w kamizelce.

— *Polish?* Polski? — zapytał już po kilku moich słowach.

— Mister Stasio! — zawołał w głąb lokalu. — *Come here. Your countryman, speak with him. You speak Polish with him.*

Tak poznałem pana Stasia, głównego krojczego spółki Pearl, córka i Company.

Nasze *interview* nie wyglądało zachęcająco. Pan Staś wyraźnie używał sobie na zdeklasowanym inteligencie, grając rolę waźniaka.

— Co pan umiesz?

— Mister Pearl — zwróciłem się do właściciela bezpośrednio

— *Try me. If I am good, O.K., if bad, good bye.*

— *How much?*

— *If I am good you give good money, if bad — bad money. O.K.?*

— *Take him mister Stasio. Try him.*

Pan Pearl zrobił na mnie wrażenie człowieka rzeczowego. Gdyby nie wielki brzuch i łakome wydęte wargi byłby okazem energii.

Moja pierwsza pracownia krawiecka mieściła się na poddaszu. Poza sklepem na dole był tylko mały pokoik, gdzie siedziało Rosa, czyli panna Pearlówna, i łamała rudą głowę nad rachunkami. Tam też siadywał sapiąc sam Pearl i przeprowadzał konferencję z panem Stasiem, z panem Miszą, z panem Brownem.

Wszyscy tu byli panowie. Między sobą mówili na ty z różnymi dodatkami zależnymi od pogody i humoru. Ale wobec mnie stroili się w dostojeństwo majstrów cechowych. Choć żaden z nich prawdziwym majstrem nigdy nie był.

— Masz pan włosiankę. Umiesz pan pikować?

Pan Stasio posadził mnie przy stole na środku wielkiego pokoju pod szklanym dachem.

Pod ścianą miał swój wielki stół do krajania. Pod drugą siedział Misza a obok niego chudy Brown. Naprzeciwko Helenka pochyłała nad wykańczaniem swój po mazowiecku zadarty nosk i w rogu sterczał nastrozony, pół dziki Kazio.

Siedziałam na samym środku jak okaz zoologiczny obserwowany ze wszystkich stron.

O piętro niżej gnieździła się pracownia chemiczna zaopatrująca zakłady fryzjerskie w dziwne, dziwnie śmierdzące płyny. Co rano zalewało nas stamtąd falą zgnitych jajek.

— To do trwałej ondulacji — objaśniał Brown.

— Ze też kobieta smaruje takim gównem włosy?

— To ty nie wiesz co baby robią dla piękności — odezwał się ze swego kąta Kazio. — U nas na wsi jedna sobie krowim łajnem obkładała twarz każdej nocy.

Ten Kazio na wszystko miał jakiś przykład, historyjkę najbardziej nieprawdopodobną. Nikt by mu nie wierzył, ale sam Kazio wygląd zmuszał do zastanowienia. Włosy miał sterczące jak u przestraszonego dudka, oczy niebieskie niewinnie patrzące, gębę szeroką i kanciastą. Nigdy nie uśmiechał się wypowiadając największe brednie. Zawsze mówił z żarliwą powagą.

— A jej sąsiadka, nazywała się Kalina Porchowiakowa, to piła krew byczą, na płuca podobnie. Co rano chodziła do rzeźni i szklanek ciepłej, gęstej krwi na czczo. Zagryzała serwolatką.

— Kazik przestań słonia za jaja bujać — strofował Misza. — Co ty możesz wiedzieć co w twojej wsi było. Miałeś może dwa lata jak was wywieźli na roboty do Niemiec.

Kazik był najmłodszy z kompanii, ale znowu nie taki młody jak kpił z niego Misza. Miał swoje dwadzieścia kilka lat i zapewne swoje przejścia wojenne. Jakie? Z tego co sam opowiadał trudno było się połapać w jego historii. Naturalnie odrzucając wszystko nieprawdopodobne i przesadzone.

— Baby to są cholery — rzeczowo stwierdził pan Stasio — taka kurwa wszystko zrobi, aby złapać chłopa.

Popatrzyłem w tej chwili na Helenkę. Udawała że nie słyszy, albo już dawno okrzepla na tego rodzaju pogaduszki. Spojzenie, jakim obrzuciła kostropatego Kazia, nie miało w sobie wyrzutu, ani złości.

Ja pracowałem szybko. Musiałem się pokazać. To była moja pierwsza prawdziwa praca i pierwsza ambicja.

Ciachałem ścieg za ściegiem utrzymując je z trudem w równej odległości i wypikowując na twardej podkładce wzór choinki albo obdartego z mięsa śledzia. Podkładka jak pancierz wymodelowana miała usztywniać przody marynarki. To nie był kawałeczek klejonki, jaki dawał MacCann, mój szkocki nauczyciel, ale przód od ramion po połę sztywny i sprężysty. W tym leżała tajemnica „kontynentalnego” kroju. Marynarka jak puklerz, szeroka i nie łamiąca się.

Wypikowałem do obiadu cztery przody. Pan Stasio pochyłony nad krajaniem uśmiechał się złośliwie.

— Do cholery — myślałem — czego się spieszę? Na czym mi zależy. Nie ten krawiec to inny. Co mam się pokazywać przed tymi chamami.

A jednak ta cholerna ambicja. Ja, kapitan artylerii, wykształcony, bywały w świecie, człowiek z ambicjami kulturalnymi, ze złotymi złożami inteligenckich myśli, ja staram się przypodobać

takiemu gnypowi, takiemu niewyrośtemu ze spodni gówniarzowi Stasiowi? Tfu!

— *Rabotaj, robotaj* — wołał Kazio do Miszy niby to, a słowa jego trafiały mimochodem w moją głowę. — *Arbeiten, arbeiten.*

— Takie to czasy nadeszły, że wszyscy muszą pracować — Stasio oderwał się od swoich nożyc, podniósł głowę i podciągnął spodnie — inteligent nie inteligent, pułkownik czy kapitan. Teraz wszyscy równi. Jak chcesz mieć *money*, to bierz się do roboty.

— Nie sztuka pracować, ale sztuka nic nie robić i forszę mieć — zaśmiał się Misza. — Każdy głupi potrafi pocić się, trzeba umieć kombinować.

— Jak nasz szef? — zapytał Kazio.

— Co tam szef — zaperzył się Stasio. — On kiedyś wpadnie. Ja wam powiadam, że on kiedyś wpadnie. Za te moje pięć funtów życzę mu najgorszego.

— Szefowi? — zdziwił się poważnie Kazio. — Co ci twoje zastrane życie ocalił? Szefowi, swemu szefowi życzysz najgorszego?

— Nie znasz go? — odezwał się zgryźliwie Brown. — On za pięć funtów ojca i matkę by zamordował.

— Ale swemu szefowi z *Wermachtu* by darował, co? Że to polski sierżant, to go nienawidzi.

— Kazik — skoczył pan Stasio — ja ci mówię zamknij gębę i szyj. Szyj.

Kazio już gotów był odpowiedzieć coś kosmatego, ale zamilkł z otwartą gębą.

Na progu pracowni stanęła Pearlówna.

Rosa była czarna, dorodna, pochmurna. Powinna była nazywać się Judyta, bowiem miała w oczach wrodzoną krwiożerczość.

— *Mister Stasz, is Mr. Bowman's suit ready?*

Pan Stasio podskoczył, podtoczył się, poprawił łokciami spodnie i uśmiechnął się czarująco, usłużnie. Rozgarnął marynarki na wieszaku i zdjął niebieski jak włoskie niebo garnitur.

Rosa obejrzała go uważnie. Podniosła rękawy, sprawdziła guziki, uniosła poły.

— *Mr. Stasz* — zawołała — *what it is? Circus?*

Niebieski garniturek miał żółciutką podszewkę. Tak żółtą jak puszek młodych kaczątek. Coś straszliwego, coś co przyprawiało o zawrót głowy.

Pearlówna rozkrzyczała się. Stasio podskakiwał i gestykował bezradnie rączkami. Panowie: Kazio, Misza, Brown uśmiechali się złośliwie. Helenka chichotała.

— Czy to jest podszewka dla dżentelmana? Dla naszego najlepszego klienta? On nas do sądu zaskarzy. On nam nie zapłaci.

Stasio mamrotał usprawiedliwienia, pokorny prawie płaczący ze zmartwienia.

Rosa rzuciła mu marynarkę na ręce i odwróciła się tyłem. Obeszła pracownię, zajrzała przez ramię Miszy, popatrzyła uważnie na robotę Browna wyszywającego dziurki do guzików, zatrzymała się dłużej przy Kaziuu.

On siedział na stole po turecku. Na kolanie trzymał przód marynarki, w który zabijał fastrygę. Rosa położyła rękę na marynarce, podsunęła się dotykając Kazikowego kolana.

— *How is, Kazik?*

— Dzień dobry różyczko — powiedział Kazik po polsku patrząc prosto w jej wielkie czarne oczy — bucha z ciebie jak z pieca. Coś nie możesz już wytrzymać? Tak cię rozpiera jak kobyłę.

— *Come to the office Kazik, there is some pressing to be done.*

Przysuwała się do niego, pochylała się podsuwając swoje nabrzmiałe piersi.

— Czego chcesz kwiatuzsku? — prawił Kazio słodkim głosem a ona patrzyła mu w oczy, jakby odgadywała w jego słowach najpiękniejsze komplementy. — Nie podsuwaj się za bardzo, bo cię czuć. Idź do jasnej Anielki robaczku wyrośnięty, żabko cycasta.

Uśmiechając się przymilnie, niby to niechcący kolnął ją w pierś igłą.

— Kazik! *You brute!* — krzyknęła bez gniewu.

— Ale się babka pali — półgłosem przygadał Misza.

Rosa się odwróciła gwałtownie i stanęła twarzą w twarz ze mną.

— Polak? — spytała. Kiwnąłem głową zaskoczony jej złą zaczerwienioną twarzą.

— Mój ojciec jest głupcem, nigdy się nie nauczy.

— A ty co? — podskoczyła ku Helence. — Nie możesz szybciej pracować. Czy to są ścięgi? To jest dobra robota? Za co ci płacą?

Każda inna perkata Helenka albo by się rozpląkała, albo rzuciłaby o podłogę szyciem i uciekła z pracowni. Ta jednak mała i niepozorna, wypłowiwała i zawsze skurczona — siedziała teraz dumna, wyprostowana, błada z zaciśniętymi wargami. Patrzyła w twarz czarnej Rosy ze złością, wyzywająco.

Kiedy piekielna córka *boss'a* wyskoczyła z pracowni, wszyscy odetchnęli.

Tylko Kazio był nie speszony; patrząc w ślad za Rosą powiedział kiwając głową:

— Ale dupa jak maszyna. — Mieściło się w tych słowach dużo uznania.

— Podszewkę pan umiesz wszywać?

Skinąłem głową na te niegrzeczne słowa pana Stasia.

— No to pokaż pan, żeś pan krawiec i zmień pan to gównno.

Rzucił mi na kolana nieszczęsną marynarkę niebieską na żółtej podszewce.



Chudy Brown nazywał się właściwie Szczyżewski, ale kto by takie nazwisko wymówił. Ponieważ był już starszy, więc uważał, że nie powinno się go nazywać po imieniu, wymyślił więc Browna. Podobno był krawcem z Polski, ale mu nikt nie wierzył i Stasio — kiedy tylko mógł — to przygadadywał jego robocie.

Podobno też służył w wojsku sowieckim i to w randze lejtnanta. Przymusowo wcielony.

Nie wyglądał, aby kiedykolwiek w jakimkolwiek wojsku służył. Był taki cichy i zastraszone.

Misza robił wrażenie równego chłopaka. Ani dobry ani zły, ani mądry ani głupi. Trochę lawirujący. Kiedy Stasio wychodził z pracowni robił za jego plecami niedwuznaczne gesty obrazując swój do krojczego stosunek. W oczy uprzejmie się uśmiechał. Ale to nie była hipokryzja, po prostu starał się jakoś przeżyć.

Pan Stasio miał w wojsku niemieckim rangę kaprala. Mały kapral, który szył spodnie niemieckim oficerom. Nie przyznawał się do tego chętnie. Wściekły był, gdy mu to Kazik wypominał.

A Kazik odbijał sobie na nim w odpowiednim momencie.

Kiedy tylko sam sapiący, zadyszany *boss* wciągnął się po schodach aż na poddasze i własnoręcznie robił porządek w bałaganiarskiej pracowni, wtedy Kazikowi nie zamykały się usta.

— Te *Gefrajter*, pamiętasz, jak Żydów mordowaliśmy — mówił naturalnie po polsku, tak że Pearl nie rozumiał. — U nas w SS to nie było żartów. Jak który taki gruby, jak nasz Żyd, to nożem skurwysyna po kałdunie. Tacy byli specjaliści, że rozpruł i flaki po jednemu wyciągał, na metry. A jak który taki mały był jak nasz Stasio, to z psem chodził i szczuł na Żydów. Pamiętasz, Stasio, tego psa jak on się nazywał? No, twój pies który na plecy Żydom skakał?

Pan Stasio uwijający się przy boku *bossa* rzucał spod czoła wściekłe wejrzzenia.

— Ilu Żydów zabiłeś Kazio? — pytał niewinnie Misza.

— Ja to nic — Kazik mrugał do mnie nieznacznie jakby wtajemniczał w zasady gry — ale Stasio tysiące. *Verfluchte Roten* Stasio nazywali go w SS. On był sławny, on i jego pies.

— Przestań pieprzony sukinsynie — pieklił się Stasio — bo powiem *boss'owi*, żeby cię wyrzucił z roboty.

— Mnie? — Kazio spoglądał dokoła ze zdziwieniem. — Czy ja co złego zrobiłem? Dlaczego nie ciebie, to ty byłeś katem na Żydów. Mister Pearl — wołał przez całą pracownię — *do you know Stasio was murderer, Juden raus, Juden kaputt...* — ciągnął ręką po gardle wysuwając język na brodę.

Stary Pearl był widać przyzwyczajony do Kaziowych dowcipów, bo nie odpowiadając uśmiechał się łagodnie grubymi wargami.

Stasio za to szalał ze złości. Podskakiwał czerwony, zacierzwiony przysięgając Kaziowi zemstę poza grób i dalej.

A Kazio plótł i to z takim przekonaniem, z takim zapałem, że mimo całej absurdalności, mimo wyraźnych dowodów, prawie mu wierzyło się. A przecież nie umiał słowa po niemiecku, więc nie mógł sam służyć w niemieckiej armii, tym bardziej w SS.

Gdzie Kazio dekował się przez czas wojenny, dowiedziałem się później. Czas najprzyjemniejszy, najlepszy spędził na południu Włoch jako kucharz w Bazie Drugiego Korpusu.

Kiedyś pan Stasio w złym humorze zaczął jechać na Polskę, Polaków, zwłaszcza na polskie wojsko:

— Pieprzeni generałowie polscy po co robili wojnę? Teraz narzekają i proszą się, aby im Anglicy pozwolili w tym kraju za zebrane pieniądze jakoś przeżyć. Takie syny! W portki przed Niemcami robili, gdyby nie Amerykanie nabiliby ich Niemcy po dupie.

— Ty gnojku — zawołał Kazio — a we Włoszech byłeś? A widziałeś jak twój kochany Kesselring razem z Mussolinem wiali aż kalesony gubili?

— Przed kim wiali? Przed twoim Andersem?

— A żebyś wiedział, że przed moim Andersem. A ty Andersowi pięt całować nie mógłbyś, *verfluchte* brudny wermachciaku.

— Brawo panie Kaziu — powiedziałem, choć miałem nigdy nie wtrącać się do ich sporów.

— Bo Kazio był w Drugim Korpusie — powiedziała Helenka z dumą.



Do pracy jeździłem tramwajem. Nie był to ani romantyczny ani wygodny przyrząd transportowy. Telepał się i chwiał, i trząsał,

aż wątroba w pasażerze grała. W takim dyliżansie numer 23 na samej rozbrykanej górze spotkałem Browna.

Siedział już tam zgarbiony jak nad igłą i kiwający się. Obejrzał się i przysiadł.

— Powiedz pan, pan zna się na ludziach jako człowiek inteligentny, co ona w nim widzi? Ni to do człowieka podobny, ni to robotny. Chłam ludzki, brodiaga.

Domyśliłem się, że mówi o Kaziu i Helence, której zawsze nadskakiwał jak prawdziwy starający się kawaler.

— Miłość nie sługa, nie zna co to pany — wypowiedziałem bardzo mądrą sentencję.

— Gawno tam nie miłość — kiwnął się do taktu tramwajowi. — Miłość to poważna sprawa. To znaczy dom założyć, dzieci mieć, to meble, mieszkanie, kilka funtów na czarną godzinę.

— Pan to ma panie Brown?

— Nie mam — skrzywił się smutno — na bladzie puszczam jak durak, ale gdybym tylko wiedział, że mam jakieś szanse, to zacząłbym składać.

— To niech pan składa.

— Pan myśli, że mam szanse?

— Ja myślę, że żadna mądra kobieta nie oprze się mężczyźnie statecznemu, z kontem w banku i z własnym umeblowanym mieszkaniem. A głupiej by pan nie chciał. No nie?

— Każda kobieta głupia. A w Helence to co mnie się podoba — to delikatność.

Trafił w sedno. Helenka była delikatna i fizycznie i z charakteru. Była szczuplutka i przezroczysta, miała ręce jak u dziecka i małe nóżki, które elegancko podginała pod taboret siedząc przy za wysokim stole.

Była spokojna i chętna do pomocy każdemu. Swoim drugim śniadaniem częstowała każdego. Chłopy, które nie krępowały się używać rynsztokowych przekleństw wobec niej, czerwieniły się z zakłopotaniem, gdy podchodziła do nich z kanapką z serem, połową jabłka czy cukierkiem.

Tylko Kazio łomotał, co mu pod nos podeszło. Ruszał zuchwami aż trzesły się mu stopyrczate włosy.

— Pani zdrowie, Helenko — wznosił kanapkę w górę. — Ser dobra rzecz, od sera i krzepa, i dowcip.

— Co one w nim widzą? Zauważył pan jak Rosa podsuwa się do niego? No, Rosa to wiadomo, gorąca krew wschodnia, ale Helenka taka delikatna polska dziewczynka...

— Mówią, że pan był w sowieckim wojsku — kierowałem rozmowę na ciekawsze tory.

— E, byłem. Zagarnęli na tej Zapadłej Ukrainie i kazali bić się z Hitlerem.

— Czy to prawda, że pan w stopniu oficerskim?

— Taki to i oficer sowiecki. Żaden oficer. Między głupimi, to każdy może być lejtnantem.

Najwidoczniej nie chciał mówić o swej przeszłości. Krzywił się pogardliwie umniejszając razem z sowiecką armią i swoją osobę.

Myślał ciągle o tamtym. Nim wysiadł z tramwaju nachylił się do mnie i szepnął:

— Pełne portki widzą, ot co.



Kiedy tydzień się zakończył i pan Stasio w piątek przydzwigał do pracowni koperty z zapłatą, spotkała mnie niespodzianka.

Zawołano mnie na bok, do przedpokoju pełnego smrodu „wiecznej ondulacji” i pan Stasio oświadczył mi uroczyście:

— Stwierdziliśmy, że pan dobrze pracuje. Mister Pearl i ja postanowiliśmy panu dać pięć dziesięć na początek. Pracuj pan tak dalej to będziesz pan zarabiał jeszcze lepiej.

Pan Stasio podciągnął spodnie i chlipnął nosem. Pewnie ze wzruszenia nad własną wspaniałomyślnością.

Przyznam się że i ja byłem wzruszony i poczułem do niego trochę sympatii. Tyle ile do generała przypinającego order za waleczność.

Staralem się bardzo. Machałem igłą z zapalem i prulem jak maszynka. Front po froncie pikowałem, znaczyłem i łączyłem marynarki do pierwszej przymiarki, wszywałem podszewkę, zabi-jałem fastrygę, ba pozwolono mi nawet wszyć kieszenie do sportowego garniturku.

Gdy nie wiedziałem czego, to szedłem po pomoc do Browna. On był dobrym krawcem, chyba najlepszym w pracowni; jeśli partolił — to ze złości na Stasia, który wedle Browna nie powinien był być kierownikiem.

— Bo Pearl mnie na kierownika upatrzył i tak się z nim zgodziłem a potem ten Stasio wyskoczył. Przez Rosę, która mnie nie lubi. Mnie, panie, kobiety nie lubią, cholery. Dlaczego?

Nie ominął też żadnej okazji, żeby ze Stasiem nie wojować.

— Krojczy — wołał pogardliwie — co to tutaj namalowane?

Stasio niespokojny, zafrasowany i zawsze niepewny swego dzieła podskakiwał do Browna gotów walczyć.

— To? Nie widzisz, że naramiczka?

— Która linia, pieprzony ofermo? Która? Nadziubdzia tej kredy jak koza spod ogona i powiada: naramiczka.

— Ta najgrubsza. Zawsze bierz najgrubszą linię.

— Krojczy... — naigrywał się. — Mać *jewo w rot!*

— Bo ty Brown się nie znasz — spokojnie wchodził w rozmowę Kazio — masz przed sobą najlepszego krojczego z przybocznego batalionu samego Hitlera i nie oceniasz go zupełnie. U nas w SS to nie było zabawy, *herr Hauptmann* czyli *Fandrich* zawołał: *donnerwetter, ferfluchte, schweinereine Staszo mach mir galoten*; I galoty musiały być jak się patrzy z klapką z tyłu i z klapką z przodu.

Pan Stasio nie słuchał. Rzucił kredę, odkładał nożyce i uciekał na dół do sklepu. Tylko z drogi wysyłał w naszym kierunku znaczący uśmiech politowania dla Kazia — pomyleńca.

Misza zanosił się śmiechem i wtórowała mu Helenka, z boku, znad wykańczanej marynarki rzucająca mdłe spojrzenia na Kazia.



Dzień szedł za dniem. Pracowite dni choć prawie żaden nie minął bez awantury.

Raz był to bokser, któremu Stasio skroił spodnie za ciasno. Wepchnął w nie swoje mięsiste kłęby i rozwalił jak papier. Podobno tak się srożył w sklepie, że Stasio zwiął na ulicę.

To znów Misza zapomniał w czas podnieść żelazko i wypalił ładny kształtny trapez w płaszczu.

Misza był przyjacielem Stasia, razem mieszkali i razem chodzili na dziewczynki, więc jakoś obyło się bez wyrzucenia z roboty, choć Stasio odgrażał się wyraźnie.

Kazio prując ciachnął żyłką i trzeba było zaciskać szwy, aż gość się skarżył, że żakiet za ciasny.

— Ty wiesz — biadolił nie wiadomo dlaczego w moją stronę Pearl — w czarną godzinę przyjąłem tego Stasia. W czarną godzinę. Co on zrobił z mego solidnego zakładu? Szpital wariatów.

— *Dady* — kiwała głową do taktu Rosa. — *Dady* ty jesteś wielki wariat, wielki dobry i głupi wariat.

Ale wcale tak nie było. Stary Pearl nie był głupi, ani naiwny.

Był to czas, gdy każdy Polak, gdy trochę tylko pieniędzy powąchał, zaraz sprawiał sobie ubranko w „kontynentalnym” stylu.

Stasio mądrze Pearlowi zaprojektował całą akcję ubierania Polaków po PKP'erze. Kręcił się sam po klubie, gdzie co sobota zjeżdżali robotnicy z tunelów, gdzie zjawiali się mieszkańcy hostelów i zbierał zamówienia. W tygodniu wysyłał swoich agentów w teren.

Prawie każdy garnitur miał na „tykiecie” polskie nazwisko.

— Bo gdzie, panie, Polus pójdzie? U Szkota zrobi kuse ubranko? Takiemu trzeba stylowo zrobić „drejp” — dwurzędówkę z szerokimi klapami i ręcznie odszywaną. Polus się zna na elegancji.

To co w zrozumieniu Stasia było elegancją, wyglądało jak obszerny chałat wiszący na bokach, zamykający się z przodu dwoma sztywnymi skrzydłami, z klapami długimi aż poniżej pasa.

— Jak wyszła przymiarka? — pytał Misza, gdy Stasio wracał ze sklepu.

— Chłopak jak lala wygląda, dopasowane aż piszczy.

Raz taki chłopak jak lala przyszedł mierzyć do pracowni.

— Stefan — mówił Stasio poufale do klienta — ty tylko mi zaufaj, taki będziesz miał garniturek, że sam Eden lepszego nie ma.

— Rękawy — nieśmiało wyciągał ręce klient.

— Wydłuży się — niefrasobliwie stwierdzał Stasio ciągnąc materiał w dół.

Bóg wiedział z czego on chciał wydłużyć o cztery cale za krótkie rękawy.

— Czy mi kołnierz nie odstaje? — nie bez racji martwił się przymierzający.

— To bracie przymiarka. Co się denerwujesz? Ściągnie się, zetnie trochę. Na to jest przymiarka. — Stasio kreślił kredą zawadzając o ucho biedaka, podcinał nożyczkami na żywo, pruł fastrygę, obciągał, gładził, przyklepywał.

— To będzie marynarka — entuzjazmował się — dupna marynarka!

Patrząc z boku na klienta widziałem w jego łagodnych oczach smutek, pewnie żegnał się w myślach z zadatkiem postanawiając już nigdy tu nie wrócić.

Kilka takich ubrań wisało, daremnie oczekując na dalsze przymiarki i wykupienie. Najdłużej wisało ubranie szefa.

— Majster — mówił Kazio z powagą — mam do ciebie słowo od szefa.

— Nic mi nie mów o tym oszuście. Niech go zaraza wymorduje.

— Kazał ci się kłaniać i powiedział, że lada dzień przyjdzie z pięcioma funtami w zębach i jeszcze ubranie wykupi.

— Niech mnie pocałuje w d...

Aż szef raptem doszedł do pieniędzy. Wygrał w pokera i zjawił się z butelką wódki.

Wielki szeroki mężczyzna z czarną czupryną. Ogorzała twarz świeciła mu się i uśmiechała szeroko do każdego. Stasia tak

klepnął po ramieniu, że mały człowieczek poleciał pod ścianę. Brownowi przygadał od suchotników, Kazia uściskał, Miszce wręczył wódkę do rozdziału. Na mnie patrzył ostrożnie z boku. Każdy łyknął wody z kubka od herbaty. Równą miarkę. I Helena też.

— Panno Helu, pod to wesele — zachęcał szef.

Jakie wesele? O czym on mówi, zastanawiałem się.

— No co? Kupił Kazio pierścionki?

Czerwona, ale szczęśliwa Helenka patrzyła przekornie w stronę Kazia, który mrugał do niej okiem.

— A pan szef poprowadzi młodą pannę do ołtarza jako ojciec — podpuszczał Misza.

— Pan młody musi nasamprzód wziąć kilka rozwodów — zaskrzeczał Brown.

— Panna Helenka nie ma mi za złe tej hrabini włoskiej, ani dwóch siostrzynek Kozłowskich.

Historia z hrabiną włoską była popisowym numerem Kazia. Od czasu do czasu opowiadał z drobnymi zmianami za każdym razem swoją przygodę z piękną arystokratką, która jakoby uprawiała sodomie z własnym psem, ale Kazio ją z tego wyleczył i to skutecznie.

Opowiadanie odbywało się pod nieobecność Helenki i miało całe partie tak nieprzyzwoite, że słuchaczom oddech zapierało i tylko klęli spod samej śledziony z podziwem dla autora.

Przypomnienie hrabini i równie perwersyjnych siostr z pewnego obozu w tej chwili, gdy szef żartował *à propos* hymenu zakrawało na bezczelność.

— Swinja — splunął Brown na podłogę.

Ale Helenka rozradowana śmiała się wesoło podniecona żartami i alkoholem.

— Trzymać go Helenko — pouczał szef — trzymać ostro, bo to łobuz. Ale złoty chłop — dodał dobrotliwie.

Napiliśmy się po raz drugi i Stasio przystąpił do mierzenia szefowego garnitur.

Szefowi wszystko odpowiadało. I źle zrolowane klapy i odstający kołnierz i poddarcie z tyłu i spodnie pijące w kroku. Zgodził się nawet na żółtą podszewkę wyprutą z niebieskiego ubrania.

— Stasiu, ja tobie wierzę. Ty byłeś najlepszym kapralem w mojej kompanii. Ja tobie wierzę, że jak zrobisz garnitur, to mucha nie siądzie.

Odchodząc obiecał powrócić z zapomnianymi pieniędzmi.

— A o te pięć funciaków nie martw się — wołał do Stasia — dopisz do rachunku. To kiedy mam przyjść po garnitur?

Nie przyszedł, ani długu nie oddał. Przegrał znowu i garnitur dalej wisiął nie dokończony.

— Gnojek, oszust — gniewał się Stasio — i to polski podoficer.

— Stasiu — protestował Kazio — nie wyrażaj się o swoim przełożonym, który życie ci uratował.

— Jak to? — zapytałem nie wytrzymawszy — przecież pan Stasio już po wojnie dołączył do wojska polskiego. Jak mu mógł szef uratować życie?

Kazio tylko czekał na takie pytanie.

— Pan kapral raz szli po ciemku i potknęli się i pan kapral wpadli do kubła z pomyjami, no i pan szef kaprala za nogi z putni wyciągnął.

Stasio spojrzął na mnie wściekły. Mimo woli naraziłem się bardzo, sprowokowawszy dawno znany wszystkim żart.

Swoją drogą małego wzrostu Stasiowi kubel z pomyjami mógł zagrażać poważnie.

Uśmiechnąłem się trochę złośliwie.

Za godzinę zapłacono mi za to z nadatkiem.

— Kieszeni pan to robić u mnie nie będziesz — Stasio rzucił moją robotę z obrzydzeniem. — Rozbabrane toto jak krowie łajno.

A później niby to o czym innym do Browna:

— Krawcem trzeba się urodzić. Ktoś może mieć głowę do innych rzeczy, ale do krawiectwa trzeba mieć talent. Na wojnie było łatwo, pokrzychało się, podowodziło i udawało się pana, a jak przyjdzie teraz do prawdziwej roboty, to widać kto pan a kto oferma.

Pięć funtów tygodniowo i marzenia o fachu pozwalającym na przetrwanie w nowych okolicznościach życia nie przychodziły łatwo. Wcale nie łatwo.

Ale ciekawie.



Może Katrina nie była prostytutką, ale wyglądała na doświadczoną, spracowaną koryntiankę. W każdym razie zachowywała się prowokująco nacierając po kolei na wszystkich w pracowni.

Brown był wściekły, Stasio uśmiechał się głupkowato, Misza szczypał ją kiedy tylko zbliżyła się do niego. A Kazio przyciskał się dokładnie i uczył ją najszkaradniejszych polskich słów. Na ucho, żeby Helenka nie słyszała.

Helenka szyla w milczeniu błada i wyprostowana.

— Panie — zwierzał się Brown znowu w tramwaju — to zwykła kurwa. Stasio z Miszką z nią się pokumali i sprowadzili

ją nam na głowę. Finiszarka — parsknął pogardliwie. — Ona nawet igły nie umie trzymać. Dwa dni jak przysłała a już napaskudziła. Sam pan popatrz na jej robotę. Dla własnej wygody do porządnej pracowni bladź przyprowadzają.

Pomyślałem sobie, że porządna to ta pracownia chyba nigdy nie była.

— Mnie się wydaje — powiedziałem głośno — że to raczej Kazio do niej podsuwa się.

— Kazio? Nie zna go pan? Jemu szaflik w spódnicę ubrać to będzie mu furczało. Taki kozak.

Kiedy Rosa wpadała na górę, Katrina siedziała taka cicha i spokojna, taka potulna, że Pearlówna znajdowała dla niej kilka słów uprzejmych.

A Helenkę ponosiło. Rosę wytrzymywała z konieczności, ale tej czarnej, suchej bezczelnej dziewczyny nie mogła znieść.

Katrina od razu to spostrzegła i odwzajemniała się wyzywającymi spojrzeniami.

Nie mówiły nic do siebie, ale w ich milczeniu czało się morderstwo. Prawdziwe morderstwo.

Co mnie to wszystko obchodziło? Miałem swoje poważne zmartwienia. Walczyłem prawie z każdym ściegiem. Parzyłem się żelazkiem, które zamiast prasować wyblyszczą materiał. Marszczyły mi się wszywane rękawy a brzegi marynarki wykręcały w przeciwnym kierunku.

Stasio nie żałował ani spojrzeń ironicznych, ani słów pełnych nagany.

Sam był dobrym krawcem, jak złapał za igłę to tylko skakała równiutkimi susami po materiale. Potrafił obszyć piękne dziurki i wykończyć kieszonki „na sto dwa”, ale niepotrzebnie wziął się za krój. To szło mu ciężko i wszystkie nasze błędy, niedociągnięcia i zgoła katastrofy krawieckie miały swoją przyczynę w jego kroju.

Starałem się dzielić swoje życie na dwoje. Nie myśleć przy pracy o niebieskich migdałach, a po wyjściu z pracowni wyłączać się i być zupełnie innym człowiekiem.

Nie udawało się i właśnie kiedy szcicie przedłużało się w nużące półautomatyczne ściegi, moja myśl uciekała do przemówienia, jakie miałem wygłosić na wieczorze w klubie.

A w nocy śniły mi się marynarki, dziurki od guzików, naramniczki, pachniała spalona materia i mokra ścierka do prasowania.

I nie udawało mi się ani być obojętnym obserwatorem miłosnych dramatów, ani ograniczać swoje krawiectwo do godzin odsiadanych w pracowni.

Tego dnia rano powiedział mi pan Stasio:

— Pan możesz być sobie oficerem, prezesem czy kimś takim, możesz pan robić różne akademie, ale krawcem pan nie będziesz.

— Nikt się krawcem nie urodził. Pan też nie był krawcem od początku, a krojczego to jeszcze panu trudno udawać.

Zaczerwienił się. Podciągnął spodnie dwa razy z rzędu i nadął się, aby mi odpalić. Byłem pewien, że każe mi związać manatki. Ale weszła Rosa. Zawołała Stasia i odwleкло mi się na kilka godzin. Tylko w Stasiowych oczkach błysnęło na pożegnanie groźbą zapłaty.

W obiad poszedłem na szklanę herbaty i o dziwo przyłączył się do mnie Kazio.

— Bo widzi pan, ja wiem że jestem głupi, ale żeby mi kto poradził.

— O co chodzi panie Kaziu.

— No, o te baby. Sam nie wiem dlaczego, ale nie mogę się od nich odegnąć. Pan wie jak to jest. Chłopak jestem, można powiedzieć, ostry i żadnej z łóżka nie wypędzam, ale później to odczepić się nie można.

— Powinien pan się ożenić.

— Żeby mieć większe nieszczęście? Ona i tak mi życie daje.

— Kto?

— Helenka. Pan nie wie, ale my ze sobą... no tego... Tylko nikt nie śmie wiedzieć, bo by ją Rosa z pracy wyrzuciła.

Zostałem uderzony w łeb. Zupełnie nowa kombinacja, której wcale nie przypuszczałem. Tak się potrafili zataić, że nawet Brown, który ich zna prawie rok, nic nie podejrzewał.

— Z Helenką pan kręci — powiedziałem z wyrzutem — a Katrinę pan po kątach obłapia.

— Co ja mam zrobić? Niech pan sam powie. Leci na mnie i odpędzić się nie mogę. Jak w sobotę przyszła to w poniedziałek rano ledwo ją wypędziłem.

— A Helenka?

— Do siostry pojechała. Doktora szukać, bo, pan wie, cholera nie uważałem i teraz kłopot.

Masz babo placek. Gdzie nie ruszyć tego Kazia tam otwiera się coraz nowa skrytka. A z każdej dymi.

— Może pan zna jakiego lekarza? Dużo nie mogę zapłacić, ale od Stasia sobie pożyczę, albo od Browna.

Kazio mówił to wszystko strapionym głosem, ale miny wcale nie miał smutnej. Oczy mu się śmiały jakby zadowolony był ze swoich wyczynów.

— A Rosa — zapytałem — z Rosą też pan kombinuje?

— Powiem panu prawdę — mrugnął wesoło — z Rosą to my w pokoiku za sklepem.

— Pearl się nie orientuje?

— Cholera tam z Pearlem, on głupi i głuchy. A ona gorąca jak pieprz turecki. Uff...

— Ile pan ma lat panie Kaziu?

— Dwadzieścia trzy.

Starłem się odgadnąć tajemnicę powodzenia Kazia. Z takim zmierzwionym łbem, z krostowatą gębą, z szerokimi jak wyciosanymi z drzewa zuchwami, z niskim czołem nie powinien być podobać się żadnej z dziewczyn.

Ale te 23 lata, śmiejące się oczy, wesołe, zawsze gotowe do żartów i rzeczywiście nabite muskularnymi nogami portki. Przy tym niefrasobliwa pewność siebie. Taki nie da się w kaszy zjeść nikomu.

Widocznie to właśnie przyciągało kobietki do Kazia.

— Krawiectwa pan się teraz nauczył?

— Ja się wcale nie uczyłem. Kucharz jestem z zawodu i w restauracji pracowałem, tylko wyrzucili mnie za jedną kelnerkę. A Stasio wziął niby na tymczasem i już pół roku siedzę.

Jeszcze jeden powód do zazdrości. Nigdy się nie uczył, przypadkowo zabrał się do szycia i wcale się tym nie przejmuje, ściboli sobie spokojnie w swoim kącie, na Stasia z góry jedzie, robotę oddaje, forszę zgarnia pewnie lepszą ode mnie i ma czas dziewczuchy przydusić w kącie.

Na Helenkę też spojrzałem innymi oczyma. Właściwie dotąd tak jakbym jej wcale nie widział. Uważałem ją za małe, skulone, spłoszone stworzonko, rzucające nieśmiałe, beznadziejne spojrzenia w stronę Kazia huncwota. Czasem tylko wyprostowywała się na widok Rosy, na odezwanie się Katriny.

Kiedy wróciliśmy do pracowni, zacząłem obserwować Helenkę.

Właściwie była niebrzydka. Delikatna, tak jak powiedział Brown. Miała przejrzystą cerę, włosy jasne o ciepłym połysku, zgrabną figurkę i małe rączki.

Strasznie ją szpeciła ta postawa szyjącej, zgarbionej, z nosem w podszewce, finiszarki.

Katrina potrafiła się lepiej pokazać, ale nie pracowała tak pilnie.

Zaczęło się od drobiazgu. Przy herbacie Helenka podeszła do Kazia z kanapką.

Teraz już rozumiałem, że to nie zwykła uprzejmość, ale poważne żywienie swego chłopca.

Nim Kazio wyciągnął rękę po chleb z serem, już podskoczyła z boku Katrina.

— *Don't* Kazio — zawołała — nie dotykaj tego.

Kazio i Helenka zatrzymali się w pół ruchu. My wszyscy podnieśliśmy głowy.

— Ja mam lepsze. Dzisiaj moje — Katrina z zapalem zaczęła rozwijać swoje kanapki.

Omyliła się w rachubach. To co pokazała, to były sandwicze z pobliskiej kafejki, zwykłe w trójkąt krajane kawałki chleba przełożone czymś różowym. Żaden porządny Polak nie skusi się na takie specjały. Wobec najładniej opakowanych sandwiczów, chleb z kminkiem posmarowany masłem i obłożony serem jest jedzeniem bogów.

Kazio sięgnął ku kanapce Helenki.

— *You bitch!* — krzyknęła Katrina i rzuciła swymi sandwiczami w Helenkę — *you „kuwa”!* — popisała się znajomością polskiego języka.

Helenka skoczyła. Dzielił je stół z prasowaniem ale dziewczyna sięgnęła poprzez niego. Złapała wielkie nożyce i uderzyła nimi Katrinę.

— Kto kurwa? Kto kurwa? — wołała godząc jak sztyletem. — Kto kurwa?

Katrina zasłoniła się ręką i nagle na jej dłoni pojawiła się czerwona smuga. Krew trysnęła na leżącą na desce beżową marynarkę. Czarne krople popstrzyły materiał.

— Helenka! — krzyknął Kazio. — Rzuć te nożyce! Helenka! — skoczył ku niej i porwawszy za ramiona szarpnął od stołu.

— Kto będzie za to płacił? Kto?

— Dlaczego ona na mnie tak mówi? — płakała Helenka. — Sama śpi z każdym, kto jej zapłaci, a na mnie woła: kurwa. Kto ją tego nauczył?

Zwróciła się do Kazia z oskarżeniem.

Ale Kazio z tragiczną miną pochylał się nad marynarkę.

Na to właśnie przyszedł Stasio a za nim sam Pearl.

Kazio przy stole podnoszący poplamioną marynarkę, Helenka płacząca a przy niej gotowy pocieszać Brown, Katrina łzami polewająca rozoraną rękę, z której krew kapała na podłogę i Misza ocierający łzy. Bo Misza cały czas śmiał się jak w teatrze.

Pearl zatrzymał się w drzwiach przerażony, a Stasio, jakby nic nie widział, szedł naprzód. W rękę trzymał żakiet, który — poznałem po kratce — mojej był roboty.

— Ten, mister Pearl — powiedział wskazując palcem na mnie. — Ten robotę zepsuł. Mister Pearl to on.

Ale biedny właściciel pracowni nie patrzył na mnie. Jego oczy wytrzeszczone skierowane były na stół z poplamioną marynarką.

— O mój Boże — jęknął — dlaczego ja się na to zgodziłem?

— Mister Pearl — krzyczała Katrina — niech pan woła policję! Pan widzi mister Pearl? — podnosiła swoją rękę.

— Ona nie winna — zabrał głos Brown trzymając Helenkę za ramię. — Tamta zaczęła pierwsza.

— Mój Boże, mój Boże — jęczał Pearl. — Po co ja się na to zgodziłem?

Nie wytrzymałem.

— Na co się pan zgodził? — zapytałem.

— Na to wszystko — powiedział pracodawca żałośnie ogarniając ruchem głowy całą pracownię. — Na Polaków.

— Pan nie powinieneś nic mówić — postawił się Stasio wobec mnie, wyprężając się jak tylko mógł — przez pana najlepszy klient stracony. Sam mister White. Przez pana robotę.

— Pocałuj mnie pan w dupę — powiedziałem ze złością i wstałem od stołu aby wyjść, rzucić to wszystko i zapomnieć.

Ale on nie słyszał propozycji. Teraz dopiero dostrzegł beżową marynarkę.

— A to co? Kazik, a to co? — złapał się za głowę.

Kazio już odzyskał głowę.

— Cholera, dziewczyny się pobiły.

Helenka zaniosta się płaczem. Zaczęła ryczeć na całą ulicę.

— To koniec — powiedział Pearl. — Mister Staszo załatw to wszystko i zlikwiduj ten dom wariatów. I zapłacisz mi za to, zapłacisz.

Misza się śmiał jak to on. Kazio kłął, Helenka płakała, Katrina wzywała policji, Stasio piszcząc podciągając łokciami spodnie.

— Chodź Helenka. — perswadował Brown — pluń na to wszystko.

Ale nie mógł jej ruszyć z miejsca.

To ja plunąłem, w przenośni. Wymknąłem się za Mr. Pearlem zostawiając towarzystwo i marynarkę Mr. White'a, która rzeczywiście nie bardzo mi się udała.



W dziesięć lat później, gdy już dawno przestało mi się śnić krawiectwo i przestał mnie prześladować zapach palonej pod żelazkiem wełny, spotkałem przypadkowo Kazia.

W Londynie na Soho. Szedł między straganami uśmiechając się do przekupek.

Był taki sam, kanciasty, kostropaty. Tylko włosy jakoś sobie spreparował, że przestały sterczeć. Wyglądały za to jak wełna murzyńska. Musiał je sobie zaondulować.

Przywitaliśmy się serdecznie.

— Co pan robi? W krawiectwie?

— U jednego takiego syna Żyda pracuję, ale chcę go rzucić.

— Kiepsko płaci?

— Płacić to płaci dobrze, ale nie podoba mi się. Robotą marna, stosunki zaszane.

— No, a jak się skończyła tamta awantura z Pearlem.

— Co się miało skończyć? Nic nie było. Pan uciekł, niby że Stasio na pana wjechał, ale po prawdzie mógłby pan w tym pieprzonym zakładzie siedzieć do końca życia.

— Nie zlikwidował go Pearl?

— Skądże.

— A co z Helenką?

— Nie wie pan? Brown się z nią ożenił. Syna mają.

— Brown ma syna? — zaśmiałem się domyślnie. — A pan co na to?

Mrugnął porozumiewawczo.

— Wżenił się w gotowy byznes i cieszy się. Gdzie by takiego starego stać było na syna.

Brown wcale nie był stary. Nie starszy ode mnie. Spytałem o Stasia.

— O, Stasio, wielki pan; ożenił się z Rosą i prowadzi cały interes.

— Że też on z armii niemieckiej z SS, jak pan twierdził, ożenił się z Żydówką.

— *Verfluchte Staszo* — roześmiał się Kazik — ma teraz za swoje. Pracuje jak w *Konzentrationslager*.

— Założę się, że mają syna ze sterczącymi włosami.

— Żeby pan wiedział, że mają.

Kończyła się moja przerwa obiadowa i zęgnąłem się z Kaziem. Już na samym końcu przyszło mi do głowy zapytać:

— A ten nowy *boss* też ma córkę?

— Ma cholera — zaklął Kazio.

DWADZIEŚCIA TON BRUDNEJ BIELIZNY

Po kilku minutach trzęsienia się na bruku ponurej ulicy Krupiec zatrzymał swój wielki samochód.

— To tu — wskazał głową na sklep, z którego drzwi właśnie wytaczała się kobiecina z ogromnym tłumokiem mokrej bielizny.

Łokciem posunął Truczkę i kiedy ten mocował się z zamkiem, sięgnął ramieniem i otworzył. Sam sprawdził klamki od środka i wyszedł trzaskając drzwiczkami.

Truczka stał i gapił się na szyld: Express Laundrette.

— Chodź pan — znowu popchnął go Krupiec.

Przeszli przez pierwszą izbę z kontuarem, za którym stała piersiasta dziewczyna i uchyliwszy ceratowej zasłony stanęli we właściwej pralni.

Mały, koślawy rudzielec, z rękawami koszuli zakasanyimi nad białymi ramionami, żyłastymi i sinymi od tatuażu, klapnął pokrywą maszyny i spojrzał z zaciekawieniem.

— Jasiu — powiedział Krupiec — to pan Truczka. Mówię ci o nim. A to nasz Jasio Podlesny. Dobre serce, chociaż na to nie wygląda.

— Jak dla kogo. Jak dla kogo — zamruczał Jasio. — Aby mi nikt po nagniotkach nie deptał.

Roześmiał się pokazując spróchniałe zęby.

— Jasiu, pokażesz panu robotę i co tam będzie potrzeba. Zaopiekujesz się panem.

— *O key, boss'ie.*

— Dobra. — Krupiec zawrócił ku drzwiom. — No, to oddaję pana w ręce Jasia. Wszystko będzie fajnie. Aha — przypomniał sobie i sięgnął do ściany zdejmując z gwoźdźnia gumowany fartuch — włóż to pan na siebie. Tymczasem. Jutro wykombi-

nujemy jakieś buty no i ubranko robocze, bo tego szkoda. O *key*?
Truczka skrzywił nieśmiało swoją młodą, gładką twarz, Krupiec odpowiedział mu szerokim grymasem.

— No, to *cherrio* — machnął ręką i wyszedł zostawiając Truczkę z fartuchem w ręku.

— Rozbierać się — zawołał Jasio podchodząc.

— To co? Warszawskie? — wyciągnął rękę i pomacał klapę marynarki.

— Nie. Z Łodzi.

— Tutaj takich nie robią. Wełna?

— Wełna.

— Czysta wełna?

— Zdaje się, że czysta. To pan Krupiec tu nie pracuje?

— On? — Jasio zagwizdał przez zęby. — On by pracował? Kiedyś to nie wstydził się rękawów zakasać, ale teraz kiedy ma cztery landretki...

— To on jest *boss*? Tak się tu mówi?

— Pewnie że *boss*. Całą gębą *boss*. Forsy jak lodu.

W tej chwili żółta cerata uchyliła się i dziewczyna wepchnęła koszyk z bielizną.

— *It's tea time*? — krzyknęła wesoło w stronę Jasia i bokiem zerknęła na Truczkę.

— *Not your business, Moira. You look after your business!*
— obruszył się Jasio. A kiedy dziewczyna chichocząc wycofała się za kurtynę, powiedział do Truczki.

— Fajna de. Co?

Truczka spuścił głowę i zapinał fartuch trzymając ciągle marynareczkę.

— Tu na gwoździu — wyrwał mu ją z rąk Jasio i powiesił
— A teraz proszę hrabiego za robotę. Nie rabotasz, nie kuszasz. Nie?

— Tu te cztery, to Thory — pokazywał Truczce maszyny.
— We środku do suszenia. A ten Spencer, to cholera trzy takie wart. Dwadzieścia cztery funty na raz bierze.

— Czy to chlor, co tak pachnie? — zapytał nieśmiało Truczka.

— Florek. Wiadomo, że florek. A teraz uważać i patrzeć; i niech kolega się uczy. Bierzemy to brudne cholerstwo, czyli *washing* i wkładamy do maszyny. Ale nie na grandę, bo by się zbiło. Po jednemu, ładnie, równo.

— To brudna bielizna?

— Nie widzi kolega? Nie tylko brudna ale i zaszara, bo naród tutejszy na papierze oszczędny. Chociaż z czego tak sraja

— nie wiedzieć. Z *fish* i *chips*ów? Ale nie przejmować się, florku więcej dolać i będzie białe jak śnieg. No, a teraz woda i w ruch. Osiem funtów do takiego Thora a dwadzieścia cztery do Spencera.

Jasio klapnął pokrywą, numerek przypiął do ściany i nastawił wskazówki na tarczy zegara na godzinę wyjęcia.

— Dwadzieścia minut należy się. *Boss* powiada dwadzieścia pięć, że to niby konkurencja i trzeba czyściej, ale kto by się przejmował. Nie?

— A to co pan sypał, to mydło?

— Płatki mydlane. Wiadomo, my same najlepsze sypimy. Kradzione.

Truczka nie dosłyszał.

— No kradzione. Na lewo kupowane. Taniej.

Znowu dziewczyna wpełchnęła kosz z pakunkami bielizny i Jasio złapał się za robotę. Truczka usiłował mu pomagać.

— Co się kolega spieszy? — odsuwał go Jasio. — Niech się kolega napatrzy nasamprzód. To nie filozofia, tu trzeba wiedzieć jak i co, bo się waszyngi popłącze a później kastomersi piekło robią.

Truczka oparł się o stół i wyciągnął papierosa. Jasio wpełchnął kolejne pranie do maszyny i podsunął się.

— Krajowe? — przypatrywał się ofiarowanemu papierosowi.

— Wawel. Jedne z najlepszych.

— Śmierdzą jak Pasza. — Jasio puścił dym nosem i skrzywił się niemiłosiernie.

— To kolega uciekł? — zapytał krzywiąc głowę.

— No... tak...

— Wybrał tak zwaną wolność?

— Tak.

Jasio patrzył się badawczo i poważnie, aż Truczka zmieszany zaczął się czerwienić. Wreszcie z uśmiechem poklepał go Jasio po ramieniu.

— Dobrze kolega zrobił. Tu wolność aż hej, byle te funciaki mieć.



Pucha przysiadł na kontuarze i patrzył bokiem jak Wierkowski sprawdza kasę zsypując drobne monety do płóciennego worka. Było już po szóstej. Tabliczka w drzwiach odwrócona na *closed* i klucz przekreślony w zamku. Biegające po ulicy dzieci co chwila przykładały twarze do szyby w drzwiach.

Chudy, blady, łysy Wierkowski licząc wysuwał do przodu bezkrwiste wargi.

Biblioteka Polska
Kolo Zurych SPIK

- Dobry dzień? — zapytał Pucha.
- Nie najgorszy — odparł Wierkowski chowając rulon banknotów do tylnej kieszeni — dwanaście funtów, siedemnaście szylingów i six.
- Tylko za dzisiaj?
- No, jakże? Co wczorajsze, to do banku zaniósłem.
- I ty, człowieku, chcesz ten byznes sprzedawać? — zapytał Pucha. Wierkowski skinął głową.
- Dlaczego?
- Wierkowski podniósł oczy i spojrzał w czerstwą, rozdętą twarz Puchy.
- Jadę do kraju.
- Fiu, fiu... — zagwizdał Pucha. — Tego nie mówiłeś.
- Tak — przyznał Wierkowski. — Nikomu nie mówiłem. Tobie pierwszemu mówię i proszę trzymaj to dla siebie.
- Dobra, dobra — zgodził się Pucha. — Tylko powiedz mi, po co ty chcesz wracać?
- Wierkowski wstał z krzesła i podszedł do kontaktów. Teraz można było widzieć, że pociąga jedną nogą i garbi się nienaturalnie.
- Po co ty chcesz wracać — powtórzył Pucha.
- Po prostu już czas na mnie — odpowiedział Wierkowski nie odwracając się i sięgnął ręką, aby zgasić światła.
- Pucha podskoczył i zatrzymał go.
- Zaczekaj — zawołał. — Popatrz tylko a i mnie pozwól patrzeć. Kazałeś mi przyjść? Kazałeś. Prosiłeś, abym ci kupca naraił? Tak. No, to muszę se pooglądać. Prawda?
- Wierkowski z westchnieniem odsunął się na bok.
- Maszynki jeszcze wcale nowe — głośno robił uwagi Pucha oglądając pralnię. — Pewnie nie spłacone jeszcze.
- Z tym można się uładzić z kupującym.
- Pewnie. Ale nowe i pociągną jeszcze z rok. A ten Electrolux to w zeszłym miesiącu ci wstawiłem. Nowiutki.
- Dobra maszyna.
- Woda w porządku, gaz też; ścieki jak malowane. Lokal pierwsza klasa i „locality” jak ta lala. Popatrz na półki, roboty a roboty. Jak ty dajesz radę?
- Mam dwie dziewczyny.
- Ile chcesz?
- Tysiąc.
- Tysiąc?
- Tak.
- Mało. Po zapłaceniu *instalments* za maszyny, po rachunku adwokata co ci zostanie? Może pięćset. Mało.

— Pięćset też pieniądze.

— Tyle co napluć. — Pucha z powrotem siadł na kontuarze i zapalił papierosa nie zważając na zniecierpliwienie Wierkolskiego. — Ze dwa garniturki będziesz musiał kupić, buty, koszulę, kalesonki. Na prezenty też niemało pójdzie. I z czym ty chcesz tam zaczynać? Może pieprzu kupisz tonę, żeby ci na granicy zabrali?

Wierkolski gryzł wargę i nie odpowiadał.

— Po cholereę ci wracać, Józek!

— Nie rozumiesz tego, nie rozumiesz! — krzyknął Wierkolski wyprowadzony z równowagi. — Ty masz tu żonę. Ożeniłeś się. Nikt na ciebie tam nie czeka, nie wzywa cię!

— Żona cię wzywa? Pisze: przyjeżdżaj?

Wierkolski przekreślił kontakt i w pralni zapanował mrok. Tylko światło ulicznej latarni ukosem wpadało przez okno wystawowe odwracając czarny napis „Laundrette” przyklejony do szyby.

— Żona tobie pisze: wracaj? — z uporem pytał Pucha nie ruszając się z miejsca.

— Syn pisze, że warunki się zmieniły i że mogę wracać.

— A żona?

Wierkolski nie odpowiedział. Wyciągnął klucze z kieszeni i zaczął nimi brzękać.

— Żona nie pisze?

— Dopisuje się.

— A sama listów nie pisze?

— No widzisz, Felek, tak po osiemnastu latach ni z tego ni z owego zacząć pisać...

— A ty pisałeś?

— Różnie bywało.

— Paczki wysyłałeś?

— Zawsze — mocno odpowiedział Wierkolski.

— Ech, Józek, Józek... Głowę straciłeś, ot co. Zapachniało ci powrotem i już ci się tutaj nie podoba. A przecież i tu piękny kraj. Popatrz na mnie. Kim ja byłem tam w Polsce? Chamem. Rozumiesz? Ojciec w bramie po dziesiątkę wyciągał rękę. Ze mnie pewnie też by jaki cieć wyrósł. A teraz, bracie, ja jestem pan Pucha, mister Pucha. Mam byznes od zakładania landret. Takie paniczki u mnie na posługi biegają; cały uniwersytet u mnie. Taki jest pan Pucha dzisiaj. A ty? Człowieku, tam ci nie przyniosą do interesu dwanaście funtów co dnia. Kim ty, Józek, byłeś przed wojną?

Wierkolski powoli zbliżył się i usiadł na krześle.

— W PKO pracowałem — odpowiedział.

— No i co? Czeka ją tam na ciebie? Proszą, żebyś wrócił do stolika?

— Z głodu tam nie zginę.

— Pieniądze przejesz i do syna na utrzymanie pójdziesz.

— Przecież z gołymi rękami nie jadę.

— Na miesiąc, na dwa, może na pół roku najwyżej ci wystarczy.

— Czemu się mnie czepiasz?

Pucha zeskoczył na podłogę i zapinał płaszcz. Wyciągnął z kieszeni rękawiczki i wolno naciągał na ręce.

— Ja się ciebie nie czepiam — mówił monotonicznie. — Broń mnie Panie Boże. Chcesz, zaraz czek wypiszę. Na tysiąc, nie, na tysiąc dwieście. Puchę stać na to. Kolegów, rodaków obdzierać nie umiem. Tysiąc dwieście, abys miał na łachy dla żony. Taki jest pan Pucha dzisiaj. Płaci więcej, niż proszą się; ale jak kogo widzi, że sam własnymi rękoma do błota się wpycha, to milczeć nie umie. Taki już jestem i pardon, czyli przepraszam.

Wierkowski słuchał z twarzą ukrytą w dłoniach nie odpowiadając.

Rozzalonego Pucha nagle przystąpił do szafki z kontaktami elektrycznymi i raptem światło zalało pralnię: półki z tobołkami bielizny, szafki, worki z płatkami mydlanymi, biały szereg milczących maszyn.

— Taka pralnia! — z goryczą zawołał. — Taki interes! Forsa płynie tylko z garniac! Człowieku, możesz tu wieki siedzieć i stukilowe paczki rodzinie wysyłać!

Bez słowa odpowiedzi Wierkowski wstał i podszedłszy do wyłączników zgasił elektryczność. Zgarnął pęk kluczy z lady.

— Komu w drogę temu czas.

— Ech... — Pucha machnął ręką i wyszedł pierwszy.



Czarna Ana podrygiwała w takt skocznej melodii. Przy pianinie Hesner z tępą miną i Masiuk ze skrzypcami pod grubym podbródkiem odrąbywali kolejny kawałek.

Stoliki ciasno obsiadła zwykła niedzielna „ferajna”. Brzęczało szkło, rozbrzmiewały pokrzykiwania w obu językach, śmierdział pot i kłębił się dym papierosów. Kierownik Klubu ledwo przeciskał się między krzesłami od jednej grupki do drugiej. Obnosił szeroki uśmiech i dyniową głowę bez śladu włoska i od czasu do czasu podnosił kielich z bursztynową whisky salutując dalekich klientów. Jureczek i pani Jasia lawirowali z tacami.

Na parkiecie Ana, dla swego podobieństwa do Włoszki zwa-

na Czarną, wyginała się w parodii „rock and roll”. Naprzeciw niej garbaty i niezgrabny Budzio podskakiwał klaskając w dłonie.

Raz. Dwa. Raz. Dwa. Wyżej, wyżej, wymachiwała nogami aż spod czerokiej taftowej spódnicy, spod kolorowej halki błyskały nylony po klamry podwiązek i pas smąglego ciała.

— Podoba się? — zapytał Jasio Truczkę.

— Kto to taki?

— Czarna Ana? Et, taka sobie dziewczynka.

— Tancerka.

— Chyba na prześcieradle.

Truczka zagarnął włosy i sięgnął po kieliszek z wódką. Jasio jeszcze bardziej rozwalił się na krześle.

— Człowieku — powiedział z wyższością — tylko nie miej żadnych złudzeń. Hrabiny tu nie przychodzą.

Truczka wychylił kieliszek i obejrzał się dokoła.

— Myślałem... — zaczął.

— Indyk też myślał — roześmiał się z jego miny Jasio. — Polskie pachole myślało, że tu nic, tylko same pułkownicy na wygnaniu z szanownymi małżonkami powolne tango odtancowują. A proletariatus to co? Teraz inne czasy; tak zwana kulturalna inteligencja w domu siedzi, bo forsy nie starcza, a proletariusze z wypchanymi portfelami dziwki w klubie podszczypują. Stać ich na to.

— A gdzie bawią się ci żonaci?

— Żonaci? A te tutaj to co? Każdy jeden żonaty. Jak nie na mur, tak z księdzem i papierami — to chociaż na słowo. Ta Ana to już pięć lat jak z Budziem się trzyma. Gdzie popatrzysz to „myssys”. Mrs. Kowalska — pokazała na zaczerwienioną podnieconą kobietę — Mrs. Gnatkiewicz...

— A Krupiec?

— No, Mr. Krupiec nie przyprowadziłby tu swojej żony. Zresztą ona przecież Polka.

W tej chwili podeszła do nich pani Jasia ze swoim dziewczęcym uśmiechem.

— Czy panowie życzą sobie czego?

Jasio Podleśny spoważniał i wyprostował się sztywno.

— Jeszcze dwie wiski. Co? — zapytał Truczkę. Tamten zdziwiony patrzył na smukłą, czarną figurę kelnerki.

— To pani Jasia — powiedział cicho Jasio, kiedy odeszła do baru. — Porządna kobita. Dwoje dzieci, mąż pracuje i wieczorem po nią przychodzi.

— Czemu ona tutaj... — dziwił się Truczka.

— Czemu? wiadomo, dla pieniędzy. Każdy musi coś robić, aby żyć.

— Ale tu — upierał się Truczka, ogarniając wzrokiem pijaną salę.

— Nie bój się — uspokoił go Jasio. — Jak się popiją, to dzikie sceny wystawiają, że nie wiesz czy to polski dom, czy bajzel jaki. Ale pani Jasi żaden palcem nie ruszy.

W drugim końcu sali Pucha przepijał koniakiem do Krupca.

— Pod ten byznes.

— Ii... — skrzywił się Krupiec nadpijając z kieliszka.

Pucha popatrzył bokiem z ciekawością.

— Masz kłopoty?

— *Income tax* — przez zęby rzucił Krupiec. — Ciągną mnie wstecz za trzy lata.

— Fiuu... Wiele tego wypada?

Krupiec znowu się skrzywił; tym razem z wyraźną niechęcią i Pucha dalej już nie pytał. Zresztą właśnie przepchnął się ku nim Dusik. Jak zawsze czyściutko, schludnie ubrany, uśmiechnięty i pełen okrągłych gestów.

— Co słychać u pana prezesa? — grzecznie zapytał siadając na opróżnionym z kapeluszy krześle.

Krupiec popatrzył na niego ciężkim wzrokiem.

— To ja powinienem zapytać, co słychać? Czekam na pana już dwa dni, panie Dusik.

— No tak, no tak — przyznał. — Ja pytałem nie w sprawach interesu, tylko tak ogólnie. Zdrowie, rodzina...

— Załatwił pan co? — rzeczowo zmienił temat Krupiec.

Dusik popatrzył niepewnie na Puchę i ten zrozumiałwszy wstał kiwając ręką w stronę pani Jasi i pokazując na palcach trzy kieliszki tego co przedtem — koniaku.

— Mów pan śmiało. — Krupiec przytrzymał Puchę za rękaw. — My z Felkiem dwa stare kumple. Zresztą możesz pan wszystkiego nie opowiadać, tylko krótko: tak czy nie? Załatwione czy nie?

— Załatwione — skinął ulizaną fryzurą Dusik. — Pół na pół, jak to nazywają krakowskim targiem.

— Pół na pół? Czyli że muszę połowę płacić?

Dusik znowu pochylił głowę z elegancją.

— Nie dało się inaczej?

Dusik bardzo poważnie pokręcił głową. Pani Jasia zdołała dotrzeć do sąsiedniego stolika i stamtąd wychylała się z tacą, wzywając Puchę na ratunek.

Atmosfera całej sali rozgrzewała się coraz bardziej. Fesner i Masiuk różnił teraz polkę i już kilkanaście par podrygiwało urozmaicając taniec ozdobnymi wygibasami. Przy stolikach podśpiewywano husia-siusia. Kobiety piszczały i rżały z uciechy. Od

czasu do czasu ponad gwar i szum przebiło się i zahaczało zdrowe polskie przekleństwo — tak od serca, po domowemu.

— Teraz już nie tak łatwo, już dobrali się do landret — opowiadał Dusik pociągając koniak. — Ja to od razu mówiłem, że tak będzie. Z początku nie bardzo wiedzieli jak wymierzać podatki, ale teraz mają ekspertów i od landret. Wyliczają wszystko dokładnie — dystrykt, zużycie płatków mydlanych, reperacje, woda, gaz — wszystko biorą pod uwagę. Jak tylko zażądali rachunków z gazowni, zaraz wiedziałem, że coś kombinują.

— No, a ten pański inspektor Macdonald? — przerwał Krupiec.

— Cóż on może... — otworzył złożone po księżowsku dłonie. — Ja przecież inspektora George'a Macdonalda znam, bardzo dobrze znam. Jeszcze w roku 1951, jak pomyślałem sobie, że przecież polskie interesy coraz się mnożą i dla polskiego *book-keeper*'a będzie szansa, to zaraz skierowałem się do inspektora Macdonalda. Ja już taki jestem, że nie będę rozmawiał z malutkim urzędnikiem, tylko z człowiekiem odpowiedzialnym. — Dusik opowiadał równiutkim głosem nabożnie przymykając oczy. — Zaraz jak wszedłem do gmachu, tego nowego, co się wtedy właśnie wybudował. Nie, — zastanowił się — może to było w starym jeszcze, na Wellington Street?

Pucha i Krupiec zamienili znaczące spojrzenia.

— A jednak — ucieszył się Dusik — to już był nowy gmach. Na pewno nowy, bo jechałem windą. W tej informacji z lewej strony zapytałem, kto załatwia podatki od małych przedsiębiorstw. I panienska, Miss Curran, dopiero rok temu dowiedziałem się jej nazwiska, choć przecież znamy się już — zaraz — sześć, tak sześć lat...

— Jak ten twój Truczka? — wpadł w przerwę dla nabrania oddechu gromki głos Puchy.

Dusik zatrzymał się, zaczerwienił, ale nic nie powiedział, tylko z boku błyskał gniewnie na przerywającego.

— Truczka... — czym prędzej odpowiadał Krupiec. — Dobrze. Bardzo dobrze.

— Nie żałuje?

— A wiesz, że nie pytałem go o to.

— Nie pytałeś? Człowieku — oburzył się Pucha — wzięłeś gościa na swoje sumienie.

— No wiesz...

— A tak — nie dał się zbić z tropu. — Przecież zaopiekowałeś się nim, no nie?

— Zaraz zaopiekowałem się — bronił się Krupiec przed wielkimi słowami. — Kiedy te gazety zaczęły rozrabiać, pomy-

ślałem sobie, że może pomóc chłopakowi. A kierownik nic tylko dziurę w brzuchu wiercił, że wstyd byłby, gdybyśmy mu nie pomogli, że to hańba, gdyby władze brytyjskie miały wziąć to w swoje ręce. I tak już obcy wyrabiają mu prawo pobytu. No i dałem mu pracę w landrecie.

— To ten sportowiec? — zainteresował się Dusik.

— Sportowiec, nie sportowiec — obruszył się Krupiec nie rozumiawszy niewinnego pytania — pracować każdy musi, nie?

— Myślał może, że mu tu pierniki z nieba będą same lecieć. Tu trzeba rabotać. My wszyscy jesteśmy *working class* — dorzucał Pucha.

— Płacę mu dobrze, więcej niż wyrabia.

— No tak, no tak — kiwał fryzurą. Dusik. — Bardzo to szlachetne ze strony pana prezesa. Bardzo.

Krupiec schował nos w kieliszek i przymrużył oczy. Odstawiając puste szkło spojrzął znacząco na Puchę. Pucha wstał i usiłował krzykiem i gestami zwrócić na siebie uwagę pani Jasi.

— On tam siedzi — zawołał zwracając się do kolegi.

— Kto? — zapytał Kupiec.

— No, ten twój... No, Truczka. Może go zawołać tutaj.

— Jak chcesz.

— Bardzo może być ciekawe, bardzo — poważnie powiedział Dusik. — Gość z Polski i w ogóle.

— Z Jasiem Podleśnym siedzą — wołał Pucha i kiwał ręką zapraszającym gestem.

Jaś jakby tylko czekał na skinienie od strony dalekiego *boss'a*. Łyknął pospiesznie resztę piwa i pociągnął Truczkę za łokieć.

Te manipulacje wpadły w oko Kierownikowi, który w lot zrozumiał sytuację. Podskoczył od baru ku Truczce i już ich obu przepychał przed sobą między stolikami, między plecami wypiętych biesiadników, między gestami rozczwienionych i perorujących pijaków. Szerokim zamachem ramienia otworzył drogę do stołu i nawet podsunął krzesło zabrane z innego kółka.

— *Hallo boss'ie!* — Jasio wyciągnął poprzez stół swoją czerwoną gruzłową prawicę. Truczka przywitał się z pewną nieśmiałą elegancją.

— No i jak leci? — zapytał Pucha.

— Jak się pan u nas czuje? — poprawił Krupiec a Dusik uśmiechnął się zachęcająco.

— Dziękuję, dobrze.

— Wiadomo, że dobrze. — Kierownik oparł się o poręcz krzesła biorąc Truczkę pod szczególną opiekę. — Jak nie ma być dobrze, kiedy ludzie pomagają, a pan prezes Krupiec w

szczegółności. I co najważniejsze to ta swoboda, swoboda, panie dzieju. Co?

Wszyscy, nawet Dusik, spojrzeli na Truczkę protekcyjnie, oczekując jakiegoś wyznania potwierdzającego otrzymanie wspianego daru: wolności. Truczka jednak tylko uśmiechnął się kwaśno i skosił spojrzenie gdzieś poza nich, na salę.

— Pana redaktora Rybickiego tutaj nie ma? — zapytał.

— No on nie, nie — zaczął kierownik, ale przypomniał sobie zaraz o co chodzi, o obietnicach swoich i Rybickiego i zakończył inaczej, niż był przewidział. — Chwilowo go nie ma, tak... Ale przyjdzie. Może przyjdzie.

— A czy pan nie wie nic o tym związku lekkoatletycznym?

— Niech się pan nie martwi, jeszcze się pan nabiega — zaśmiał się Pucha. — Nalata się pan zdrowo.

— Jak Rybicki obiecał, że załatwi, to mur, panie dzieju.

— Tak, tak — potwierdził słowa Kierownika Krupiec i zachęcająco podniósł kieliszek.

— Co się gorączować? — lał mądrość Pucha. — Bezrobotnym kolega nie jest. Praca dobra i funciaki lecą do kieszeni.

— Iii — zaprotestował Jasio — jakie tam znów funciaki...

— A ty byś, rekinie, tylko forszę wyciągał — łaskawie zażartował Krupiec.

— A pan może z Katowic? — zabrał głos po raz pierwszy Dusik.

— Ja? — Truczka spojrział trochę nieprzytomnie. — Ja z Gdyni.

— No, bo ja to z Katowic. Stalowa 4. Jak się szło z dworca druga na lewo. Na rogu był taki szyld niebiesko malowany. Kwiaty i owoce. Ale to było już później przed samą wojną, bo trzeba panu wiedzieć, że ja przyjechałem do Katowic z Poznania w roku...

— Stefan! — krzyknął Pucha bijąc dłonią w stół.

— Co takiego? — odezwał się Krupiec a Dusik, któremu przerwano w pół słowa, spojrział urażony.

Jasio parsknął i znacząco zamrugał do Truczki.

— Stefan, słyszałeś o Wierkolskim?

— Że do Polski się wybiera? Już wszyscy o tym wiedzą.

— Landretę sprzedaje.

— Co też pan mówi? Taki dobry interes! — zdziwił się Dusik, któremu uraza odeszła.

— Sprzedaje, pakuje się i do żony jedzie.

— Wariat, nic innego tylko „lunatic”, do „azajlum” go — wołał Jasio.

— Pewnie — potwierdził Krupiec — po dwudziestu latach do żony wraca. He, he...

— Tłumaczyłem jak komu dobremu, ale się chłop uparł — ubolewał Pucha.

— Wierkowski? — zapytał Truczka marszcząc brwi. — Czy on ma syna w Gdańsku?

Spojrzeli ciekawie na Truczkę a potem na Puchę, który przecież wszystko wiedział.

— Naturalnie, że ma.

— Tadeusza?

— Naturalnie, Tadeusz.

— To on nie ma po co wracać.

— Co takiego? — zawołał Krupiec.

— Jak to nie ma po co wracać? — otwierał szeroko oczy Pucha.

Truczka raptem się spłoszył, zaczerwienił i zaczął się jąkać.

— No, gadaj pan. — Krupiec ponaglał. O co chodzi?

— Jeżeli Wierkowski, to ja... ja miałem kolegę Wierkolskiego, Tadeusza...

— No i co z tego? — nie wytrzymał Pucha.

— Wierkolskich może być dużo. — Dusik zabrał głos z boku.

— No właśnie! — rozjaśnił się Truczka. — Bo właściwie, ja sam nie wiem...

— Gadać, co jest na rzeczy. Kawę na ławę.

— No, jak już pan zaczął, to trzeba skończyć — łagodniej ponaglał Krupiec.

Truczka wreszcie wziął na odwagę i rąbnął prosto z mostu:

— Tadeusz Wierkowski sam mi opowiadał że jego matka wyszła za mąż za jednego inżyniera ze stoczni. Jeszcze w 1950-ym.

— Oho — mruknął Pucha.

— Ładna historia — zagwizdał Jasio.

Dusik skrobał się za uchem delikatnie, nie naruszając fryzurki, a Krupiec kiwał głową poważnie z troską.

— Biedny chłop — powiedział kiedy pierwsze wrażenie przeszło. — Nie można mu tego mówić. Musimy zatrzymać to w tajemnicy.

— Dlaczego? — Pucha aż się podniósł. — Właśnie trzeba go uświadomić. Niech wie, jakie to ziółko ma za żonę. Namawia go do powrotu, a sama już dawno z innym kręci.

— No, cóż — usprawiedliwił Dusik — osiemnaście lat, osiemnaście.

— Nie można mówić — upierał się Krupiec. — Absolutnie.

— Więc co? — Pucha aż się zapienił z przejęcia. — Nie

powiem mu, niech jedzie. Niech się wysprzedaje i niech leci do tej, tej... Żeby nie powiedział złego słowa!

— Mnie się zdaje, że lepiej już, aby wiedział prawdę — wtrącił nieśmiało Truczka — tylko...

— No, właśnie! — grzmiał Pucha przerywając. — Musimy mu powiedzieć.

— Nie znasz go? — prosił Krupiec. — Chłop słaby na głowę i w ogóle nerwowy, jeszcze coś sobie zrobi.

— Tak, tak — Dusik pochylał głowę. — Nie można nigdy być za ostrożnym.

Pucha wstał i spoglądał na nich z góry.

— Jak sobie chcecie. Ja tam nie umiem być ciamciamamcia. Ja wiem, że chłop robi źle i moim świętym obowiązkiem jest go za nogi wyciągnąć.

— I zaszkodzić.

— Stefan — zwrócił się wprost do Krupca. — Byznes! Taki byznes straci, zmarnuje dla jakiejś tam...

Jeszcze chwilę patrzył pytająco, a kiedy milczeli złapał za kapelusz.

— Gdzie lecisz?

— No, do Wierkolskiego.

— Jak chcesz — poddawał się już Krupiec — ale pamiętaj: na swoją odpowiedzialność.

— A może... może to nie ten Wierkolski? — z trwogą zapytał Truczka patrząc jak Pucha energicznie rozpycha pijaków zmierzając do drzwi.

— A może wiśnióweczki?

Kierownik przy płynął znowu do ich stolika i uśmiechał się do Krupca przymilnie i poufale.



Dym z przyklepionego do dolnej wargi papierosa zmuszał Jasia do przymrużania oczu, które i bez tego wyglądały strasznie — spuchnięte, zaczerwienione, po całonocnej libacji.

Szczególnie ściągał lewą połowę twarzy robiąc grymas ironiczny i złośliwy. Patrzył na Truczkę niezdarne przygotowującego maszynę.

— Rzygać się chce — zawyrokował i odsunął Truczkę na bok. — Nie tak, męko Panjezusowo. Sto razy mówiłem: nałożyć, puścić w ruch i woda! — szybko sięgnął ręką do wnętrza pralki i zakręcił cylinder. — Twarzyczkę ma jak hrabia, a w głowie co? Kapusta.

Truczka poczerwieniał, zacisnął pięści i postąpił krok na przód.

— No co? — Jasio w pół odwrócony spojrzał na niego z góry w dół. Bić się będziem?

— Bić — twardo powiedział Truczka. — Ja tu na robotę przyszedłem, nie na docinki. Jak czego nie umiem — to proszę pokazać, a nie rozrabiać. A nie to... — podniósł zaciśniętą pięść i przekreślił aż na muskularnym przedramieniu zagrało pod cienką skórą.

— *O key... O key...* — lekceważąco zżymał tamten ramionami. — Ja wcale nic złego nie myślałem. Pokazuję przecież.

Obaj zamilkli i pracowali osobno nie odzywając się do siebie.

Brudną bieliznę wytrząsali z worków i paczek i wkładali do maszyn. Osobno kolory, oddzielnie prześcieradła: ładując tak, aby w końcu nie pomieszać wszystkiego. Sypali płatki i leli chlor. Odkręcone kurki szumiały wodą ciekącą przez gumową rury do zbiorników; puszczone wreszcie maszyny zgrzytały i sapały wirując i międląc prania.

Pierwszą pracą Truczki było pranie roboczych kombinezonów. „Zadna filozofia” — powiedział o tym Krupiec. Trzeba było tylko pilnować numerków i sprawdzać, czy nie ma czego w kieszeniach, co by mogło zepsuć wielkiego Spencera — najpotężniejszą z maszyn.

Po dwudziestu minutach wyjmowali bieliznę i rzucali do koszyka. Koszyk z numerkiem stawiali na stole i krępa Moira, wprawnie ruszając białymi rękami, składała i zwijała pranie po praniu odnosząc je na półki do przedniej części sklepu.

— Ech... — sapnął po godzinie Jasio. Nie mógł wytrzymać takiej pracy w milczeniu. — Masz no jeszcze tego Wawela?

Truczka, któremu praca nie szła, a milczenie równie ciężyło, chętnie i szybko wyciągnął pudełko. Zapalili.

— Ot, życie — powiedział Jasio i klepnął Moirę po zadzie.

— *How...?* — podskoczyła do góry z krzykiem. — *You... you...* — groziła Jasiowi pięścią.

Jasio się śmiał i wyciągnawszy rękę chciał ją pogłaskać po twarzy. Ale uderzyła go mocno, aż mu ramię poszło w dół.

— *Don't be so angry, Moira* — łagodził, ale ona nie była bardzo zła; mimo gniewnej miny oczy jej się śmiały, zwłaszcza gdy popatrzyła na przystojnego Truczkę.

— Ona mówi po polsku, wiesz? — chwalił się Jasio. — Moira, *speak Polish*.

Musiał ją prosić kilkakrotnie, bo się wzbraniała. Wreszcie patrząc figlarnie na Truczkę zaczęła straszliwie przekreślać:

— Pieredonić posze panu... — i resztę trudnych do poznania, zniekształconych najgorszych wyrażań.

— Ha, ha, ha... — zaśmiewał się Jasio. — Edukowana, co?

Ale Truczka nie słuchał; zamyślony ciągnął papierosa i patrząc nie widział, słysząc nie przyjmował do wiadomości. Wreszcie gwałtownie i ze złością cisnął papierosem o kamienną posadzkę i przydeptał obcasem.

— Co się stało? — zapytał Jasio zdziwiony a Moira widząc, że jej postępy językowe nie robią należytego wrażenia, odwróciła się plecami.

— Co jest? Może kolega chory?

— At, ten Wierkolski nie wychodzi mi z głowy. — Truczka zacisnął wargi i machał pochyloną głową.

— Jaki Wierkolski?

— No ten, którego żona za mąż wyszła. To znaczy może wyszła. O to właśnie chodzi, że ja przecież nie mogę być pewny czy to ten Wierkolski.

— O co chodzi? — Jasio nie rozumiał skrupułów Truczki.

— No, przecież to jak na moim sumieniu. Ja to powiedziałem, bo tak jakoś się złożyło, a ten duży jegomość...

— Pucha.

— Ten Pucha zaraz pobiegł zawiadamiać. Może ten Wierkolski, to inny? Może przejął się? Może zmienił zamiar i nie chce wracać do Polski? I to wszystkim przeze mnie. A ja nie wiem wcale, czy to ten Wierkolski.

— Nie przejmuj się. Jeśli gość nie chce repatriować — to fajno. O to przecież i chodziło.

— Jakto?

— No co? Sam pan od tych komunistów zwiewasz, a innych chcesz namawiać do powrotu?

Truczka się zmieszał.

— Nie o to chodzi... Ale jeżeli ktoś chce wracać do rodziny...

— I byznes marnować? Rzuca, taki byznes? Tutaj żyje jak hrabia i paczki wysyła, a tam co będzie miał?

— Wy wszyscy tylko o byznesie. — Truczka podniósł głowę — a przecież mnie o co innego chodzi. Jedzie czy nie jedzie — to jego sprawa, ja nie chcę mieć nikogo na sumieniu. Gdybym wiedział, gdzie on mieszka, poszedłbym i powiedział...

— Co?

— No że... że nie można być wcale pewnym czy to jego żona, czy to kto inny...

— Głupis — parsknął Jasio niegrzecznie. — A jeśli wola, to proszę bardzo. Druga ulica na lewo, czerwony szyld, Holloway Laundrette. To jest byznes Wierkolskiego.

Nim skończył mówić, Truczka już odpasywał gumowy fartuch.

— Co mam powiedzieć *boss'owi*? — wołał za nim Jasio, ale nie otrzymał odpowiedzi.



Truczka otworzył drzwi i stanął na progu. Za kontuarem siedział jeden mężczyzna, obok niego stał drugi, wielki jak góra.

Siedzący podniósł łysą, żółtą głowę i twarz pomarszczoną. Spojrzał na Truczkę smutnymi wypłowiałymi oczyma.

— Czy... czy pan Wierkowski? — Truczce serce zaczęło bić. Nie wiadomo czemu nie mógł wytrzymać spojrzenia.

— Czego pan sobie życzy? — odpowiedział nie siedzący, ale stojący obok olbrzym.

Truczka podniósł oczy na mówiącego. Pod siwiejącą czupryną błyszczała wielka, czerwona twarz przecięta szczotką czarno farbowanych wąsów.

— Ja chciałem mówić z panem Wierkolskim. Jestem Truczka, Zygmunt Truczka.

— Tyle to wiemy. Całe miasto pana zna — huczał wielki człowiek.

— Ja chciałem z panem Wierkolskim... — Truczka postąpił kilka kroków i znowu spojrzał na siedzącego za kontuarem.

Nie potrzebował objaśnień. Skurczona, obwisła, zmęczona bezgranicznie twarz była odbiciem twarzy jego kolegi Tadeusza Wierkolskiego z Gdańska.

— Czy pan ma coś do powiedzenia panu Wierkowskiemu?

— Tak — cicho wyjąkał Truczka.

— To gadaj pan i krótko — zakomenderował olbrzym.

Truczka zawahał się, zebrał się w sobie i wreszcie zaczął:

— Proszę pana, ja chciałem panu powiedzieć, że to wszystko właściwie — to nic pewnego, że to może wcale nie pan — oczy patrzyły bez drgnienia powieką i biedny Truczka zaczął się plątać. — Ja wiem... ja rozumiem, że to moja wina... ja nie powinienem być... Panie Wierkowski — głos Truczki nagle zabrzmiał mocno i zdecydowanie — to nie jest prawda.

— Co? — po raz pierwszy odezwał się łysy mężczyzna.

— To nie jest prawda, że pana żona wyszła za mąż. Ja znam pana syna Tadeusza i żonę. Znam bardzo dobrze i mogę zaświadczyć.

— Czego on chce? — Wierkowski zwrócił się skrzypiącym głosem w stronę towarzysza.

— To pan Truczka, Józiu — łagodnie odpowiedział tamten — przyjechał z Polski.

— Z Polski. Z Polski. — Wierkowski westchnął i kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Kiedy pan wraca? — spytał.

— Ja... nie wiem. Nie wiem jeszcze — wykręcał się Truczka.

Nagle oczy Wierkolskiego zabłyśły. Powstał i wyciągnął rękę do Truczki.

— Musimy się poznać. Wierkowski jestem. Kapitan Józef Wierkowski. Kapitan artylerii.

— Zygmunt Truczka — odwzajemnił się młodzieniec z przymusem.

— Były kapitan artylerii — dopowiedział Wierkowski. — A teraz misja. Sekretna misja — zrobił tajemniczą minę. Wszyscy mamy jakieś misje.

— Hm... hm... — chrząknął wielki towarzysz Wierkolskiego, jakby zachęcając Truczkę do odpowiedzi.

— Tak. Naturalnie — mruzczał Truczka. — Każdy ma misję.

— Właśnie — ucieszył się Wierkowski. — Pan też? No tak, pan przecież z Polski przyjechał z misją. Panie! — zawołał z błyskiem oczu — chodź pan tu. Tu — wskazywał miejsce koło siebie. — Prędko.

Truczka popatrzył niepewnie na olbrzyma i obszedł kontuar dokoła stając koło Wierkolskiego.

— Tu. Widzi pan? — Wierkowski otworzył wielką księgę.

— Dopiero dziś w nocy otworzyły mi się oczy. Osiem funtów co pół godziny na jedną maszynę. Cztery maszyny przez osiem godzin dziennie 772 funty przeciętnie, czyli około 302 kilo. Patrz pan — pokazywał kolumny pozycji w książce. — Podsumowałem. Rano przyszedłem i podsumowałem. 5.835 kilo 400 gramów. Przeszło czteremastu tysięcy brak do dwudziestu ton. Rozumie pan? To niemało. Niemało. Ale trzeba będzie „owertajmy”. Do dwudziestu ton!

— Czego dwadzieścia ton? — spytał drżący Truczka.

— Brudnej bielizny. Dwadzieścia ton. To moja misja. Powiedz pan, gdzie trzeba. Złóż pan raport. Kapitan Józef Wierkowski: dwadzieścia ton przydział.

Złapał raptem księgę i zatrzasnął. Spojrzał bokiem na Truczkę i cofnął się z przestraszeniem.

— Ani słowa. Ani słowa.

— Tak jest. Tak... jest.

Wierkowski wsadziwszy pod pachę swoje rachunki skoczył w tył poza półki z bielizną, w róg między maszyny.

Truczka podniósł oczy na wysokiego towarzysza Wierkolskiego, który stał mroczny i milczący.

— To przecież nie moja wina — zawołał. — To nie może być moja wina!

Potężny mężczyzna wyciągał z kieszeni chustkę od nosa.

— Przecież on się nie mógł tym tak przejąć. Przecież to osiemnaście lat. To nie może być ta wiadomość.

Olbrzym rozłożył brudną chusteczkę i wyszukiwał w niej czystego kawałka.

— Naturalnie, że to nie pana wina — powiedział spokojnie i ścisnąwszy wielki nos zatrząbił przeraźliwie.

WINCENTY I ANIOŁ

— *Repent! Repent! Repent! Your time has come!*

Mewy wiszące na wietrze kwiliły do wtóru. Wiatr pędzący fale na kamienistą plażę targał białymi włosami człowieka, stojącego na trybunie zbitej z kilku desek.

— Pokutujcie! Żałujcie za grzechy! Oczyszćcie dusze wasze. Bo idzie czas, gdy błagać gór będziecie, aby na was spadły i od gniewu was zasłoniły.

Prorok unosił ręce, jakby popychał własne słowa w świat.

Obok trybuny stały dwie kobiety trzymające z obu stron napis: Jestem z wami!

Płachta wydymała się jak żagiel. Łopotała uderzając o nogi proroka, biją po nogawkach wyrudziały korderojowych spodni.

— *Repent! Repent!* — powtarzał człowiek.

Przymknąwszy oczy, wysunąwszy w przód rzadką a jasną jak pasmo lnu brodę, pochylał się nad gromadką ludzi.

Wiatr od morza niósł ze sobą chłodny dreszcz. Kilkunastu mężczyzn kuliło się zaciskając marynarki.

Na skraju koła stał barczysty blondyn w czarnym swetrze i granatowych grubych spodniach. Nie był wysoki, ale trzymał się prosto i wielka jego głowa górowała nad wszystkimi. Ponad plecami innych obserwował z oddalenia trybunę z sennym prorokiem, żagiel szarej materii z napisem, trzymające go dwie kobiety.

Jedna z nich pochmurna, ciemna, zła patrzyła przed siebie oczyma pełnymi gniewu i pogardy. Jak anioł z Sądu Ostatecznego.

Druga, podobnie jak jej mistrz, miała oczy przymknięte. Okrągała jej twarz z wystającymi policzkami, miękkim dziecin-

nym podbródkiem była biała jak mleko. Spod czarnej chustki wymykały się jasne włosy.

— Otwórzcie wasze oczy, aby widzieć, otwórzcie wasze uszy, aby słyszeć. Niosę wam ratunek, niosę wam wybawienie. Ale biada tym, którzy słysząc nie wierzą, widząc nie ufają. Ogień piekielny, żar potępienia ogarnie ich i spali razem z tą ziemią potępioną za jej występki.

— Hej mister — zawołał ktoś z tyłu — dałbyś nam trochę tego żaru piekielnego, tak zimno!

Audytoryum wybuchnęło śmiechem. Usta proroka skrzywiły się boleśnie. Podniósł powieki i spojrzął oczyma tak przejrzyistymi jakby były ze szkła.

— Hej Johnnie! — ktoś wrzasnął i do przodu przepchnęło się trzech marynarzy.

Młodziacy z nasuniętymi na czoło białymi czapeczkami, z rękami w kieszeniach granatowych spodni stanęli naprzeciw trybuny i zaczęli wykrzykiwać, przedrzeźniać proroka.

— Kiedy nas wyślesz do piekła?

— Miej litość nad nami grzesznikami!

— *Hi! Angel!* — jeden podsunął się do wystraszonej dziewczyny i wyciągnął rękę. — Daj mi buziaka. Rajskiego buziaka.

Blondynka cofnęła się gwałtownie. Uderzyła bokiem w trybunę, która zachwiała się, a prorok śmiesznie zatrzepotał rękoma.

— Do nieba lecisz Johnnie? Zabierz mnie ze sobą! — wołał jeden z marynarzy.

A ten pierwszy nie dając za wygraną nacierał na dziewczynę.

— *One kiss, Angel.* Jeden całus.

— Zostaw ją.

Na ramieniu marynarza spoczęła czyjaś ręka. To krępy blondyn podskoczył na ratunek „świętych”.

Na sekundę wszystko zamarło. Marynarz skurczony przysiadł nie odwracając się, jego koledzy pochylili się do przodu z boku patrząc na intruza.

Wszyscy inni zaczęli się instynktownie cofać.

I w jednej chwili wybuchło prawdziwe piekło. Zaczepiony majtek zwinął się jak sprężyna i skoczył do tyłu. Napotkał na sprawnego przeciwnika i nadział się na wystawione w górę kolano. Opadł i zaraz razem z dwoma kolegami skoczył z rykiem. Zakotłowało się, migwały pięści i w ruch poszły nogi. Krępy blondyn bronił się jak dzik osaczony. Już jeden z marynarzy leżał trzymając się za podbrzusze, a drugi krwawił z rozbitego nosa. Trzeci ostrożniejszy, bardziej doświadczony zwał się z bliska wpierając głowę pod brodę przeciwnika. Szamotali się ślizga-

jąc na okrągłych kamieniach aż runęli w dół. Wtedy podskoczył ten z rozbitym nosem i zaczął kopać leżącego.

Rozległ się przeraźliwy gwizd. Z dwóch stron biegli: wielki jak góra policjant w mundurze i dwaj żandarmi marynarki.

W mgnieniu oka marynarze zerwali się do ucieczki. Nim władza nadeszła, został już tylko poturbowany blondyn w kole zbliżających się znowu słuchaczy proroka.

Siedział na ziemi i macał się po bokach, dotykał twarzy, podbitego oka, podrapanej brody.

— Cholera ich taka mać — zaklął po polsku.

Spojrzał w stronę przewróconej trybuny. Obok proroka stała dziewczyna z podartym strzępem napisu w rękę. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na pobitego obrońcę. Wydało mu się, że więcej w tych oczach lęku teraz, niż przedtem, gdy cofała się przed napastującym ją marynarzem.

— *Come Angel* — zawołała ta druga, czarna i wraz z mistrzem odeszły w stronę portu.

Jeszcze z drogi blada towarzyszka proroka obejrzała się za siebie.

Wokoło pobitego zebrał się niemały tłum. Teraz wszyscy byli odważni, wszyscy gadali jak na wyścigi. A ponad nimi górował policjant, który pisał w notesie często śliniąc ołówek.



Josephine w barze „Pod Kotwicą” oparła się piersiami o ladę. Pilnie wpatrywała się w drzwi czekając aż się otworzą.

Mimo, że jeszcze było widno na dworze, w salce barowej zapalono już światło. Ale to nie wiele pomagało. Ciężkie cienie leżały po kątach obwieszając jak sieci rybackie zakopcone ściany, filarki po obu stronach bufetu, rzędy butelek na dębowych półkach, okręt w butelce wiszący nad głową bufetowej.

Niewidoczny zupełnie pułap występował tylko w kręgach światła od lamp wiszących w żelaznych okuciach. Widać tam było czarne haki i łańcuchy, i belki poprzeczne, sękate jak ramiona starców.

Na wprost drzwi wisiła żelazna kotwica z trzema lampkami na spłaszczonych łapach.

Drzwi się nareszcie otworzyły. Wszedł bohater bójki na plaży, krępy blondyn w czarnym swetrze.

Nie patrząc na boki podszedł do bufetu. Josephine zajaśniała uśmiechem.

— *Hallo sir Galahad!* Zabiłeś smoka?

Skrzywił się. Podniósł do góry pięść i pokazał obdarte ze skóry knykcie.

— Łatwo im we trzech na jednego — zamamrotał.
— Nie martw się Viki — sierżant Forbes wszedł do baru schylając się pod kotwicą. — Ci już ciebie nie zaczepią. Odechciało się im na zawsze.

— Dał im bobu. Dał — z dumą w głosie powiedział Freddy podsuwając się bokiem pod łokieć Vikiego.

— Czego się gapisz — ze złością zawołał Viki na bufetową.
— Nalej kolejkę.

Odwróciła się do nich szerokimi plecami.

— *Foreigner'zy*. Przekłęci *foreigner'zy* — zamruczał Hamish. Ze złością cisnął swoją strzałką w tarczę na ścianie.

— Amerykańscy marynarze.

— Właśnie. Oni najgorsi ze wszystkich *foreigner'ów* — odpowiedział Hamish sierżantowi.

— Przez nich, przez tych krwawych idiotów Nikita nam bombę na łeb rzuci. Zobaczycie!

Wyskoczył z cienia i stanął przed wszystkimi: mały zadzierzysty, w łatanej marynarce z ciemnobrązowego tweedu, w workowatych spodniach, ze swetrem zwijającym się wokoło szyi. Z ramion zgarbionych, ale wciąż szerokich wystawała obrośnięta szczecina głowa. Broda, wąsy, bokobrody włosy — wszystko sterczało jak kolce u dojrzewającego kasztana. W tym siwym nastroszeniu błyszczały czarne oczka otoczone pomarszczoną, garbowaną skórą.

— Ja wam mówię. Ta bomba nam na łeb spadnie. Dwie wojny przez tych *foreigner'ów* przegraliśmy.

— Przegraliśmy? Hamish! — zawołał ze sztucznym oburzeniem Forbes.

— Ja przegrałem — zawrzał stary. — Patrz! — podniósł rękę z dwoma tylko palcami. — Na pierwszej trzy palce straciłem. Za co? Kto zaczynał? Tym żabojadom zza kanału zachciało się wojny, a ja bez palców do domu wróciłem. Na drugiej...

— Na drugiej nic nie mogłeś stracić — zawołał ktoś z kąta, z grupy skupionej przy strzałkach — siedziałeś w domu.

— W domu? — Hamish nie posiadał się z oburzenia. — A kto wyłowił z morza lotników? Kto był pierwszy kiedy Niemcy storpedowali bazę? Kto?

— Aleś nic nie stracił.

Hamish podskoczył do góry.

— Narzeczoną straciłem. Ot co! Przez tych *foreigner'ów*.

— Uspokój się — Josephine odwróciła się po raz któryś z rzędu stawiając na ladzie kufle z piwem. — Nic nie straciłeś, żeś się z Margaret nie ożenił.

— Rzeczywiście — przyznał Hamish. — Kto by pomyślał,

że z niej zrobi się taka jędrza. Ale Robby stracił! — zawołał z triumfem. — Żeby jacyś tam Polacy o jakiś tam Gdańsk nie krzyczeli, Robby byłby szczęśliwy.

— A ty miałbyś Margaretę.

— Biorąc z tego punktu widzenia... — Hamish nie dokończył machnąwszy ręką. — No to zdrowie Vikiego. Złam nogę Viki!

Podniósł z bufetu kufel z piwem i zdmuchnął pianę.

— Przecież Viki to *foreigner* — odezwała się przekornie Josephine — i to z tych najgorszych *foreigner'ów*, z Gdańska.

Hamish machnął ręką. Nic nie odpowiedział, aż odjął kufel od ust.

— Amerykanie to *foreigner'zy* — stanowczo oświadczył — cholerni *foreigner'zy* z ich bazą łodzi podwodnych, z ich samolotami, z ich bombą atomową. A Viki jest *regular*, stały klient.

— Viki! — pisnęła Josephine — podnosząc kieliszek z brandy.

— Nasz Viki — trzepnął chłopca po ramieniu Forbes, aż się nieszczęsny skopany, pobity bohater skrzywił z bólu.

— obrońca uciśnionych.

Viki pomachał swoim kieliszkiem i przechyliwszy głowę łyknął jednym haustem podwójną porcję whisky. Postawił na ladzie i mrugnął na Josephinę.

Zebrało się teraz spore grono regularnych klientów baru „Pod Kotwicą”. Stłoczyli się przy bufecie i popijali swoje piwko. Pomrukiwali i przegadywali się półgębkiem.

— Znowu się upijesz — powiedziała Josephine stawiając przed Vikim czwarty z rzędu kieliszek whisky.

— Ma prawo — zawołał Hamish — nie jest żonaty.

— Mam prawo, czy nie mam? — zapytał Viki ocierając usta.

— Właśnie — westchnęła Josephine, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Masz — trącił w bok Vikiego Forbes — kandydatka do ożenku. Możesz choć jutro iść przed ołtarz.

— Josephine, Josephine... — zaśpiewał sztucznym falsetem Freddy.

— U wdowy, chleb gotowy — z kąta ciemnego podrzucił MacFergus. Znowu zatrzęśli się od śmiechu. Josephine poczerwieniła ze złości. Vikiemu zrobiło się jej żal. Nie była przecież do niczego. Tęga, rosła, zdrowa. Włosy miała ciemne i błyszczące, cerę gładką, usta świeże. Może by i zdała się komu na żonę. Choć wdowa.

Spojrzał na nią z sympatią.

— Kto to jest ten Johnnie? Wariat? — spytał odwracając uwagę od dziewczyny.

Popatrzyli na siebie jakby każdy z nich szukał tego, kto ma obowiązek odpowiadania na takie pytania.

— Johnnie? — zabrał głos sierżant Forbes. — On mówi, że koniec świata się zbliża.

— *Nuts!* — krótko zbył sprawę Angus, rzeźnik.

— Prorokuje nam wszystkim piekło — powiedział Freddy. — Jeździ z miejsca na miejsce, z portu do portu i nawraca ludzi na jakąś nową sektę.

— Nie nawraca — prostował MacFergus. — Każe pokutować za grzechy.

— Powiada, że idzie sąd ostateczny, że cała ziemia wybuchnie i tylko on się uratuje i tych weźmie ze sobą, którzy na to zasłużą.

— Kto mu nasypie srebra do kapelusza.

— A gdzież on ich zaprowadzi? — zapytał Viki. — Na księżyc?

— A właśnie że na księżyc! — zawołał Hamish. — On powiada, że nawet dalej. Cała ziemia od tej cholernej bomby rozleci się w kawałki a on ze swymi dziewczynami polecą na talerzyku na Venus, albo na inną gwiazdę.

— Bo on powiada — wyjaśnił Freddy — że sam jest z innej planety. Kapujesz?

— Brudny, rozpustny pies — Josephine stuknęła pustym kuflem o ladę, przerywając potok wymowy. — Śmierzący kozioł. Rozpustny satyr. On i te jego dziewczki.

— Jakie dziewczki? — Viki zwrócił się w stronę dziewczyny.

— No nie wiesz? — wykrzywiła wargi ironiczne. — Te coś ich bronił przed marynarzami.

— On mieszka w łodzi — poważnie objaśnił Forbes — razem z trzema dziewczynami.

— Żyje z nimi? — Viki był coraz bardziej zaintrygowany.

— Kto to może stwierdzić. Dziewczyny chodzą do pracy a on prowadzi gospodarstwo. Powiada, że reperuje łódź. A wieczorami jak deszcz wielki nie pada, to kazanie na plaży wygłasza.

— Nie ma szczęścia — dodał Angus. — Takie szkaradne lato! Każdy interes leży.

Viki pociągnął whisky i zamyslił się. Podniósł rękę i potarł bolące oko. Uśmiechnął się do siebie.

— Ta jedna z nich — powiedział Freddy — to twoja rodaczka.

— Aha — potwierdził MacFergus — polska dziewczyna.

— Ta blondynka? — spytała Josephine.

— *Aye* — przytaknął MacFergus patrząc na Vikiego, który tarł dalej oko, jakby nie słysząc ich wcale.

— Przekleści, zwiariowani *foreigner'zy* — zamruczał Hamish przechylając kufel z piwem.



Siąpił deszcz. Chmury siedziały na wzgórzach otaczających zatokę i targane wiatrem sływały kawałkami ku morzu. Wiatr odrywał z nich szare płachcie, pędził ponad falami i jak mokrymi szmatami bił nimi po porcie, zatoce, po czarnych molach, chyboczących kutrach i łodziach, po twarzach ludzi i po oknach pozamykanych domów.

Viki siedział na w półrozwalonym murku i patrzył w stronę plaży.

Pękata łódź Johnniego leżała na suchym lądzie jak ryba, wyrzucona przez fale. Podparta drągami skrzywiła się na jedną stronę. Wygięte deski denne świeciły deszczem i świeżą smołą. Burta podniesiona do góry przeżyła się jak łuk napięty. Maszty sterczały jak strzały godzące w szarość nieba.

Małe okrągłe ciemne okienka nadbudówki i osłona koła sterowego błyszcząły wymytmymi na deszczu szybami.

Viki patrzył oczekując, że zobaczy tam jakiś ślad życia, ale łódź leżała cicha i opuszczona.

Było przedpołudnie. Vikiego głowa pękała po wczorajszym pijaństwie. Powinien był, jak każdego ranka, zostać w domu. Odespać, odleżeć przynajmniej do obiadu.

Tak zwykle robił.

Kiedy zjawił się „Pod Kotwicą” dwa tygodnie temu, powiedział z góry jakie są jego zwyczaje.

Cztery tygodnie. Cztery tygodnie póki nie zawinie do portu kuter *Last Hope* i stary Lewiss nie zabierze go na nowy tan-kowiec.

Jeszcze jeden statek. Jeszcze jeden dom pływający. Złudzenie mieszkania, złudzenie spokojnego życia. Tygodnie, miesiące z dala od lądu, jakaś zapadła dziura koło Adenu, na brzegach Brazylii, Persji czy Argentyny. To wszystko jedno gdzie. Taki sam brzeg, taki sam piasek. Pustka. Pompy, rurociągi, zapach ropy, spoceni pompierzy, klecone jak bądź, z byle czego chałupki.

— Viki, jedziesz na wypad?

Drugi mechanik Vincent Kadul tłucze się ciężarówką do jakiegoś miasta, do jakichś sal restauracyjnych, dancin-gów, nocnych klubów, burdeli, kabaretów.

Wraca. Leży jak kłoda i podryguje na wybojach brazylijskiej szosy. W ustach kwaśny, lepki smak straconej nocy. Przed nim

gorycz idących dni, dni wolnych, ślamazarnych, sunących się po oleistym oceanie.

A kiedy dmie wiatr, burza, szkwał, wałą fale i zmywają pokład ropowca, gdy tak kołysze, że kasztel potrząsa ludźmi jak grzechotka orzechami, gdy długi kadłub statku wygina się i trzeszczy w stawach — wtedy Viki rzucały od ściany do ściany w maszynowni modli się o jeden spokojny dzień. Aby go, gdy przyjdzie, nienawidzić.

— Czego ty chcesz Viki?

Czego? Gdy miał dość, rzucał morze. Z początku szukał pracy na łądzie. Szedł do fabryki, do elektrowni, do magazynu na tragarza. Zarabiał pieniądze i przepijał. Puszczął na dziewczki.

Kiedy przekonał się, że na łądzie gorzej niż na morzu, rzucał ład, uciekał na pierwszy napotkany ropowiec. Znowu na kilka miesięcy.

A potem już nie starał się o jakiś ład, o jakąś stałość.

Kiedy miał dosyć pływania, schodził i czekał na nową okazję. A w przerwie szedł do jakiegoś hotelu, do jakiejś knajpy „Pod Kotwicą”...

— Jak się nazywasz dziecko?

— Josephine.

— Josephine, masz tu moje pieniądze. Tyle mam i nic więcej. Za to co tu jest chcę spać, jeść i pić przez cztery tygodnie. Tyle czasu nim przyplynie stary Lewiss. *O key?*

Dziewczyna patrzy na zwitek banknotów. W myśli oblicza.

— Za te pieniądze możesz u nas mieszkać cztery miesiące.

— Ale ja piję — śmieje się Viki — piję najdroższa. Piję jak smok. I nie może mi zabraknąć whisky. *O key?*

Dziewczyna kiwa głową i powiada:

— Chłop, który pije, nie przedstawia dla mnie żadnej korzyści. Po prostu klient.

Z pewnym żalem spogląda na zwałistą mocną postać marynarza, na gładkie czoło, niebieskie szeroko rozstawione oczy, na kędzierzawe jasne włosy. Nawet kulkowaty, trochę przypłaszczony nos schowany między mięsistymi policzkami podoba się Josephinie. Nie jej pierwszej i nie ostatniej.

Pewnie dlatego Viki mówi o kosztach spania, jedzenia picia, na miłość nie przeznaczył ani funta. Po co? Tylko fujary płacą za miłość.

Viki patrzy na opuszczoną łódź proroka Johnniego i myśli o dziwnym człowieku, który w starej łajbie objeżdża świat i woła, wzywa do pokuty. Prorokuje koniec świata.

Rozwrzeszczani Arabowie w Port Saidzie, derwisze nad Kanałem Sueskim, pokazujący sztuczki fakirzy w Kalkucie, kuglarze

afrykańscy, czarownicy w maskach tak przerażających, że od jednego spojrzenia można wytrzeźwieć — wszystko to było. Wszystko bez wrażenia. Wszędzie jest wódka, dziewczyny. Za pieniądze wszędzie jednakowo oszukują.

Ale ten błady, biały, przejrzysty, jak z plastikowej masy wariat jest zupełnie inny.

Johnnie — prorok.

Dziewczyna miała twarz okrągłą, oczy rozszerzone łękiem, też wielkie i okrągłe.

Jaki miała nos, usta?

Dlaczego jak na nią patrzył zdawało się, że ją skądś zna. Tak jakby spotykał zgubioną siostrę.

Tak właśnie. Gdyby kiedyś Viki miał zobaczyć swoją siostrę, na pewno miałby to samo wrażenie swojskości, bliskości...

— Viki — nie słyszał, jak podszedł do niego sierżant Forbes i położył mu rękę na ramieniu — po co tu siedzisz?

Odwrócił się zmieszany.

— Tu nikogo nie ma. Właściwie prawie nikogo. Dziewczyny w pracy a Johnnie śpi. Zawsze śpi do późna rano.

— Co mnie oni obchodzą? — próbował oszukać policjanta.

Wstał, strzepnął z kurty deszcz i gotów był towarzyszyć sierżantowi.

— Kiepska pogoda na służbę — uśmiechnął się do Forbesa.

— Na spacer też niedobra.

— Alkohol wyparowuje.

— *Aye* — zgodził się policjant.

I poszli w stronę miasteczka. Pomału noga za nogą. Sierżant człapiąc wielkimi platfusami, Viki zamiatając nogami na boki po marynarSKU.

— To tutaj — powiedział sierżant Forbes, gdy doszli do *King's Hotel'u*.

— Co tu?

— Tu pracuje ta twoja Polka. Jako pomywaczka. W dnie nieparzyste kończy o czwartej, w dnie parzyste o dziesiątej wieczorem. Dziś jest dzień parzysty.

Viki popatrzył z boku na wszystkowiedzącą władzę miasteczka.

— Nie ma takiej rzeczy, o której byś nie wiedział?

— Bardzo wielu rzeczy nie wiem i to mnie czasem martwi.



Hotel stoi w samym środku łuku zatoki. Z prawej i lewej mniejsze, nie tak okazałe, budynki zaginają skrzydła półksiężyca.

Za nimi w zagłębieniu wzgórz kilkadziesiąt szarych domków. I to całe miasteczko, gdzieś na północy Szkocji.

Od północy nad zatoką panuje kopulaste wzgórze, łyse na czubku, porośnięte drzewami po bokach. W tych drzewach za białym murem widać wielkie budynki Marynarki.

Po przeciwnej stronie wody, prawie patrząc na przystań wojennej marynarki — czarne na wpół spróchniałe molo, szeroki pomost z belek, kamienny budynek z zegarem na wieżycze i niskie magazyny z trzech stron otaczające zamknięty kwadrat wewnętrznej przystani. W tym kwadracie kołyszą się na odpływie kutry rybaków, barki i holowniki. Przycumowane i milczące wydają się porzucone, odstawione na zawsze w zagrodę doku.

Tu obok tych beczynnych kutrów fronty domów podchodzą pod same molo. Czarne, w zaciekach, popękane domy z ubiegłych stuleci.

Najokazalszy z nich to jednopiętrowy hotel i bar „Pod Kotwicą”.

King's Hotel szczyli się nowoczesnymi urządzeniami, ale na zewnątrz jest taki sam staroświecki i posepny jak całe miasto.

Gdyby lato dopisało, gdyby stawili się turyści i letnicy, zapewne hotel ożywiłby się, kolorowe sukienki zabarwiłyby skwerek, zadowoleni z siebie starsi panowie poobsiadaliby ławki, może zaczęłaby grać orkiestra, może na skraju promenady rozstawiłby się namiot ze strzelnicą, zawirowałaby karuzela, ojcowie miasteczka zdecydowaliby się na oświetlenie wieczorne nabrzeża...

Po jednostronnej ulicy chodzą tylko okryci płaszczami nieprzemakalnymi tubylcy, przebiega kilku opalonych, muskularnych oficerów marynarki, grupka majtków z bazy łodzi podwodnych stoi przed wystawą sklepu z dzieciennym ubraniem.

Deszcz siąpi. Wisi na mgle kroplami, które leniwie opadają na chodnik.

Tylko trawa na trawniku u wejścia do hotelu kipi szczęśliwą zielonością.

Z bocznego wyjścia, gdzieś z dołu pachnącego przypalonym tłuszczem wyszła dziewczyna.

Nasunęła chustkę na głowę, zacisnęła kubrak na sobie i ruszyła chodnikiem. Wiatr otulał jej nogi spódnicą. Wielgaśne wykoszlawione pantofle na bosych nogach człapały po kałużach.

— Hallo, aniołku!

Viki oderwał się od wystawy i zrównał z dziewczyną.

Podniosła na niego oczy i zarumieniła się.

— Dzień dobry pani — powiedział podnosząc palce do kaszkietu.

— Pan... Czego pan chce ode mnie?

Przechodzący mężczyzna odwrócił się na dźwięk polskiego, obcego tutaj języka.

— To tak się wita zbawcę? Człowieka, który naraził się na pobicie dla pani?

Popatrzyła mu w oczy poważnie i pokręciła przecząco głową.

— Nie trzeba było tego robić. Proszę nigdy tego nie robić.

— Nie?

— Nie.

— Kto to powiedział?

— Johnnie — odpowiedziała głosem pełnym zdziwienia.

— Dlaczego?

— To ma zły *influence*. To robi *bad blood*.

— Aha...

Ruszyła naprzód a on przy niej. Nie patrząc się na niego przyspieszała kroku.

— Czy to nie jest śmiesznie — mówił — tu w takiej dziurze, spotkać rodaczkę. Polaków, owszem, spotykało się prawie w każdym porcie, naszych wszędzie cholera nosi, ale Polkę, samą jedną...

Nie odpowiadała. Szła coraz prędzej.

— Czy aniołek się nie cieszy, że spotkał swojego?

Ani słowa.

— Możemy chociaż idąc porozmawiać.

— Wszyscy ludzie są jednakowi — odpowiedziała na to pierwsze pytanie.

— Tak? A Johnnie też jest taki sam jak inni? Czy ten wariat może jest lepszy?

— Proszę tak nie mówić. To są poważne sprawy.

— Poważne? Pewnie, że poważne. Gniazdko sobie uwił na stateczku, trzy kobiety mu służą, trochę sobie czasem pokrzyczy, pogrozi ludziom i pieniążki zgarnia. Świetne życie sobie urządził.

— *It's a lie. A dirty lie!* — zatrzymała się i rzuciła mu w twarz angielskie słowa. Jej jasne i spokojne oczy zapaliły się gniewem.

Skłonił się przed nią z ręką na sercu.

Kiedy zakręciwszy gwałtownie pospieszyła dalej swoją drogą, nie stropiony szedł przy niej.

— Niech się aniołek nie gniewa. Przecież ja chciałbym najlepiej. Spotkał człowiek polską dziewczynkę, to pragnie jej pomóc.

Dochodzili do końca chodnika, dalej już leżała kamienista plaża a na niej łódź Johnniego.

— Proszę mi tylko powiedzieć, czym mogę pomóc. Może jest coś takiego do zrobienia, że i ja się przydam rodaczce?

Może coś kupić? A może moglibyśmy sobie ot pogadać po swojemu?

Zatrzymała się. Podniosła głowę tak gwałtownie, że chustka spadła do tyłu i jasne włosy posypały się na czoło. Potrzęsnęła nimi i krzyknęła:

— *Go away! Go away you.. you..*

Wyciągnął ręce zdumiony wybuchem złości.

— Precz! — krzyknęła po polsku. — Idź sobie! *Go away!*

Odwrociła się i zaczęła biec po rozsypujących się otoczkach. Nogi w koszlawych pantoflach wykrzywiały się i potykały, kamienie pod stopami grzechotały.

Biegła w stronę łodzi.

Tam, jakby na krzyk dziewczyny, spoza przechylnego kadłuba wyszła wysoka chuda kobieta. Postąpiła kilka kroków i otworzywszy czarny szal jak skrzydło czekała.

Viki patrzył w tamtą stronę i widział jak dwie ciemne postacie łączą się w jedną i odchodzą poza łódź.

Jeszcze zabielało twarzą zwróconą w jego kierunku, zaszurało kamieniami i w nagłej ciszy została tylko łódź nadstawiająca obły bok na wiatr i deszcz.

Ruszył ramionami i wsadziwszy ręce w kieszenie kurtki poszedł w kierunku baru „Pod Kotwicą”.



— Nasz Johnnie przygotowuje się do drogi.

Viki spojrział na Freddy'ego.

— Skąd wiesz?

— Nareszcie zabrał się do roboty. Przestał spać do wieczora a i stuka młotkiem w swojej krypie.

Viki mruknął coś, jakby go nic to nie obchodziło, ale na drugi dzień rano poszedł sprawdzić.

Łódź z bliska wyglądała większa i solidniejsza.

Podszedł po kamieniach aż do samej burty. Nikt się nie pokazał. Za łodzią zobaczył cienki dymek i poczuł zapach gorącej smoły. Obszedł dokoła i zajrzał na drugą stronę.

— *Good morning* — powiedział zobaczywszy Johnniego stojącego z kubłem w ręku.

— Pokój z tobą — powiedział jasnowłosy prorok.

Miał na sobie wytarte kordrojowe spodnie i szarą flanelową koszulę z zawiniętymi rękawami. Przez otwarcie koszuli widać było białe ciało i kępki rudych włosów na piersiach.

Viki podszedł bliżej i uderzył pięścią o dno łodzi.

— Szykujesz łajbę do podróży?

— Trzeba być zawsze gotowym. Czy ty jesteś, bracie, gotów?

Viki popatrzył na Johnniego. Mimo zdartego przyodziewku, zmierzwionych włosów na głowie i na brodzie, mimo kubelka ze smołą i nieporadności z jaką trzymał drewnianą szpachlę, ta postać nędzna i wychudzona nakazywała szacunek. Przejrzyste oczy patrzyły ze smutkiem i z powagą nie cofając się wcale przed szyderczym uśmiechem przybysza.

— Tylko bez kazań — powiedział Viki — przyszedłem by ci pomóc.

— Przyszedłeś, bo jesteś ciekaw, ale różnymi drogami chodzi wola boża. Może jesteś przeznaczony na narzędzie.

Viki obszedł łódź i obstukał dokoła.

— Ty chcesz na tym płynąć? Gdzie?

— Tam gdzie mi jest sądzone.

— Trzeba by zmienić wszystkie deski. Próchno się sypie. Jedno uderzenie mocniejsze i będziesz miał dziurę w burcie.

Johnnie śledził uważnie inspekcję, ale na zarzuty nic nie odpowiedział.

— Ty mieszkasz w niej?

— Mieszkamy. Tak — odpowiedział Johnnie jakby zdziwiony pytaniem.

— Musi być wam niewygodnie. Nie mogliście postawić jej prosto?

— Zabrakło podpórek. Niewielu też mieliśmy pomocników.

— No tak.

Viki pokiwał głową dziwiąc się jak na tej łodzi zdołał Johnnie prorok dopłynąć tutaj.

— No — powiedział zrzucając kurtkę — jak pracować to pracować. Rób tylko co ci każę, a nie wyjdiesz na tym źle.

Do południa obtykali dno, smarowali smołą i pakowali pakułami. Potem Viki uznał, że przyszła pora obiadu.

— Gdzie wasza kuchnia? — spytał.

Johnnie wskazał na kamienie zakopczone od ognia.

— Zaraz przyniosę czajnik.

Viki nie dał się wyprzedzić i sam podskoczył do łodzi. Wdrapał się po szczeblach przybitych do burty i stanął na przekrzywionym pokładzie. Właz do kabiny był otwarty. Viki zeszedł w dół i rozejrzał się ciekawie: po obu stronach długiego stołu mieściły się podwójne koje zasłane kocami. Na stole leżała gruba metalowa płyta, lśniąca jak zwierciadło. Na półkach w głębi stały książki, garnki, pudełka i słoiki. Za drzwiami z tyłu znajdowała się mała kuchenka z palnikiem karbidowym. Na niej stał blaszany, powyginany czajnik i dwa garnki.

— Ciasno tutaj — powiedział Viki w stronę wychylającego się z luku Johnniego. — Ciasno.

Johnnie milczał.

— Wy tu tak wszyscy razem śpicie?

— Idź dalej, obejrż wszystko — gniewnie powiedział Johnnie — wszak po to tu przyszedłeś.

Za stołem pod półkami były małe drzwiczki otwierające się do wnętrza małej kabinki. Viki przecisnął się z trudem i zajrzał.

Leżało tam jeszcze jedno poślanie a nad nim rodzaj ołtarzyka z krucyfiksem drewnianym i sztucznymi kwiatami.

— To wszystko? — mruknął do siebie z rozczerwaniem.

— Tak, to wszystko — zaśmiał się Johnnie ironicznie. — Widziałeś wszystko, a teraz podaj mi czajnik i pudło z chlebem. Zjesz ze mną obiad. Taki obiad na jaki mnie stać.

Johnnie miał wprawę w rozniecaniu ognia między kamieniami i mimo że wiatr rozciągał dym i dławił płomień, ognisko szybko zostało opanowane i za kilka minut Viki siedział w kucki na żwirze trzymając w rękach blaszany kubek z herbatą.

Naprzeciw tak samo przykucnięty Johnnie łamał chleb i kawałkami podawał gościowi.

Prorok miał brudne palce i dawno niemytą twarz. Z bliska wyglądał nędznie, chudo, szaro, ale gest dzielenia się chlebem z gościem był celebrowany z taką powagą i godnością, że Viki brał kęsy pełen szacunku.

— Jak chcesz to pomaluję ci kabinę.

Oczy Johnniego uśmiechnęły się do gościa.

— Nigdy nie wiesz gdzie cię zaprowadzi droga, skoro raz postawisz na niej swoją stopę.

— Tylko nie spodziewaj się po mnie jakichś nawróceń.

Tym razem nie tylko oczy się zaśmiały. Johnnie wybuchnął głośnym śmiechem.

Viki spojrział zdziwiony. Wychudły, brodaty prorok nagle stał się wesołym chłopcem. Dziwne!

— Kto ty jesteś Johnnie?

— Nikt — wzruszył ramionami. — Nikt, zupełnie nikt.

— Przecież masz dom, rodzinę, nazwisko. Jesteś obywatelem jakiegoś miasta przyplynałeś tu skądś. Jednak jesteś kimś.

Twarz Johnniego zmierzchła, oczy nabrały powagi, a usta wykrzywiły się w smutny łuk jak do płaczu.

— Jestem głosem wołającym na puszczy — zaczął jak na trybunie tylko ciszej, szeptem przejmującym Vikięgo bardziej niż krzyk.

— Jestem tym, który prostuje ścieżki i przygotowuje na przyjęcie Pana. Gotujcie się, bo chwila bliska. Pokutujcie i bijcie

się w piersi, bo sąd nadchodzi. Zbliża się godzina, kiedy umarli przemówią a żywi w prochu legną. Szykujcie się!

— Zostaw to Johnnie. Ja się tym nie zajmuję. — Viki wstał i z góry patrzył na skurczonego proroka.

— Swoje kobiety możesz czarować takimi gadkami nie mnie.

— Jesteś głuchy jak wszyscy. Ale mówię ci, że kiedy przejrysz, to z krzykiem przerażenia będziesz biegł po ulicach i wzywał pomocy. Idzie straszny, straszny czas.

— Nie kracz. Ja się nie boję. Powiedz mi lepiej skąd ty te dziewczyny wzięłeś? I co to za prorok, święty, co z całym haremem obwozi się po świecie.

— Bracie — powiedział Johnnie smutno nie podnosząc głowy — nie zbliżaj się do mnie ze swymi brudnymi myślami.

— Przecież nie powiesz mi, że żyjesz w czystości? Kto są te trzy kurwy?

— Uwierzyły. Jeśli ty uwierzysz, też znajdziesz miejsce na mej łodzi. Ci co uwierzą niech przyjdą do mnie, zabiorę ich w kraj pokoju i szczęścia.

— Nie powiesz mi, do cholery — Viki trącił w ramię proroka — że zmieścisz na swej łupinie wielu ludzi? Co?

— Ci co uwierzą, ci co odprawią pokutę znajdą przy mnie miejsce.

— Idioto — zdenerwowany, zły Viki popchnął mocniej, Johnnie przewrócił się i leżał skurczony tak jak siedział.

— Nabieraj sobie kogo chcesz — grzmiał Viki pochyłając się nad leżącym — mnie nie okłamiesz. Jesteś zwykłym jarmarczonym oszustem. Gadasz co ci ślina na język przyniesie i wyłudzasz od ludzi pieniądze. Ja znam takich jak ty, po całym świecie szwendają się chciwi lekkiego chleba. Prorokiem się obwołał i do pokuty wzywa. Sam się nawróć! Sam idź do pracy, zarabiaj na siebie, przestań wykorzystywać naiwne kobiety.

Viki pochylił się jeszcze bardziej i nagle spostrzegł, że ciałem Johnniego wystrząsają kurcze. Leżąc na boku, z twarzą wtuloną w otoczeki plaży prorok płakał.

— Wariat — powiedział Viki, aby dodać sobie otuchy i nie pozwolić, aby gniew wygaś.

— Płacz sobie. Płacz. Wiedz jednak, że ci nic nie pomoże. Te dwie baby to możesz zniszczyć, czy utopić, mnie to nic nie wzrusza, ale strzeż się zrobić krzywdę Polce. Słyszysz? Ja jestem Polak i będę jej bronił. Słyszysz?



— Przekłete rozpustne kozły — krzyczała Josephine za barem — brudne, brodate, śmierdzące kozły!

Mężczyźni zaśmiewali się oklepując swoje kolana. Podobała się im energiczna, tłusta bufetowa.

Jak zwykle przodował w opowiadaniach świńskich kawałów ryży Freddy. Zawsze miał nadzieję, że rozochoceni bywalcy postawią dowcipnemu opowiadaczowi podwójną whisky, ale najwyżej zdobywał pół *pinta* piwa.

Tym razem opowieści miały za temat dziwny czworobok składający się z Johnniego i jego trzech kobiet.

— Cienka i chuda — powiedział Freddy — Lucy się nazywa, ale prawdziwy z niej Lucyfer, lubczyk mu warzy. Jakby chłop bez lubczyku nastarczył na trzy baby?

— He, he, he — rechotał Angus rzeźnik.

— Angus — wołał MacFergus — ty chojrak, ty byś bez lubczyku!

— Pewnie.

— Nie przerywać — strofował Freddy. — Skoro sobie pan prorok podpije lubczyku, to powiada: jaki dzień dzisiaj, jasny czy ciemny. *Guinness*, mówi Lucy. No, to kolej na ciemnego aniołka. Chodź, mówi, do raję dziecko.

— Ha, ha, ha... śmieli się wszyscy, tylko Josephina krzywiła się z niesmakiem. Nalewała piwo i postukiwała kufkami na znak dezaprobaty. Nie śmiał się także siedzący w kącie Viki. Pociągał z kieliszka i spluwał w trociny posypane na podłozę.

— A jak dzień jasny — Freddy przechodził do dalszego ciągu historyjki urozmaicanej bardzo realistycznymi wstawkami — to kolej na aniołka białego. Z tym to zupełnie inne igraszki...

— Zostaw Freddy — odezwał się Viki.

Spojrzeli zdziwieni.

— O co chodzi? Nie podoba się ci, to nie słuchaj. — Freddy czuł za sobą poparcie słuchaczy.

Viki podniósł się i wyszedł z kąta na środek sali.

— Właśnie — powiedział zaczepnie. — Mnie się to nie podoba.

— Chłopcy! — krzyknął energicznie gruby Nielson. — Nie pozwalam na żadne bójki. Jak bić się to na zewnątrz.

— Kto chce się bić? — protestował Freddy cofając się za plecy MacFergususa. — Nikt nie chce. Jak się naszemu drogiemu Vikiemu nie podoba opowiastka, to nie. Niech sam nam coś opowie.

Viki podszedł do lady i postawił na niej pusty kieliszek.

— To samo.

Josephine nałala i podsunęła mu whisky.

— Spodobała ci się?

— Kto?

— Ta twoja Polka. Rodaczka.

Viki łyknął wódkę jednym haustem.

— Nalej jeszcze — powiedział szorstko.

— Uważaj, bo z aniołami niebezpiecznie zaczynać.

— Nalej do kieliszka — powtórzył ostrzej.

Wziął wódkę i odszedł do swego kąta. Freddy znów zaczął swoje kawały, ale już na inny temat i już nie tak wesoło.

Jednak zwolna nastrój wracał. Freddy gestami opisywał tarapaty małżeńskie grubego Nielsona, właściciela „Kotwicy”. Słuchacze znów pokładali się ze śmiechu. Angus rżał, Hamish piszczał starczym głosem, wszyscy klepali się po udach. Josephine krzyczała na nich i pobrzękiwała szkłem.

Wszedł Forbes i samą ogromną postacią zapanował nad wszystkimi.

— Uciszcie się — zawołał na nich — idzie tu niezwykle gość.

Spojrzeli w stronę drzwi. Za chwilę otworzyły się i stanęła w nich czarno ubrana, chuda i wysoka kobieta. Obejrzała się dokoła i podeszła wprost do Josephine.

— Małą brandy, proszę — położyła na ladzie pogniecionego funta.

Josephine nie sięgnęła po płaską flaszkę na półce, ale podstaawiła miarkę pod baryłkę i zaczęła sączyć najpierw do niej a później przelewała do pustej butelki po winie. W czasie tej czynności wszyscy w milczeniu przypatrywali się niezwykle gościowi.

Kobieta była niemłoda, na pewno ponad trzydzieści lat. Mogła mieć nawet dużo więcej, ale była z tych chudych i suchych, które zawsze są nieokreślonego wieku i wyglądają jakby i płeć ich nie była całkiem określona.

Ostry profil z lekko haczykowatym nosem, cera ciemna, spierzchnięta, pocięta zmarszczkami, włosy spod chustki wychodziły czarne z pasmem siwym.

Zrudziła chustka okrywała ją do połowy, dalej widać było spódnicę a spod niej czarne pończochy i chodaki takie, jakie nosi się na farmie do obory.

Ręce leżące na ladzie były białe, palce długie, paznokcie wypielęgowane. Dziwnie te dłonie nie pasowały do całej postaci.

Dopiero chwyt ręki zaciskającej się na butelce podanej przez Josephinę przywrócił równowagę: był chwytem z nagła drażniącym. Takim właśnie jakiego należało się spodziewać.

Drugą ręką zgarnęła resztę i odwróciła się w stronę wyjścia.

Na chwilę objęła spojrzeniem całe zgromadzenie. Kurczyli się pod jej wzrokiem. Oczy kocie, jasnożółte palily i drażniły. Kto

napotkał ten wzrok czuł się nieprzyjemnie, jakby spozjrzał w oczy węża.

— Diabeł — powiedział Freddy, gdy za kobietą zamknęły się drzwi.

— Sam Lucyfer w spódnicy — potwierdził MacFregus.

— Kto to? — spytał Viki ze swego kąta.

— Nie wiesz — zdziwiła się Josephine. — To Lucy, zaufana pomocnica Johnniego. Pierwsza dama haremu.

— Diabeł, diabeł — pokrzykiwał Hamish.

— Nie taki straszny diabeł — zabrał głos sierżant Forbes. — Podobno bardzo zdolna krawcowa. Watsonowa chce ją na stałe. Powiada, że odkąd u niej pracuje zakład idzie lepiej. Daje jej najlepsze warunki, aby tylko zatrzymać.

— Nie zatrzyma — powiedział Nielson.

— Dlaczego?

— Przyjdzie czas i popłynie razem ze swoim Johnniem. Niedługo już tak bywało. Posiedzi na miejscu, popracuje miesiąc, dwa i już nie ma. Odpułnęli.

— To ty ich znasz? — spytał Viki podchodząc do bufetu.

— Ja? Wszyscy ich znają.

— I nikt ich nie zna — dodała Josephine.

— Kto oni?

— Wariaci — zaśmiała się Vikiemu w sam nos. — Wariaci.

— *Foreigner'zy*, przekleści *foreigner'zy* — zamruczał do wtóru Hamish.

Viki ze stukiem postawił kieliszek i zakręcił się na miejscu. Bez słowa pożegnania wyszedł z baru.

— Cholernie zwariowani *foreigner'zy*.

— Wszyscy? — zapytała Hamisha Josephine.

— Wszyscy, co do jednego. I zobaczycie co z tego wyniknie.

— Co? — wiedzieli co odpowie, ale jak zawsze naciągali starego Hamisha, podbechtując pytaniami.

— Bomba. Cholerna bomba. Nikita się rozgniewa na *foreigner'ów* i rzuci nam bombę. Zobaczycie, mówię wam.

— I będzie koniec świata — zaśmiał się Freddy — tak właśnie jak przepowiada ten wariat Johnnie.

— Nie taki on wariat — Hamishowi zjeżyły się bardziej siwe włosy — on wie czego chce. W czas bomby tylko na morze. Na morzu jedyny ratunek.

— Hej, Hamish — zawołał piekarz MacArthur — dlaczego więc nie naprawisz swej Mewy. W razie czego popłynąłbyś na morze razem z Johnniem.

— Mewy? — odwrócił się w tył Hamish. — A kto mi naprawi Mewę? W tej cholernej dziurze nie ma mechanika.

Nie ma. Wszystkich Amerykanie zabrali do bazy. Ani jeden nie został. Poszli pracować dla tych przeklętych, bezczelnych *foreigner'ów* z za wody.

— Spytaj Vikiego — poradziła Josephine. — On na pewno pomoże.

— Viki *foreigner* — sprzeciwił się Freddy.

Hamish spojrział na ryżego z boku. Rozgarnął gruzłową dłońią szczecinę wkoło ust i splunął na podłogę.

— Spytam Vikiego — powiedział wyzywająco.



Ze wzgórza ponad bazą Marynarki widać było zatoczkę, miasto i prawie wyspę całą jak na dłoni.

Wiatr porozrywał chmury i słońce pływało swobodnie po niebie i w morzu. Od rana przygrzewało pojęc miasteczko weselem.

Viki siedział z Franką na obeschłej trawie. Patrzyli w dół na port, patrzyli w dal przed siebie poza morze, ku innym płasko leżącym na horyzoncie wyspom, ku ciemnej linii stałego lądu.

Woda jak welur, albo jak zboże dojrzałe, mieniła się pod dotknięciem wiatru. Obok pasów błyszczących roztopionym metalem, leżały smugi czarne jak nocne jeziora. Obok przejrzystej akwamaryny płynęła soczysta zieleń i granat biało mieniący się na słońcu.

W zatoce kołysał się wielki szary okręt wojenny: okręt-baza. Obok niego czarne wrzeczona łodzi podwodnych ze sztywnymi garbami wieżyczek przymykały bokami jedna przy drugiej jak wielkie ryby.

Stąd widać było ruch na łodziach, marynarzy w bluzach białych i w bluzach granatowych. Biała motorówka płynęła ku przystani.

— Nie rozumiem — mówił Viki — dlaczego u ciebie raz tak, a raz tak. To byś zjadła człowieka taka zła; to chcesz żeby z tobą na spacer chodzić, na trawie siadać, rozmawiać jak przyjaciel. Nie rozumiem.

Patrzyła na niego bardzo jasnymi, niebieskimi oczami.

— Przecież jesteś mój rodak. Polak. Johnnie powiedział...

— Przestań — przerwał. — Jeżeli powiesz, że to dla Johnniego, że to z rozkazu tego wariata tu siedzisz, to pójdę sobie i nigdy nie wrócę.

Trzy dni chodził Viki naokoło jasnego anioła proroka Johnniego. Trzy dni odprowadzał ją z daleka z pracy, kręcił

się koło łodzi, uśmiechał się przy spotkaniu, kłaniał się grzecznie.

Jego zabiegi nie przynosiły żadnych rezultatów. Dziewczyna była zła, pochmurna, na uśmiechy nie odpowiadała, mijając Vikiego odwracała głowę.

Aż jednego wieczoru podeszła do niego sama. Stał oparty o ścianę domu i zaskoczony jej nadejściem nie zmieniał postawy.

— Ja przyszedłam, żeby pana przeprosić — mówiła po polsku, ale z chropowatym akcentem.

— Ja panu źle nie życzę. Dla wszystkich trzeba być *same*. Pan jest Polak, dla pana muszę być bardzo dobrze.

Było jej do twarzy z rumieńcem.

— Nic złego przecież nie chciałem, po prostu jako rodak...

— Ja wiem. Johnnie powiedział, że pan rodak, że pan bardzo *unhappy*. Kazał mi powiedzieć, że jestem *sorry*.

Poszła sobie. Odwróciła się jeszcze i podniosła rękę w geście pożegnalmym.

Na drugi dzień wieczorem podeszedł i towarzyszył jej do łodzi. Na trzeci dzień jakoś skręcili samochcąc zupełnie w innym kierunku. Poszli razem na spacer. Był to ten dzień, w którym ona kończyła robotę wcześniej, o czwartej. Szli razem daleko, za Bazę, poza cypel wysunięty w morze, na drugą stronę skał. Tam gdzie było zupełnie pusto.

— Rozmawiamy ze sobą tyle — powiedział gdy siedli na wielkich głazach — mówimy o duperelkach, o kwiatach i trawce, o pogodzie dziś i jutro, a ja nie wiem nawet jak się nazywasz i kim jesteś.

— Nie będę ciebie przecież zawsze nazywał *Angel*, aniołek — dodał trochę z gniewem, bo milczała opuściwszy powieki.

— Mnie to różnie różni nazywali — powiedziała wreszcie.

— Kiedyś mamusia wołała na mnie Franka. Potem byłam już Franciszka i Francis i Frazoska i sama nie wiem jak...

— Frania — powiedział — to takie ładne imię.

— A pan...?

— Ja? Ja to jestem zwykły Wincenty. Chłopski syn Wincenty Kadul. Koledzy w marynarce wołali na mnie Wicek, a kiedy dziewczyny angielskie ochrzciły mnie Viki, to już tak zostało.

— Wicek. To bardzo ładnie tak mówić. Ja bardzo lubię imię Wicek.

— To sobie go weź — zaśmiał się rubasznie.

— Jak to?

— A no nazywaj mnie zawsze Wicek, a ja ciebie Frania. Dobrze?

— Dobrze Wicek.

Miała 32 lata. Piętnastoletnią zabrali ją Niemcy na roboty

w 1943. Powiedziała, że ma już osiemnaście, chciała iść zamiast matki i siostry. Poszła jakby dobrowolnie na ofiarę. Potem była w obozie UNRRY, potem w innym obozie. Dowiedziała się, że matka zginęła. Rozstrzelali ją Niemcy razem z ojcem i drugą córką. Podobno chodziło o kontyngenty.

Ofiara zdała się na nic. Nie wracała, bo już nie mogła.

— Ja, Wicek, była wtedy już grzeszna, z dzieckiem. Jeden Anglik wojskowy przyczepił się do mnie. I nie powiem, spodobał się mnie też. Nauczył po angielsku mówić, powiedział, że ożeni się *sure*. Ale odwołali do Anglii. Nigdy go nie widziałam.

— A dziecko?

— Dziecko umarło. Nie byłam silna jeszcze. Nie taka jak teraz.

Potem uciekła do innego obozu. Potem zgłosiła się jako EVW na *domestic servants*. Było ciężko, z początku bardzo ciężko. Trzy razy uciekała zmieniając miejsce, próbowała w fabryce. Pracowała jako robotnica w przędzalni nici. Marnowała się. Miała mały pokój u bardzo niedobrych ludzi, którzy wykorzystywali ją, obdzierali ze wszystkiego. Polacy, tak Polacy. Było tak źle, że wytrzymać nie podobna.

— I co zrobiłaś?

— *I went away* — zaśmiała się — uciekłam.

— Z Johnniem.

— Nie wtenczas nie znałam Johnniego.

Ile razy ją zapytał o Johnniego, o inne dziewczyny z łodzi, zawsze milkła, odwracała głowę. Niczego nie mógł się dowiedzieć.

Tylko tyle, że na usprawiedliwienie swych czynów, swego postępowania miała zawsze odpowiedź jedną: Johnnie powiedział, Johnnie kazał.

— Kazał ci pracować — wydziwił nieraz — harować ciężko a pieniądze sobie oddawać, tak?

— Nie mów tak, Wicek, on nie taki.

— Nie taki? A jaki? Po co trzyma przy sobie trzy ciężko pracujące dziewczyny? Po to, aby samemu nic nie robić. Znam takich oszustów, alfonsov, *pimps!*



— Więc Johnnie kazał ci chodzić ze mną, a ty go słuchasz?

— Nie Wicek, to nie dlatego. Ja przecież sama...

Zaśmiał się na cały głos. Sięgnął ręką w zanadrze i wyciągnął mały pakiet. Rozwiązał, rozwinął papier i wyciągnął kolorowy jedwabny szal.

— To dla mnie? — spytała z rozszerzonymi oczyma.

— Hm — ściągnął jej z głowy czarną chustkę i zarzucił biało-niebiesko-czerwony jedwab. — Żebyś wyglądała nareszcie, jak dziewczyna, a nie jak Marysia-sierotka.

Bez lusterka, na pamięć ułożyła sobie szal w koło głowy wysuwając spod barwnej materii kokieteryjny loczek.

— A wiesz, że ty jesteś ładna dziewczyna?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Viki przechylił się i objął ją za ramiona zaczął całować.

Miała mokre, ciepłe, miękkie wargi. Ulegała mu bezwolnie. Coraz goręcej całował aż przygarnął ją pod siebie. Oddała mu się tak prosto i zwyczajnie, jakby obdarzała go swym uśmiechem.

Potem siedzieli w milczeniu i patrzyli na morze.

— Powiem ci Frania — trzymał ją w pól i mówiąc patrzył przed siebie ponad leżące u ich stóp morze — dość już uciekałaś. Trzeba raz zatrzymać się i zacząć żyć naprawdę. To nie jest zły kraj, tu można się urządzić. Jeżeli nie będziesz chciała, to już więcej nie popłynę na morze. Właściwie mam dosyć pływania, tylko że nikogo nie mam, to ciągnie wciąż dalej i dalej. Ale teraz będzie inaczej. Osiedlimy się w dużym mieście, gdzie lepiej żyć i gdzie więcej Polaków. Zaczepię się przy pracy jako mechanik. Nie bój się, mechanikom dobrze płacą i jak nie będziesz chciała, to nie potrzebujesz chodzić do roboty. Będziemy mieli swój dom i swoje gospodarstwo. No? Frania? Co to?

Pochylił się nad nią i zobaczył, że Frania cicho, boleśnie płacze.

— Frania — potrząsał nią — Frania, co ty? Nie chcesz mnie? Nie chcesz?

Tego dnia nie powiedziała już ani słowa. Była smutna i nie starała się ukryć łez.

Na rozstanie zdjęła z siebie kolorowy szal i oddała go Vikiemu. Zakutała się w swoją czarną chustkę i odeszła w kierunku łodzi proroka.

Viki został z szalem w rękach.

Nie powiedział jej, ile go ten szal kosztował. Musiał pójść do Josephine i upokorzyć się.

— Josephine, czy ty nie uważasz, że ja mniej piję?

— Prawdę mówisz Viki. Jak tak dalej pójdzie, to zostaniesz oszukany, nie przepijesz pieniędzy, które u mnie złożyłeś.

— Właśnie. Tak sobie myślę, że gdybym jeszcze mniej pił, albo na dzień, dwa odłożył picie zupełnie, to byś nie miała nic przeciw temu, żeby mi wypłacić małe odszkodowanie w gotówce?

— *Sure*, Viki, *sure*. Ile ci potrzeba.

— Piątaka — powiedział szybko czerwony ze wstydu.

— Wiedziałam, że tak będzie — powiedziała wyciągając z kasy pięć funtów. — Kup jej co Viki. Dobrze zrobisz jak jej coś kupisz.

— Ale to sekret, między nami — prosił na pożegnanie.



Na drugi dzień nie widział Franki wcale. Na trzeci dzień, parzysty, spotkał ją wychodzącą z King's Hotel. Była uprzejma, miła, ale jakaś skrepowana. Nie chciała pójść na spacer na górę, chociaż pogoda była dość ładna. Poszli znowu nad samo morze poza skalisty cypel i siedli na gładzach z dala od siebie.

— Co się dzieje Franiu? — pytał z troską w głosie.

— Powiedziałaś mu, że odchodzisz? Powiedziałaś, że chcesz być ze mną, że się pobieramy?

— Powiedziałam mu o tym, co tam na górze.

Mówiąc to schyliła głowę i ukryła twarz w cieniu chustki.

— Co on na to?

— Płakał. Johnnie płakał całą noc.

Dziewczyna znacznie uprościła reakcję Johnniego. Nie powiedziała też nic o awanturze, którą wywołało jej oświadczenie.

— Gdzie byłaś? — krzyczała na nią Lucy.

Siedziała razem z Johnniem przy stole w kabinie statku. Ponieważ stół pochylał się wraz z całą łodzią, więc Lucy górowała nad Johnniem kurczącym się na pryczy po niższej stronie.

— Co cię to obchodzi? — Franka chyba po raz pierwszy odpowiedziała w ten sposób. Sucha twarz Lucy wykrzywiła się gniewem.

— Powiedz jej Johnnie — pisnęła. — Ty ją spytaj gdzie była.

Johnnie skurczył się jeszcze bardziej.

— Angel — szepnął błagalnym głosem.

— Byłam na górze z Vikim.

— Powiedziałaś mu, co ci kazaliśmy? — syknęła Lucy. — Że ma przestać ciebie prześladować? Że ostrzegasz go jako jego rodaczka, że straszne kary go czekają, jeżeli nie da nam spokoju? Przekazałaś mu rozkaz Planet?

— Jeszcze nie — Franka patrzyła w kąt unikając wzroku Johnniego.

— Jeszcze nie? — krzyknęła Lucy. — Więc co wy tam robicie. Całe dnie wałęsasz się z tym rozpustnikiem. Pewno się puszczasz, co?

— A tak. Puszczam się. — Franka podniosła głowę objęta nagłym gniewem.

— Angel — znowu jęknął Johnnie.

— Nie przeszkadzaj — szczerknęła Lucy — niech mówi, niech wyzna swoje grzechy. Co z nim robiłaś?

— To co kobieta z mężczyzną robi. Nie wiesz? A może ty naprawdę nie wiesz? Nigdy mężczyzny nie znałaś.

Lucy wyskoczyła zza stołu i zamachnąwszy się z całej siły uderzyła Frankę w twarz. Dziewczyna upadła na pochyłą podłogę, uderzyła bokiem we framugę drzwi, ręką zrzuciła z kuchenki garnki, przewróciła bańkę z naftą.

Wreszcie wygramoliła się i stanęła, nie patrząc na czerwoną z gniewu Lucy, ale na Johnniego. Ten położył głowę na stole i płakał.

Na to nadeszła czarna Betty, drugi anioł proroka.

— Co się stało? — zapytała zza pleców Franki.

— Jej się spytaj — warknęła Lucy. — Tej rozpustnicy, tej jawnogrzesznicy. Zamiast przekazać rozkaz Gwiazd temu Polakowi, zaczęła się z nim puszczać. Suka. Przekłeta suka!

— Wiedziałam, że tak będzie! — krzyknęła Betty. — Ostrzegłam przed podłym nasieniem. Mówiłam! Może nie mówiłam?

Popchnęła Frankę z tyłu i wyskoczyła przed nią.

— Poczekaj dziwko, już ja ci pokażę, ja ci dam puszczenie się!

Uderzyła Frankę w piersi i obie z Lucy zaczęły ją szarpać, okładać kułakami, drzeć za włosy. Franka z początku nie broniła się, ale wreszcie zaczęła je bić niegorzej niż one ją. W malutkiej kobinie kotłowały się jak trzy furie. Uderzały głowami o kojki, kopały nogami w brzęczące na podłodze garnki, objęły się o ściany, drzwi, o mocno przymocowany stolik.

A Johnnie oparłszy głowę o ręce zaciśnięte na metalowej płycie szlochał w głos.

Jego jękliwy płacz górował ponad wszystkim.

O tej awanturze Franka nie powiedziała Vikiemu. Sam domyślił się. Podszedł do niej i podniósł głowę jej do góry delikatnie ujmując za brodę.

— Podrapał cię — palcem dotknął czerwonych pręg na policzku. Wziął jej ręce w swoje i odsunął sweter: sine place widniały na przedramieniu.

— Pobił cię? — z powstrzymywanym gniewem pytał.

— To nie on, to one. On tylko płakał. Całą noc płakał.

— Już tam nie wrócisz — powiedział spokojnie.

Spojrzała z wielkim lękiem.

— Ja muszę, muszę tam wrócić.

— Dlaczego? Po co? Żeby cię znowu pobiły?

— Ja muszę, muszę.

— Frania — siadł przy niej na głazie i objął za ramiona.
— Powiedz mi całą prawdę. Przecież ty nie kochasz się w tym wymoczku z rzadką brodą. Lubczyku ci zadają?

— O nie! zachnęła się gwałtownie. — On mnie nigdy nie tknął. On wcale nie taki! On czysty!

— Więc kto on taki? Kto?

Odsunęła się trochę i spojrzała z powagą.

— On jest człowiek stamtąd — pokazała palcem na niebo.

— Z innej planety. Wyśłannik.

— I ty w to wierzysz?

— On powiada, że przybył tu, aby ludzi ratować. Bo idzie taka wojna i takie trzęsienie ziemi, że kto z nim nie poleci, ten zginie. A tylko ludzie bez grzechu mogą z nim lecieć.

— A myśmy zgrzeszyli — próbowaliśmy zażartować.

Popatrzyła mu w oczy z wyrzutem.

— Jeżeli będziemy pokutować, to nam przebaczy.

— Tobie i mnie? Razem?

— Tak.

— Powiedział ci to?

— Wyczytał to z tablicy. Rozkaz taki z Venus — wymawiała nazwę planety po angielsku „winus”. — On ma w kabinie taki metal, tablicę na stole i czyta na niej rozkazy. On z tej tablicy uczy nas śpiewania, modli się z niej. To tak jakby ktoś pisał mu wszystko, a on odczytywał.

— A ty możesz coś na tablicy odczytać?

— Nie — potrząsnęła głową — tylko święci, bez grzechu mogą.

— A Lucy? A ta druga?

— One? — przez nie Johnnie najczęściej płacze. — Ty wiesz, że one grzeszą ze sobą? Johnnie wie o tym i płacze. On wszystko wie.

— A sam nie grzeszy? Ma przecież trzy kobitki.

— Mówiłam ci, on nie taki. On czysty.

Odsunął ją od siebie i powstał.

— Frania — powiedział stojąc nad nią — rzuć te bzdury! Nie widzisz, że nam będzie dobrze ze sobą?

— Ja wiem Wicek, ja wiem. Pierwszy raz jak cię zobaczyłam, to zdawało mi się, że ciebie znam od dawna, jeszcze z tej Polski. Jak usłyszałam, że mówisz po polsku, te słowa, wiesz jak siedziałeś pobity, to chciałam rzucić Johnniego i biec do ciebie.

— No więc Frania, więc?

— Ale tak nie można. Johnnie by się bardzo gniewał.

A Johnnie musi być spokojny, czysty, bo inaczej wszystko na nic.

— Więc dlaczego ze mną chodziłaś?

— Ja myślałam, że może być inaczej. Ja wiedziałam, że ty jesteś dobry. Jak Johnnie powiedział, że obiecałeś pomalować łódź, to sobie pomyślałam, jak to dobrze byłoby, gdybyś ty z nami razem. Popłynęlibyśmy razem z Johnniem do tych innych krajów, do innych ludzi. Tam gdzie dużo słońca i ciepło. Wiele, wiele ludzi słuchałoby Johnniego i potem...

— A potem — dokończył za nią — wszyscy by wsiedli na wielki talerz latający, albo lepiej półmisek i poleciliby do nieba na tę Wenus. Tak?

— Nie śmieję się — szepnęła z wyrzutem.

— Ja mówię poważnie, tak samo jak ty. Tylko chcę cię spytać, a co będzie z Lucy i tą drugą? One, które grzeszą, które ciebie pobiły, złe kobiety. Wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że są złe. Czy one też do nieba...?

— Jakbyś ty z nami był, to Johnnie by przegnał je od siebie.

— A tak nie może?

— Nie, bo one służą naszej sprawie. Przecież one dają swoją tygodniówkę. Składają do skrzyneczki na Wielką Podróż. One są nam potrzebne.

— Ejże — powiedział gniewnie — a może to ty jesteś im potrzebna?

— Nie mów tak.

— Słuchaj Frania, zróbmy my taką umowę. Albo ty mnie przekonasz, albo ja ciebie. Jeżeli ty mi udowodnisz, że Johnnie to prawdziwy prorok, porządny święty, to ja płynę z wami. Okrętuję się na waszą łajbę i hajda w świat. Wyganiamy te dwie jędze i jesteśmy szczęśliwi. Dobrze?

— Dobrze Wicek — oczy jej rozjaśniły się nadzieją.

— A jeżeli ja ci udowodnię, że twój Johnnie to oszust, zwykły człowiek, który nabiera innych. Jeżeli postawię ci przed oczy fakty, to ty rzucasz tę świętą kompanię i idziesz ze mną. Dobrze?

— Wicek... — w głosie jej słychać było bolesny wyrzut.

— Mów, zgadzasz się na taką umowę? No?

— Niech tak będzie — szepnęła.

— No, to dobra. Pamiętaj więc o umowie.

Ujął, nachyliwszy się, jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta.

— Nie bój się — powiedział cicho — ze mną też będzie ci dobrze. — A jak będzie smutno to pojedziemy w te inne kraje. Ale wierz mi, dziewczyno, tam też nie ma szczęścia, jak człowiek sam szczęśliwy nie jest.

Szli razem po drodze nad morzem. Od wody dął wiatr i pędził mokrą mgłą. Owinęła ich i ukryła, aż dopiero przy samym porcie wyszli z niej między czarne pomosty i szare domki.

Franka zastała Johnniego schyłego nad metalową płytą. Obok niego stała groźna Lucy.

— Powiedz jej — krzyczała. — Oznajmij jej prawdę!

Lucy pachniała wódką a Johnnie miał spuchnięte oczy i czerwone policzki.

— Niech wie całą prawdę.

— Angel — zaczął Johnnie łagodnym tonem. — Gwiazdy gniewają się. Bardzo się gniewają.

— Powiedziały — krzyczała Lucy, że zginiesz, ty i twój Polak, jeżeli nie odprawisz pokuty. Jeżeli go nie odpędzisz.

— Johnnie?

— Tak Angel — Johnnie skrzywił się boleśnie. — Gwiazdy są bardzo złe. Nie można Gwiazd gniewać bezkarnie. Grzeszyłeś Angel.

— A one — Franka wskazała palcem na Lucy. — One nie grzeszą?

Johnnie podniósł obie ręce do góry i wysunął brodę naprzód.

— Pokutujcie — zawołał głosem takim, jakim przemawiał z trybuny. — Pokutujcie, bo nie znacie dnia ani godziny!

— Ty, Angel — szepnęła Lucy — widzisz te ręce? Bez pomocy Gwiazd dam sobie z tobą radę. Zaduszę cię. A i na twego Polaka mam sposoby. Strzeż się!

Franka cofnęła się przed wyciągniętymi, zagiętymi w szpony rękami. Przerazenie odebrało jej mowę.



Viki wkroczył „Pod Kotwicę”. Skinąwszy ręką grającym w strzałki, uśmiechnąwszy się do Josephine podszedł wprost do Nielsona siedzącego na stołku przed bufetem.

— Mr. Nielson niech mi pan powie wszystko co pan wie o Johnnie.

— Viki, Viki, czyś ty zwariował?

— Mr. Nielson, pan sam mówił, że to oszuści. Pan wie o nich.

Nielson potarł dłońmi kolana. Właściciel baru „Pod Kotwicą” był nadmiernie gruby i kiedy siedział, to olbrzymi brzuch zwisał mu między kolanami.

— Co ci się stało?

— Mr. Nielson — Viki przystawił sobie krzesło, siadł obok gospodarza i zaczął innym, bardziej proszącym tonem — pan

powiedział, że wie pan coś o nich, o tej kompanii z prorokiem na czele. Niech mi pan powie. Mnie bardzo na tym zależy. Kto on jest, skąd? Jak się naprawdę nazywa? Co to za kobieta ta Lucy? Powiedz pan wszystko.

Ścisnął Nielsona za kolano, aż tamten skrzywił się z bólu.

— Prawdę powiedziawszy Viki, to ja nic nie wiem. Ludzie mówią to i tamto. On podobno z miasta, włóczy się z tą sztuką świętą już od trzech lat, a przedtem siedział w więzieniu zdaje się za kradzież, czy coś. Tyle co mówią, tyle wiem. Nic pewnego powiedzieć nie mogę?

— A ona?

— Pewnie jego dziewczyna. Zawsze z nim jest. Inne aniołki zmieniają się, ale Lucy zawsze przy nim.

— A jak się on nazywa?

— Nie wiem, zupełnie tego nie wiem. Spytaj sierżanta Forbesa.

— Pytałem. Albo nie wie, albo nie chce powiedzieć. Póki nic złego nie robią, nie może ich ruszyć, palcem.

— Ja ci powiem Viki, udaj się ty do miasta, na ląd, tam zbierzesz wiadomości. Pójdź tam do Jimma, który ma bar na nadbrzeżu, Manilla. Jeśli ten cholerny Jimm czego nie wie, to nikt nie wie. Idź do Jimma.

— *Thanks* — Viki znowu ścisnął kolano grubasa i powstał.

Podszedł do baru. Josephine podsunęła się jakby wiedziała o co chodzi.

— Jo — zaczął z prośbą w głosie — poradź mi.

— Chodzi znowu o pieniądze — uśmiechnęła się życzliwie ku niemu poprzez ladę.

— Tak i o pieniądze też.

— Ja ci powiem, masz u nas jeszcze 42 funty, odliczając na utrzymanie za tydzień 6 funtów możesz zaraz dostać 34, no powiedzmy nawet 35. I picie — zaśmiała się — na koszt przedsiębiorstwa. *On the house*.

— Ja muszę mieć więcej. Dużo więcej.

— Po co ci więcej. Za tydzień przybija Lewiss. Przez tydzień 35 funtów to i na księżniczkę wystarczy.

— Josephine!

— No dobrze. Zdaje się że rozumiem. Chcesz mieć tyle pieniędzy żeby się ożenić? Co?

— A jeżeli i tak — uderzył dłonią o ladę.

— To szczęście Boże. Wcale się nie dziwię. Samotność Viki to przykra rzecz. Każdy w końcu od niej ucieka. Nie dziwię się.

— Ale poza pieniędzmi potrzeba mi transportu na ląd. I to zaraz.

— Zaraz, to wątpię. Żaden statek już w tym tygodniu nie odpływa. A w taką pogodę nikt cię łodzią nie zabierze. Ale zaczekaj...

Spojrzała w stronę grających w strzałki.

— Hamish — zawołała. — Chodź no tutaj.

— Po co mieszać w to tego dziadygę.

— Zaczekaj. Jak potrafisz z Hamishem się dogadać, to będziesz miał transport i pieniądze. A może i coś więcej. Hamish to dziwny chłop.

— No? — zapytał Hamish. — Stawiasz tubylcom, *foreigner*'ze?

Josephine podsunęła już nalane kieliszki.

— Hamish — powiedziała — właśnie Viki wyraził chęć naprawienia motoru w twojej Mewie. On najlepszy mechanik. Takiego drugiego nie znajdziesz i na lądzie.

— He? — Hamish podniósł czarne oko znad kieliszka.

— Jak chcesz — potwierdził Viki — to obejrzę ten motor. Jeśli dam radę, naprawię. Naturalnie zapłacisz mi, słono zapłacisz.

— He, he — zaśmiał się Hamish marszcząc obrośniętą siwo twarz. — Pewnie że zapłacę. Hamish zawsze płaci. Kiedy chcesz zacząć?

— Zaraz.

Hamish wcale się nie zdziwił pośpiechem.

— No, to — powiedział — napijmy się pod drugą nogę i chodźmy.

— Dzięki Josephine — skinął Viki ręką ode drzwi.



Przez trzy dni nie było prawie widać ani Hamisha ani Vikię. Wpadali na szybkiego kieliszka umorusani, w kombinezonach. Hamish miał minę zadowoloną, błyszczały mu oczy w pomarszczonej twarzy i rzucał w koło triumfujące spojrzenia.

Viki wyglądał na zmęczonego.

— Jak idzie Hamish? — kiedyś wielki Forbes nachylił się poprzez barierę w zewnętrznej przystani i zajrzał do wnętrza przycumowanej tu Mewy.

Hamish wyjrzał i położył brudny palec na ustach. Jednocześnie filuternie mrugał. Z głębi stateczku prychnął motor. Zrobił kilka taktów i umilkł. Hamish szybko znikł pod pokładem.

Pracowali nawet w sabat.

We wtorek po południu Freddy przyleciał do baru z nowiną, że Mewa zniknęła z przystani. Nie ma jej ani w doku ani obok pomostu. Gdzieś popłynęła.

Podniecenie zapanowało wśród bywalców „Pod Kotwicą”.

Po co, na co? Gdzie? Wieczorem rozważali wszelkie motywy i cele podróży i przyszłość Hamisha, Vikiego i Mewy.

— Może teraz starać się o państwowy kontrakt — powiedział rzeźnik Angus.

— Może — potwierdził MacFergus. — Jakby sobie wziął do pomocy takiego Vikiego, to wożąc pocztę i załatwiając prywatne zamówienia zarobi duże pieniądze.

— Taki Hamish — dziwił się Freddy — wiedział kiedy zreperować swoją Mewę, właśnie wtedy jak się Smithsonowi Queen Margaret zepsuła.

— No, powiedzcie — perorował Angus — ten Viki ma szczęście. Weźmie go stary Hamish do pomocy, bo jak sobie da radę bez niego, bez porządnego mechanika? I chłopak nie potrzebuje tułać się po morzach. Co?

Śmieli się wszyscy. Najbardziej śmiał się Forbes, a Nielson z wszystko wiedzącą miną wtórował mrugając do sierżanta.

— Jeszcze się z naszą Josephine ożeni — krzyknął Freddy.

— O, co to to nie — zawołała z gniewem.

— Nie chcesz Vikiego? — zdziwił się Angus.

— On ma kogo innego.

— Tę Polkę z cyrku Johnniego? — zapytał Freddy.

Forbes znowu mrugnął do Nielsona.

— Nie bądź taki domyślny — krzyknęła na Freddy'ego Josephine. Ale żał się jej zrobiło nadwornego wesółka i postawiła przed nim kieliszek wódki.

— Wypij za zdrowie Vikiego.

Zrobiło się wesoło i gorąco. Pili za zdrowie Vikiego, Hamisha, Josephine, Nielsona, nawet za zdrowie jasnowłosego aniołka z łodzi proroka Johnniego.

Przekrzykiwali się i klepali.

Na taki hałas i wrzask weszła Lucy. Jak zawsze opatulona w ciemną chustkę, jak zwykle podeszła do lady prosząc o pół butelki brandy.

Wszyscy raptownie ucichli. Lucy rozglądała się dokoła jakby szukała kogoś.

— Co się patrzysz, czarownico? — podsunął się ku niej pijany Freddy — Kogo szukasz? Vikiego?

Uderzyła w niego swymi oczyma zmił, ale nie odstraszyła już na wpeł przytomnego rudzielca.

— Viki już ho, ho na lądzie! — tykał ją z bliska palcem — popłynąą! A jak wróci, to zrobi z wami porządek. Porządek!

Lucy pogardliwie odtrąciła pijaka i chowając butelkę pod chustkę odeszła od lady. Jeszcze od drzwi rzuciła na wszystkich wyzywające spojrzenie i wyszła.

— Idioto! — zawołała Josephine. — Pijaku cholerny. Wstrętny plotkarzu!

— O ccco chodzi — jękał się Freddy przerażony.

— Rozwarłeś swoją jadaczką jak wrota stodoły!

— Ja przecież nic nie powiedziałem.

— Idioto. Ciężki idioto!

— Nie ma co gadać — silił się na trzeźwość Angus — ostrzegł wiedźmę.

— Tak — potwierdził MacFergus — mogą teraz zwiać.

— Nie uciekną przed wysoką wodą — stwierdził Forbes.

— Musi być wielki przyływ.

— Masz rację — odezwał się Nielson — tylko, że wysoka woda będzie jutro po południu.

— Jeśli Viki nie zdąży? — załamała ręce Josephine.

— Trzeba ich zatrzymać. Bob — zwrócił się Angus do Forbesa — ty masz prawo ich nie puścić!

— Tak, tak Bob — wołali wszyscy z Josephiną najgłośniej krzyczącą — ty ich nie puść.

— Dajcie mi jakąś prawną podstawę. Dajcie mi powód.

Forbes drapał się strapiiony w głowę.



Trybunę proroka, zbitą z dwu skrzynek dziwołag, otoczyło kilkudziesięciu słuchaczy. W tym była co najmniej połowa amerykańskich marynarzy w białych czapczkach.

Johnnie nawoływał jak zawsze do pokuty, do oczyszczenia serc, do ukorzenia się wobec idącego końca tego świata.

Podnosił ręce do nieba i zamknawszy oczy wystawiał twarz na uderzenia wiatru wiejącego od morza.

— Pokutujcie! Jam jest głosem rozpacz! Przygotujcie się na głos trąb archanielskich!

Napis trzymany przez dwa ciemne anioły głosił: To może być jutro!

Marynarze żartowali między sobą pokazując palcami aniołki, pędząc i śmiejąc się z pogroźek Sądu Ostatecznego.

— Nuda. Zasmarkana nuda — powiedział barczysty mat.

— Chodźcie chłopaki.

— Zaraz — powstrzymał go kolega — popatrz no tylko.

— Hej, hej — zawołało kilka głosów i marynarze razem z resztą sennej publiczności zaczęli przejawiać zainteresowanie.

— Patrzcie! — wołali — Archanioł.

Obok Johnniego na trybunie stała biała postać kobiety. Miała na sobie szatę uszytą z niezbyt czystego prześcieradła. Luźne fałdy tej sukni podnosiła rękami jakby rozpościerała skrzydła.

Archanioł? Nie. Ponad białą suknią unosiła się ciemna, dra-
pieżna głowa Lucy.

Odrzuciła proroka i stanęła ponad tłumem.

— Widzę! — krzyknęła wyciągając rękę przed siebie. —
Widzę!

Obrócili się do tyłu spoglądając w kierunku wskazywanym
przez nią.

Wiatr wydymał morze. Płaskie fale przyływu nacierały na
plażę podchodząc aż po ocementowanie nabrzeża. Daleko na mo-
rzu czarna pręga idącego sztormu kładła się na horyzoncie.

— Nadszedł czas! Nadszedł czas! — krzyczała kobieta.

Spojrzeli znowu na nią. Oczy jej paliły się gorączką, ręce
podniesione drżały, biała szata łopotiała wokół wyprostowanej
postaci.

Było w niej coś strasznego, coś nakazującego. Nie wiedzieli
o co chodzi, czym grozi, gdzie wzywa, ale kurczyli się wylękniemi.

— Nadszedł czas, gdy słowo trzeba nieść w świat. W świat!

Przekrzykiwała wiatr, wciąż wskazując im kierunek na morze.

I znów popatrzyli do tyłu: chmura niosąca huragan i deszcz
zbliżała się jakby tabun koni galopujących po falach.

— Widzicie ten gniew Boży? Widzicie tę groźbę zniszcze-
nia? Zagłada wam, zagłada!

Na jej krzyk straszliwy, od strony portu, od strony Bazy,
z głębi uliczek biegli ludzie. Zebrała się ich już prawie setka.

— Koniec wam, zagłada!

Wiatr raptem ustał, zrobiło się tak cicho, że słychać było
tylko oddechy tych co nadbiegli w pośpiechu.

Lucy pochyliła się nad tłumem, roztoczyła białe skrzydła,
potrząsnęła głową, tak że ciemne włosy posypały się po ra-
mionach.

— Ratujcie się... — zawołała wielkim, przejmującym szep-
tem, który wydał się rykiem katastrofy wiszącej nad nimi.

Pochylili się ku ziemi.

Podniosła się, wyprostowała i pokazała ręką na plażę.

— Spuszczajcie łódź proroka! Już czas!

Obejrzeni się tym razem w kierunku łodzi Johnniego, pod
którą fale wysokiego przyływu podchodziły tuż tuż.

— Spuszczajcie na wodę łódź! — wykrzykiwała rozkaz Lucy.

Barczysty mat przełknął ślinę i ruszył grdyką.

— A no cóż, chłopaki, tyle jej możemy zrobić, co?

— *O key!* Dawaj z łodzią w morze!

— Spuszczajcie łódź! — naśladował głos Lucy jeden z marynarzy.

Pobiegli na plażę. Jakby kierował ich tam wyprostowany palec kobiety. Za marynarzami ruszyli inni.

— Łódź na wodę! — krzyczała za nimi Lucy. — Nadszedł czas.

Schyliła się w dół i potrząsnęła odrętwiałym Johnniem.

— Zbudź się, niedołęgo — krzyknęła mu w ucho — odpływamy.

Skoczyła ze skrzynki i popchnęła dziewczyny.

— Dalej! Do łodzi!

Biegła przodem ciągnąc Johnniego. Przed nią marynarze zbliżali się już do przechylonego statku. Za nią dwa anioły: Betty i Franka.

— Nie! — Franka stanęła. — Ja nie chcę. Ja nie!

Betty złapała ją za rękę.

— Lucy w gnieniu oka zrozumiała sytuację. Puściła Johnniego i pobięła do Franki. Złapała ją w pól i zarzuciła sobie na ramię.

— *No! No! Help! Help!* — wzywała ratunku dziewczyna.

— Bierz Johnniego — krzyknęła Lucy na Betty, ja sobie dam z nią radę.

Rzuciła się ku łodzi, która już ruszyła się ponad głowami tłumu jakby ożywiona.

W tej samej chwili sztorm uderzył im w twarz. Lucy niosąca Frankę zachwiała się, ale przemogła wiatr. Johnny ledwo nie upadł, szedł po kamieniach ciężko walcząc z wiatrem, który rozwiewał mu rzadką brodę i białe włosy. Z tyłu pchała go Betty.

Łoskot wiatru, szum deszczu zagłuszył krzyki Franki, wołanie Lucy, pohukiwania ludzi napierających na łódź zsuwającą się ku wzburzonym falom.

Lucy roztrąciła marynarzy. Nikt nie słyszał co krzyczała, nikt nie zrozumiał co znaczy rozpaczliwe szamotanie się Franki.

Marynarze złapali je razem i podnieśli wysoko, aż poza burtę. Rzucili do środka łodzi. A za Lucy i Franką podsadzony przez innych znalazł się na pokładzie Johnnie, potem Betty.

— W drogę, w drogę, proroku — wrzeszczeli marynarze, popychając łódź pod wiatr, poza wzburzone fale.

Nie zdawali sobie sprawy zupełnie, że sami już stoją w wodzie, że fala uderza w nich moczając od stóp do głów.

— Na morze! Na morze!

Po nadbrzeżu biegła wysoka postać. Sierżant Forbes zdążył spóźniony do miejsca niezwykłej awantury.

Biegł szybko, tak szybko, na ile pozwalał bijący w twarz wiatr z deszczem.

Spóźnił się. Kiedy stanął na plaży, przemoczeni marynarze wychodzili z morza. Ludzie ocierali z twarzy deszcz i słoną wodę. Śmieli się wesoło.

Na falach o kilkanaście metrów od brzegu kołysała się łódź proroka.

— *Aboy!* — zawołał Forbes. — Johnnie! Johnnie!

Nikogo nie było widać. Nikt się nie pokazał na pokładzie. I wiatr nagle ustał. Deszcz padał, ale drobniejszy, schodził na ziemię i morze prostymi strużkami, cichymi, spokojnymi. Burza gdzieś się rozplynęła

— Hej, wy tam! — wołał Forbes.

Zaterkotał motor, zabulgotała woda pod rufą. Łódź pomału ruszyła przeciw falom. Wznosiła się i opadała. Oddalała się.

Na pogładzie nie było nikogo.

— Co to było? — zapytał Forbes przemoczonego do nitki Campbella.

— To było coś, człowieku. To było coś!

Forbes złapał młodego Iana Lamonta i potrząsnął nim za ramię.

— Dlaczegoście tę łódź spuścili?

— My? Zapytaj o to marynarzy. To oni. To taki żart amerykański.

Sierżant popatrzył na oddalającą się grupę. Otrząsali się jak psy wyciągnięte z wody, machali rękami w stronę łodzi i żartowali ze sobą.

— Przeklęci *foreigner'zy!*

— Co mówicie, sierżancie? — zdziwił się Ian.

— Nic. Absolutnie nic.



Viki z Hamishem wypływali z ujścia rzeki, gdy krótki a gwałtowny sztorm o mało nie rzucił ich na mieliznę. Hamish zakręcił kołem i położył Mewę na bok. Kiedy wyprostowali się pod wiatr, spojrzeli triumfalnie na Vikiego.

— A co?

Viki kiwnął głową. Sterówka nie była całkowicie oszklona, wiatr hulał po niej, toteż zamiast wysilać się na mówienie porozumiewali się gestami i uśmiechem.

Viki był zły. Był wściekły, ale mimo to swoboda, z jaką

mały stateczek pokonywał sztorm i fale, ciął morze i wiatr — napełniała go uciechą. Pod nogami czuł wibrowanie pokładu. Równy i mocno pracował diesel.

W mieście wymienili kilka części, uzupełnili braki, wstawili nowe tłoki i pierścienie i motor gotów był na kilka dobrych lat wyżywionej pracy.

Viki spisał się dobrze, Hamish promieniał i poklepywał go po plecach przy każdej sposobności. Sam przy tym wyglądał lepiej i młodziej.

Nie, nie ogolił się, nie przyglądał sterczących kosmyków siwizny, ubrał się tylko w grubą kurtkę żeglarską i nałożył na twarz wyraz radości i zadowolenia.

Nie było tego wyrazu na twarzy Vikiego. Nic mu się nie powiodło. Jimm z baru Manila nic mu nie powiedział. Coś tam słyszał, ale wszyscy coś słyszeli, a nikt nie umiał nic określonego powiedzieć.

— On jest Anglik, *Sassenab* — przekonywał Vikiego. — Na pewno Anglik. To oni zjeżdżają się tutaj, aby nas wykorzystywać. Wszystko co złe to oni. Anglicy.

— Przekłęci *foreigner'zy* — zawtórował Hamish.

— Wiesz przynajmniej, kto to jest ta Lucy?

— Pewnie taka sama jak on. Tylko jedno ci powiem, że to nie wariaci. Trzeba mieć zdrową głowę, aby taki sposób życia wymyślić. Trzy kobiety na niego pracują, a on do góry brzuchem leży. A wszędzie gdzie przyjedzie, to jeszcze na boku zarobi, co mu ludzie głupi do kapelusza wrzucają. Bywa, że stara *lady* się przejmie jego kazaniem i tłusty czek w rękę wsunie.

— Nie znasz jego nazwiska?

— Nikt nie zna.

— A policja?

— Jak chcesz, idź na policję.

Viki udał się do komendy oddziału portowego. Nie chcieli i może nie umieli mu nic powiedzieć o Johnniem. Znali go jako spokojnego, nie łamiącego żadnych praw wariata.

— Więcej ci o nim lekarz może powiedzieć.

— Ale mnie chodzi o człowieka. Nie rozumiecie, że on dziewczynę niemądrą kołuje? Przecież to zbrodnia. Oszukiwać, okłamywać, nabierać dziewczynę i łamać jej życie. On może ją siłą za sobą pociągnie!

— Jeżeli pan uważa, że dzieje się krzywda, że prawo i porządek na tym cierpią, albo pojedyncza persona, to proszę złożyć zażalenie a my to rozpatrzymy.

Viki wyleciał wściekły z komendy policji.

Parł Hamisha do odjazdu na wyspę, ale nie mógł nic przyspieszyć. Diesel rozebrany na części czekał na obiecane tłoki.

Burza nagle ścisła. Nawet fala deszczu przeszła ponad nimi. Tylko szara, rzadka mgła utrudniała widzenie. Morze leżało przed nimi jak staw otoczony szarością. Płynęli wewnątrz zaczarowanego koła, które kołysało stateczkiem na wszystkie strony.

— Viki — zawołał Hamish — popatrz.

Wyjął zza pazuchy pakiet zawinięty w szmatę i rozwinąwszy pokazał.

— Co to takiego?

— Pierwsze potwierdzenie kontraktu rządowego. Całą pocztę będziemy wozić. I nie tylko do nas; na trzy wyspy. Wszystkie trzy wyspy. Będziemy bogaci Viki. Będziemy bogaci.

— Kto: my?

— No jakże ja, ty, Nielson, Forbes, Josephine...

— Jakto?

— To ty nie wiesz, że Forbes i Nielson są współnikami do Mewy? Wykupili mnie, bo trzeba było pieniędzy. Ale to dobre chłopcy. Przekłęcie dobre chłopcy. Oni to wpadli na ten pomysł żeby ciebie przyjąć na mechanika. Jak zechcesz, albo na stałą pensję, albo na współnika. Nic cię Viki nie oszukamy. I nie będziesz potrzebował ciągle pływać. Miesiąc ty, miesiąc ja, a jeszcze weźmiemy majtka do pomocy. Co?

— A Josephine? Też współniczka?

— Hej — Hamish trzepnął Vikiego po plecach — nie udawaj tylko. Z Josephine to ty spółkę zakładasz. Żenisz się z nią chłopie. No nie.

— Nie — Viki potrząsnął głową — nic z tego.

— Nie żenisz się?

— Ani się nie żenię, ani nie pływam z wami. Ja bardzo wam dziękuję za wasze serce, ale to nie dla mnie. Stary Lewiss zabiera mnie na *Last Hope* i odpływam. W świat.

— Viki — Hamish położył mu rękę na ramieniu — jesteś *foreigner* przeklęty, cholerny, śmierdzący *foreigner*. Ale ja ciebie lubię. Viki, ja ci mówię, że czas przestać wciąż uciekać. Ucieczka to paskudna rzecz, nie męska. Trzeba stanąć w miejscu i powiedzieć sobie: tu będę walczył i jak kto mnie ruszy to biję. Rozumiesz Viki, biję!

— A jak nie ma kogo bić? Jak dusi tylko powietrze? Wiatr, nic więcej?

— Ja ci mówię Viki, nie uciekaj. A na *Last Hope* zawsze jest czas.

Hamish zakręcił kołem. Z lewej strony ukazało się białe wysokie widmo: latarnia morska.

— Pół drogi, Viki — ucieszył się stary — tak prujemy jak nigdy, Queen Margaret tak nie płynęła. Bijemy ją o dobre dwadzieścia minut. Viki, to jest motor, to jest łódź!

Jeszcze pół godziny płynęli w kole szarej mgły, potem zerwał się wiatr i ją rozpędził. Wzmogły się fale i zaczął siąpić deszcz.

— Jeszcze pół godziny, Viki — cieszył się Hamish.

— Co to za łódź? — spytał Viki patrząc w prawo. O jaki dobry kilometr kołysał się niski, płaski stateczek, dwa razy mniejszy od Mewy.

— Jakiś niemrawa pokraka — zauważył Hamish. — Czekać no, czy to nie łódź tego wariata Johnniego? Tak, to na pewno ona. Przekłęci wariaci na takiej łodzi kierują się wprost na ocean.

— Łódź Johnniego? — Viki nie mógł wciąż zrozumieć.

— No, tak. Dzisiaj wysoka woda, spuścił ją i płynie na ocean. Utopi się. Na pewno się utopi!

— Zawracajmy! — Viki złapał za koło sterowe.

— Gdzie, po co? — Hamish próbował protstować.

— Zawracaj! — wrzeszczał Viki jak nieprzytomny.

Hamish puścił koło. Mewa zakręciła przechylając się mocno. Śruba wyszła z fali, motor zaterkotał.

— Kieruj na nich — zawołał Viki a sam skoczył do maszyn. Mewa za chwilę zaczęła drżeć od wysiłku, motor łomotał coraz szybciej. Łódź Johnniego zbliżała się ku nim.

Viki wyskoczył na pokład. Sam ujął ster i wpatrywał się w cicho sunącą rozłożystą łódź.

— Nie bój się — upewniał go Hamish, dogonimy ich. Mewa by nie prześcignęła takiego starego pudła!

Z każdą minutą łódź Johnniego była coraz bliżej. Widać już było dokładnie pokład, iluminatory, bańki z ropą i wysoką czarno-białą postać przy kole sterowym.

— Frania! Frania! — Viki wołał, choć oba statki dzieliła przeszło stumetrowa przestrzeń falującej wody.

Z początku na pokładzie łodzi nikt na to wołanie nie reagował.

— Frania! To ja, Wicek! Fraaania!

Spod pokładu wyskoczyła ciemna postać. Za nią inna. Zaczęły się szamotać w luku.

Wysoka osoba rzuciła koło sterowe i pobiegła do przodu.

— Lucy! Zatrzymaj się, ty cholero! — krzyczał Viki po-
znawszy sternika.

— Betty do steru — słychać było komendę Lucy — ja ją biorę na siebie.

— Wicek! Wicek! — rozpaczliwe wezwanie dobiegło Vi-

kiego. Straciwszy głowę ruszył do burty, jakby chciał skakać do morza.

— Spokojnie — hamował go Hamish — za minutę dogonimy ich, zacumujemy i porozmawiamy z nimi.

— Wicek, Wicek! — krzyk Franki był coraz wyraźniejszy. Szamotała się teraz z Lucy, która wpychała ją siłą pod pokład. Betty przy sterze widząc zbliżającą się wprost Mewę wykreśliła w bok i łódź przechyliła się gwałtownie. Franka wyrwała się i rzuciła ku burcie.

Przez chwilę Mewa szła dawnym kursem i przestrzeń pomiędzy łodziami powiększała się w oczach.

— Wicek! — zawołała Franka z rozpaczą i skoczyła do wody.

W mgnieniu oka Viki zrzucił z siebie kurtę, kopnął ciężkie gumowce z nóg i dał nura w morze.

Hamish zakreślił kołem sterowym. Mewa zawróciła na miejscu. Okrążyła kotłującą się wodę. Hamish wyłączył motor i pochylił się przez burzę. Za chwilę poleciało do morza koło ratunkowe z napisem Mewa.

— Trzymaj się Viki! Łap za koło.

Jasna głowa Vikiego skakała po falach. Ręka podnosiła się i opadała tnąc pianiste grzbiety. Przy sobie trzymał drugą głowę i pomału, pomału zbliżał się do koła ratunkowego. Ledwo uchwycił za nie, już Hamish zaczął ciągnąć linkę.

Jeszcze minuta i już byli na pokładzie. Ociekali wodą, odychali ciężko. Współprzymiotna Franka patrzyła z zachwytem w twarz Vikiego.

— Wicus!...

— No, już dobrze, Frania, już dobrze.

— Wicus!

Hamish splunął w morze.

— *Foreigner*'zy mruknął na dźwięk polskiego języka.

Viki sprowadził dziewczynę do kabiny. Otworzył szufladę i wyrzucił swetry, bieliznę, spodnie Hamishowe.

— Wicus! — Frania podniosła na niego jasne oczy. Nie wytrzymał, wziął ją mokrą, ledwo dyszącą, w ramiona i całował.

— Musisz się przebrać. Najpierw musisz się przebrać. A te łańchy, szarpał na niej czarny przyodziewek, wyrzucić w morze. Ja — uderzył się w czoło przypomniawszy sobie — ja ci przecież... Poczekaj!

Za chwilę był z walizką w ręku i rzucał na kojekę kolorowe łańszki. Bluzkę, spódniczkę, sukienkę, sweterek, pantofle.

Zostawił to przed zdumioną dziewczyną i sam nie oglądając się uciekł na pokład.

Hamish mrużąc pod nosem włączył motor, ustalił kurs na przystań i stał z ręką na kole.

Viki podszedł do niego.

— Gdzie oni jadą? — zapytał patrząc na oddalający się statek proroka-Johnniego.

— Do piekła — mruknął Hamish. — Takie pudło spróchniało! Cud będzie jeśli do wieczora wytrzymają na oceanie.

— Oni wierzą w cuda, Hamish.

— A ty nie wierzysz?

— Może i ja wierzę — roześmiał się.

— Idź się przebrać Viki, dostaniesz zapalenia płuc.

— Zaraz, Hamish. Zaraz pójdę. Tylko...

Zaszurały za nimi kroki. Z luku wyszła Frania. Miała na sobie żółtą jak jajecznicza bluzkę i niebieską spódniczkę. Twarz oblepiały jej mokre włosy.

— Pantofle były za małe — powiedziała pokazując bosc nogi.

Hamish obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

— Ostatecznie, Viki, możesz się nie żenić z Josephine. Tak — klepał koło sterowe — możesz się żenić z kim chcesz. I jeżeli Forbes albo Nielson będą chcieli mnie przegłosować, to im tak powiem, że im w pięty pójdzie. Przekłęci, cholerni *foreigner'zy*. Możesz się żenić z kim chcesz.

— O czym on mówi Wicus?

— On? Nie zważaj na niego. On tylko chce ci powiedzieć, że masz co jeść i gdzie mieszkać. On daje nam pracę Frania. Daje nam życie.

— Będziemy żyć. Potwierdził Hamish. — Będziemy żyć na całego.

— A bomba atomowa Hamish, a *foreigner'zy*?

— Do piekła z bombą atomową, do diabła z *foreigner'*ami. My będziemy jeszcze długo żyć, Wi... jak ona mówi na ciebie? Wisusz?

K O M I N

Przed wejściem stał półciężarowy samochód, zwany „wanem”; na boku miał wymalowany napis: „Kamodny Demolition Co”.

Dom stary i zgrzybiały, z poczerniałej cegły, z niemytymi oknami, z zaniedbanym ogródkiem od frontu.

Ryszard wszedł przez otwarte drzwi i skierował się na lewo, ku tabliczce oznajmiającej, że tu są biura „Kamodny Demolition”. Za drzwiami słychać było dwa głosy: jeden tubalny, huczący na cały dom i drugi piskliwy, przygrywający tamtemu jak drżący klawisz basom fortepianu.

Kiedy Ryszard zastukał, głosy się uciszyły trochę. Potem ten, który używał basów, zawołał: Wlazł.

— Czy pan dyrektor Kamodny? — zapytał Ryszard stając w progu pokoju zawałonego papierami, książkami rachunkowymi, pustymi butelkami i skrzynkami od narzędzi.

Za biurkiem stał szeroki, ciężki mężczyzna i patrzył badawczo. Nad czołem zwisały ciemne włosy, usta miały wyraz szyderczy.

— Tak, to właśnie pan dyrektor. Pan dyrektor we własnej osobie.

To przemówił właściciel głosu cienkiego. Mały, szczupły, stary i przygarbiony. Miał włosy całkowicie siwe i siwe wąsy kłakami zasłaniające usta. Kiedy mówił „dyrektor”, rzucał pełne szacunku spojrzenie na postać za biurkiem i schylał się lekko.

— Komodny jestem — powiedział wreszcie dyrektor i wyciągnął rękę ponad biurko. Była wielka i ciężka jak ćwiartka barania.

Ryszard podszedł i z obawą powierzył swoją dłoń tej masie mięśni i ścięgien.

— Skierowanie pan ma? — zapytał Kamodny.

— Tak, proszę bardzo — Ryszard wydobył kartkę od kierownika biura i położył na stole.

Przyglądał się człowiekowi, któremu miał służyć, o ile wszystko pójdzie pomyślnie, i przypominał sobie, co o nim mówił kierownik.

— Oryginał, kochany panie, straszny oryginał, ale płaci dobrze i regularnie. Jeśli pan mu przypadnie do serca, to będzie pan miał dobrze. Ale trzeba uważać, trzeba uważać...

— Rozumiem — kiwał głową Ryszard przejęty nadzieją na lepszą posadę.

— On nie przebiera w słowach — ostrzegał dalej kierownik — nie każdemu się podoba takie mocne słownictwo, ale płaci, bardzo dobrze płaci.

— Pan skończył nauki? — przerwał rozmyślania Kamodny.
— Liczyć pan umie?

— Mam wykształcenie biurowe. Commercial College.

— Aha. A „inkomtaks” pan rozumie? „Insiurans” i tam dalej?

— Orientuję się w tym niezłe.

— Dobrze pan mówi po polsku — zauważył Kamodny.

— Nie widzę powodu...

— Ta młodzież dzisiejsza — przerwał Kamodny — na czyp-sach toto wychowane, byle gówniarz od ziemi odrośnie, a już lorda odstawia, po polsku szelma nie chce gadać.

— To, to — podskoczył stary z wąsami — pan dyrektor święte słowa wypowiedział. Ta młodzież...

Kamodny jednym spojrzeniem przerwał swemu totum-fac-kiemu.

— Nie strzęp sobie języka, Kaziu. Wyciąg lepiej butlę spod stołu. Siadaj pan, panie — pochylił się nad kartką ze skierowaniem do pracy i przeczytał — Bojanowski. Kaziu, kieliszki!

Stary Kazio postawił na biurku dwie szklaneczki po musztardzie. Na trzecią nie starczyło miejsca, trzymał ją w ręku, jednocześnie przyciskając do boku butelkę z whisky.

— Stawiaj — huknął Kamodny — pies tańczył z papierami.

Widać było, że dyrektor niewiele wagi przypisywał do biurowej roboty. Listy, odpisy dokumentów, zestawienia liczbowe leżały bezładnie i większość z nich miała na sobie ślady picia i jedzenia.

Kamodny wyrwał butelkę i nalał do pełna szklanki. Kazio patrzył oblizując siwe wąsy.

— Na pomyślność, kurdebele!

Ryszard ostrożnie ujął kieliszek. Przytknął do ust i posmakował językiem.

— Do dna — huknął Kamodny i przechylił swoją szklanę.

Kazio jakimś szybkim, niezauważalnym ruchem wrzucił płyn między wiechy wąsów i stał dalej skulony, czający się, jakby nigdy nie pił. Ryszard westchnął i przechylił głowę. Paląca wódka zalała mu gardło; z trudem krztusząc się i łzawiąc zdołał ją przepchnąć dalej. Czerwony, przestraszony patrzył na Kamodnego.

— Powie teraz: poszół won, szczeniaku — myślał Ryszard zdając sobie sprawę, że nie zdał egzaminu.

Kamodny nie uśmiechnął się ironicznie, nie wzruszył ramionami, spoglądnął uważnie, bystro taksując przyszłego pracownika.

— Gdzie pan mieszka?

— Koło Crystal Palace.

Kamodny nalał kieliszek Kazia i ołówkiem zaznaczył poziom w butelce.

— Schowaj, kurdebele, i pilnuj. I pamiętaj, Kaziu, na jutro rano rachunek dla Barnesa i zapłacić Smithowi. Czeki masz?

— Tak jest, panie dyrektorze — Kazio wpatrywał się w wódkę w szklanceczce i oblizywał wąsy.

— No to jedziem.

Popchnął Ryszarda do wyjścia i wyprowadził na ulicę.

— Włóż pan — wskazał na samochód.

Ryszard domyślił się, że ma być odwieziony do domu. Ciekaw był, czy został przyjęty, czy nie, ale bał się pytać.

— Dobry człowiek, ale straszna de — mówił Kamodny puszcżając motor — wszystko zrobi, co mu powiedzieć, ale inicjatywy ani tyle co brudu za paznokciem. Trzeba przecież kogoś mieć. U mnie biuro na ostatnim miejscu, grunt to robota, ale przecież samo się nie zrobi. Kazio dobry, da się lubić, tylko de... A pije! — Kamodny gwizdnął, wyrażając uznanie dla jednego talentu swego pracownika.

Prowadził samochód automatycznie, nie patrzył prawie na jezdnię, cały czas obrócony w stronę Ryszarda. Jechali w kierunku parku, potem wykręcili na rozkopanym rogu w Piccadilli, ku Fleet Street. Nie był to wcale kierunek w stronę Crystal Palace, ale Ryszard milczał. Zresztą Kamodny cały czas gadał i nie było możliwości mu przerwać.

— Naopowiadali panu o mnie pewnie, a naopowiadali. Wie pan, jak mnie nazywają? No?

— Wiem — odpowiedział Ryszard przynaglony.

— No!

— Niektórzy nazywają pana Hitlerem.

— Hitler — zaśmiał się uradowany Kamodny — właśnie Hitler. A wie pan dlaczego? Bo ja, kurdebele, więcej domów zwałam Czurczyłowi niż Niemiec. Więcej. Wałę, aż kurz leci na wszystkie strony. Kurcze pieczone.

Spoważniał. Obejrzał się po obu stronach ulicy i westchnął.

— To nie żarty, panie. Jak mnie zdemobilizowali z marynarki, to myślałem sobie, co robić? Najpierw poszedłem do fabryki. Duszno. Cały dzień koło jednej śrubki, kurdebele. Ja do tego nie stworzony. Mogłem iść na połowy ryb, ale żona płakała, córka była malutka; siedź, powiada, koło dziecka. Kurdebele, jak w niewoli. Myślę sobie, na budowie będzie lepiej. Dobrze płacą, o nic nie pytają i powietrza ile chcesz. Zaczętem od „demoliszen” i skończyłem na „demoliszen”. Ale już na swoim. Najpierw małe domki. Obóz jeden, drugi, takie gówniane robótki, ale człowiek się wciągnął. Ma się trzydziestu robotników, dwa buldożery, sześć dryli, kran... Teraz ja bym, kurdebele, samego Big Bena za tydzień wykończył na kaszkę manną.

Samochód wyprzedzając inne, ocierając się o autobusy i ciężkie wozy z piwem wjechał pod most i wyskoczył prosto w cień frontonu katedry. Zastłaniała resztę miasta sobą, dźwigając się spomiędzy kamienic.

Kamodny skręcił w lewo i podjechał pod pomnik starszej pani, zwanej niegdyś Wiktoria Wielką. Zatrzymał się.

— Popatrz pan, panie Rysiu.

Ryszard zdziwił się usłyszawszy swe imię tak poufale wypowiedziane. Schylił się i popchnięty ciężką dłonią popatrzył na drugą stronę ulicy. Dom na rogu stał pusty, ciemny, nie zamieszkały, nie używany. Sklepy na parterze zabite były deskami i teksturą, szyldy zerwane, napisy zamazane. Okna pierwszego i drugiego piętra szare od kurzu, ciemne od pustki opróżnionych sal. Mur nie czyszczony od lat, rynny opadające jak słoma z kapelusza zebrała.

— Fajna robótka, kurdebele — odezwał się Kamodny — dawali mi ją do ręki, ale nie wziąłem. Wie pan dlaczego, panie Rysiu?

Ryszard odchyłał się do tyłu, bo Kamodny naciskał na niego i w ciasnej kabinie samochodu nie było miejsca na obydwu.

— Ja taki „dżob” mam gdzieś — wołał Kamodny — to cackanie się, nie prawdziwa robota. Najpierw trzeba płotami obstawić, potem każdą budę owijać w płachty jak starą babę, żeby niby kurz lordom do nosa nie leciał, a potem w tym środku, w namiocie jakby, poruszyć się nie można bez obicia sobie tyłka o tyłek. Po kawałku, po cegiełce, po okruszku, kurdebele, a ja bym pięścią — tu podsunął bulwę zaciśniętej olbrzymiej garści

— ja by pieprzył raz i koniec, tylko zgarniać do worka. Taka u mnie robota. Zobaczysz pan.

— To znaczy — zaryzykował Ryszard — że pan mnie przyjmuję?

Kamodny odsunął się na drugą stronę kierownicy i popatrzył z oddalenia. Przyglądał się chwilę jasnej, młodej twarzy chłopca. Oceniał jeszcze raz szczerłość niebieskich oczu, gładkie czoło bez zmarszczek, usta świeże, ledwie porośłe puchem zarostu.

— Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia trzy.

— Nie gniewa się pan, że ja do pana tak po imieniu, panie Rysiu?

— Nie, ja nie mam nic przeciw temu.

— No to fajno, kurdebele. Teraz pana odwiozę, a jutro o ósmej rano przyjeżdżaj i jazda na robotę.

— To znaczy, że...

— Chce się pan dowiedzieć ile? Pytaj pan śmiało, ze mną tylko śmiało.

— Ja wierzę, że pan dyrektor mnie nie skrzywdzi.

— Dwanaście na początek. Zgoda?

— Zgoda.

Ruszyli. Na zakręcie Kamodny wychylił się jeszcze i spojrzął łakomie na opuszczony budynek.

— Ja bym go kurdebele — szepnął uderzając pięścią o kierownicę — ja bym go...



Rozbijali jeden dom po drugim. Najpierw pokruszyli i zniwelowali cały kwartał dziewiętnastowiecznych domków mieszkalnych w Crowley, potem załadowawszy dobytek, rury rusztowań, buldozery, sprężarkę, dźwig, świdry pneumatyczne, młoty, kilofy i taczki na gruz, pociągnęli kolumną samochodów do Walii. Stamtąd, skończywszy burzenie szeregu ceglanych baraków, skoczyli do Szkocji niszczyć starą fabrykę, aby oczyścić miejsce na nową. Po drodze niejako kilka małych domków, którymi zajmowały się mniejsze ekipy.

Kamodny's Demolition była to firma wzięta i ceniona. Żadna nie załatwiała się tak szybko z niszczeniem domów, żadna nie liczyła tak tanio.

— No, widzisz pan — powiedział Kazio do Ryszarda — istny Hitler.

Nie tyle chodziło o ilość kontraktów, ale o zapał, wściekłość, z jaką Kamodny rzucał się burzyć każdy dom.

Sam siadał na buldozer i uderzał nim w mur waląc go całymi

połaciami na ziemię. Sam kierował dźwigiem i pracą kamiennej gruchy, którą nazywał baba; podciągał ją na linie do góry i opuszczał na mury, podłogi, sufity, krusząc kamień, łamiąc krokwie i przerywając żelazne spojenia.

A kiedy zaczynało wybierać mur kilofami, stawał na wierzchu ściany w białym hełmie ochronnym, w rozpiętej kurcie, z drylem w ciężkich łapskach i odwalał kawał po kawale. Albo chwycił kilof i dziobał mur stojąc na nim, a kiedy kamienie sypały się mu spod nóg, uskakiwał śmiejąc się radośnie.

— Po cholere się bierze do tego — mówił Symczak do Ryszarda, pokazując *boss'a* na szczycie trzeciego piętra — potrzebne mu to? Siedziałyby lepiej w biurze i rachunków pilnował.

Ryszard miał pełne ręce roboty. Rachował, wpisywał należności robotnikom, układał listy płacy, załatwiał sprawy podatkowe, pisał listy do firm dostarczających narzędzi, do kontraktorów i przedsiębiorców budowlanych. Pocił się i martwił, czy da radę wszystkiemu.

Za całe biuro miał dwie skrzynki, rozkładany stolik i taboret. Najpierw zaczynał urzędować na parterze, a kiedy sufit zlatywał mu na głowę, uciekał z burzonego domu do na prędce skleconej budki.

Najwięcej roboty miał wieczorami w hotelach. Kamodny prowadził *foreman'ów* na wódkę, a Ryszard rozkładał się na stole, na łóżku, na komodzie.

Od czasu do czasu dojeżdżał stary pan Kazio i pomagał. Miał głowę do liczenia i orientował się we wszystkim. Pracował jak szatan, dopóki go nie skusili na kieliszek; wtedy ruszając wąsami jak emerytowany mors rzucał się w otchłań picia do rana.

Symczak, zastępca Kamodnego, brał pieniądze za kierowanie robotą, ale właściwie wypierany był zawsze przez Kamodnego.

— Co ja mam robić? — narzekał. — Co, do jasnej niespodziewanej, mam robić? On wszystko sam. Samuś cholerny! — klął i szedł do roboty w szeregu zwykłych burzycieli.

Większość robotników stanowili Polacy. Pyskaty Antoś, dwaj pijacy: Kuba i Wacek, jeden rudy jak pies, a drugi świński blondyn przy tym łysawy; Weryczko, mechanik od sprężarki, i pan Domiracki. O tym mówiono „pan” z przekąsem i bez szacunku. On mówił do każdego „proszę pana, niech pan pozwoli, niech pan poda tego kilofa za pozwoleniem” itd. Więc został „panem” i jako p. Domirackiego zapisał go Ryszard na liście.

Był szofer Dick z Londynu, jedyny Anglik i to Cockney, bardzo dumny ze swej dzielnicy Hackney. Irlandczyk Willi prowadził ciężarówkę, drugi Irlandczyk siedział na buldozerze. Specjalistą od dźwigu był Murzyn z Nigerii, Marshall; trzej Walij-

czycy, ojciec z synem; Thomas i Jones, zakładali rusztowanie, a drugi Murzyn z Kenii, dlatego zwany Kenyatą, najlepiej ze wszystkich operował drylem.

Potem szli tymczasowi, dołączający się na dzień. Bardzo wielu takich po kilku godzinach zniknęło przerażając się krzykiem Kamodnego, tempem, natarczywością, igraniem z niebezpieczeństwem. Kamodny płacił dobrze, ale po swojemu i Ryszard musiał pamiętać, ile się komu należy.

— Symczakowi w tym tygodniu, Rysiu, dorzuc funta. Ale tylko w tym tygodniu. Antoś i Wacek po dwa funciaki premii. Murzyn gównu dostanie, leni się. Tym nowym stawka.

Ryszard patrzył w papier z rozpaczą. Nie wiedział już co znać czy stawka; czy to ta stawka, co była w zeszłym tygodniu, czy może zupełnie nowa?

— Nie martw się Rysiu — śmiał się Kamodny widząc minę swego buchaltera — nie martw się, kurdebele, taka mać.

Brał go za ramiona i prowadził na powietrze.

— Patrz, kurdebele — cieszył się — już tylko jedna ściana została. Jutro pociągniemy ją w dół. Ale ci huknie, kurdebele.

— Boss lubi Richarda — powiadali sobie robotnicy i starali się mu podchlebić. Ale byli też tacy, którzy mu zazdrościli.

Raz Ryszard się pomylił. Mylił się bardzo często i na żądanie zainteresowanych poprawiał. Czasem kosztowało go to przerabianie całej listy płacy, ale on starał się być sprawiedliwym i uprzemym.

Tym razem pomylił się przy ocenie płacy Domirackiego. Ten jakby na to czekał.

— Co to jest, panie Ryszard? — krzychał potrząsając kopertą z pieniędzmi. — Jak mi się należy, to muszę mieć swoje. Kto kradnie? Kto kradnie, ja się pytam?

Stali na rusztowaniu. Ryszard wdrapał się tutaj, aby przynieść pieniądze. Domiracki odłożył dryl na bok i podskakiwał, aż deski leżące na rurach żelaznych ugięły się.

— Nie dość, że człowiekowi każą głowę narażać, niebezpieczeństwo mu pchają na kark, to jeszcze chcą „obkraść”. Co to jest, ja się pana pytam, panie Ryszardzie? Kto kradnie?

Praca ustała i ze wszystkich stron patrzono na Domirackiego i Ryszarda. Anglik, Walijczycy, Murzyni, Irlandczycy z uśmiechem pobłażania dla awantury, której dosłownie nie rozumieli, Polacy z zainteresowaniem i uciechą.

— Daj mu w ryło, Rysiu — krzychał z dołu Antoś.

— W szyję — radził z góry Kuba.

— Ja się nie boję — nadstawiał się Domiracki, większy, sil-

niejszy i starszy o wiele lat od Ryszarda. — Ja sobie dam radę. Ja ostrzegam.

Nadstawiał się podnosząc pięści jak bokser. Ryszard czerwony z gniewu i upokorzenia zastanawiał się, czy nie rzucić się na Domirackiego. Ale spojrzawszy w dół pomyślał, że lepiej załatwić to spokojnie.

— Przecież pomyliłem się tylko, panie Domiracki. Przepraszam za pomyłkę i chętnie naprawię błąd. Niech pan da pakiet.

— Pomylił się! — zawołał Domiracki ze śmiechem. — Każdy chciałby się tak mylić. Do własnej kieszeni. My wiemy, kto kradnie.

— Kto kradnie? — zapytał cicho Kamodny, który wspiął się z dołu i stanął cicho za Domirackim.

— Kto kradnie, panie Domiracki? — powtórzył pytanie potężnym szeptem. Ale pan Domiracki nie odpowiadał. Patrzył przerażony na Kamodnego i usuwał się w bok.

— Ile mu braknie panie Rysiu?

— Piętnaście szylingów. Wszystkiego piętnaście szylingów.

— Gówniarz — powiedział Kamodny z pogardą — o piętnaście szylingów drze się jak majtki starej panny. Na, ty świnió — sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął zwitek funtów, odliczył jednego i podszedłszy bliżej wsunął go Domirackiemu za koszulę. — A teraz won. Najkrótszą drogą, won stąd. Jak cię złapię na robocie, to mordę spioreę. Won, szcurze łajno.

Potem stanąwszy przy Ryszardzie Kamodny powiedział na cały głos.

— *Mister Richard is good. Mister Richard my right hand. Who say mister Richard wrong, go. Go!*

Angielski był słabą stroną dyrektora Kamodnego, ale zawsze umiał tak powiedzieć, że go rozumieli wszyscy. Zwłaszcza, gdy podkreślał słowa gestami pięści.

— On pana lubi, panie Rysiu, on pana bardzo lubi.

Stary Kazio sapał z przejęcia. Był świadkiem zajścia z Domirackim, bo przyjechał właśnie z Londynu z wielką wiadomością. Firma Johnstone zdecydowała się powierzyć Kamodnemu rozbiórkę komina fabrycznego w Reading.

— Komin! — wołał Kamodny, a oczy mu błyszczały — kurdebele, komin!

W hotelowym pokoju odbyła się libacja. Pito wódkę i cieszone się z nowej roboty. Za dwa, trzy dni po domu, który rozbierali, zostanie dziura w ulicy jak po wyrwanym zębie. Pojadą dalej.

— Komin, taka jego mać, kurdebele — krzyczał Kamodny czerwony od whisky i z przejęcia.

Kazio napompowany po brzegi, kleił się i łaśił.

— Panie dyrektorze, panie dyrektorze kochany — trząśł ręką z pustą szklaneczką i ruszał wąsami przymilnie — jak pan dyrektor zechce, to zwali najwyższy komin. To pan — Kazio starał się wprostować bohatersko — to pan nawet i tego Big Bena: bumb!

— Pij, Kaziu! — Kamodny nalewał mu wódkę i poklepywał.

— Pod ten komin — Symczak przechylał swój kielich.

W małym pokoju było duszno i dymno. Ryszard nie pił i męczył się, bo nie mógł iść spać. Na jego posłanku siedział Kamodny i dyrygował pijackim śpiewem.

„Towarzystwo weteranów, każdy zna tych panów...”

Tylko Kamodny znał słowa i Kazio dokładał coś niecoś, reszta wywijiała szklankami i ryczała do taktu, bez melodii.

— Rysiu — ryknął Kamodny — komin. Widziałeś jak pada komin? Nie widziałeś? No, to zobaczysz, kurdebele.

Nazajutrz Kazio wyjechał. Symczak i Kamodny chodzili blado i skrzywieni. Robota postępowała bez entuzjazmu.

Do biura przyszedł Domiracki.

— Pan Kamodny kazał, aby pan mnie wciągnął na listę.

Ryszard podniósł brwi ze zdziwienia.

— No cóż — burknął Domiracki — każdy może się mylić. Pan może i ja mogę. Nie?

— Rysiu — tłumaczył potem Kamodny — do tego komina trzeba ludzi. Niech go tam, Rysiu. Rodak przecie.



Ostatnie samochody z gruzem odjechały, ostatnie części rusztowania załadowano do drogi. Złożono budkę *office'u*, rozebrano płot. Pozostał plac zaśmiecony gruzem i miałem.

— Jedziemy, Rysiu — wołał Kamodny siadając za kierownicą swego samochodu. — Symczak, w poniedziałek w Readingu. Cały majzel ma być na porę, kurdebele, a nie, to nogi z tyłka powyrywam na cztery wiatry.

Ryszard myślał o kilku dniach odpoczynku w swoim pokoju koło Crystal Palace. Długie spanie, klub, kino.

Kamodny miał inne plany.

— Jedziem do domu, Rysiu.

— Do domu?

— Człowiek ma dom, kurdebele. Pożyczkę spłaca, za elektrykę rachunki reguluje, na edukację łoży i na odziewek nie żałuje. To ma prawo jechać do domu, czy nie ma? Kurdebele.

Zatrzymywali się w kilku sklepach.

— To dla Kasi — mówił Kamodny kupując sukienkę z tiulu, pończochy, perfumy, rękawiczki, pantofle. — A to dla *my dear wife* — uśmiechał się z przekąsem, ale też nie żałował pieniędzy ładując samochód garderobą, czekoladkami, wyrobami Maxa Factora i Elizabeth Arden.

Ryszard patrzył i podziwiał. I zastanawiał się, czy numery się zgadzają, czy przypadną do gustu krzykliwe kolory.

— A teraz coś dla nas.

Kamodny zatrzymał samochód przed sklepem z delikatesami.

— Krakowska, kurdebele — krzyczał strasząc paniusię za kontuarem. — Daj pani ten słoik z bigosem. Daj pani trzy. I flaczki. Masło z Polski? Daj pani dwa funty. Salcesonu, szynki, kaszanki...

— Tyle, to dla batalionu — uśmiechał się właściciel sklepu — pan dyrektor cały biznes mi wykupi.

— Nie zmarnuje się. Lodówkę mam, że pan by pozazdrościł. No, czego jeszcze, Rysiu?

Ale Ryszard był przerażony masą wiktuałów ładowaną do wozu.

— Jedziem.



Stanęli przed domkiem w ogródku. Jeden z wielu w podmiejskiej kolonii. Parterowy, ale szeroki, nowoczesny. Takie domki nazywają się *bungalow* i kosztują niemałe pieniądze. Kamodny był widać dumny z tej posesji, bo spoglądał z ukosa na Ryszarda i uśmiechał się.

Nie potrzebowali stukać. Najpierw w oknie ukazała się głowa, a następnie drzwi otworzyły się same i powitała ich chuda, mała kobieta. Wyglądała na zniszczoną pracą, zniechęconą do życia, gniewną, wcześniej postarzałą.

— To jest Mrs Kamodny — powiedział mąż popychając Ryszarda naprzód i zaraz zawołał: — Gdzie jest Kasia?

— *Where is Kasia?* — brzmiało to po angielsku trochę śmiesznie.

Pani Kamodny bez słowa usunęła się przepuszczając ich do środka.

— *Mister Richard Bojanowski, my right hand.*

Kobieta zrobiła wysiłek, aby uśmiechnąć się.

Ryszard wyciągnął rękę. Było mu nieprzyjemnie.

— Gdzie jest Kasia? — wołał Kamodny wchodząc do korytarza. Otarł się o żonę, ale nie dotknął jej nawet ręką na powitanie.

W głębi sieni stała młoda dziewczyna. Była jasna jak matka, ale miała szeroko rozstawione oczy Kamodnego.

„Jaka ona śliczna” — pomyślał Ryszard i uśmiechnął się do niej.

Kamodny zagarnął córkę w ramiona, klepał ją i całował i przemawiał pieśczośliwie po polsku.

— *I am very glad you came daddy* — odpowiadała po angielsku.

— Powiedz „dzień dobry”, Kasiu, powiedz „dzień dobry”.

Uśmiechnęła się zakłopotana i patrząc zza bar ojca szepnęła: „dżen bobri”.

— Hej! — zawołał Kamodny — Rysiu, nieś tu nasze zakupy.

Ryszard przemknął się obok usuniętej na bok kobiety i wyszedł do samochodu.

„Co za rodzina? — dziwił się w duchu. — Czy to możliwe, żeby taki wielki, szorstki, kanciasty chłop ożenił się z cieniem kobiety?”

Kamodna jednak nie była cieniem. Nim Ryszard wrócił z paczkami, już słyszał jej głos.

— Wytrzymaj nogi — wołała — do domu wchodzisz, a nóg nie wytrzesz.

— To mój dom — bronił się kiepsko z angielska Kamodny — robię, co chcę. Mój dom.

— To jest mój dom i masz się w nim zachowywać w porządku. I pamiętaj, nie pozwalam się upijać w moim domu.

— Ja płacę — nalegał Kamodny — to znaczy, że dom jest mój.

Ucichli, gdy Ryszard wszedł do pokoju. On spojrzał dokoła szukając dziewczyny. Nie było jej.

— Rysiu — odezwał się do niego Kamodny siedząc na fotelu i ściągając zawałane gliną i gruzem buty — zanieś zakupy do kuchni. Zrobimy sobie prawdziwie polską kolację. *Polish cooking!* — krzyknął do żony.

— *No polish cooking in my house* — zapiszczała. — Nie będę się tłumaczyła sąsiadom, co tak śmierdzi.

— Mini — po raz pierwszy Kamodny użył imienia żony i przemówił łagodnym tonem — on nie jada *chips*’ów, on tylko *polish cooking*.

Mrugnął do Ryszarda porozumiewawczo.

Ryszard poszedł do kuchni. Wolał oddalić się od nich obojga.

W kuchni stała Kasia. Na widok paczki z kiełbasą, z *salcesonem*, ze słoikami bigosu i flaków zrobiła przerażoną minę i zaraz wybuchnęła śmiechem.

— Co zrobimy? — zapytał Ryszard stawiając wiktuły na stole.

— Oh — zaśmiała się beztrzesko — ugotujemy.

— A ona, pani mama?

— Ona nie będzie jadła. A ja lubię kiełbasę.

Rozmawiali ze sobą po angielsku, swobodnie. Ryszard patrzył na jasną głowę dziewczyny pochylającej się nad wiankiem kiełbasy i czuł, że się rozczuła.

— Ja lubię kiełbasę — powtórzyła Kasia — podnosząc kawałek i gryząc go z zapalem.

— Pani jest Polką.

— Oh — wzruszyła ramionami — nie zastanawiam się. Mama chce, abym mówiła wszystkim, że nie mam nic wspólnego z Polakami, a ojciec nie chce zrozumieć, że urodziłam się w tym kraju. Dla niego jestem dziewczyną z dalekiej Polski. Trudno mu dogodzić.

— Nie lubi pani ojca? On jest bardzo porządnym człowiekiem. On jest mocny mężczyzna.

— Niech go pan nie broni — powiedziała poważnie — nie przede mną. Ja go kocham. Ja go bardzo kocham.

— A matka?

— Nie mogą siebie zrozumieć.

Mrs Kamodna nie była zadowolona z prezentów. Narzekała, że nie ma dostatecznej ilości czystych prześcieradeł dla gości, że sąsiedzi będą mieli pretensje z powodu zapachu kapusty.

Kasia, albo Katy jak ją nazywała matka, cieszyła się ze wszystkiego i całowała ojca w nieogoloną twarz, dziękując za sukienkę, za pantofle, za perfumy.

— Ja tego nie włożę, zawsze mi kupuje za mały numer, nie wie, że rosnę — mówiła do Ryszarda — ale on jest taki kochany, że myśli o tym.

Znowu byli w kuchni. Katy stawiała na elektryczną kuchnię garnek z bigosem, Ryszard pomagał otwierając puszkę i krajał mięso.

— Jak mam pana nazywać? Mister Bojanowski?

— Ojciec pani mówi do mnie Rysiu.

— Bardzo ładnie... Rysiu.

Odważemnił się jej i było im bardzo wesoło.

— No, kiedy ta kolacja? — Kamodny stanął w drzwiach.

— John, zostaw ich w spokoju — wsunęła się żona.

Kamodny oparł jej rękę na ramieniu i powiedział patrząc na młodych:

— On jest moją prawą ręką. On jest bardzo porządny młody człowiek. Edukowany.

Ryszard zaczerwienił się, Kasia się roześmiała.

— Chodź, John — prosiła go żona cichym głosem.

Kamodny wziął żonę w pól i wyszedł do dużego pokoju.

— Oni się nie zawsze kłóca? — spytał Ryszard.

— Oh — odpowiedziała patrząc w tę samą stronę — wszystko będzie w porządku. Tylko co ma powiedzieć żona, kiedy mąż przyjeżdża raz na rok?

Przy kolacji, która była urozmaicona, bo połowa uczestników jadła bigos, a połowa duszone po angielsku mięso, nastrój rzeczywiście się poprawił. Kamodny był cichy i łagodny, jego żona spełniała obowiązki gospodyni tylko z lekka marszcząc nos, gdy ją zaleciał zapach z talerzy męża i córki.

Ryszard taktownie wybrał potrawę angielską, czym wkraść się w łaski gospodyni.

Potem Kamodny popijał koniak drobnymi łyżkami, pani Kamodna opowiadała plotki o sąsiadkach, Kasia udawała, że przegląda książkę, a cały czas wymieniała spojrzenia z Ryszardem.

„I takiego nazywają Hitlerem? — myślał Ryszard — Czy to ten człowiek krzyczy, wrzeszczy, klnie i rozbija się na budowie? Czy to jest ten sam Kamodny? W tym kółku drobnych mieszczan?”

— Czas spać, kurdebele — wyrwało się Kamodnemu na zakończenie i Ryszard roześmiał się jednocześnie z Katy.

Spał na stryszku i długo wałkując się z boku na bok nad słuchiwał szmerów tego domu i rozmyślał nad tym, co go spotkało w tym dniu.



Wracali obaj zamyśleni. Kamodny nie śmiał się, nie gadał, siedział nieruchomo, patrząc przed siebie na drogę. Ryszard błędził spojrzeniem po krajobrazie, ale widział co innego.

Trzy dni spędzili w domu. Każda chwila zdawała się droższą od poprzedniej.

Kiedy wstępowali w drzwi, dom odpychał ich gniewem i niechęcią, potem już tylko żal, prośba otaczały ich na każdym kroku.

Mini Kamodna zmieniała się, zmieniała nawet ubranie. Stała się młodsza, uśmiechała się z kokieterią.

— Oh, John — prosiła patrząc na męża — gdybyś ty mógł być w domu...

— Ja wiatr — odpowiadał swoją skondensowaną angielszczyzną — ja muszę być tu i tam.

Ale nie było szorstkości w jego głosie. Gdy zbliżał się do

żony i obejmował ją w pół, stawał się zupełnie innym człowiekiem. Potem spoglądał na córkę i mrugał wesoło.

Katy przerobiła sobie tiulową sukienkę i wieczorem w niedzielę włożyła ją krygując się przed ojcem.

— Miss Kamodny — cieszył się on — Rysiu, czy ty myślałaś, że stary Kamodny ma taką córkę?

Poszli na spacer. Ryszard i Katy. Szli ulicą, która obserwowała ich zza firanek. Rozmawiali o sobie, opowiadali o swym życiu, z powagą spowiadając się sobie jak przyjaciele.

Katy uczyła się w college'u w Londynie, co dzień jeździła podmiejskim pociągami. Zostawiała matkę na cały dzień samą.

— Ona jest bardzo biedna — wdychała — ona nie ma nikogo. Przecież sprzątanie — to nie wszystko?

Mówili coraz poważniej, sięgali do swego życia coraz głębiej, zwierzali się coraz intymniej. Aż kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, na wzórze opadające ku strumieniowi, ogarnęła ich nagła radość. Zaczęli się gonić biegnąc w dół. Zapomnieli, że są poważnymi ludźmi po dwudziestce i bawili się jak dzieci.

Wrócili zarumienieni, zadowoleni z siebie, z wszystkiego co ich otacza. Przywitał ich Kamodny. Przygarnął do siebie z dwóch stron.

Potem był obiad, który ugotowała pani Kamodna. Pokazała, że jest dobrą kucharką i Kamodny chwalił ją zajadając indyka obłożonego bekonem i sosydzami.

Potem znowu zasiedli w miękkich meblach.

I Ryszard z zalem myślał, że jutro wyjadą. Z domu.

Nagły wstrząs samochodu obudził go ze wspomnień.

— Ja jestem zły człowiek, Rysiu — odezwał się Kamodny przerywając milczenie. — Ja jestem zły człowiek. Prawda?

— Nie, dlaczego? — Ryszard z trudem powracał do rzeczywistości.

— Mam dom, mam żonę, mam taką córkę i uganiam się po świecie, zamiast siedzieć z nimi. Zły jestem dla nich. Ale co ja mogę? Powiedziałem jej: będziesz miała dom i ma. Daję jej tyle pieniędzy, że może sobie pozwolić na wszystko, niczego im nie żałuję. Jak przyjadę, to mi się zdaje, że nie wyjadę, ale pobędę dwa, trzy dni i już mnie wygania.

Nie, tym razem było inaczej. Jakoś nie chciało się jechać.

Ryszard przypomniał sobie pożegnanie. Kamodny cichy i zamysłony całował córkę i gładził żonę po policzku.

— John — prosiła Kamodna ze łzami skapującymi na policzki — dlaczego nie możesz zostać? Zostań z nami, John.

Katy podała Ryszardowi rękę. Dotychczas czuł ciepło tej dłoni.

— Ja wróćę, Mini. Ja wróćę, na pewno wróćę na... dłużej.

— Jestem zły człowiek — powtarzał teraz Kamodny — ożeniłem się z miłości, jak to mówią. Mini była taka drobna i cicha jak myszka. Wszyscy na okręcie mi zazdrościli. Kamodny, gadali, Mini sobie przygadał. Kamodny się żeni z Mini. I Kamodny się ożenił. Ja ją kochałem, Rysiu, ale wiesz jak to w marynarce. Świat przed tobą, a do domu tylko na wielkie święto. Kiedy zacząłem to walenie, to znowu mnie gania. Żeby ona jakaś lepsza była, ale wita mnie krzykiem, żegna łzami. Nie wiem czy mnie kocha. Żeby chociaż mówiła po polsku...

Dojeżdżali już do Tamizy, do mostu, gdy Kamodny raptem zatrzymał samochód. Z tyłu trąbili na niego, on sobie nic nie robił z tego, że tamuje ruch.

— Rysiu — pochylił się w bok — podobała ci się Kasia? Ryszard poruszył się niespokojnie. Poczzerwieniał.

— Podobała — stwierdził tonem pewności Kamodny. — To się ożeń z nią, Rysiu.



Z kominem nie szło gładko. Plan burzenia przedstawiony przez Kamodnego nie został zaakceptowany.

— Kurdebele, cholerni fakeniarze — kłął miotając się po bałaganie Kaziowego biura — boją się dynamitu.

Przyjął rozbiórkę baraków na przedmieściu. Nie potrzeba było tam ani dźwigu, ani rusztowań, ani świrdrów pneumatycznych.

— Robota dla śmieciarzy. Zgarnąć, kurdebele, i wywieźć na śmietnik.

Ryszard miał teraz więcej czasu, aby uporządkować rachunki, zrobić pełne rozliczenie z inspektorem podatkowym, uzupełnić książki buchalteryjne. Kazio niewiele w tym pomagał. Kazio był od innych spraw. On biegał po biurach, jeździł z Kamodnym przekonywać zarząd miejski o kominie, on pisał listy do firmy wynajmującej dźwig, starał się o dynamit. I pił. Kiedy siedział w biurze to popijał. Butelka z wyznaczoną ołówkiem kreską tkwiła w biurku na pokaz. Kamodny, gdy był w dobrym humorze, nalewał z niej Kaziovi i stawiał nowy znak. Cieszył się, że ma kontrolę. Ale Kazio miał własne butelki, własne źródło alkoholu. Dostarczały mu go firmy wdzięczne za transakcje, przynosił Szymczak i inni robotnicy.

Ryszard udawał, że nie widzi. Wieczorem opuszczając biuro pozostawiał za sobą dobraną kompanię przy butelkach.

Kamodny poza kominem i barakami miał jeszcze inne sprawy.

Swoje własne. Sam jeździł je załatwiać i nie mówił o nich z nikim. Aż raz sam na sam z Ryszardem powiedział:

— Rysiu, wszystko załatwione — oznajmił tryumfująco.

— Komin?

— Nie. Ważniejsze. Tak sobie myślałem i myślałem — mówił siadając za biurkiem — że nie można latać po świecie bez odpowiedzialności. Człowiek jak świeczka, byle wiatr go fiut i zdmuchnie. Trzeba myśleć, co będzie potem.

— Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć.

— To chcę powiedzieć, Rysiu, że zorganizowałem na przyszłość co i jak ma być. Nie zawsze można myśleć o robocie, o kominach, dźwigach, o Kaziu, Symczaku, o robocie, o całym tym burdelu. Trzeba zastanowić się nad przyszłością. Jak ktoś ma córkę i żonę, to ma też obowiązki.

— Będzie pan częściej jeździł do domu?

— A — zaśmiał się Kamodny — tobie tylko to na myśli. Pojedziemy, Rysiu. Jak tylko komin rozpieprzymy, pojedziemy. Ale o co innego mi chodzi.

Wyciągnął z teczki długą, grubą kopertę.

— Ot, tu jest wszystko spisane. Wszystko zarządzane. Ty nic nie rozumiesz, ale kiedyś zrozumiesz. Rysiu, czy ty chciałbyś zostać architektem?

— Dlaczego?

— Dlaczego? On się pyta dlaczego? Żeby budować. Kamodny dość już im naburzył domów. Powinien ktoś budować. Gdybym miał syna...

— Ja kiedyś myślałem, że...

— Ach — machnął ręką Kamodny — nieważne. Bądź czym chcesz. Czy tylko domy się liczą...



O czwartej Ryszard zniknął z biura. Powiadał, że ma konferencję w urzędzie podatkowym, a szedł do kawiarni niedaleko Regent Parku i siadał w kącie przy oknie. Czekał cierpliwie.

— Richard — wyrывało go z zamyślenia własne imię wypowiedziane po angielsku.

Witał się z Katy dotykając jej ręki i podtrzymując za ramię sadowił obok siebie. Mieli pół godziny czasu do pociągu. Codziennie pół godziny.

Nikt o tym nie wiedział. Ani matka, ani ojciec. Tajemnica dodawała tyle uroku tym spotkaniom.

Rozmawiali o różnych sprawach codziennych. Opowiadali sobie historie ze swego dzieciństwa. Zachowywali się jak dwaj

dobrzy przyjaciele. Przychodzili tu, aby podzielić się wrażeniami z dnia dzisiejszego i żegnali się wdzięczni za to, że jedno drugiego wystuchało.

— Mammy namawia mnie na urlop w Szkocji u jej rodziny — mówiła Katy — a ja nie chcę. Ja wołałabym wyjechać za granicę, na kontynent. Daddy mi zawsze obiecuje, że mnie zabierze, ale nigdy nie ma czasu.

— Jak zburzy komin... — próbował pocieszyć Ryszard.

— Ach, ten komin — gniewała się na żarty — nic tylko ten komin. Zamiast mówić o ciekawych sprawach, to ty znów o kominie.

Patrzył na jej usta i myślał: co by się stało, gdybym ją pocałował. Co by się stało, gdybym...

Ręka trzymająca filiżankę drżała, a na twarzy napływała fala gorąca.

— Ja powiem twemu ojcu, że chcesz jechać do Paryża.

— Ależ ja wcale nie chcę jechać do Paryża.

— Przecież... — nie rozumiał o co jej chodzi.

— Ja chcę w ogóle gdzieś jechać, coś robić. Nie chcę być w domu, w college, nie chcę żyć smutno...

— Ja też chciałbym podróżować po świecie, poznawać kraje, ludzi, dowiadywać się o czym inni myślą, nie siedzieć w biurze, ale trzeba jakoś pracować na życie.

— Ja chciałabym — powiedziała przechodząc na poważny ton — aby ojciec przestał burzyć.

— To jego zawód. Z tego żyje, z tego utrzymuje dom.

Nie chciał powiedzieć: ciebie, twoją matkę.

— Niech pracuje inaczej — protestowała — ale niech nie burzy. On robi to jakby na złość, jakby niszczył innych i siebie, ze złości, w gniewie.

— Masz rację — chciał powiedzieć Ryszard, ale z lojalności do Kamodnego zamilczał.

— Przesadzasz — zaśmiał się nieszczerze — przecież on nie jest demonem. Zwyczajny przedsiębiorca, który wykonuje powierzone roboty. Jeśli on tego nie zburzy, znajdują się inni.

— Niech inni burzą.

— A on niech z tobą jeździ po świecie. Do Hiszpanii, do Hong Kongu — obrócił wszystko w żart.

— Masz rację. Powiedz memu ojcu: panie Kamodny, niech pan przestanie niszczyć domy, a wybierze się ze swoją córką w podróż dokoła świata. Ona tego potrzebuje dla zdrowia.

— I proszę nie zapomnieć zabrać ze sobą sekretarza, niejakiego Ryszarda Bojanowskiego.

— Towarzystwo tego pana będzie dla nas wielką przyjemnością — ukłoniła mu się z powagą.

Na stacji kupił bilet peronowy i odprowadził ją do samego wagonu.

— Wiesz — powiedział na pożegnanie — mam wyrzuty sumienia.

— Jakie?

— Tak się cieszę, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, jest mi z tym tak dobrze a cały czas... — zawahał się — cały czas myślałem, co by było, gdybym ciebie pocałował.

Roześmiała się lekko poczerwieniawszy.

— Wiesz, że ja myślałam o tym samym.

Teraz śmieli się oboje nie patrząc na siebie.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Przecież to stacja. Tylu ludzi się żegna. Nie widzę nic złego w tym, gdybyś mnie pocałował na pożegnanie.



Umowa o burzenie komina doszła do skutku. Plany zatwierdzono. Chodziło tylko o specjalistę od materiałów wybuchowych. Żądano, aby w ekipie znajdował się człowiek z doświadczeniem.

— Ja się znam, kurdebele — irytował się Kamodny — ja mogę im wysadzić w powietrze całe miasto, nie jeden zasrany komin.

— Ja byłem sierżantem saperów — odezwał się Domiracki, który przyszedł do biura po zaliczkę.

— Właśnie — ucieszył się Kamodny — Kaziu, dzwoń do nich i zapytaj, czy wykwalifikowany sierżant saperów polskich wystarczy tym fakeniarzom, kurdebele?

Kazio potrafił wytłumaczyć, że sierżant saperów, to odpowiednik najlepszego eksperta angielskiego i sprawa była załatwiona.

Odbyła się popijawa w klubie. Wszyscy Polacy z ekipy Irlandczyków nie brano pod uwagę. Rusztowania nie trzeba było wznosić, więc Walijszczy odpadli od komina. Murzynów nie zapraszano — nie wiadomo było, jak na nich zareaguje publiczność z sąsiednich stolików.

Kamodny pił, zachęcał i uderzając pięścią w stół krzyczał swoje „kurdebele” na cały głos.

— Hitler pije — mówili o nim na boku.

— Dlaczego Hitler?

— Nie wie pan? Pół Londynu zburzył. Więcej niż Hitler.

— Kaziu — wołał Kamodny — pij. Pij, Kaziu, pod ten ko-

min. Jak go rzucim o ziemię, to będzie niby bomba atomowa.

Kazia nie trzeba było zachęcać. Wsuwał pod wąsy kieliszek po kieliszku i wlewał alkohol krótkim ruchem.

Nie znać było na nim skutków picia, tylko głos zmieniał mu się w szept i pochylał się bliżej ku Kamodnemu.

— Panie dyrektorze kochany, jak pan dyrektor zechce, to pan dyrektor wszystkie kominy...

Ryszard przyszedł na zakończenie. Wrócił z miasta. Towarzyszył dwóm paniom; Mrs i Miss Kamodny w zakupach.

Po zwaleniu komina Kamodny miał zabrać rodzinę na urlop do Hiszpanii. Obiecał to w chwili bardzo dobrego humoru.

— Wszyscy jeżdżą do Hiszpanii, kurdebele, dlaczego Kamodny nie może jechać.

Nie miał trudności, był obywatelem brytyjskim i sprawy paszportowe poszły sprawnie. Za miesiąc.

— Richard — mówiła Mini Kamodna — tobie zawdzięczamy, że on się zgodził.

— Mnie?

— Powiedział: Ryszo mi każe was zabrać do Hiszpanii.

— Ja tylko mówiłem, że dobrze byłoby...

Kupowały sobie sukienki, kostiumy kąpielowe, pantofle. Kamodny dał na to masę pieniędzy.

— A kiedy Richard będzie sobie kupował? — pytała pani Kamodna.

— Tsss — śmiała się Katy — on o tym nie powinien wiedzieć. To niespodzianka.

Ale Ryszard wiedział. Jechał do Hiszpanii z nimi i marzył o tym innym słońcu, o piasku plaży w Tarragonie, o górach, o morzu i o tym, że to wszystko będzie oglądał razem z Katy.

Kiedy wszedł do klubu, Kamodny był na pełnym gazie. Stał przy stole i trzymał mowę. Wielki, szeroki jak groźny cień, wyrastał ponad stoliki pełne spłoszonych, lękliwych gości. Odgarniał wielką łapą potarganą czuprynę i drugą z kieliszkiem gestykulował.

— Kto więcej zburzył, Hitler czy Kamodny? Niech żyje Kamodny Demolition!

Ryszard szedł w stronę stolika zajętego przez towarzystwo niszczycieli i uśmiechał się do Kamodnego.

„Dlaczego — myślał — ja go nie mogę nie lubić. Krzykliwy, gwałtowny, chamski, nie liczący się z nikim, zły ojciec, niedobry mąż, wygłupiający się publicznie stary pijak...”

— Rysiu — ucieszył się Kamodny — siadaj z nami Rysiu.

— Nie mogę — pochylił się Ryszard — już bardzo późno. Trzeba już iść.

— *Plenty* czasu, kurdebele — zawołał Kamodny.

— Chodźmy, panie Kamodny.

— Nie pójde. Ja komin, kurdebele, jutro w puch i proch, kurdebele...

Ryszard pochylał się jeszcze bliżej. Poczł jak uderza w niego oddech zionący wódką.

— Chodźmy. Ja pana proszę. Bardzo proszę.

Kamodny spojrział bystrym, trzeźwym spojrzeniem. Uśmiechnął się szeroko i wstał. Oparł się o Ryszarda przygniatając go sobą i skierował ku wyjściu.

— Ale on pana lubi, panie Rysiu — szeplecił stary Kazio — ależ on pana lubi.

Z podziwu otworzył usta, ale szybko wlał w nie nowy kieliszek wódki i zwrócił się ku osamotnionemu towarzystwu.

Zdrowie komina!



Komin miał 175 stóp. Stał samotny na polu zarostym zieliskiem i krzakami jeżyn. Po cegielni zostały tylko pagórki gliny i rozsypanych cegieł, które pokryły chwasty. Jedynie komin budowany mocno, solidnie przetrwał czas długi, aż wreszcie w radzie miejskiej postanowiono użyć plac po cegielni na dom dla rozrastającego się miasta.

Policja otoczyła pole sznurami i rozstawiła ostrzeżenia. Telewizja wysłała wóz z aparatem, aby uwiecznić chwilę, gdy staroświecki, zapomniany komin runie w proch.

Chodziło o odpowiednie rozmieszczenie ładunków dynamitu. Tak aby wybuch strącił komin w jedną stronę jak drzewo walone w lesie wedle życzenia drwali.

Potem rozbite, leżące w prochu cegły zagarnie szuflą buldozer, zarzuci na lory i szybko sprawnie sprzątnie się wszelkie ślady po kominie.

Właściwie robota prosta. O ileż trudniej łamać po kawałku ściany kamienic, rozrywać krokwie, szarpać żelbeton i oglądać się przy tym, aby nie przeszkodzić ulicy w jej codziennym życiu.

Tutaj pustkowie na setki metrów. Swoboda, wolność działania. Tylko uważać, aby odpowiednio założyć dynamit.

— Co on wie, kurdebele? — krzyczał Kamodny. — Sierżant saperów! Idiota, pudel, gówniarz nie sierżant!

Domiracki nie odpowiadał sapiąc i pocąc się. Widać utracił wprawę, albo jej nie posiadał. Obliczał, rysował kredą na kominie, przymierzał.

— Tu — powiadał niepewnie — następny tu. Albo tutaj...

— Sycmzak, kurdebele — wrzeszczał Kamodny — jak ja go pieprznę w ucho, to nie potrzeba dynamitu.

— Jasiu — proszę Sycmzak — a może by eksperta jakiego... Kamodny odwracał się tyłem.

— Panie dyrektorze — błagał Ryszard przerażony bałaganem — tak nie można. Ja pana dyrektora proszę, zatrzymajmy robotę.

— Gówniarzu — krzyczał Kamodny — nie pętaj się tutaj. Won poza sznury.

Było ich już tylko trzech. Kamodny, Sycmzak i Domiracki.

Marshal wyborował głębokie dziury na ładunki od środka komina i z zewnątrz i odstąpił ze swym drylem.

— Mister Richard — mówił swym cienkim dyszkantem — ja się nie znam, ale tu jest niedobrze.

Pierwszy Sycmzak wynurzył się z wnętrza komina po założeniu dynamitu. Za nim Kamodny. Wreszcie Domiracki szedł wzdłuż kabli aż do zapalniczki. Wszyscy trzej zatrzymali się przy niej.

— Panie dyrektorze, w porządku? — Ryszard poskoczył ku nim.

— Zabieraj się stąd, szczeniaku — krzyknął z gniewem Kamodny.

Podbiegł młody reporter.

— Mister Kamodny, proszę mi powiedzieć...

Kamodny stał z wyciągniętą ręką nad zapalniczką. Jakby wstrzymywał burzę mającą skoczyć po drutach.

— Komin upadnie tam — pokazywał dziennikarzowi kierunek.

— Czy na pewno? Ma pan to przeświadczenie?

— Mister — wypiął pierś Kamodny — ja mam experience. Ja domów, fabryk wiele, wiele zdemolowałem. Kamodny Demolition, Mister, to firma na sto procent. Tam — pokazywał w stronę pustego pola.

— A teraz wszyscy uciekać — zakomenderował.

Sycmzak odchodził oglądając się poza siebie. Domiracki biegł z głową schowaną w ramionach.

— Panie dyrektorze — zatrzymał się Ryszard — czy naprawdę wszystko w porządku?

— Rysiu — popatrzył na niego Kamodny — ty mi nie tego, kurdebele...

Odeszli, Kamodny został sam przy zapalarni.

Za kordonem sznurów obok policjantów stało kilkanaście osób ciekawych walenia komina. Wmontowany na samochodzie

aparatus telewizyjny wycelowano na komin, oczekując każdej chwili wybuchu.

Domiracki odpowiadał coś policjantowi. Symczak pił lemoniadę z butelki. Dziennikarze pisali w notesach. Operator telewizji palił spokojnie papierosa.

Przed nimi stał komin jak wieża wyrastająca z zieleni.

Na dwie trzecie drogi ku niemu kłęczał Kamodny.

„Dlaczego nie założył dłuższych drutów? — męczył się w myśli Ryszard — Dlaczego?”

Pod boki Ryszarda dyszał stary Kazio. Zdążył już wlać w siebie kilka kieliszków whisky i ział zepsutym oddechem.

— Panie Rysiu — szeptał — co to będzie? Czemu wszyscy się boją?

„Tylko Kamodny nie” — pomyślał Ryszard patrząc przed siebie.

Na środku pola wciąż kłęczał wyprostowany, gotów na wszystko Kamodny. Miał głowę podniesioną, patrzył na komin, jakby mierzył jego wysokość, nim upadnie na ziemię.

Podniósł rękę. Inspektor odpowiedział mu machnięciem.

Kamodny przygiął się i nacisnął zapalnik.

Komin wydał się u podstawy jak wydmuchiwany od środka, pękał na spojeniach i zniżał się cały.

I nagły huk, przeraźliwy, przygniatający do ziemi. Uderzenie powietrza w twarz, w piersi.

— Kur... — zakłęcie zamarło na ustach Symczaka. Komin zamiast padać jak drzewo podcięte, walił się w kupę dymu, w kłęby kurzu, do środka. Siadał i rozlatywał się na wszystkie strony. Zagwizdało nad głowami.

— Run! — krzyknął ktoś pełnym głosem.

Zaczęli uciekać; potykając się bieгли na wszystkie strony. Odłamki świstały na nimi.

Ktoś wrzeszczał ratunku. Jakaś kobieta wyła cienko, przeraźliwie.

Komin wybuchał niby wulkan wyrzucając do góry fontanny gruzu i kłęby dymu.

— O Jezu — ryczał Symczak. — Zabić go, zabić takiego syna! Sierżant saperów! Sierżant saperów!

Ryszard tkwił na miejscu; wyprostował się po nagłym schyleniu i patrzył w kurzawę. Czekał aż stamtąd wyjdzie triumfujący jak Hefajstos, plujący pyłem i przekleństwami Kamodny.

— O Boże, o Boże! — jęczał koło niego leżący plackiem Kazio. — O Boże, zabili.

— Cicho! — zawołał Ryszard — nie zabili pana.

— Jego — jęczał Kazio — jego!

Kurz opadał, rozprzestrzeniał się po polu i kładł nisko. W środku tumanu leżał komin, niewidoczny, połamany.

Ryszard szedł przed siebie. Przekroczył sznury i wstępował wolno w obłoki kurzu.

Kamodny leżał na ziemi. W rękę trzymał klamkę zapalarki. Na piersi jak kawał czarnego chleba widniała osmalona cegła.

Ryszard przystanął. Nie był sam, wszyscy biegli i zatrzymywali się na widok leżącego.

— Ambulans! — wołał mocny głos.

— Nie żyje! — krzyczał przeraźliwie Kazio.

Kamodny żył. Uniósł głowę przeciętą szramą poprzez czoło i uśmiechnął się.

— Rysiu — powiedział — Rysiu.

Ryszard przykleknął.

— Rysiu — ciszej szepnął Kamodny — wszystko w porządku. Wszystko o key. Papiery o key. Rysiu...

Ryszard dotknął ręki wpijającej się w twarz. Widać ból rozrywał Kamodnego.

— Ożenisz się z nią Rysiu?

Oczy Kamodnego wpatrywały się pilnie w Ryszarda. Szeroko rozstawione, ciemne, błyszczące łzami bólu.

— Ożenię się — powiedział Ryszard jakby składał przysięgę i jednocześnie delikatnie ucisnął rękę Kamodnego.

— Nosze. Droge dla noszy!

Ryszard wyciągnął dłoń i zdjął cegłę z piersi. Pozostał ślad sadzy i ciemna plama, która rozszerzała się gwałtownie po koszuli i kurtce.

Kiedy go kładli na nosze, krew zaczęła skapywać na ziemię.

Ryszard stał przy głowie, nachylał się i wzrokiem modlił się, aby to się stało, aby to nie było rzeczywistością...

Kamodny zacisnął powieki, wykrzywił usta szyderczo. Walczył z bólem. Znów otworzył oczy szeroko i przytomnie.

— Rysiu — powiedział wyraźnie choć bardzo cicho — naucz ją po polsku.

To były ostatnie słowa, które usłyszał. Szedł za noszami brodząc w osiadającym pyłe jak we mgle.

Za nim pozostały gruzy komina. Rozbitego, spłaszczonego jakby uderzeniem pięści.

NA CZELE POCHODU

Nogi. Nogi. Młode, prężne, szybkie. Stare, człapiące, szurające po chodniku. Mocne, męskie, powiewające nogawkami spodni, tnące przestrzeń jak nożyce. Smukłe, kobiece, wystukujące takt gwoździami żelaznych obcasów. Pończochy, spodnie, szare i brązowe. Płytkie, spiczaste pantofle, rozczłapane chodaki włóczków.

Nogi na chodniku spieszące wszystkie w jedną stronę, niosące rzekę splątanych ze sobą ludzi, rozkołysany strumień głów i ramion, twarzy, kapeluszy, chustek.

Nogi szurają, drepczą, postukują, zgrzytają na kamieniu.

Nogi...

— Pan, panie Macher, nic tylko w dół patrzysz. Nic pan nie widzisz tylko te nogi. Cały świat dla pana to nogi i błoto, błoto i nogi.

Macher podnosi ptasi profil, uśmiecha się ruszając cofniętym podbródkiem.

— Podnieś pan głowę. Idź pan przez życie śmiało, z otwartą przyłbicą!

Spalski mruży filuternie oko, ale przystojna blondyna przechodzi nie zauważając.

— Nic w życiu nie ma pocieszającego — mruży z góry do Machera — to prawda. Starość nie radość, panie Józiu. Zwłaszcza w piątek, kiedy trzeba wstać rano po tę kiełbasę. Pięć kilometrów tam i z powrotem. W naszym wieku.

Po prawej stronie bezustannie szumią samochody. Jeden za drugim, jeden za drugim, zwarta masa polerowanych wielkich żuków. Motory warczą ze złością, gniewne twarze kierowców wychylają się z okien.

Czerwone światła. Masa zastyga. Nogi, głowy, pała, futra, parasole skaczą przed zadartymi mordami gniewnych buldogów.

Zielone światła. Ławica rusza z pośpiechem, z zajadłością. Na brzegu chodnika rośnie ciżba smutnych, zrezygnowanych ludzi.

— Ósma czterdzieści pięć — Spalski pokazuje ręką w kierunku zegara na poczcie. Rękę podnosi z trudem dźwigając przy tym wypchaną ceratową torbę.

Macherowi znów drga podbródek.

Stoją obaj przy jezdni w pierwszym szeregu, między grupą kolorowych dziewcząt i dwoma wytwornymi panami w melonikach. Macher malutki, ledwie widoczny pod oklapłym, wylenianym kapeluszem, niepozorny, w zniszczonym palcie tweedowym. Spalski szeroki i wypięty, spocony, zaczerwieniony; wielka jego twarz podniesiona znad kołnierza gabardynowego płaszcza lśni się jak księżyc, w fałdach skóry ukryte jasne oczka uśmiechają się do barwnych sąsiadek z lewej strony.

— Kawalskiego nie zastaniemy. Nie doczeka się swej kiełbaski, musi pościć. A niech pości grzesznik i rozpustnik. Przecież to piątek. Kawalskim, panie Macher, przejmować się nie będziemy. Grunt to chlebek dla pułkownikowej, mak na strucle, makaron. Kto płaci, ten wymaga; za marne pięć procent Kawalskiego nie będziemy się spieszyć, panie Macher.

Zielone światła. Napęczniała fala rusza, porywa Spalskiego, obraca Macherem w kółko dwa razy, popycha ich, opływa i mija. Mija zostawiając w tyle na pastwę następnej fali.

Czasem się ktoś obejrzy, zajrzy pod kapelusz niższego, uśmiechnie się do księżycowej twarzy wysokiego, pójdzie.

Czasem ktoś popchnie ze złością, z gniewem jakby mszcząc się, że w spieszącej rzece oni dwaj brużdżą jak dwie spróchniałe kłody.

Czasem ktoś mijając zemle w ustach przekleństwo, złość na nich, na obcych, na niepasujących, na śmiesznych, szarych, dziwnych.

— Z głową pochyloną, panie Macher, daleko się nie zajdzie. Byle przeszkoda zatrzyma. I co pan tam widzisz, panie Macher. Nogi? Że nóżki u dziewczuszki? Czyż esteta na nóżkach tylko przestaje? Nie, on chce całą harmonię podziwiać. Bierz pan przykład ze mnie panie Macher, ja całe życie z podniesioną głową.

Skręcają za róg. Wyzwalają się ze ścisku, wyłączają ze strumienia.

— To już prawie jesteśmy w domu, miniemy jeszcze „drajklining” i „bejkera” i już nasz dom. Mówię nasz, panie Macher, bo jak te konie do stajni przyzwyczailiśmy się. A zresztą czyj,

Panna Dziunia pilnuje mleka na „gaskukerze”.

— Zawsze mi wykipi. Żeby nie wiem jak czuwała, żeby nie odchodziła na krok, wykipi. Nie mam szczęścia do mleka. I ten sen. Straszny sen! Wyobraź sobie — odwraca się ku pułkownikowej, która przy kuchennym stole kończy kawę — śniło mi się, że przyszło po mnie N.K.W.D. Zupełnie jak na jawie. „Towarzystwo” — powiada wysoki, czarny drab w cyklistówce, „wasza familia Jaskówna?” — „Tak”, powiadam, „Jadwiga Jaskówna”. — „Córka Adama?” — „Córka Adama” — odpowiadam i w tej chwili zdaję sobie sprawę, że na stole leżą konspiracyjne papiery. Rozumiesz? Lista naszego oddziału ZWZ. Rozumiesz? Łapię ja tę listę i zjadam. Jem, jem, jem... Straszne. Papier ciągnie się jak makaron a całe pismo spada na stół. Nazwisko po nazwisku. Ten drab w mundurze się śmieje. Dokoła mnie rechoczą. Ja się duszę. Budzę się...

— Dziuniu — woła pułkownikowa — mleko!

Śwąd spalonego mleka napełnia kuchnię.

— Znowu — Dziunia rozkłada ręce. — Jak zawsze. Nie rozumiem czemu mam takie szczęście. Nawet na filiżankę kawy nie wystarczy.

Pułkownikowa z westchnieniem wstaje i sięga po garnek z półki.

— Odgrzeję ci mojej, jeszcze trochę zostało.

— No wiesz. Przecież ja nie mogę, ciągle twoją kawę... Pozwól, ja sama.

— Nie — stanowczo mówi pułkownikowa. — Siadaj, to ci podam.

— Wiesz ten sen... — Dziunia przy stole przeciąga się marnie, różowy szlafrok rozchyła się pokazując pomarszczoną skórę. — Ja wiem, że sny nic nie znaczą, chociaż wedle Freuda zawsze można się w nich dopatrzeć jakiegoś kompleksu.

— Twoje sny, kochana, mają jeden jedyny kompleks.

— Jaki? — żółte policzki Dziuni zaczerwieniły się z ciekawości.

— Polski. Twoje sny są takie patriotyczne.

— Prawda? Wczoraj śnił mi się generał Widok, a kilka dni temu, pamiętasz, prezes Oszelski. Opowiadałam ci? Miał przemawiać na akademii, a zamiast tego zaczął chodzić na rękach. Wspaniały widok. Gruby, stary Oszelski chodzi na rękach po scenie w sali katedralnej. Dostał takie brawo, że od hałasu obudziłam się.



— Dzień dobry, panie prezesie.
— Dzień dobry, panie mecenasie.
— Znowu pada?
— Taki kraj, taki kraj. Gdzież to nas zaniósł, panie mecenasie? Nie mogliśmy walczyć o niepodległość gdzieś na Riwierze?

— Pana prezesa żarciki, jak zawsze, się trzymają.

— Grunt to humor, panie mecenasie.

Prezes Oszelski jeszcze raz przez ramię uśmiecha się do stojącego przy kantorze u wejścia Pirkiewicza i wstępuje na schody.

Cztery piętra po dwie kondygnacje każde. Na jednej kondygnacji 12 stopni czyli 24 na każde piętro.

— W moim domku — myśli prezes — z parteru na piętro wszystkiego 20 stopni. Jaka to oszczędność! 124 stopnie cztery razy dziennie. Rano, w obiad i po obiedzie. Polska rozrzutność, polska głupota, kupować taką kamienicę na dom społeczny. Takie wysokie piętra. A w dodatku uniesienie szlachetne każe wybrać na kancelarię prezesa pokój na „topflacie”, na strychu, psiakrew. Jak to zawsze człowiek cierpi za błędy swoich poprzedników.

Między trzecim a czwartym piętrem nawet myślenie staje się trudne. Jakby myśli też się potrafiły zasapać.

Prezes schyla się, garbi, wstępuje schodek po schodku na platformę facjatki. Zdejmuje kapelusz i wachluje nim spoconą twarz.

Sekretarz ledwo się unosi na swym stołku. Kiwa głową i zaraz wraca do rozwiązywania krzyżówki.

— Co ciekawego? — pyta prezes odzyskawszy oddech.

— Co może być ciekawego w naszym życiu — żartuje sekretarz i zaraz przechodzi do urzędowego tonu. — Pismo z Koła 65, że jak nie dostaną obiecanej zapomogi, to zamykają cały sklepik.

— Bezcelność.

— Żuczek zgłosił formalne zapotrzebowanie na piśmie na 3 funty 15 szylingów potrzebne na wyposażenie świetlicy. Przyszedł rachunek za światło...

— Pieniądze, pieniądze, pieniądze — prezes wyciąga ręce przed siebie. — Skąd im wziąć tych funtów? Spod ziemi?

Ze złością rozcina koperty z napisami „Poufne”, „Osobiste”, „Do rąk własnych”.

— Pieniądzy. Wciąż im mało — mruczy do siebie. — A pan nie skończył wczoraj krzyżówki?

— Niech go cholera weźmie tego Wilkowicza z jego krzy-

zówkami. Niech mi no prezes powie co to takiego: substancja miękka z twardym końcem?

— Twa-róg.

— Rzeczywiście. Skąd to pan wie.

— Zgadłem. Czy to takie trudne?

— No, no panie prezesie — sekretarz kiwa głową z powątpiewaniem — pewnie żona.

— Żona — zgadza się prezes ze złością.

— A synek, panie prezesie, nie rozwiązuje krzyżówek?

Prezes obrzuca sekretarza straszliwym wzrokiem; gniew, żal, oburzenie mieszczą się w jego spojrzeniu. Sekretarz w poczucie winy chowa głowę w ramiona. Przecholował. Nie wolno dotykać tak bolesnej rany. Syn prezesa Oszelskiego to osobny, ciemny rozdział w życiu niezmordowanego społecznika, wielkiego patrioty.

— Proszę nie zapomnieć — sekretarz zahacza o inną dziedzinę, o sprawy znacznie jaśniejsze — dziś posiedzenie komitetu organizacyjnego Manifestacji.

— Manifestacja — wzdycha prezes fałszywie — akademia, okolicznościowe przemówienie, otwarcie wystawy oleodruków. Głowa pęka, panie, głowa pęka.

Sekretarz uśmiecha się do prezesa, prezes do sekretarza, napięcie minęło, porozumienie dwóch bliskich sobie ludzi wróciło.

Dzwoni telefon. Prezes wolno wyciąga rękę i podnosi słuchawkę, przykładając ją do ucha przekrzywia głowę i podnosi brodę rozciągając fałdy pomarszczonej skóry na szyi.

Gdzieś z daleka dobiega głos i bębni w słuchawce, ktoś widać nie potrafi mówić cicho z umiarem.

— Katastrofa. Fenomenalna katastrofa! Idzi, powiadam tobie kolosalna wiadomość! Umiejętnie użyta podniesie nasz autorytet, wprowadzi polską sprawę na szpalty wszystkich pism! Anglosasi nareszcie będą się nami zajmować. Poruszmy nimi, o, potrząśnijmy jak workiem zgniłych liści! Górą nasi!

— Kochany Adamie... — prezes usiłuje przerwać, ale wrzask w telefonie wzmaga się, przechodzi w bełkot niezrozumiały.

— O co chodzi do stu diabłów! Mów wyraźnie, po polsku!

Nagły wybuch prezesa odnosi skutek. W słuchawce następuje chwila ciszy, a potem szept przejęty, patetyczny:

— Polski Eichmann.

— Co?

— Ani słowa więcej. Jestem w kawiarni Fliglii, czekam na ciebie z dokładną relacją. Powiem tylko tyle, że wiarogodność sprawdzona; osobnik, który nam dostarczył tej wiadomości jest ponad wszelkimi zarzutami.

— Jaką wiadomość?

— Ani słowa. Za kwadrans w kawiarni Fligii.

Aparat niemieje. Prezes powoli wstaje zza biurka. Zerka na sekretarza, który delikatnie uśmiecha się niby to do krzyżówki przed sobą.

— Idę na ważne spotkanie. Niech no pan, panie kolego, przejrzy tę korespondencję.



— Moje dziecko.

Apolonia nie mogła gorzej zacząć. Twarz Stasinka ciemnieje z gniewu. „Dziecko”! Są ludzie, którzy uzurpują sobie prawo upokarzania.

— A może to tylko głupota, wrodzona kobieca głupota? — Stasinek patrzy w oczy ciotce i prawie uśmiecha się, mimo że jego czarne połyskujące oczy wciąż się chmurzą ze złości.

— Czy pomyślałeś kiedy, ile przykrości wyrządzasz swemu ojcu?

— Zaczyna się kazanie — myśli Stasinek. Jeszcze jedna próba spełnienia jego woli niemądrymi konwenansami.

— *I wont take it.* — Stasinkowi łatwiej przychodzi po angielsku wypowiadać się nawet przed samym sobą.

— Twój ojciec nie jest zwykłym sobie człowiekiem. Prezes wielkiej polskiej organizacji na obczyźnie. Z nim liczą się wszyscy, czy wiesz kto zasięga jego porady?

— Nic mnie to nie obchodzi. *It's nothing to me.*

— Za kilka dni twój ojciec stanie na czele największej manifestacji. Nazwisko jego znajdzie się na ustach każdego Polaka, ba, gazety angielskie na pewno o nim napiszą.

Ciotka Apolonia służyła kiedyś w wojsku, nawet miała stopień oficerski w „pestkach”. Widać tę służbę po prostych plecach, po szybkich ruchach, kanciastych gestach. Kiedy chce postawić na swoim, zmusić kogoś do przyjęcia jej argumentów, wtedy przybiera pozy sierżanta szefa.

— Patrz — nie obracając się do tyłu Apolonia podnosi dłoń do góry. Gest wygląda jak wystudiowany; dłoń wskazuje prosto na gablotkę z orderami.

— Za Monte Cassino — recytuje na pamięć — za Linie Gotów, za Bolonię, za rok 1939. Krzyż Niepodległości za P.O.W. Krzyż Zasługi za działalność społeczną. Czy wiesz, że twego ojca podano do odznaczenia Polonia Restituta?

— Madame Tussaud.

— Co mówisz?

— Znowu pokazujesz mi to muzeum okropności. Zaraz pewnie mundur wyjedzie z szafy i wycinki gazet. To co pan Adaś napisał o panu Idzim, a pan Idzi o panu Adasiu.

— Nie bądź cynikiem.

— Cynik? To wszystko mnie nie obchodzi. Nawet nie śmiesz.

— Niech tak będzie — podniesiona ku odznaczeniom ręka opada zniechęcona — nic cię to nie obchodzi, jesteś inny, wychowałeś się w innej atmosferze, ale przecież nawet w angielskiej szkole uczą przyzwoitości. Przyzwoitości — powtarza skandując.

— Przyzwoitość? A cóż to jest nieprzyzwoitość?

— Nieprzyzwoitością jest gdy ty, syn prezesa Oszelskiego, majora Oszelskiego, patrioty, społecznika, bojownika o niepodległość, gdy ty biegasz z tymi ileterami.

— *Unilaterals*. Sama nie wiesz o co chodzi. Naprzód były wąskie spodnie, zgorszenie z powodu moich *jeans'ów*, potem, że nie chodzę za często do fryzjera, a teraz za złe ma się mi walkę o wolność od strachu, o wyzwolenie spod grozy bomby atomowej.

— Ależ to są komuniści!

— Nieprawda. A nawet jeżeli są wśród nich komuniści, to jeszcze lepiej.

— *Fellow-traveler'ze!* Przynosisz wstyd swemu ojcu. Jeszcze żebyś cicho to robił, ale ten wywiad w telewizji. Syn majora polskiego, bohatera wojennego, lata z tymi rozwydrzonymi dziewczętami. O, ja wiem — Apolonia prostuje się i wypina biust jak Bodicea na pomniku nad Tamizą — to wszystko wina tej Alicji, tej rozkudłaczonej, rozkrzycanej Alicji, ona cię za sobą ciągnie.

Stasinek robi się czerwony. Tupie ze złości nogą.

— *Oh, you old stupid thing* — woła i machnąwszy ręką ucieka z pokoju. Apolonia sapie, prycha i wyciągnąwszy chusteczkę ociera usta.

Po chwili drzwi się otwierają i Stasinek wsuwa się pokazując tylko połowę ciała już ubraną w „dafelkot”.

— Czy wy kiedy pomyśleliście — mówi spokojnym głosem — że my to robimy po prostu dlatego, że chcemy innego świata. Wyście mieli okazję budować, walczyć, dyskutować i coście zrobili? My chcemy aby świat, w którym będą się rodzić nasze dzieci, był inny.

— Bolszewiku — przeklina go ciotka jak *Kassandra*.

— Może on będzie bolszewicki, może nie — spokojnie odparowuje Stasinek. — Na pewno będzie inny. Bez lęku, bez wiszącego nad głową niebezpieczeństwa. Bez bomby!

Przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu. Twarze obojga łagodnieją, opływa je czułość wspólnych wspomnień, ciepło razem przeżytych dni.

— Jeszcze przyjdzie taki dzień — uśmiecha się Stasinek — że i ty ciotka pójdziesz z nami w pochodzie. Nikt kto szlachetnie myśli nie może pozostać obojętny na nasze hasło.

— Stasinku, nie idź. Na pamięć matki, na wasze piękne rodowe nazwisko, na siwiznę ojca zaklinam cię, nie idź z nimi. To źli ludzie, Stasinku, to bolszewicy.

— *Oh, shut up* — woła Stasinek i zatrzaskuje drzwi ostatecznie.

Pułkownik Furdon przemierza gabinet szerokimi krokami. Jak żołnierz na posterunku przed pałacem królowej maszeruje tam i z powrotem wybijając takt miarowo i mocno. Dochodzi do ściany i zawraca ostro stukając butami w podłogę, gdzie kończy się wytarty dywan.

— W tej sprawie musi nastąpić szybka, zdecydowana decyzja.

— Generał czeka na odpowiedź z Waszyngtonu — odpowiada adiutant siedzący za biurkiem.

— Generał czeka! Nie poznaję generała. Czekaj? Od kiedy to czekanie stało się jego nawykiem?

— Tej sprawy, panie pułkowniku, nie da się rozwiązać na wewnętrznej płaszczyźnie. Musimy się liczyć, że nieprzemyślane wystąpienie może spowodować reakcję rządu dla nas bardzo szkodliwą. Jesteśmy w obcym kraju.

Pułkownik przystaje, przerywa marsz po pokoju i patrzy na adiutanta z uśmiechem wzgardy.

— Gdzie my jesteśmy? Gdzie my jesteśmy?

— Jesteśmy w Wielkiej Brytanii, rok 1960!

— Jesteśmy na dnie, panie rotmistrzu. Na dnie.

Tym razem adiutant wydyma wargi pogardliwie.

— Czy pan zapomniał rok 1939? — pułkownik mierzy w adiutanta palcem jakby go osobiście oskarżał. — Masakry polskiej ludności na drogach, bombardowanie wsi i miasteczek? Czy pamięta pan triumfalny głos Hitlera w radio? A lata okupacji, łapanki, Oświęcim, Treblinka, Bełż, tysiące miejsc straceń, mord, grabież, gwałt? Panowie tu na Zachodzie prowadziliście rycerską wojnę...

— Mieliszmy swoje krwawe bitwy — wtrąca rotmistrz — Monte Cassino, Falaise, kanał Mark, nie można nazwać tych zmagani spotkaniami przyjaciół.

— Dwa razy spalili nam stolicę, wymordowali rodziny, zniszczyli kraj, a dzisiaj mamy patrzeć w milczeniu jak podnoszą głowę! Dawno już domagałem się akcji z naszej strony, wystą-

pień do rządów zachodnich, otwierania oczu społeczeństw na idące niebezpieczeństwo odradzania się hitleryzmu. Teraz kiedy tu na tej ziemi mają powstać wojskowe bazy, kiedy w niedługim czasie zobaczymy mundury niemieckie paradyjące po ulicach Londynu, nie możemy zwlekać z protestem. Pomoże nam miejscowe społeczeństwo. Czy pan zdaje sobie sprawę, że miliony tutejszych ludzi nie zapomniły bombardowania Londynu, zniszczenia Coventry, V1 i V2?

— Burmistrz Coventry zaprosił burmistrza Drezna. I — rotmistrz uniósł rękę ostrzegając niecierpliwego pułkownika, że jeszcze nie skończył swego wywodu — w grę tu wchodzi polityka, dyplomacja. Pan pułkownik zupełnie zapomina, przepraszam za śmiałość wyrażenia, gdzie się znajdujemy i po co tu jesteśmy. Musimy tak postępować, aby nie zrazić sobie sprzymierzeńców, którzy są nam potrzebni do walki z naszym wspólnym wrogiem. Pan o tym wrogu nie pamięta?

— Wszystko ma swoje granice. Walka walką, ale ściskanie krwawej hitlerowskiej łapy...

— Przesada, panie pułkowniku. Niemcy dzisiejsze są demokratyczne, rozsądne i włączone na dobre do obozu zachodniego, mogą tylko pomóc a nie zaszkodzić. Wojna skończyła się piętnaście lat temu.

— Aby się zacząć znów za pięć lat? — pułkownik mówi ostatnie zdanie z goryczą, pochyla siwą głowę i podejmuje swój marsz po pokoju. Znacznie wolniej, bardziej po cywilnemu niż przedtem.

— Ma pan ciekawe poglądy, panie rotmistrzu — ciągnie spokojnym głosem — wierzę, że generał ich nie podziela.

— Mam prawo do wypowiedzania swoich opinii.

— Naturalnie. Jest pan przecież wolnym człowiekiem. Nawet rotmistrzem tylko z tytułu. Nie krępuje pana żaden regulamin ani wojskowy, ani cywilny. Wszyscy jesteśmy tutaj wolni, za bardzo wolni. Wierzę, że generał swoim autorytetem zdoła doprowadzić do wspólnego wystąpienia.

— Wszystko cokolwiek uczyni generał, zrobi po poważnym zastanowieniu się i konsultacji.

— Naturalnie. Tylko żeby już coś postanowił. Żeby w ogóle przyszedł. Przecież ja zwolniłem się z mego hotelu specjalnie na kilka godzin. Mała to rzecz, ale zdaje sobie pan sprawę że mi potrąca za ten czas?

Rotmistrz szura papierami na biurku. Pułkownik stawia kroki od ściany do ściany. Odrabia sobie całodzienne siedzenie przy czyszczeniu sreber w hotelu Exclusive.

— Wszystko na generała — skarży się rotmistrz. — Orga-

nizatorzy Manifestacji żądają od niego obecności w pochodzie; domagają się wygłoszenia przemówienia na akademii, artykułu w gazecie, listu do premiera... Pan pułkownik w sprawie protestu, a rano była pani Lisiczko, której męża nie chcą przyjąć do szpitala umyślowo chorych. Niech pan spojrzysz — rotmistrz podnosi pisemko — codziennie jakaś sprawa pilna i konieczna.

Pułkownik nie zwraca uwagi, nie słucha. Stawia kroki coraz wolniej i coraz mniej po żołniersku. Rotmistrz kładzie list na biurko, gładzi go, prostuje i uśmiecha się do siebie złośliwie.

— Panie pułkowniku — mówi służbowo — jeżeli pan może, to proszę załatwić tę sprawę. Jest to w kompetencji pana pułkownika. Więcej, ta sprawa zainteresuje pana szczególnie. Jak dla pana stworzona.

— O co chodzi — pułkownik zatrzymuje się przed biurkiem.

— Proszę — rotmistrz podaje pismo. — Doniesienie, że wśród naszego społeczeństwa znajduje się zdrajca. Był kat z obozu hitlerowskiego. Mordował Polaków zastrzykując im fenol, czy benzynę a teraz, jakby nic, żyje sobie korzystając z opieki i gościny polskich emigrantów. Nowy Eichmann, panie pułkowniku. Polski Eichmann. Czy nie należy przed jakimkolwiek protestem antyniemieckim załatwić tej sprawy? Oczyścić własne szeregi?



— Ile pan paczek zaszył dzisiaj, panie Kawalski?

Zenon Kawalski podnosi zaczerwienione oczy na swego *boss'a*.

— 45 panie Macuzko. O dwie więcej niż wczoraj.

— O dwie więcej? — Macuzko potrząsa skrawkiem papieru i śmieje się z ironią. — Zapisał pan te pięć poleconych, malutkich paczuszek z lekarstwami i cieszy się pan jak cholera. Do d... z taką produkcją, panie Kawalski.

Koledzy z prawej i lewej strony długiego stołu śmieją się przymilnie.

— Pan zdaje się upominał się o podwyżkę? Co?

— Jestem tu już sześć miesięcy — bronił się Kawalski.

— Produkcja, panie Kawalski, produkcja. Oto co się liczy, a reszta to śmieć i legendy. Pan myśli że ja pójdę do szefa i powiem: Ten Kawalski, szefie, ma piękne oczy, dajmy mu funta więcej. Nie, panie drogi, panie magistracie, czy jak tam pana nazywają koledzy, ja muszę czarno na białym, jak na tapecie pokazać. Produkcja!

Kawalski kurczy się coraz bardziej, pochyła się niżej i niżej. Dziobie igłą w workowate płótno paczki, którą ścisła między kolanami i ukradkiem ociera zaczerwieniony nos.

— Pan musi się wykazać — Macuzko prostuje się za plecami Kawalskiego przybierając postawę Napoleona. — Niech pan pamięta, że to ja pana przyjąłem na własną odpowiedzialność.

Pełen godności i powagi Macuzko obrzuca spojrzeniem szereg skurczonych postaci. Mierzy oczyma sterty paczek piętrzące się obok każdego i powoli wychodzi nie zamykając drzwi. Może zawsze obserwować ich przechodząc korytarzem ze swego pokoiku za magazynem do biura szefa.

— Co on taki wściekły, panie Zenonie — pyta mecenas Konecki.

— Cholera! — Kawalski rzuca igłą o stół i prostuje się groźnie. — Piekli się, bo mu kiełbasy nie przyniosłem.

— Kiełbasy? — z prawej wtrąca się Całowski.

— Obiecałem draniowi wianek krakowskiej i nie dostałem. Spóźniłem się przez tę kiełbasę. Szef mnie zobaczył i kazał Macuzce mnie ochrzanić. Nie dość mu tego, jeszcze się czepia do produkcji. Czy ja, panowie, robię mniej niż kto inny?

— Pracuje pan jak koń, panie magistrze — potakuje Konecki.

— Jak na nowego pracownika — odzywa się z końca stołu Wiszert — to zupełnie nieźle. Tylko niech pan pamięta, że polecanych nie można dopisywać do normalnych. To osobny rachunek.

— Ja, panie Wiszert — zaczyna Kawalski, ale Konecki trąca go w ramię i mruga ostrzegawczo oczyma.

Kawalski milknie. Przypomina sobie, kim jest Wiszert, że łączy go bliskie koleżeństwo z Macuzką i woli więcej nie rozrabiać swoich żalów na *boss'a*.

Kończy zaszywanie paczki. Łapie za pędzel i maluje na niej adres. Cyrylicą wypisuje nazwę miasta gdzieś daleko, głęboko za żelazną kurtyną, za trzema, dziesięcioma żelaznymi kurtynami. Píše nazwisko kończące się na „ij” i ulicę imienia „Krasnej Armii”.

— Stąd, z samego serca Londynu — myśli sobie — pójdzie te kilka metrów caju w podróż tysiąckilometrową. Jakaś nieznaną nam babuszka na zapadłym kołchozie ucieszy się, rozplacze ze wzruszenia, że ktoś o niej pamięta.

Ktoś? Wystarczy wyjść na korytarz i popatrzeć na stojących przed biurem klientów. Ciężkich, kanciastych ludzi, przysadziste kobiety, twarze o wystających kościach policzkowych, spracowane ręce.

Mają nieruchome, ostrożne spojrzenie. Kładą przyniesioną paczkę na ladzie i targują się o cenę. Nade wszystko chcą zapewnienia, gwarancji, że ciężko opłacona paczka dojdzie do rąk czekających na nią rodziców, braci, znajomych...

Czasem zjawia się elegancko ubrany człowiek. Mówi po

angielsku śmiesznym drewnianym akcentem, przesadnie panuje nad swoimi gestami i ocierając pot z czoła błyska złotym sygnetem. Nie targuje się, wybiera z półek najdroższe materiały, niedbałym ruchem ręki dołącza jeszcze kilka par pończoch, buty podbite grubą podeszwą, kołnierz futrzany. Jemu nie zależy na pieniądzach, krępują go tylko przepisy ograniczające wartość przesyłki.

Potem Zenon Kawalski z kolegami męczą się zaszywając w worek wielką, ogromną paczkę zawierającą bogactwo imponujące i po tej i po tamtej stronie żelaznej kurtyny.

— Cześć pracy!

Wesoły piskliwy głos budzi Kawalskiego z rozmyślań.

— A pan major. Co słyhać, panie majorze.

Kadłubek zbiera zamówienia na mieście. Zamówienia i plotki. Jego wejście stanowi rozrywkę w pracy. Zawsze coś nowego. Zjawienie się majora Kadłubka oznacza także, że tylko godzina dzieli pracowników od końca roboty. Chyba, że ktoś zostaje na *overtime*.

— Co słyhać, majorze? — powtarza pytanie Wiszert.

— Awantura — major zaciera ręce, oczy mu błyszczą podnieceniem — awantura arabska. Coś specjalnie dla pana, panie magistrze.

— No co takiego? — Konecki wstaje ze swego stołka prostując się przy tym i rozciągając ramiona.

Wszyscy ciekawie patrzą na Kadłubka, który pomału kładzie na stole swoje książki i każe im czekać na siebie.

W maszynkach skwierczy gotujący się lak, paczki leżą porozrzucane, nie doszyte jak szare barany z rozciętymi brzuchami.

— No? — nie wytrzymuje oczekiwania Konecki.

— Awantura — powtarza swoje Kadłubek. — W naszym kółku, panowie, w naszym gronie szczerych niepodległościowców, wygnańców politycznych...

— Co tu się dzieje? — we drzwiach staje Macużko i gromi ich oczyma. — Przerwa, czyli strajk.

— Panie kolego — zwraca się do niego Kadłubek. — Sensacyjna wiadomość. Awantura arabska na emigracji.

— No, co takiego? Gadaj pan tylko krótko.

— Okazało się, że wśród nas na emigracji, tu w Londynie, pod samym bokiem naszych autorytatywnych czynników, w sercu walczącej Polonii siedzi zdrajca.

— Szpieg komunistyczny? — wykrzykuje Wiszert.

— Nie. Człowiek, który mordował Polaków w Oświęcimiu czy w Belsen. Zbrodniarz wojenny nie gorszy od Eichmanna. Nazista zadekowany, ukryty, znany nam wszystkim i bezpiecznie

grasujący wśród nas. Żerujący na naszej naiwności przestępca. Potwór!

— Kto to taki?

— Nazwisko pan znasz?

Kadłubek patrzy na Kawalskiego, który czerwieni się i miesza.

— Co to ma ze mną wspólne? Dlaczego pan do mnie z tą sprawą?

— Pan mieszka w domu pułkownikowej Doniewieckiej?

— No tak, ale przecież nie powie pan, że w tym porządnym domu...

— Właśnie. Zbrodniarzem jest jeden z lokatorów pani Doniewieckiej.

— Kto? — Kawalski krzyżąc zrywa się i staje naprzeciw Kadłubka.

— Nigdy byś pan nie przypuścił.

— Kto taki?

— Najstarszy mieszkaniec tego domu, zaufany pułkownikowej, członek rodziny prawie. Ten, który załatwia dla niej wszystko, pomocnik można powiedzieć...

— Spalski? Niemożliwe.

— Niejaki Józef, albo raczej Joseph Macher.

— Niemożliwe — szepcze Kawalski i siada na swym stołku.
— Są dowody. Niech pan zapyta się prezesa Oszelskiego, on zebrał wszystkie dowody. Nie ma ani cienia wątpliwości. Macher jest wojennym zbrodniarzem, potworem podobnym do Hessa czy Eichmanna. Zaczaił się przez tyle lat i wykorzystywał naszą naiwność. Korzystał z opieki ludzi, których rodziny mordował z zimną krwią.

— I co teraz będzie? — Konecki otwiera usta przerażony i zdumiony zarazem.

— Zapytaj pan pana magistra. — Kadłubek znów wpatruje się w Kawalskiego — on panu odpowie.

— Co ja mam do tego?

— Jak to? — porywa się Wiszert. — Pan był przyjacielem Machera, pan był jednym z tych, którzy go ochraniaли. Pana obowiązkiem jest tę sprawę załatwić.

— Od tego są sądy.

— Nie bądź pan dzieckiem, panie magistrze — miesza się Całowski — takiej sprawy angielskie sądy nie załatwią.

— Mamy własne czynniki, mamy organizacje, instytucje...

— Całymi latami chroniliście zbrodniarza, a teraz się wykręacie?

Wszyscy zdają się potakiwać słowom Wiszerta. Kadłubek wciąż naprzeciw Kawalskiego kiwa głową smutno i poważnie.

— Co wy od niego chcecie? — nagle odzywa się Macuzko.
— Co taka oferta załatwi? Kiełbasy nie umie kupić, a co dopiero taką sprawę.

— Ja — woła nagle Kawalski — ja, panie Macuzko, potrafię z tym zrobić porządek.

— G... pan zrobi — Macuzko wzrusza ramionami i znika na korytarzu.

Kawalski patrzy na puste drzwi, wyprostowany, napięty, z wypiekami na twarzy.



W wielkim obcym Londynie Polak Polaka goni, jak kluska kluskę w kadzi z rosółem. Z krańca na kraniec miasta — mile, kilometry ulic zawałonych samochodami, zabarykadowanych autobusami, zagrodzonych ruchomym płótem żywych ludzi.

Trzeba wielkiej sprawy, mocnego bodźca aby rodak zdobył się na wyprawę na drugim piętrze zadymionego autobusu, albo poprzez otchłanie kolejki podziemnej.

Ale jak trzeba to trzeba. Oto w jednym pociągu siedzi Oszelski, podpira brodę rączką parasola i duma.

Autobusem telepie się pułkownik Furdon.

Z przeciwnej strony, przeciwnym pociągiem sunie pod ziemią Adam Puchwalski z panem Gnasickim, koronnym świadkiem oskarżenia.

Ściągają wszyscy w jednym kierunku.

Do tego samego celu zdąża cały polski Londyn. Nie kolejką, ani autobusem, ale po drucie telefonicznym. Rozpięta nad miastem i pod miastem sieć drutów drga, brzęczy, krzyczy syczącym polskim językiem. Aparat zarządza się od aparatu, membrany chrypią, zapocone słuchawki tkwią przy uszach.

— Tadeusz, wy musicie coś zrobić!

— Nigdy bym nie przypuszczał, po tylu latach...

— Jak ta Dziunia mogła wytrzymać, pod jednym dachem.

— Mam nadzieję, że generał...

— Przekazaliśmy do biura prezydenta...

— Dowody na piśmie. Nie ma żadnej pomyłki!

— Proszę poprosić panią pułkownicową Doniewiecką.

— Jeszcze jedna sprawa, która nas kompromituje w oczach Anglików.

— Wysłałem list do redakcji.

— Należy ufać, że pułkownik...

— Musimy pokazać, że jesteśmy dojrzałi politycznie.

— Czy to prawda?

- Oświęcim? Przecież to było w Ravensbrücku!
- Tu tylko sąd obywatelski.
- W obliczu takiej sprawy wszystkie różnice polityczne powinny zaniknąć.
- Panie, Żydzi potrafili dać sobie radę, a my...
- Elzuniu, jestem straszliwie przejęta...
- Kto to jest? Jak się nazywa?
- Macher? Jaki to Macher?
- Z podolskich Macherów?
- Spod Kijowa?
- Niemożliwe, w Warszawie Macherów nie było.
- Lwów? Wykluczone.
- Józef? Kto go znał przed wojną?
- Macher?
- Józef Macher?
- Po prostu Macher. M-a-c-h-e-r.
- Czy to pani Doniewiecka?



Józef Macher wraca do domu. Każdego piątku odbywa tę samą drogę od Urzędu Pracy do baru Pod Koroną i do domu. W piątek otrzymuje swoje bezrobocie i zasiłek z *Assistance Board*; chowa pieniądze do kieszeni na piersiach, zostawiając w rękę drobne srebro. Tylko tyle, aby starczyło na piwo.

Pod Koroną, znają Machera tak dobrze jak każdego ze starych bywalców. Bez słowa, jedynie ze stereotypowym uśmiechem barmanka nalewa mu „pajnt ginessa”. Nie wdaje się w rozmowy, wie że to jest bezcelowe i niemożliwe. Józef Macher milczkiem wypija piwo. Zajmuje mu to najwyżej kwadrans. Obciera usta i wychodzi bez pożegnania.

Po co ma otwierać usta? I tak nie usłyszy co mu odpowiedzą.

Wędruje ulicami tak znanymi, że trafiłby nawet gdyby był ślepy.

Samotność dościga go na gwarnej ulicy. Opuszcza głowę śledząc machinalnie zakręty chodnika, przejścia przez ulicę, rogi domów, które trzeba obejść. Nie widzi nikogo i naturalnie nie słyszy. Jest sam ze swoim trudnym życiem.

Nie pamięta już kiedy po raz pierwszy poczuł ciężar swego losu. Na pewno jako dziecko musiał nieraz płakać pokrzywdzony. I potem każdy, ile razy tylko zechciał, krzywdził Józefa Machera.

Dlaczego?

Dlaczego istnieją ludzie, którzy pozwalają się krzywdzić?

Może wystarczy tylko mieć bladą cerę, szczupłą postać z za-

padniętą piersią, ptasią głowę, cofnięty podbródek i zawsze spoczone ręce?

— Weź pan tego Józia do cholery, niech mnie goli kto inny!

Nieraz spotkał się z tym krzykiem, kiedy jako pomocnik fryzjerski w miasteczku Grzędów podchodził do rozpartego w fotelu klienta.

Jeden tylko gość upodobał sobie Józia. Doktor Wentz, Niemiec w mundurze. Zjawił się w Grzędowie w roli zdobywcy w 1939 i dzień w dzień siadał w zakładzie fryzjerskim Abramowskiego.

— *Wo ist Macher? Niech mnie goli. Macher, komm.*

Dawał sute napiwki, które gniewały Józefa. Wiedział, że jest przedmiotem jakiejś brudnej gry, współnikiem ciemnej sprawy.

Ile razy w życiu myśli o Wentzu, zawsze wstydzi się samego siebie, że nie odmówił mu wtedy, że nie plunął w twarz człowiekowi, który tak strasznie naigrywał się z niego.

Człowiekowi, który potem ocalił go od śmierci, aby pogрузić jeszcze głębiej.

Po raz drugi Macher spotkał doktora Wentza w obozie.

Wzięli Józefa dlatego, że nie chciał podpisać *Volkslisty*. Nie przyznawał się do pochodzenia niemieckiego. Postawił się raz jedyny w życiu. Otrzymał takie straszliwe bicie, że leżał nieprzytomny w celi przez dwa dni, a później znalazł się w obozie.

Sześć miesięcy wytrwał Macher jako *haftling*. Z gorączką wygoniono go z baraku i postawiono przed lekarza SS, który miał zdecydować czy warto go leczyć, czy wysłać wprost przez komin.

Lekarzem był Wentz.

— *Was machst du hier? Macher?*

Miał czerwone plamy na piersiach, powinien był iść do gazu, ale Wentz go wyratował. Wziął na rewir i wyleczył.

Józef Macher był jednym z bardzo niewielu więźniów, którzy przeżyli tyfus. Wstał z łóżka bardzo słaby i głuchy. Nic nie słyszał. Wentz komenderował nim ruchami rąk, albo wydawał polecenia na piśmie.

Macher został sanitariuszem na rewirze. Odkarmił się i nabrał siły. Poza pracą w szpitalu miał obowiązek codziennego golenia doktora.

Poranna ceremonia golenia była zawsze jednakowa. Najpierw odbywało się bicie. Wentz walił szpicrutą na odlew, krzyczał i wymyślał nie wiadomo za co. Bił po twarzy i kopał leżącego. A potem siadał na krześle i kazał się golić. Drżący, zrozpaczony Macher ostrzył angielską brzytwę i prowadził nią po twarzy, po gardle znenawidzonego Niemca. Wentz przymykał oczy i poruszał nozdrzami jakby odczuwał straszną rozkosz.

Zbitemu, sponiewieranemu golibrodzie z czasem też ten akt wynaturzony gry nienawiści, rozkoszy, lęku i upodlenia sprawiał satysfakcję, której nie umiał sobie wytłumaczyć.

Doktor Wentz był pedantycznie czysty. Nie lubił brudnych, owrzodziałych, zapaskudzonych szpitalników. Starał się ich pozbywać jak tylko można najszybciej. W ogóle dbał bardzo, aby w szpitalu były zawsze puste łóżka.

Uważał, że we właściwym czasie zrobiony zastrzyk przyniesie ulgę choremu. Wieczną ulgę.

Józef Macher był tym, kto na podstawie kartki doktora szedł od łóżka do łóżka wybierając chorych. Po zastrzyku przez niego zrobionym chory już się nie budził.

Nie od razu Macher zgodził się na taką rolę. Miesiące trwała walka między nim a Wentzem. Cicha, niema, uporczywa walka. Wisiał na rękach wykreconych do tyłu, leżał nieprzytomny, zбитy i skopany, wysyłano go do karnego komando i znów sprowadzano na rewir.

Chciał umrzeć, chciał się obronić przed czymś co było znacznie gorsze niż podpisanie *Volkslisty*.

Nie potrafił. Pewnego dnia zrobił zastrzyk umierającemu pacjentowi. Ten umarłby i tak w przeciągu dnia, albo dwóch.

Był zdziwiony, gdy nie poczuł się mordercą.

Potem patrzył w przerażone oczy chorych, obserwował ich usta poruszane złorzeczeniami, czuł na sobie przekleństwa. Zabił ze smutkiem, ze współczuciem, ale bez wyrzutów sumienia.

Życie było krótką drogą ku śmierci. Macher, chorzy, włóczące się po obozie „muzułmany”, jedzący ziemię więźniowie sowieccy, wszyscy maszerowali, pełzli ku rozżarzonemu rusztom krematorium. Po co się męczyć?

Wierzył, że bliski jest dzień, gdy i on zrobi te kilka ostatnich kroków. Albo go zanoszą, zawleką za ręce i nogi.

Tylko przedtem chciał jednego... Co rano oczekiwał, że to przyjdzie, że to się zdarzy i co rano ekstaza oczekiwania obezwładniała go, opadał bolesny lęk, bezsilność...

Mył pędzel, czyścił brzytwę i szedł na rewir z karteczką, na której miał wypisanych „zbędnych” pacjentów.

Ach, to są wspomnienia, które idą razem z nim, otaczają go jak złote światło otacza latarnie wozu. Posuwa się w tej ponurej kuli pchając ją ze sobą, ciągnąc za sobą, istniejąc w jej wnętrzu.

Kiedy prawie dziesięć lat temu zjawił się w domu pułkownikowej, ten balast nieszczęścia i rozpacz był tak ciężki, że nie potrafił go udźwignąć. Pracował jak koń w fabryce plastyku, pocił się i męczył tylko po to, aby móc wieczorem zapadać

w sen bez mar, bez wspomnień. Rzadko to mu się udawało. Zmieniał pracę, zmieniał mieszkania, jakby go gonili. Bał się zatrzymać dłużej na jednym miejscu.

A tu w tym domu poczuł się bezpieczny i szczęśliwy. Nie wiadomo dlaczego potraktowano go jak zwykłego człowieka. Po prostu jednego z wielu lokatorów płacących mniej lub więcej regularnie. Uśmiechano się do niego, robiono przyjazne gesty, przysługi i jemu pozwalano tym samym sobie odpłacać.

Kiedy zachorował i stracił pracę, pułkownikowa zaproponowała, żeby jako bezrobotny pomagał jej robiąc zakupy. Macher nie potrzebował pieniędzy, nie wyobrażał sobie, aby potrafił je tracić. Wydawało mu się, że im mniej będzie miał grosza, tym większy spokój sobie zapewni. Kilka szylingów za posługi od pułkownikowej, kilka szylingów za robienie sprawunków innym lokatorom, zasiłek co piątek na zapłacenie za pokój, bezrobocie...

Józef Macher był szczęśliwy. Wychodził rano w towarzystwie starego Spalskiego, który uśmiechał się jak przyjaciel, gadał śmieszne rzeczy, których Macher nie słyszał; umiał też tak wyraźnie mówić gdy zaszła potrzeba, że można było z jego ust odczytać każde słowo.

Czy świeciło słońce, czy padał deszcz, zawsze było pogodnie.

Aureola dawnego, zawsze otaczająca Machera bladła, wspomnienia zacierały się. Wierzył, że kiedyś zasiądzie w fotelu tuż obok zasapanego, uśmiechającego się Spalskiego i opowie mu wszystko. Będzie to wielki podniosły dzień.

Lecz czy kiedykolwiek nadejdzie?

Jest ciemny wieczór. Latarnie ledwo rozniecają trochę światła na ścianach domów, na nagich gałęziach drzew. Chodnik ma na sobie śliską maź wilgoci, asfalt jezdni odbija mdłe łuny lamp zawieszonych bardzo wysoko.

Macher powtarza sobie swoją lekcję, tylko sobie. Idzie otoczony wspomnieniami jak pożarem.

Boi się. Znowu strach, bezradność, rozpacz szarpia nim jak ciosy oprawców.

Dziś przed południem przez szybę w kawiarni Fliglii Macher zobaczył twarz, która go przeraziła. Nie wiedział, kto to był, nie pamiętał jak się ten człowiek nazywał.

Twarz mężczyzny siedzącego przy stoliku koło okna otwierała wszystkie bolesne zakamarki, budziła wszystkie lęki.

— Dzień dobry, panie Macher. Co pan tu robi, panie Macher? Dawno nie widziałem pana, panie Macher. Pan wciąż żyje, panie Macher?

Obojętnie jakimi słowami przemówi ten człowiek, chwila

gdy się zbliży do niego, będzie dla Józefa Machera końcem tego, co istnieje dzisiaj, raju dla obłąkanych.

Macher i tak słów nie usłyszy. Wyczyta oskarżenie, wyrok i dzień egzekucji.

— Za co — mówi do siebie Macher idąc po ulicy — czy ja co takiego robił? Powiedzcie sami, czy ja mógł co innego zrobić? Oni i tak pomarliby. Panowie — zwraca się do mijanych drzew — ile razy wsadzałem igłę, gdy ręka już nie żyła. Znajdźcie Wentza, jego znajdźcie... On wam wszystko powie... On wie-dział...

Pochylony Macher schodzi z chodnika ku furtce. Mija frontowe drzwi i idzie do bocznych, otwiera je własnym kluczem i wchodzi na kuchenny korytarz. Po schodach jednych, drugich, mija pokój Kawalskiego, Ranowskiego, Spalskiego, Panny Dziuni, pana inżyniera... Wchodzi na swoje pięterko.

Cicho, ciepło, bezpiecznie...

— *Was machst du hier, Josef?*



— Panie Spalski. Psst.

Spalski zatrzymuje się na korytarzu. Z pokoju Juliana Ranowskiego wygląda głowa Kawalskiego.

— Panie Spalski, prosimy na chwilę.

Julian Ranowski jest geniuszem. Nigdy nikt nie mówi o nim pan Ranowski, ani pan Julian, ale pełnym imieniem i nazwiskiem jak przystępuje poecie. Adam Mickiewicz — Julian Ranowski. Cały dom jest dumny, że wielki literat obrał sobie za siedzibę pokój w domu pani pułkownikowej.

W pokoju jak zawsze u geniuszów nieporządek i brud okropny. Na stole, na krzesłach, na półce, na oknie, na łóżku papiery, papiery, papiery...

Julian Ranowski kończy swoją dawno zapowiadaną książkę. Wspomnienia nad wspomnieniami.

Na stole leży rękopis zatytułowany: Rozdział VIII — Kijów rok 1899! Z olbrzymiego Remingtona biurowego sterczy do góry arkusz zapisany do połowy.

— Panowie, panowie... — poeta jak zawsze brzmi drżącym, płaczącym tonem, jak rozbita trąbka ułańska. — Czas, czas mi zabieracie. Mój drogi czas.

— Mistrzu — z powagą i rewerencją usprawiedliwia się Kawalski — tylko chwileczkę. Nie śmiałybym niepokoić mistrza ale sprawa bardzo ważna, niesłychanie ważna. Dotyczy naszego domu i my trzej, Mistrz, pan Spalski i ja, jako najbardziej odpo-

wiedzialni z lokatorów pani pułkownikowej Doniewieckiej, naiwnej trochę choć tak niezmiernie dobrej i serdecznej gos...

— Do rzeczy, panie. Streszczajmy się, błagam.

Mistrz wygląda tak samo nieszczęśliwie i płacząco jak brzmi jego mowa. Jest łysy, pomarszczony, zwiędły jak ptak oskubany przed włożeniem go do rondla. Otula się w szary szlafrok z koca i siedząc na łóżku przebiera nerwowo nogami.

Kawalski przenosi wzrok na Spalskiego. Ten jest szeroki, mocny, chociaż przygarbiony. Ma twarz wielką i szczerą, błyszczącą od tłuszczu i potu. Stoi przy samych drzwiach i nie wie co robić z rękami, z buciorami, z całym swoim korpusem dźwigającym się jak góra szarej ziemi ponad białymi liśćmi papieru.

— Panie Spalski — strzela Kawalski — czy pan wie, kto to jest Macher? Macher jest to zbrodniarz wojenny. Bandyta, który mordował ludzi w obozie koncentracyjnym.

— Co z tego, panie kochany? Co nam do tego? — skrzeczy poeta.

Spalski patrzy na Kawalskiego nie rozumiejąc.

— Są na to dowody. Świadkowie. To rzecz pewna na sto procent. Jako sanitariusz hitlerowski w obozie koncentracyjnym uśmiercał chorych zastrzykami.

— To jest niemożliwe — trzęsie głową Spalski.

— A dlaczego nie? — odzywa się Ranowski. — Natura ludzka jest niezgłębiona. Macher ma takie dziwne oczy.

— To co z tego?

— Jak to co z tego — Kawalski patrzy na Spalskiego oburzony. — Po pierwsze nie może mieszkać w naszym domu.

— To sprawa pułkownikowej.

— Nasza. Nie możemy kolegować ze zbrodniarzem, nie możemy spotykać się z nim w łazience, przy „gaskukerze”, chodzić do tej samej toalety. Macher musi zniknąć z tego domu. Odejść.

— Gdzie?

— To jego rzecz. Cała sprawa przybierze poważny obrót. Czynniki nasze, wiem to z wiarogodnych źródeł, wzięły ją w swoje ręce. Mnie chodzi o jedno tylko: pod sąd, czy do więzienia; mnie nie obchodzi gdzie, niech idzie, ale nie stąd. Niech dom, w którym znaleźliśmy gościńcę, będzie czysty.

— Poczekaj pan — podnosi się Mistrz — są dowody poświadczające pan?

— Czarno na białym.

— Są świadkowie, którzy stwierdzają, że nasz biedny Macher był kiedyś potworem z lagru?

— Na sto procent stwierdzają.

— I przez dwadzieścia prawie lat żył sobie jak gdyby nic,

spokojnie, cichutko. Ukrywał się między nami jako jeden z nas. Ciekawe.

— Nic tu nie ma ciekawego — zagrzemiał wreszcie Spalski.

— Po pierwsze nie wierzę.

— Ha — rozłożył ręce Kawalski.

— Muszę zobaczyć dowody, muszę z nim samym porozmawiać.

— Wiecie, że to ciekawe — Ranowski uderza pięścią w otwartą dłoń prawej ręki, a potem trze czoło. — Ciekawe.

— Musimy działać. Musimy coś zrobić we własnym interesie.

— Nie wierzę — Spalski krzywi się rozpaczliwie, macha ręką i wyskakuje na korytarz.

— Mistrzu — apeluje Kawalski. — Co robić?

— Dwadzieścia lat męki, wyrzutów sumienia, życia pod ciągłą grozą, ukrywania się. Ciekawe.

— Co robić? — Kawalski krzyczy, aby zwrócić na siebie uwagę Ranowskiego, który szklanymi oczyma patrzy przed siebie, widząc jakieś inne obrazy.

— To... to warte powieści.

— Do czynu, mistrzu, do czynu. Musimy działać.

— Ach panie, panie — Ranowski jakby oprzytomniał, przypomniał sobie obecność Kawalskiego. — Wspaniały temat, cudowny temat. Emigracja, Londyn, nowa wojna wisząca nad nami i mały biedny człowieczek. Wspaniały temat do powieści. Ach, panie, panie napisałbym powieść, gdyby nie moje niedokończone wspomnienia.



Wąski i ciemny jak nora pokoik. Światło z latarni ulicznej pada na sufit i rozproszone przesyca przestrzeń tonąc po kątach, pod ścianami, w czarnej mazi mroku.

Macher skurczony, wtulony w podarty fotel patrzy na swoje obrazy. Zjawiają się przed nim jeden po drugim jak w kinie. Wyraźne, ostre, tyle tylko, że otulone niebieską mgłą i ciche jak cały świat Józefa Machera.

SS-man w czarnym mundurze bije się szpicrutą po cholewach. Uśmiechnięty gładzi swoje policzki. Chwali się przed kolegami. Rechocze z uciechy. Gestykułuje. Palcem pokazuje na małego człowieczka siedzącego pod oknem.

„Jestem najlepiej ogolonym człowiekiem w całej armii”.

Tak mówi. Nie słycać jego słów, ale wiadomo, że to właśnie wypowiada przesuwałając wierzchem dłoni po szczęce.

Potem wyciąga rękę ze szpicrutą i delikatnie gładzi pod brodę małego człowieka w białym kitlu na pasiakach.

Macher, Macher, was machst du?

Jakaś wesoła piosenka. Usta SS-manów otwierają się do śpiewu. Powietrze drga, brzęczy. Sciana i framuga okna odbijają fale akustyczne. Rytm, rytm, rytm...

Skądś przez powietrze przyplywa szklanka. Wódka czysta jak kryształ. Aromat alkoholu.

Szklanka rośnie, olbrzymieje. Zapach dusi, napełnia płuca, pokój cały.

Was machst du Macher?

Zapada kurtyna. Biała kartka papieru wydartego z brulionu. Między niebieskimi liniami wypisane okrągłym, starannym piśmem numery.

Sanitariusz idzie pomiędzy łózkami. Zbliża się do numeru, pochyla się, wyciąga rękę i ujmuje ramię chorego. Wysuwa strzykawkę jak żądło.

Twarz chorego przerażona, cofa się, wciska się w słomianą poduszkę. Z bocznych łóżek podnoszą się zjawy szczerzące zęby w złości, w gniewie. Usta poruszają się krzykiem, ręce zaciskają się w pięści.

Sanitariusz nie słyszy, mówi:

„Nie bojać się. To samo zdrowie. Zdrowie, głupi. Wybiegniesz stąd, jak ptaszek. Będziesz biegł, lasem, polem, lasem, wielkim wolnym polem i ani drutu, ani bramy nie napotkasz. To samo zdrowie, sama wolność. Czego się bojać? Czego? Czeka ciebie kto? Dziewczyna? Ojciec? Zobacysz ich wnetki. Jutro, dziś, za godzinę... I taki piękny będziesz jak król jaki. Jak król...”

Z boku przystojna twarz uśmiecha się wyrozumiale. Tkwi błada, spokojna na kołnierzu z aksamitnymi patkami, z literami podobnymi do S, do dwóch wielkich S.

„Jeden. Tylko jeden. Pierwszy się liczy. Raz zaczniesz i będziesz szedł dalej. Musisz to robić, choć cię nie biję. Widzisz? Mam puste ręce. Nie uderzę cię, a będziesz mnie się słuchał. Ty śmieszny fryzjerku z Kszętoffa. Ty Macher”.

Do kołnierza doskakuje tułów. Z tułowia wyrastają ręce. Dłoń energicznym ruchem nakazuje, usta wypowiadają rozkaz.

„Czystość musi być. Czystość musi być. Zabierzcie to bydłę. Bydłę. Bydłę. Czystość. Zabierzcie zafajdany materac. Czystość. Bydłę”.

Mącą się obrazy. Zmieniają się, biegną. Jakieś drogi, drzewa przydrożne. Pociągi, stacje, kolejarze, żołnierze z chlebakami zamiast karabinów. Dziewczyny rozczochrane, krzyczące.

Na chwilę zatrzymuje się film, obrazek powiększa się jak pod mikroskopem. Jakaś chwila jak kropla wody ożywa ruchami ludzkich bakterii. Czyjaś twarz wypiera wszystkie inne i patrzy bez mrugnięcia powiek. Czyjaś obca nieważna twarz.

I wreszcie z zawieruchy wylania się oczekiwany obraz.

Józef zaciska ręce na poręczy fotela. Unosi się podniecony, zagryza wargi. Widzi!

Odchylona głowa wylatuje z szyi, z odpiętego kołnierza. Pod głową jak obrus biała płaszczyzna płótna. Na twarzy smugi zielonkawe — mydło.

Drobna, czerwona ręka prowadzi brzytwę. Gładzi twarz, ściąga ślady mydła w dół, w dół... Ostrze ślizga się po brodzie, zatacza delikatne półkole, skrada się po napiętej skórze, gładzi, smuży, pieści. W dół, w dół, w dół...

Postawiona kantem brzytwa nieruchomieje. Zatrzymuje się, zaczają tu nad pulsującym wzgórkiem krtani.

Ręka na rękojeści zaciska się. Jak dłoń skrzypka przed uderzeniem w najwyższą nutę. Teraz...

Józef Macher przeży się w uniesieniu. Oblewa go żar, radość, rozkosz...

T e r a z !

Ktoś ruszył klamką u drzwi.

Obraz znikł. Uniesienie opadło.

Smuga światła z latarni ulicznej miesza się z mrokiem.

Drzwi napierane skrzypią.

Ktoś w szparę nad podłogą wsuwa kartkę papieru.



— Pani pułkownikowo to jest właśnie nasz świadek koronny. Pan Gnasiccki.

Pułkownikowa wyciąga pulchną rękę. Świadek schyla się i całuje.

Siadają dokoła okrągłego stołu.

— Usadowiliśmy się jak sąd — żartuje pułkownik.

— Nie chcielibyśmy nic uczynić bez porozumienia się z panią pułkownikową — zaczyna prezes.

— Uszanować trzeba uczciwy dom polski — skłania wypo-
madowaną głowę Adam Puchwalski.

— Co za skandal. Co za nieszczęście — popiskuje Dziunia Jaskówna.

— Nie wiem jak sobie panowie wyobrażacie waszą akcję — pułkownikowa mimo strapionej twarzy stara się przemawiać z godnością. — Dla mnie ta sprawa ma dwie strony: z jednej biedny człowiek, smutny, głuchy pan Macher, którego wszyscy tu znaliśmy, pan Józio usłużny i pomocny każdemu, nasz Józio! Z drugiej wasze wielkie słowa, odpowiedzialność za zbrodnie, które nie wiadomo jeszcze czy on popełnił.

- Pani nas krzywdzi.
- Pani pułkownikowo...
- Proszę panów — pułkownik Furdon opanowuje sytuację.
- Aby atmosferę przeczyszczyć oddajmy głos panu Gnasickiemu.
- Byłem więźniem hitlerowskich obozów — pan Gnasicki jeszcze stosunkowo niestary, łysiejący blondyn prostuje się w poczuciu ważności. — Kiedy chorowałem ciężko na gościec, udało mi się wkręcić na rewir i tam poznałem Polaka, Józefa Machera, sanitariusza, który na rozkaz niemieckiego lekarza zastrzykami zabijał pacjentów.
- Ilu zabił? — zapytał Kawalski spod drzwi.
- Czy ja wiem. Stu, dwustu. Byliśmy chorzy, nie mieliśmy sił liczyć.
- Dlaczego pana nie zabił?
- Gnasicki skrzywił się w bok. Nad nim stał szeroki, groźny Spalski.
- Mnie? Dlaczego właśnie mnie?
- Właśnie, dlaczego nie pana?
- Proszę nie przerywać — grzmi prezes Oszelski. — Nie rozumiem po co się pan wtrąca.
- Chcę się dowiedzieć prawdy. Jak wszyscy tutaj. Przecież panowie poszukują prawdy.
- Pan Gnasicki widział na własne oczy.
- Ja mogę odpowiedzieć temu panu na pytanie. Macher zabijał tych, których wskazywał doktor. A doktor wybierał chorych na czerwonkę, nieprzytomnych, nie mogących wychodzić na stronę, takich, którzy, uczciwszy uszy szanownych pań, robili nieporządek do łóżka. Doktor miał bzika na punkcie czystości na rewirze.
- Czy ci, których zabijał Macher, mieli szansę wyzdrowienia?
- Trudno powiedzieć. Przeważnie byli to zupełnie nieprzytomni, umierający chorzy. Szansa wyjścia z rewiru była znikoma, mała dla każdego. Mnie, mogę powiedzieć, udało się. Pomogli.
- Kto panu pomógł?
- Polacy. Sanitariusze, koledzy. Podrzucili lekarstwo, podsunęli miskę rosołu, żeby siłą nabrać.
- Czy Macher także?
- Macher? Czy ja mogę pamiętać. Wie pan, czy Macher...
- Dość tego, panie... — prezes stanowczo zwraca się do Spalskiego.
- Spalski.
- Panie Spalski, pan nam przeszkadza — ostro wtrąca pułkownik.

— Pan Edmund jest przyjacielem Józefa Machera — tłumaczy pułkownikowa — zżyli się ze sobą bardzo. Przecież to dziewięć lat jak pan Józio u nas zamieszkał.

— Pani pułkownikowo — Furdon nerwowo stuka kantem dłoni po stole — przyjaźń, znajomość, obowiązki gościnności tak cenne w naszym życiu nie mogą przecież wstrzymywać nas od spełnienia obowiązku.

— To jest sprawa obchodząca nas wszystkich.

— Najwyższe, najbardziej autorytatywne czynniki zainteresowały się tym faktem — pochyla się przez stół Puchwalski — czyż nie mam racji, drogi pułkowniku.

— Tak, naturalnie. I właśnie ja poniekąd z upoważnienia...

— Sprawę Józefa Machera musimy załatwić — wybucha prezes — i to szybko.

— Dlaczego znowu szybko? — zdumiewa się pułkownikowa.

— Panowie, czy nie lepiej dobrze się poradzić, ustalić czy to naprawdę nasz pan Macher, zasięgnąć opinii ogółu...

Gnasicki uśmiecha się cierpko, z przekąsem.

— My zza oceanu jedziemy tutaj jak do Mekki polskości. Zdaje się nam, że tu w Londynie zogniskowało się wszystko co najszlachetniejsze, najmądrzejsze, najbardziej niezłomne w naszym narodzie. Nigdy nie spodziewałem się że spotkam osoby, które będą bronić dziczającego mordercę, zbrodniarza wojennego.

— Nikt go nie broni — wyskakuje panna Dziunia. — My mamy wstręt do zbrodni, mordowania i podobnych brzydkich występków. Tylko tak nagle to przyszło — bezradnie patrzy dookoła i zwraca się wreszcie do pułkownikowej. — Marteczko, przecież ty go nie bronisiz? Ty typowa polska kobieta, ty której mąż zginął w Katyniu.

— Gdzie Rzym, gdzie Krym — mruczy Spalski.

— Przecież on był moim lokatorem — odzywa się pułkownikowa tonem rozpaczy. Dziewięć lat pod jednym dachem! Traktowaliśmy go jak przyjaciela, jak kogoś z rodziny...

Pułkownik Furdon i prezes Oszelski prychnają ironicznie, Gnasicki patrzy w sufit, Puchwalski udaje współczucie.

— Weźcie panowie też pod uwagę, że mamy rok 1960. Kramer, doktor z Oświęcimia, został wypuszczony na wolność, najwięksi przestępcy, którzy stawali w Norymberdze przed sądem już są na wolności. Doenitz, Raeder, Mannstein, Kesserling...

— Zbrodnia musi być ukarana — upiera się Furdon.

— Musiałby pan nową wojnę podjąć, żeby wszystkich hitlerowców ukarać.

— Tak mówią zdrajcy.

— Jeszcze raz panów proszę — wtrąca się pułkownikowa — zastanówcie się. Chociaż do jutra.

— Pani pułkownikowo — Oszelski uśmiecha się łagodnie, jak do dziecka. — Za trzy dni wychodzimy na ulice Londynu we wspólnym pochodzie, z wielką, olbrzymią manifestacją, która ma poruszyć rządy po obu stronach Atlantyku. Najdzielniejsi żołnierze, najbardziej bohaterscy wodzowie, Polacy prawi, patriotyci niezłomni będą szli na czele. Za nimi tysiące rodaków zjednoczonych w upartej walce ze Wschodem, z komunizmem. Wierzę, że wśród tych rzesz nie zabraknie pani i jej szanownych lokatorów — wzrok prezesa zatacza koło po pokoju z szacunkiem zatrzymując się na każdym po kolei. Potem prezes unosi głowę, wyciąga rękę patetycznie. — I w takim momencie historycznym mamy zostawiać za sobą sprawy tak przykre? Co na to powie Europa, kiedy się dowie, że nie potrafiliśmy oczyścić własnego gniazda? Kto do nas będzie miał zaufanie?

— A panu — pułkownik Furdon równie patetycznie i podniosło przemawiając zwraca się do Spalskiego — odpowiem na pana zarzuty. Oto w tej chwili na tej ziemi, która nas gości, lądują niemieckie zbrojne oddziały. Gad krzyżacki podnosi głowę. Jeżeli my, najbardziej ku temu powołani, nie zaprotestujemy z miejsca, jeżeli nie wystąpimy zdecydowanie, nowa wojna o nasze granice zachodnie spadnie na nasz kraj. A czy możemy poważnie zabierać głos jeżeli nie wypalimy raka na własnym ciele. Raka hitlerowskiego?

— Tu nie ma dwóch zdań — konkluduje Puchwalski. — Trzeba działać. Jutro wszystkie pisma angielskie doniosą o tej sprawie. Nie mamy czasu.

— I co panowie nazywacie działaniem?

— Pewnie będą chcieli go wieszać — podpowiada Spalski.

Prezes wyciąga spod stołu teczkę i kładzie przed sobą. Wyjmuje z niej plik papierów.

— Spiszemy protokół. Zestawimy wszystkie dane i my we trójkę: pan pułkownik Furdon jako przedstawiciel wojska, pan Puchwalski z ramienia społeczeństwa cywilnego i ja z tytułu mego stanowiska organizacyjnego wydamy wyrok.

— No, o wyroku trudno mówić — łagodzi Puchwalski — dojdziemy po prostu do pewnych postanowień. Sformułujemy oświadczenie.

— W czasie okupacji te sprawy załatwiało się bez trudności — zauważa pułkownik.

— Przede wszystkim musimy wysłuchać Józefa Machera — znowu zabiera głos prezes. — Skonfrontować go z panem Gnaskim i zdobyć przyznanie się do winy.

— Przypuszczam, że skoro raz się przyzna — ciągnie pułkownik — to reszta pójdzie gładko. Przekonamy go, że powinien zdać się na Sąd Obywatelski, który w szybkim trybie zaleci deportację dobrowolną do Niemiec i zgłoszenie się do sądu dla nazich.

— Mamy też nadzieję — dodaje Puchwalski — że Macher wyprze się po prostu polskości. Byłoby to najlepszym rozwiązaniem. Przecież skoro poda się za Niemca będzie miał lepsze szanse w sądzie.

— Jesteście okrutni.

— Nie, pani pułkownikowo — skłania głową prezes — to pani jest okrutna. Przez tyle lat żył człowiek przygnieciony brzemieniem swoich zbrodni, ugiął się pod nim, cierpiał. Przyznanie się, poddanie pokucie tylko sprawi mu ulgę.

— A wiesz Marteczko — woła Dziunia z błyskiem w oczach — panowie mają rację. To mu sprawi ulgę. Tylko...

Panowie „sędziowie” z ukłonem przytakują sojuszniczce.

— Tylko jak panowie z nim będą rozmawiali, on przecież jest zupełnie głuchy.

— Załóż aparat — odzywa się ode drzwi Kawalski.

— On nie nosi aparatu, krępuje go bardzo.

— Albo nie pomaga — dodaje Spalski za pułkownikową.

— A jak państwo się z nim porozumiewacie?

— Panie prezesie — odpowiada Dziunia — Marteczka, to jest pani pułkownikowa, daje sobie świetnie radę. On czyta z jej ust. Tak samo pan Spalski umie z nim rozmawiać.

— Na mnie proszę nie liczyć.

— Mnie też będzie bardzo trudno — uchyla się pułkownikowa.

— Gdyby ktoś z państwa był łaskaw go tu sprowadzić. — Oszelski rozgląda się, nie śmiejąc bezpośrednio prosić nikogo.

Milczą. Pułkownikowa, Dziunia, pułkownik i reszta patrzą na Spalskiego. On powinien spełnić tę misję. Najbliższy przyjaciel Machera.

— Ja nie pójdę — stanowczo odpowiada na te spojrzenia Spalski. — Ja nie pójdę. Idźcie sami, jak macie taki piękny interes do niego, Idźcie sami.

Znowu moment skrępowanego milczenia. I nagle od framugi drzwi odrywa się zdeterminowany Kawalski.

— Ja go sprowadzę. Jak pan Spalski nie chce, to ja pójdę po niego. Ja go tu na dół ściągnę, czy będzie chciał, czy nie. Ja wierzę, proszę państwa, że naszym obowiązkiem jest oczyścić nasz dom. Sprowadzę go tutaj, a niech nie zechce, to...

Pułkownik uśmiecha się z delikatną ironią. Wybuch Kawal-

skiego i on sam, spocony, czerwony z podniecenia, wygląda śmiesznie. Nie trzeba żadnej przemocy i pułkownik podnosi ostrzegawczo rękę, ale Kawalskiego już nie ma.

Wtedy pułkownik Furdon zwraca się pełen powagi do gospodyni i wygłasza długą kwiecistą przemowę. Jest w niej pamięć męża, zasługi matrony sarmackiej, uznanie dla tradycji, dla wielkiej gościnności, dla patriotyzmu. Wszystkie kwiatki z zielnika zasuszonego tułactwa pułkownik układa w bukiet i składa u stóp pułkownikowej.

Ale nikt go nie słyszy. Wszyscy skierowali uwagę ku drzwiom i poprzez korytarze i klatkę schodową starają się ułoić jakieś dźwięki zwiastujące nadejście Machera, albo klęskę misji Kawalskiego.

Spalski stoi pod ścianą i wyłamuje palce u rąk.

I wreszcie spada na nich łomot kroków. Szybkie tupanie biegnącego po schodach człowieka. W czarnym protokącie drzwi staje Kawalski. Twarz ma bladą; ręce uniesione, jakby nawoływał do uwagi, drżą.

— Co się stało — krzyczy pułkownikowa zrywając się z krzesła.

— On... on... — bełkoce Kawalski — on zabił się.

Podsakuje Spalski. Odrąca Kawalskiego i znika lecąc po korytarzu, po schodach.

— Zabił się — pułkownikowa opada, opiera się o stół.

— Zarznął się brzytwą. — Kawalski przerażony pokazuje strasznym gestem cięcie na własnej krtani — przeciął sobie szyję. Siedział na fotelu z głową do tyłu, a szyja otwierała się jak czarna jama. Brzytwa — Kawalski prawie płacze — brzytwa leżała na ziemi. Ja nie wiedziałem... nie wiedziałem...

Sztywni, jak złodowaciele, siedzą przy stole i patrzą jak Kawalski z wytrzeszczonymi oczyma ślania się ku ścianie. Opiera się o nią czołem i bije pięścią po tapiecie.

Jeden Gnasiccki ma schyloną głowę. Widać przerzedzony czubek czaszki, który raz po raz gładzi dłonią.

W milczeniu wchodzi Spalski. On też jest blady, ale spokojny, usta ma zaciśnięte. Nie patrzy na nikogo. Podchodzi do stołu i kładzie na nim kartkę z zeszytu.

— Możecie panowie być zadowoleni — mówi szyderczo — wasza sprawa załatwiona. Naród oczyszczony. I miejcie spokojne sumienia. To nie wy go zabiliście, to ja, tak zwany przyjaciel, zamordowałem Józefa Machera. Zostawiłem go sam na sam z tym.

Kładzie palec na papierze, na którym napisał wielkimi literami:

„Panie Józiu, czy to prawda, że był pan w obozie sanitariuszem, który...”

— Widzicie panowie sędziowie, zabiłem go.

Pani Dziunia odejmuje ręce od twarzy. Wodzi zdziwionymi, szeroko jak u dziecka rozwartymi oczami i mówi:

— Skąd on wziął brzytwę?



Zimny, poranny wiatr spada z zielonych wzgórz na czarną drogę w dolinie. Pędzi jakby korytarzem i uderza w twarze stojących w pochodzie.

Ciemne włosy dziewczyny uciekają w tył jak grzywa rozpedzonego rumaka. Kiedy zwraca głowę w prawo w stronę redaktora z telewizji, czarne pasma przecinają jej bladą twarz.

— Idziemy z jednego końca wyspy na drugi. Naszym celem jest protest przeciwko wojnie. Żądamy zniesienia broni atomowej, żądamy odesłania łodzi podwodnych uzbrojonych w rakiety, żądamy pokoju.

— My? Co to znaczy my? W czyim imieniu pani przemawia?

Dziewczyna bez słowa odwraca się ku stojącym poza nią. Kilka setek młodych ludzi ubranych w najfantastyczniejsze stroje. Dziewczyny w spodniach, w kurtkach, w męskich marynarkach. Chłopcy z brodami, opatuleni w dafelkoty, w brudne płaszcze nieprzemakalne, w swetry czarne wywiniete pod brodą...

Nad nimi tablice z zawołaniami; słowa protestu, gniewu, żądania. Znaki czarne jak koła kierownic samochodowych.

— Mało nas — stwierdza dziewczyna. — Będzie nas więcej. Wszyscy rozumiem, że ważniejsze jest życie niż polityka.

— Czy rozumieją to nasi, hm... — dziennikarz z mikrofonem w ręku zawahał się — nasi przyjaciele ze Wschodu?

Dziewczyna odgarnia włosy z oczu, wyjmując pasmo zagnane wiatrem do ust.

— Rozumieją wszyscy. A jeżeli nie, to wszyscy zginą. Czy pan chce zginąć tak jak ginęli ludzie w Hiroszimie?

Redaktor chrząka. Poprawia mikrofon i podsuwa go stojącemu obok dziewczyny chłopcu.

— Czy może mi pan powiedzieć swoje nazwisko?

— Nazywam się Oszelski.

— Ach to pan Oszaki? Polak, który wyłamuje się.

— Co to znaczy?

— Nie zaprzeczy pan, że Polacy są narodem bitnym i radzi widzieliby wojnę. Zwłaszcza ci, którzy nie mogą w obecnym stanie politycznym wrócić do swej ojczyzny.

— Jestem Polakiem i jestem dumny, że idę na czele tego pochodu. Czy nie widzi pan tu Afrykańczyków, Hindusów, Chińczyków? Świadomość nie zależy od narodowości.

Pochód rusza. Wiatr odchyła poły płaszczy, szarpie włosami, tamuje ruch naprzód.

Ciemna, wysoka dziewczyna w czarnym swetrze prowadzi marsz. Obok niej jasnowłosego chłopiec o spokojnym spojrzeniu człowieka, który wierzy.

Czoło pochodu mija reportera zawikłanego w druty mikrofonu.

O tej samej porze pan Spalski idzie po zakupy. Ma przy sobie listę wiktuałów, które musi przynieść ze sklepu z delikatesami. Kiełbasa, kasza gryczana, barszczyk w kostkach, parówki w puszcze, serek, śmietana, powidła...

Niesie pod pachą dwie torby. Idzie z pochyloną głową.

Obok niego nogi, nogi, nogi... W śliskich pończochach, w butach szorstkich spodniach, w powykręcanych trzewikach, w pantofelkach na stalowych szpilkach.

Stukoczą, szurają, szeleszczą, drą chodnik, wybijają poranny takt pośpiechu.

— Panie Macher, kochany panie Macher, czemu pan patrzysz w dół? Podnieś pan głowę, panie Macher. W życiu trzeba iść śmiało. W życiu trzeba iść... trzeba iść... trzeba iść...

Przechodnie biegną, tłoczą się, objijają, potrącają, popychają. Przesuną się szybko, przejdą i zgubią się w masie tłumu.

Nikt z nich nie ma czasu zatrzymać oczu i myśli, zastanowić się nad śmiesznym, biednym staruszką, który idąc płacze.

DOŚCIGNIE CIĘ POLARIS

Widział ich już po raz trzeci tego dnia.

Rano piłował na pierwszym biegu pod stromą górę i dogonił ich, gdy obładowani plecakami postępowali obok drogi leśnej. Z początku widział tylko garby wyładowane bagażem. Spod kłap brezentowych plecaka sterczały kije namiotowe. Kociołki objęły się o boki. Głowy schylone usiłowały zrównoważyć ciężar ciągnący do tyłu.

Minął ich nie oglądając się. Trzech młodych chłopaków idących w głąb lasu na kampingowanie.

Kiedy zjeżdżał na obiad, dostrzegł ich z daleka. Stali na zakręcie. Zrzuciwszy plecaki naradzali się gestykulując z ożywieniem.

Jeden miał na sobie burą kurtę z kapturem odrzuconym na plecy. Drugi był w posmolonym, podartym kozuszk, a trzeci w drelichach, spod których wyglądał sweter i szalik otulający szyję.

Na mijający ich samochód patrzyli spode łba. Nie pozdrowili podniesieniem ręki.

Trzeci raz jechał do lasu wściekły po rozmowie z Wackiem. Wypruwał flaki z nieszczęsnego Forda zmuszając weterana do stawania dęba na stromych zakrętach.

Trzech chłopaków siedziało na ziemi z boku drogi. Anemiczny dymek z ogniska ciągnął się poprzez spokojne powietrze. Oparci o swe plecaki przeżuwali. I znowu nie dali po sobie poznać, że dostrzegli ryczący samochód.

Ale nie ta niegrzeczność zdenerwowała Michała. Zajęli jego ulubione miejsce. Rozłożyli się pod samą kępą srebrnych świerków na wystającym w jezioro cyplu.

Było to jedyne miejsce w całym lesie, które kochał.

Nienawidził gnijących zboczy, latem i zimą ociekających wilgocią, splątanych suchych gałęzi, karłowatych olch, pokracznych brzoźek. Nienawidził najwięcej polan zarośniętych sztywną paprocią.

Kiedy dążąc w górę opuszczał splątany las i piął się zboczem ku szczytom pagórów, jego nogi wciągała w siebie błotnista łąka, która niby spleśniały kozuch spływała w dół po skalistym podłożu. Stawał na szczycie zmęczony i zły. Nie miał wrażenia, że pokonał jakieś trudności, nie cieszył się zwycięstwem. Zatrzymał się na chwilę, tak jak przystaje człapiący po wsiowym błocie włóczęga.

Lasom, górom, powietrzu brakowało czystości.

I kiedyś raptem odkrył ten cypel. Granit rozdarł brudny kozuch, zamiast błota w załomach skały leżała próchnica, z której wyrastała prosta, szlachetna trawa. Ktoś, chyba wiatr sam, zasadził tu kępę srebrnych świerków. Pod osłoną wzgórze rozrosły się w miękkie, łagodne szumiące piramidy. Trzymały się gałęziami w półkolu. Ostatni w szeregu odskoczył o jeden stopień, skalny w dół i sięgał zaledwie do pasa swych kolegów...

Porządne, czyste, nie skrępowane paprocią, ani zaroślami świerki obsypały ziemię dokoła lśniącem, gładkim, rudym igliwem, na którym czerniały małe chropowate szyszki.

Dalej ta prosta trawa jak na Hali Turbaczowej skłaniała się ku krawędzi skały. Tam spośród szorstkich kamieni unosił się wrzos potrząsając na wietrze purpurowymi kropelkami.

Stąd brzuchy odpoczywających nad wodą pagórów wyglądały dostojnie. Stąd zdawało się, że można dostrzec złoty piach z Ziemi Świętej leżący na dnie jeziora.



Motor pykał i prychał. Tarcza piły umieszczona w porzewiałym stanku migotała srebrzyście.

Kamiński odmierzał stemple i podawał Pychciowi. Ten podkładał pod piłę.

Ile razy wirujące zęby trafiały na drzewo rozlegał się wysoki ton metalu, jak potrącane struny skrzypiec. Potem zaspokojone głodne zęby żarły drewno mrucząc i plując trocinami, aż na końcu, gdy dwie połowy świerka odskakiwały na boki, potrącona piła zadzwoniła tryumfalnie. I znów prychanie i pykanie motorku i świst tarczy czekającej na następną ofiarę.

Michał przysiadł na gnijącym pniu i sprawdzał obliczenia w notesie.

Kamiński spojrzął na niebo, jakby potrafił za lepką mgłą odczytać czas przerwy i schyliwszy się wyłączył motor.

Kilkanaście coraz wolniejszych pyknięć, krztuszenie się, ścichający ton wirującej stali i w lesie zapanowała martwa cisza.

Pychć i Kamiński sięgnęli po kurtki. Z kieszeni wydobyli zawinięte w gazetę sandwicze, kurtki narzucili na ramiona i przysiedli naprzeciw Michała.

Dopiero po chwili wiatr w gałęziach świerków podjął szmer pozostawiony w powietrzu przez umikłą piłę.

— Chyba skończymy na porę, panie inżynierze?

Michał podniósł oczy na wypchane chlebem policzki Pychcia.

— Abyście zaś dali radę zwieźć — zatroskał się Kamiński.

Michał zajrzał znów do rachunków.

— Wy skończycie na pewno. I ze zwózką damy radę, tylko żeby „autobus” naprawić.

— Moglibyście tego grata z góry do wody zrzucić. Nie stać to firmę na porządny transport?

Michał bokiem uśmiechnął się do Pychcia. Kamiński przeżuł, przełknął i splunął.

— Każdy to wie — powiedział poważnie — ino skąd to „monej” wziąć? Jak takiś filozof, to powiedz. No?

Tym razem Pychć wstrzymał się z odpowiedzią. I on potrzebował czasu na przeżucie suchego chleba z marmoladą.

— Firma jest, to i transport powinien być. Byznes ma swoje prawa. Szkot jak zakłada byznes, to wpierw pieniądze zapewni na transport, na robotnika, na reklamę... A te polskie pieprzone byznesy... — Pychć mówiąc patrzył na chwiejące się czuby drzew.

— Zamknij tę paszczę głupią — rozżościł się Kamiński. — Że też potrafi tak o suchym pysku pytlować.

— Piwo w kabinie — Michał skinął głową w kierunku samochodu.

Nauczył się nie przejmować gadaniem.

Pychć podskoczył pierwszy. Przyniósł trzy butelki. Zębami zerwał kapsle, szyjki otarł rękawem i podał najpierw Michałowi, potem Kamińskiemu.

— *Prosit* — Kamiński podniósł butelkę z powagą.

— *Cherio* — odpowiedział Pychć.

Już nie siadał, ale położył się na mokrej ziemi głowę opierając o pień. Z mlaskaniem pociągał piwo podnosząc butelkę sztorcem do góry. Pustą odrzucił od siebie. Łukiem pofrunęła pomiędzy drzewa, odbiła się od jednego, drugiego pnia i zginęła gdzieś na zarośniętym stoku.

— Las zaświnać niedobrze — powiedział Kamiński — las boska rzecz.

— Nie podoba się? — roześmiał się Pychć. — To leć podnieś.

— Pychć — wtrącił się Michał — co zrobicie jak się robota skończy?

— Nie wie pan? — wtrącił się Kamiński. — Materac na „van”, klamoty na „van” i w świat. Do innej roboty.

Drwiącemu tonowi Kamińskiego zawtórował chichot Pychcia.

— Przecież jesteście żonaci? Podatek obliczamy jako żona-temu.

— Ano i zdarzyło się — Pychć podłożył ręce pod głowę i przeciągnął się wyginając ciało w łuk ku niebu. — Tak po drodze, panie inżynierze.

— Ze Szkotką w Musselborough — poinformował dokładniej Kamiński.

— Dzieci są?

— Syn, panie inżynierze.

— Nie kusi was w domu zostać? Osiąść, własną chałupę kupić?

— Kobieta ma dom, to wystarczy. Gospodaruje sobie jak sama chce. A ja tylko te *money* przywożę i dobrze jest. Czego więcej chcieć? — zwrócił się całym ciałem ku Michałowi. — Dobra rzecz być swobodnym, no nie, panie inżynierze? Pan to wie.

— Na każdego przyjdzie czas — sentencjonalnie podjął Kamiński — że zmęczy się lataniem i na d... usiądzie.

Michał podniósł głowę w kierunku Kamińskiego. Trzy lata już pracują ze sobą w tym lesie. Najpierw w baraku przy przystani, potem w ponafijskim budynku przy Argyll-Inn. Wszędzie ten Kamiński starał się urządzić swoje legowisko na podobieństwo ludzkiego mieszkania. Wieształ na ścianach obrazki święte, szył firaneczki z merli, ustawiał zegar, swój skarb chroniony pieczołowicie.

— Który z was szczęśliwszy? — pomyślał. — Jeden co ma dom i w nim nie mieszka, jeździ po kraju z kąta w kąt w poszukiwaniu roboty, czy swobody. I drugi jak chomik gospodarujący w byle norze, niepomny, że co chwila grozi mu wykuczenie.

— Prawdziwy chłop to jak wicher, to tu to tam. No nie panie inżynierze?

Michał nie odpowiedział Pychciowi. Wstydił się sam siebie, że nie potrafił odnaleźć więzi człowieka z człowiekiem. Czy naprawdę wyprawy alpejskie, podróż do Brazylii czy na Madagaskar, szukanie tego wiatru po świecie to coś tak innego tak

odmiennego od Pychciowej wolności, że świętokradztwem jest wszelkie porównanie?

— Pan inżynier — bronił go Kamiński — jak był młody to swego użył. Czemu nie? Zaś kiedy stał się poważny, to wie co dla człowieka dobre. Chłop musi być solidny.

Michał wstał ze złością. Przez swoje głupie milczenie, a może właśnie przez gadatliwość postawił się między Pychciem i Kamińskim. Czyim wołał być ideałem?

— Czas do roboty chłopaki — powiedział z rubaszną surowością. — Dzień się wnet skończy.

Był to jego ostatni obowiązek tego dnia. Powinien był wracać do bazy. Podszedł do samochodu.

Kamiński wstał i uważnie zgarnął resztki jedzenia. Wraz z papierami i pustą butelką ukrył je pod mchem. Pychć pogardliwie wzruszając ramionami wkopał swoje śmieci pod pień. Ruszyli do pracy.



Na zakręcie Michał zahamował. Pierwszym biegiem podjechał do solidnej osiki i wparł w nią samochód chłodnicą. Wołał nie ufać zepsutym hamulcom.

Wyszedł i spojrzął na cypel. Nikogo nie dostrzegł. Zbliżył się ku świerkom i dopiero, gdy stanął tak, że gałęzie zaszuwały po jego wiatrówce dostrzegł obóz chłopców.

Urządzili swój biwak tak sprytnie, że trudno go było wykryć nawet wprawnemu leśnikowi. Na uskoku skały rozstawili namiot i przed nim na ułożonych kamieniach gotowali strawę. Musieli znać się na paliwie, bo żywiczne drzazgi nie dymiły wcale, nad wesołym płomieniem unosiła się niebieska mgiełka.

Michał popatrzył na nich z góry. Dwóch leżało przed namiotem wiążąc jakieś sznury, trzeci gmerał w plecaku.

Usłyszeli go. Powoli zwrócili się ku niemu.

— Dobry wieczór — pozdrowił. Coś tam odmruczeli niegościnnie.

— Kampingujecie? — spytał schodząc spomiędzy drzew.

Uważali widać, że na głupie pytania lepiej nie odpowiadać.

Jeden miał ciemną ospowatą twarz z szerokim nosem. Drugi o oczach niebieskich, spokojnych, wyhodował sobie kędzierzawą brodę, ryżą tak jak i nieporządnie sterczące nad czołem włosy. Trzeci był błady i widać nerwowo.

Ten trzeci najbliższy ogniska rzucił plecak i ze złością odwrócił się do Michała.

— Czy jest prawo zabraniające obozowania tutaj?

— Nie ma prawa zabraniającego obozowania — odpowie-

dział Michał uśmiechając się — nie ma też zakazu pytania się.

— Kto pan jest? — poruszył się ryży.

— Pracuję w lesie — pokazał ręką ku zboczom góry.

— Nie jest pan z policji? — spytał brunet.

— Jesteś głupi — zwrócił się ryży ku koledze — przecież to cudzoziemiec.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Dla nas żadnego — odpowiedział Michałowi ryży.

— Ładne miejsce wybraliście na obóz.

— Nie podoba się panu?

— Skądże, właśnie mi się podoba. Sam tu często przychodzę popatrzeć na jezioro. Lepszego widoku nie znajdziecie nigdzie.

— Fajno — mruknął brunet.

— Co?

— Nic. Po prostu fajno.

— Trudno z nimi — pomyślał Michał. Powinien był odejść, a jednak coś go trzymało.

Patrzył w dół ponad krawędź skały. Jezioro już układało się do wieczornej drzemki. Marszczyło się delikatnie, smużyło się odbijając szare chmury, opierając się powiewowi wiatru. Na samym środku płaszczyzny tkwił statek wojenny. Nawet z tej odległości wyglądał ciężko i solidnie. Na dziobie zapalało się i gasło światelko, sygnalizowano komuś na lądzie.

Po przeciwnej stronie, poza statkiem wyrastał drugi brzeg. Ciemny, zalesiony aż do wody, piął się zmieniając natężenie zieleni. Czarne świerki przechodziły w jaśniejsze plamy olch, w delikatną żółtość brzezin, w smaragdowe fale paproci i wreszcie stoki wzgórz cofały się aż po wysoki horyzont pustymi bezdrzewnymi połaciami. Górna linia falowała jak grzbiet potwora. Zza niego sterczały inne grzbiety i jeszcze inne, aż wszystko stapało się z chmurami jak na obrazku, gdy farby wodne rozleją się po mokrym papierze.

— Piękny stąd widok — powiedział znów Michał.

Nie odpowiedzieli. Trzech głupich, zbuntowanych smarkaczy wściekłych na starego gderacza, który wtargnął do ich zamkniętego świata.

— Ja taki byłem — powiedział sobie Michał — z takim samym plecakiem, z takim samym dziurawym namiotem i z tą samą wściekłością przeciw ceprom, opasłym mieszcuchom i odeętym snobom. Chciał im powiedzieć: Macie rację. Pędźcie od siebie głupich starych ludzi, życie swoim niezależnym bytem, róbcie głupstwa swoje, młode, nie dajcie się zanudzać skwaśniałym cynikom i zapleśniałym hipokrytom.

Wiedział też, że gdyby się do nich odezwał w ten sposób,

nic by nie zmieniło się w ich wrogości. To jest po prostu biologia. Tak było i tak będzie.

Popatrzył uważnie na skromne wyposażenie obozu. Wypływały ciasny namiot, garnki przerobione z pudeł konserwowych, stare plecaki, nadszarpnięty koc.

Zdziwił się zobaczywszy zwój sznura wystający spod niedbale rzuconego koca. Kłębek obok leżący wyglądał jak drabina sznurowa zwinięta ciasno, szczebel do szczebla.

A z namiotu wystawało coś, co przypominało *dinghy*, wypompowaną, oklapłą łódeczkę. Twardy brezent gumowany i pętle sznura.

— Tak — powiedział sobie — to jest *dinghy*, znam się na tym. Chyba ja się na tym znam. Lecz cóż oni robią tutaj na górze z łódką? A te liny? Przecież stąd można bez kłopotów zbiec nad sam brzeg jeziora. Bez lin.

— Głupie szczeniaki — odpowiedział sam sobie w myślach.

I uśmiechnął się przypominając sobie swe pierwsze wyprawy szkolne na Czarcią Skałę. Wybierał się na nie jak na podbój świata. Później Alpy, przejścia trudne i niebezpieczne. Szczyty zapisane w kronikach alpinistów... Nie, to już nie było to. Tamta emocja miała moc czystego spirytusu. Tego smaku już nigdy w życiu nie odnalazł.

— Szczęść im Boże — pomyślał i głośno dodał — *Good luck!* I dobranoc.

Patrzyli milczący, zaskoczeni trochę. Coś znów zamamrotali.

— Czy mogę dla was co zrobić? Może potrzebujecie czegoś? Nasz obóz trzy mile stąd. Będziecie mile widziani.

Nie otrzymawszy odpowiedzi zawrócił i odginając gałęzie świerków wydostał się na polankę.

Już przy samochodzie prawie dogonił go ten ryży. Michał zatrzymał się podnosząc brwi pytająco.

— Pan powiedział, że może pan coś dla nas zrobić...

— Wszystko w granicach rozsądku — uśmiechnął się zadowolony.

— My chcemy jednego. Tylko jednego. Ale za to bardzo nam na tym zależy.

— Czego?

— Czy pan to zrobi? Na pewno?

— Przyrzekam.

Ryży pochylił się jak w ukłonie i ściszył głos.

— Niech pan o nas nikomu nie mówi. Nikomu. Niech pan po prostu zapomni, że pan nas widział.



Sześciu mężczyzn siedziało przy stole i popijało herbatę z mlekiem. Na talerzach widniały ślady do cna zebranego jedzenia. Na ceracie pełno było okruszków od chleba i kilka sporych kałuż.

Z boku buzował staroświecki piec gazowy. Po sosnowym kredensie przechadzał się bury kot z zadartym ogonem. Szukał mleka.

Michał popatrzył na nich pytająco.

— Pana Kawalca pan szuka? — odezwał się Rymarz. — Jest tam w kantorze. Z MacGregorem — dodał przyciszonym głosem.

— Przygotuj się pan na najgorsze, panie inżynierze — uprzedzał Wycielski — MacGregor coś bardzo wściekły.

Przeszedł korytarzykiem i pchnął drzwi.

Stoły pod oknem zawalone papierami, rulonami map, wykresami. Na tym wszystkim wielka księga rachunkowa. Na ścianach ryciny z przekrojami drzew, liście, słoje, powiększone zmarszczki kory. Obok pasożyty leśne. Kilka fotografii z lasu. Przy ognisku, przy samochodzie, schylone postacie przy piłowaniu...

MacGregor czerwieńszy niż zwykle. Wacek spocony i zdenerwowany.

— Co się stało?

— Dobrze żeś przyszedł — odpowiedział Waclaw. — Nie można z nim dziś gadać.

— Siadaj Mike — MacGregor posunął się na ławie.

— Co jest na rzeczy?

— Katastrofa — MacGregor podniósł się i zapiał cienko — jesteśmy zgubieni.

— Co się stało? — Michał wciąż pytał nie mogąc wcielić się w samego siebie. Jego myśl była gdzieś bardzo daleko.

„Katastrofa” powiedział MacGregor? Prawdopodobnie finansowa. Ale cóż to jego obchodzi?

— Chodzi o to — objaśniał Waclaw — że Brown nie podpisał nowego kontraktu. Przyjmuje tylko tyle, ile zamówił na jesieni.

— A reszta? — zawołał MacGregor. — Rozumiesz? Co z resztą? Zostawia nas z całym lasem na pniu. Możemy robić co nam się podoba. A wiesz dlaczego? Wiesz? Bo kupił transport — zawiesił głos dramatycznie — u Rosjan. Za psie pieniądze.

— Bez kontraktu Browna — dopowiedział Waclaw — jesteśmy zrujnowani.

— Jest jeszcze Latimer. Można wyciągnąć z niego co się da. Zmienimy produkcję.

— Michał — powstrzymał go Waclaw — nie rozumiesz jesz-

cze jednego. Powiedz mu Alek — popchnął łokciem MacGregora.
— Powiedz mu.

— Tobie powiedziałem, to wystarczy — bronił się Szkot.

— On wycofuje kapitał, Michał.

— Wycofuje kapitał...

Pomału wsiąkała w świadomość chwila obecna. A jednocześnie ta przykra nowina zamiast poruszyć Michała do działania wywołała nową falę wspomnień.

Czy to pierwszy raz znajduje się w takim położeniu? Podobny zupełnie pokoił w baraku w głębokim lesie w Chile. Podniecone, zaczerwienione twarze. Grom, katastrofa, bankructwo! Nie dotrzymane zobowiązanie. Dwa lata ciężkiej pracy na nic.

Bankructwo firmy Vegaz w Brazylii.

Kłęska w lasach tarnowskich.

Porażka za porażką.

Są widać ludzie przynoszący ze sobą na świat...

— Nie — myśli Michał — nie można być aż tak niesprawiedliwym. Tamto wszystko były katastrofy, które przynosiły podniecenie, przyjemne podniecenie. Tamto bawiło, zmuszało do nowych wysiłków, rzucało w coraz to inne, ciekawsze okoliczności. Przenosiło z kraju do kraju... Tamto to nie były kłęski, to były przeszkody na torze. Przewieszki, które trzeba było zwyciężać na blokach. A teraz...

Patrzy na Waclawa. Czyta w tej szczerzej, okrągłej twarzy zmęczenie i zniechęcenie. Widać musiał już wielu argumentów próbować bezskutecznie.

— Jutro...

— Co mówisz? — unisono pytają MacGregor i Waclaw czekający nagle na reakcję ze strony Michała.

— Mówię, że jutro porozmawiamy.

MacGregor zacina twarz w uporze. Oczy mu błyszczą złością.

— Ja swoje powiedziałem i nie cofnę. Wy sobie możecie się naradzać jutro, czy pojutrze, wasza sprawa. Daję wam trzymiesięczne wymówienie zgodnie z umową. I radę... — złagodniał i wyciągnął rękę jakby chciał poklepać Michała po ramieniu, ale Michał odsunął się — daję wam radę: zwijajcie manatki i zmykajcie stąd. Tu już nie macie niczego do szukania. Tu już nie ma byznesu leśnego, tu skupia się polityka całego świata. Policja, agenci, wariaci, kontrwywiad angielski i amerykański. Tu już się skończył byznes, zwłaszcza dla cudzoziemców.

Po wyjściu MacGregora Waclaw podnosi pytający wzrok na Michała.

— Jakoś to będzie. Damy sobie radę bez niego — Michał wie, że mówi nieprawdę.

- A jeżeli nie damy rady?
- Nie marudź Wacek. Znow chcesz marudzić. Jadłeś kolację?
- Jadłem.
- No więc pozwól mi zjeść spokojnie. Spotkamy się w barze.
- W barze... — Wacław uśmiechnął się z goryczą. — Znow się zalejesz na pestkę. Tobie to dobrze. Upijesz się i o niczym nie chcesz wiedzieć.
- Upij się i ty.
- Michał — głos Wacława brzmi żałośnie.
- Daj mi spokój. Najpierw godzina gadania na temat mojej miękkości, że nie potrafię od ludzi wymagać, że wydaję za dużo, a teraz znow ta sprawa z MacGregorem. Czy to nie za wiele na jeden dzień?



WArgyll Inn tłoczono. Chociaż cały huczek i gwałt skupia się na miasteczku i tam widać najwięcej reporterów, amerykańskich marynarzy, angielskiej policji, młodzieży z plakatami i brodaczy rozdających ulotki, przecież i ten bar stojący na uboczu robi świetne interesy.

Alojz Rymarz już czerwony od kilku kieliszków whisky peroruje na cały głos...

— *You think I am stupid, mister? I seen it, I seen it with my own eyes...* Człowiekowi nie wierzy — mówi po polsku oglądając się na kolegów.

— *Yes* — przytakuje Samolski — on ma rację. Wy powinniście protestować tam, na Kremlu, nie tutaj.

— Kto protestuje — broni się angielski młodzieniec, na którego zaperzeni Polacy napierają coraz bardziej. — Ja? Ja przyjechałem tu robić reportaż.

— Mister — Rymarz znow dochodzi do głosu — napisz: Polska w niewoli, Węgry w niewoli, Rumunia w niewoli. *No freedom, mister, no freedom.* Bez bomby nie rozbierosz.

— Racja — popierają go koledzy. — Bombę mu na łeb rzucić, to się opamięta.

— A wy do niego w rękawiczkach? Na kolację zapraszacie!

— O co tam chodzi? — Michał pochyła się ku sąsiadowi po drugiej stronie baru.

Młody człowiek w brudnym swetrze i kusej wiatróweczce przygląda się chwilę Michałowi, który w swoim roboczym stroju nie wygląda lepiej.

— Polscy faszyci — mówi prawie na ucho.

Michał podnosi kufel z piwem, ale powstrzymuje się. Nie da mu w łeb, przynajmniej nie w tej chwili.

— A ty kto? Komunista?

— Ja? Skądże. I co tu ma do rzeczy polityka.

— *Fellow-traveller?*

— Tylko człowiek.

Michał spogląda w oczy młodzieńca. Są jasne, bezbarwne, nie ma w nich wcale chytrłości.

— Ja też jestem polski faszysta.

Nieznajomy obrzucił go spojrzeniem jakby chciał ocenić ile jest prawdy w tym wyznaniu.

— Ja też jestem Polak — powtórzył Michał. — I ani oni, ani ja nie jesteśmy faszyci. Ale to dla was tępych agenciaków jest niezrozumiałe. To wbrew rozkazowi.

— Uraziłem pana — młody człowiek uśmiechnął się smutno — i przepraszam. Pan mi też przygadywał tymi agenciakami.

— Ach — Michał machnął ręką — napij się przyjacielu whisky.

Barman nalał dwa podwójne. Nieznajomy wziął kieliszek niezgrabnie, jakby trzymał go po raz pierwszy w życiu. Łyknąwszy wódkę skrzywił się i zakrzusił.

— Prawiczek — pomyślał Michał. — Apostoła trzeźwości.

— Pij do dna, kolego — powiedział głośno — pod tą szerokością trzeba mieć w żyłach trochę alkoholu.

— Mister! — krzyczał Rymarz podjudzany przez kolegów. — Powiedz im, żeby razem z tymi tablicami, ze swoimi protestami zabrali się stąd. Na Kreml, mister, niech jadą. Tam niech protestują.

— Punkt widzenia nie pozbawiony logiki — przyznał reporter.

— Z nim trzeba mówić — Rymarz wypchnął przed siebie małego Gonia. — Jego, mister, zapytaj to ci opowie jak go po jajach pałką bili w więzieniu. A Kamiński? Gdzie Kamiński — rozglądał się po barze. — Jego cała rodzina w Kazachstanie zginęła. Sajbiria Mister. *You know* Sajbiria?

— Pan wie, o czym on mówi? — zapytał Michał.

— A pan? — młodzieniec odwzajemnił się pytaniem.

— Ja nasłuchałem się tych opowieści, że mógłbym książkę z nich ułożyć. Taką książkę, przy której czytaniu włosy wstawałyby na głowie czytelnika. Wie pan?

— Dużo na świecie strasznych książek. Kongo, Johannesburg, Little Oak... Trzeba skądś zacząć.

— Jest pan jednym z nich? Protestujących?

— Ja jestem tu na służbie jako dziennikarz — roześmiał się

ze zdziwienia Michała. — Początkujący dziennikarz i bardzo mało zarabiający. Ale jestem też w pewnym sensie z nimi. Wierzę w to, w co oni wierzą.

— To znaczy?

— Że trzeba gdzieś zacząć. Jeszcze jedna łódź podwodna, jeszcze jeden wynalazek piekielny, jeszcze jedna bomba i tak dalej, i tak dalej i dalej. Każdy wie dobrze, że na jeden wyczyn z naszej strony oni zdobywają się na taki sam, albo na dwa. Nie łudźmy się, że tylko Amerykanie są genialni. Wariackie wyścigi. Jeżeli tego się nie zatrzyma pewnego dnia nieostrożny ruch pilota B26 czy upicie się kapitana okrętu podwodnego może kosztować świat bardzo drogo. Bawimy się niebezpiecznie.

— Powiedz pan to w Moskwie — roześmiał się Michał i kiwnął na barmana wskazując na puste kieliszki.

— Mówimy tam gdzie możemy. Dziś tu, jutro tam.

— Napij się kolego.

— Może lepiej się napić — przyznał młody człowiek. — Pana na pewno nie przekonam.

— Przekonał mnie pan — Michał klepnął go dobrotliwie po ramieniu. — Jest pan jednym z tych, którzy wierzą w to co mówią. Bardzo mało takich na świecie. Gdybym był młodszy, gdybym był w swoim kraju...

— Ani wiek, ani narodowość nie ma znaczenia...

— Ma! — przerwał Michał. — Kiedy byłem w pana wieku robiłem różne rzeczy po prostu przez przekorę. Na złość wszystkim. Teraz mnie już nie stać, jestem za wygodny. Czy zna pan to uczucie? Człowiek siedzi i nie wstaje, bo nie chce odstąpić ciepłego fotela.

— Nie wygląda pan na sybarytę.

— A na kogo wyglądam?

Młody człowiek z wielką powagą zmierzył Michała wzrokiem, otaksował, rozliczył i wydał równie poważny wyrok:

— Jest pan fajnym starszym panem.

— Pij synu, pij — zaśmiał się Michał.

W dość już nabitym barze zrobiło się jeszcze tłoczniej. Przybyło gości. Kilku barczystych mężczyzn w nieprzemakalnych płaszczach w towarzystwie policjanta w mundurze. Nawet bez tej eskorty każdy rozpoznał w nich detektywów. Przepchali się do lady i jeden z nich kiwnął na Angusa, zarządzającego interesem grubasa.

Weszli też Kamiński z Pychciem.

— Kamiński! Tutaj! — to Rymarz wzywał na cały głos pomocy starszego kolegi. Ale Kamiński pchał się w stronę przeciwną, ku Michałowi. Pychć zaciekawiony zgromadzeniem, w

centrum którego rozgrzany alkoholem i podniecony sporem Rymarz wymachiwał rękami, poszedł w tamtym kierunku.

— Panie inżynierze — Kamiński dopadł Michała — to prawda?

— Co takiego?

— MacGregor wycofuje się i koniec naszej roboty...

Michał nie wiedział co odpowiedzieć. Stary Kamiński miał tak zmartwioną, biedną minę.

— Już sobie myślałem, panie inżynierze — prawie płakał — że zostaniemy na dłużej. I robota dobra i miejsce... Prawie dom. Prawie jak w domu...

— Jeszcze nie wiadomo — pocieszał Michał i podsuwał kieliszek.

— *Here is John* — wołał Rymarz — *listen mister*. Pychć ty powiedz jemu. Ja już głos zdarł. Powiedz co my myślimy o tym byznesie.

— O czym? — Pychć był zaskoczony pytaniem.

— O tym Polarisie! O bombie, o Nikicie.

— Niech oni wszyscy mnie, wiesz gdzie! Co mnie to wszystko obchodzi. Ja graty na „van” i adiu fruziu. Mam to w d....

Młody człowiek stuknął się z Kamińskim. Pewnie dlatego, że widział w oczach starego Polaka tyle zmartwienia.

— Co się stało? — spytał Michała.

— Wyrzucają nas stąd, z roboty leśnej — odpowiedział Kamiński.

— Kto? Władze, policja? Ze względu na bazę?

— Zapytaj się, przyjacielu, kto nas nie goni?

— Panie inżynierze — skarżył się Kamiński. — Ledwieśmy barak oporzędzili po ludzku...

— Napij się Kamiński. Nie marudź.

Ktoś dotknął ramienia Michała. Odwrócił się. Za nim stał wysoki mężczyzna obok niego w mundurze Williamson.

— Inspektor — powiedział Williamson. — Inspektor Grade, chciałby z panem pomówić.

— Tak — inspektor przeciągał słowa i spoglądał nieco z góry — chcę z panem zamienić kilka słów.

Popatrzył znacząco na młodego człowieka, potem na Kamińskiego.

W jednej chwili Michał został otoczony przez barczystych detektywów, odseparowany od reszty publiczności, zdany na łaskę inspektora, jakby był zamknięty w celi.

— Pan tu dawno pracuje — zaczął inspektor — pan zna dobrze okolicę?

— Niezłe — odpowiedział Michał, mimo woli nabierając niechęci do policjantów.

— Widział pan kogo obcego? — strzelił pytaniem z boku jeden z detektywów.

— Dziś, wczoraj, w ciągu ostatnich kilku dni?

— Podejrzone osoby w lesie?

Michał podniósł pytające spojrzenie na Williamsona. Wypił z nim niejedną butelkę przez te kilka lat i miał go za swego przyjaciela. Williamson zrozumiał.

— Chodzi o to Mike, że spodziewamy się pewnej...

— Konstablu! — przerwał inspektor.

— O, *sir* — tłumaczył się Williamson — on jest na pewno w porządku, gwarantuję za niego.

— Czego chcecie ode mnie?

Inspektor nagle zrezygnował ze swej wyższości.

— Chodzi o sabotażystów. Zostaliśmy ostrzeżeni, że grupa tych młodych głupców planuje pewne... wystąpienia w związku z przybyciem okrętu podwodnego.

— Cóż oni mogą zrobić? Namalować swój znak na statku? Zatakować chorągiew? Czy boicie się że wysadzą w powietrze 16 wodorowych bomb?

— Cokolwiek zrobią — zawołał oburzony tonem Michała detektyw — będzie to ze szkodą dla państwa.

— Pan chce powiedzieć — poprawił ironicznie Michał — będzie to kompromitacją policji. Gazety i tak dalej...

Detektyw poczerwieniał i chciał odpowiedzieć, ale inspektor podniósł rękę.

— Od pana potrzebujemy tylko jednej wiadomości — powiedział zimnym, urzędowym tonem — czy pan widział kogoś podejrzanego w lesie?

— Mike — dodał Williamson — trzech chłopców jeden w kożusku, jeden w kurtce, a jeden rudy z brodą.

Michał popatrzył spokojnie na inspektora.

— Nikogo nie widziałem.

— Na pewno? — inspektor uważnie śledził twarz Michała.

— Na pewno.

— Mówiłem — powiedział milczący dotychczas policjant — że nikogo w tym lesie nie ma. Nie może być.

Michał gwizdnął przez zęby w ślad odchodzących policjantów. Sięgnął po niedopity kieliszek i wychylił go do dna.

— Michał.

— A to ty, Wacek — odwrócił się niechętnie ku współnikowi, który podsunął się z boku nieśmiało.

— Michał, jeżeli ty nie... nie tego...

— Chcesz powiedzieć — roześmiał się — jeżeli nie jestem pijany?

— Moglibyśmy porozmawiać — prosił Wacław.

— Nie jestem pijany. Dlaczego miałbym być pijany? Czy jest jaki powód, abym był pijany?

— Więc może...? — Wacław zbliżał się do Michała jakby się spodziewał jakiegoś wybuchu. Doświadczenie wielu wieczorów, wielu niepoprawnych pijackich wystąpień Michała nauczyło go ostrożności.

— Nie ma czasu na żadne rozmowy. Idę spać.

Przeszedł obok zdziwionego Wacława i roztrzając gniotących się w zaduchu piwa i dymie papierosowym otworzył drzwi na dwór. Wprost na ciemną noc leżącą ciężko od progów aż ponad niewidzialne jezioro.



W ciemności zdawało się, że woda podływa pod same stopy. Pluskała niewidoczna, przyczajona jak zwierzę. Przestrzeń napierała na twarz, dusiła i jednocześnie otwierała się jak szumiąca muszla.

Za plecami wzdychał las.

Michał poczuł, że ktoś stoi koło niego. Mała, przygarbiona postać. To chyba jego rozmówca z baru, początkujący dziennikarz-unilateralista.

— Czuje pan czającą się wśród ciemności śmierć?

Młodzieniec musiał być poetą, którego natchnienie wyzwalała noc i odludzie.

— Cóż to jest śmierć? — odpowiedział Michał. — Ja, chłopcze, widziałem niejedną śmierć. Mnie to nie wzrusza.

— Bomba o mocy miliona ton dynamitu, 500 razy silniejsza od bomby zrzuconej na Hiroszimę. Szesnaście takich bomb! Dwa Polarisy są zdolne zniszczyć w przeciągu kwadransa trzy piąte ludności Wielkiej Brytanii.

— Przecież mają strzelać gdzie indziej.

— Ale odwet! Sądzi pan, że Rosjanie nie mają łodzi podwodnych o sile Polarysa?

— Ja nic nie sądzę. To nie mój problem.

— To jest problem każdego człowieka.

— Ależ ja jestem cudzoziemcem. Wzięto by mi za złe, gdybym wtrącał się do tych waszych spraw.

— Każdy ma prawo zająć stanowisko. Każdy powinien...

— Stop! — zawołał Michał — i odwrócił się ku rozmówcy. W mroku widział tylko płamę twarzy.

— Przyczepił się pan do mnie, nie wiem dlaczego. Czy to z powodu tego że w nocy potrafi pan być odważniejszy? Idź młodzieńcze tam, do baraku, albo do miasta i stań wobec tłumu swoich ziomków, gospodyń, rybaków, robotników... Jeżeli oni was nie chcą rozumieć, to dlaczego do diabła ja, cudzoziemiec, mam przejmować się tym wszystkim.

— Pan jest także człowiekiem.

— Idź pan spać. Dobranoc.

Michał odsunął ręką zastawiającego ścieżkę młodzieńca i ruszył do baraku.



Nie mógł spać w nocy. Przewracał się na wyrku i klął sam siebie, że za wcześniej wyszedł z baru, że nie wziął ze sobą butelki na sen.

Koszmary, dręczące go, były wciąż te same. Wspomnienia, osoby kiedyś znane, sytuacje, sprawy załatwione źle, albo nie załatwione, góry, ściany, przewieszki.

Jakiż straszliwy śmietnik człowiek gromadzi przez życie.

Człowieku, staraj się nie przejmować.

Jutro znowu będzie dzień

Więc co z tego?

I tak w kółko. Zupełnie bezcelowe dręczenie się.

Kiedyś w Glasgowie pił z przyjacielem i zwierzył mu się ze swych trudnych nocy.

— To dlatego Michał, że straciłeś poczucie sensu w życiu. Nie widzisz celu przed sobą, nie żyjesz dniem dzisiejszym.

— Co mam robić? Może zajmować się polityką, jak ty?

— Wystarczy coś robić z przekonaniem.

— Czy nie pracuję? Czasem kładę się do łóżka zmordowany jak koń, zasypiam z miejsca, ale za godzinę budzę się i znowu wszystko od początku.

— Czy ty lubisz swoją pracę?

— Nie wymagaj za wiele. Przyjedź kiedy do nas, do tego mokrego brudnego lasu i popracuj z nami.

— Każda praca ma swój sens.

— Ja ci powiem co mi jest — Michał podniósł kieliszek i patrzył w iskrzący się złoty płyn — ja już jestem za stary.

— Nonsens.

— Jestem za stary na takie życie jakim chciałbym żyć, jakim kiedyś żyłem.

— *Jump to the moon* — zaśmiał się przyjaciel i wypił.

— Gdybym tylko mógł...

Najlepszym sposobem na bezsenność jest whisky, ale jeżeli jej nie ma, to z kolei dobrze jest szczególnie przejść cały ubiegły dzień. Od samego rana przeanalizować godzinę po godzinie. Nie sądzić, nie szukać błędów, albo rozwiązań, a tak jak ogląda się film na ekranie obserwować ostatnie kilkanaście godzin.

I tak od Kamińskiego do Pychcia, od Rymarza do Wacka, od Wacka do MacGregora. Policjanci w barze, smętny reporter lewicowy, Polacy denerwujący się całą sprawą... Prawda, trzech chłopców w lesie!

— Gdybym był młodszy, gdybym był w swoim kraju — marzy Michał patrząc w ciemny sufit — na pewno byłbym jednym z nich. Walczyłbym, buntował się, organizowałbym wariackie wyprawy na jezioro, zatknąłbym na okręcie podwodnym czarną flagę. Dla pokazania, że mnie na to stać.

— Do diabła — zaklął nagle i usiadł na łóżku. — A jeżeli mnie na to stać i dzisiaj?



Zimny poranek lepi się między wzgórzami. Jezioro Święte śpi jeszcze, ani drgnie. Śpią zmęczone zziębnięte świerki nad skałką.

Wiele lat temu, gdy budowano katedrę w Glasgowie, wysłano statek do Ziemi Świętej, aby przywiózł piasku pod fundamenty. Załadowany w drewnianą łajbę piasek przyzeglował aż do ujścia Klajdy; tu złapała go burza. Kapitan schronił się z okrętem do zatoki tworzącej jezioro, a kiedy statek był zagrożony, pozbył się ziemi palestyńskiej wyrzucając ją do wody.

Złoty piasek błyszczy w pogodne dnie w wodzie jeziora szkockiego, które nazwano świętym: Holy Loch.

Zapomniane, zagubione wśród wzgórz Jezioro Święte. Nawet porządna droga tu nie prowadzi, nawet dostatniej chałupy nad jego brzegiem nie upatrzyysz.

A teraz Holy Loch stał się centrum świata. Nad złotym piaskiem skrwawionym okaleczonymi stopami Chrystusa przesuwają się długi cień okrętu podwodnego. Olbrzymi, groźny cień. Góry milczą, woda jeszcze śpi. Las ledwo porusza się, faluje leniwie.

Michał piłował na pierwszym biegu. Wspiął się samochodem pod górę. Dusił na gaz i zaciskał ręce na kierownicy utrzymując stary rozklekotany grat na chropowatej drodze.

Z lewej strony stromizna aż do samego jeziora, z prawej ściana wykopu i wyskakujące z korzeni drzewa.

Zbliżał się do cypla skalnego z kępą świerków i cieszył się, że właśnie stąd zacznie się wielka przygoda, wielki wyczyn sportowy.

Jest cicho. Nie ma nikogo.

Michał wparł samochód w drzewo i ostrożnie, aby nie hałasować stukaniem o blachę wyszedł z kabiny.

Nikt się nie rusza.

Rozgarnął świerki i postąpił naprzód. Namiot przeniesiony w dół ledwo wygląda zza skały wypłowiałym czubem. Michał schylił się i zajrzał pod płachtę.

Nagle ktoś dotknął jego ramienia. Tuż obok wyrosła chuda postać ryżego młodzieńca.

— Dzień dobry — powiedział Michał zmieszany nagłym pojawieniem się chłopca.

— Cieszę się, że cię widzę — starał się uśmiechem zdobyć zaufanie milczącego rudzielca o niechętnych oczach.

Z namiotu wychyliła się głowa z potarganą wiechą włosów. Zza namiotu podniósł się trzeci chłopiec. Wszyscy patrzą na Michała nieufnie, pochmurnie.

— Ja nie jestem z policji. Ja chcę wam pomóc.

Przełknął ślinę. Tak samo temu, najbliższemu stojącemu, rudemu w kozuszkę grdyka podeszła do góry i opadła.

— Ja wam pomogę.

Ten czarny, najbardziej zasępioły podniósł twarz do góry znad płachty namiotowej.

— My nie potrzebujemy pomocy. Dajemy sobie radę.

— O jaką pomoc chodzi? — podjął rudy. — Jesteśmy do rośli i mamy wszystko co nam potrzeba.

— Dajemy sobie radę — powtórzył trzeci gorliwie.

— Posłuchajcie — w głosie Michała słychać ton prośby — ja jestem przeciw wojnie.

Brunet podniósł głowę i spojrzał w bok na rudego kolegę. Przez usta przewinął mu się lekki uśmiech.

Michał także uśmiechnął się.

— Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach będzie zwalczał taką potworność jak bomba wodorowa. Gdybym mógł, zatonąłbym tę łódź, tak samo chętnie jak i wy.

— Pan się myli — odezwał się ryży chłopiec z udanym szcunkiem — my jesteśmy zwykli turyści, panie.

— Przyszliśmy tutaj odpocząć — potwierdził kolega.

— Nas nic nie obchodzi akcja protestacyjna.

Michał mrugnął porozumiewawczo. Roześmiał się wesoło.

— Możecie i tak mówić. Ze mną wszystko można. Ale zaufajcie mi nic na tym nie stracie — przykucnął żeby być bliżej

namiotu. Kiedy miałem tyle lat co wy teraz wszedłem sam na najwyższy szczyt w moim kraju. Nic wam to nie mówi? Słyszeliście o wspinaczce w Alpach? Zresztą co wam będę głowę zawracał, powiem tylko, że mam więcej doświadczenia od was we wszelkich niebezpiecznych wyprawach. Byłem też spadochroniarzem. Polskim spadochroniarzem pod Arnheim.

— To pan jest Polak... — stwierdził ryży.

— Jestem Polakiem, ale to nic nie ma do rzeczy. Mówiłem wam: nienawidzę wojny. Nikomu o tym nie mówiłem, tylko wam. Bo...

Machnął ręką na dalszą argumentację.

— Fakt, że wam chcę pomóc.

W tej chwili ciemna twarz wyglądająca z namiotu zacięła się nagłym gniewem. Michał aż cofnął się zdumiony, z oczu chłopca biła w niego nienawiść.

— Ja tylko chciałem pomóc — Michał powtórzył spłoszony.

— Już pan pomógł — zabrzmiał nad nim szyderczy głos — ale nie nam.

Podniósł się, wyprostował i spojrzał oburzony na rudzielca.

Za chłopcem wpół okryty gałęziami świerku stał inspektor policji, dalej czerniały inne postacie.

— No, chłopcy, musimy z wami porozmawiać, ale nie tu, tam na dole.

Patrzyli na policjanta z ironicznymi uśmiezkami.

Reszta odbywała się w milczeniu. Zwijanie namiotu, sprzątanie prawie spakowanych plecaków.

Młodszy detektyw aż zagwizdał zobaczywszy nadymaną łódkę, zebrał ją z ziemi jakby bał się, że policja mogłaby stracić ważny dowód.

Michał stał cały czas na boku. Nikt na niego nie zwracał uwagi, jakby nie istniał.

— No, zbierajcie się — zachęcał inspektor chłopców już gotowych do drogi z plecakami na ramionach.

Ruszyli. Najpierw inspektor, później trzech chłopców gęsiego, na końcu detektyw niosący zwiniętą *dinghy*.

Przechodzili obok Michała, ocierali się o jego wiatrówkę.

— Dziękujemy panu — powiedział rudy akcentując wymownie ostatnie słowo.

— Dobrze wiedzieć, że pan nienawidzi wojny — zakpił ciemny.

— Miło było pana poznać — dodał trzeci wykrzywiając się pogardliwie.

Nie patrzył na nich, patrzył na jezioro. Na mgłę wiszącą po-

nad daleką wodą, na lasy wdzierające się wzgórzom na boki po drugiej stronie wody.

— Miałeś rację Mike — zabrzmiał głos nad uchem.

Z gałęzi wysunął się wielki Williamson. Na jego ciemnym mundurze siedziało mrowie igieł świerkowych.

— Co? — zapytał Michał — Co takiego?

— Mówię, że wiedziałeś, gdzie ich znaleźć. Tak się ukryli, że gdyby nie ty...

— Co? — przerwał Michał.

Odrzucił policjanta, popchnął go aż się wielki Williamson zatoczył.

— To ty myślisz, że ja...?

Nie dokończył zdania. Uciekał.

Biegł kopiąc szyszki i depcząc gałęzie które chrzęściły protestując.

Uciekał, czy wracał?

— Wacek, Kamiński, Pychć, Rymarz... Barak i las... MacGregor wycofuje kapitał... Znowu inny las, inny barak... Albo inne życie...

Z żadnej góry nie schodził z takim pośpiechem.

— Żeby to jasna cholera.

Zasiadł w kabinie Fordziaka, ze złością kopnął sprzęgło, nacisnął starter.

Williamson stał na skraju lasu i patrzył z niepokojem.

Samochód ruszył do tyłu gwałtownie, aż darń i mech wyrwały się spod kół. Odkotwiczył się od drzewa, które podtrzymywało go zamiast hamulca i spłynął do przodu na drogę stromą i wyboistą.

— No... No... — pokiwał głową policjant.

Michał rwał w dół. Samochód podskakiwał i dzwonił obluźnionymi blachami. Leciał na łeb na szyję. Ze złością, z zawziętością.

Zatrąbił. Inspektor, trzech chłopcy i detektyw obładowany łódką odwrócili się i pospiesznie skoczyli z drogi na szkarpe, spod samych kół.

Wychyliwszy się z kabiny Michał spojrział na mijanych. Napotkał gniewny, szydarchy wzrok ciemnych oczu.

Już ich nie było. Na mgnienie oka zatrzymali się tuż przy samochodzie i umknęli, zapadli w las, w zakręt, zniknęli na zawsze.

Samochód podskoczył na wyboju. Kierownica wyrwała się z rąk.

— Psia... — zaklął szarpiąc za koło, ale było za późno.

Kamień leżący na boku poderwał przód Fordziaka, zbakierował go, rzucił na brzeg drogi.

Jak garbaty niezgrabny nurek, samochód przewalił się przez krawędź, przekręcił i runął w dół.

Z hukiem, z trzaskiem łamanych krzaków, waląc się z kamienia na kamień, leciał Fordziak aż na sam skraj jeziora.

Na małej skałce, z której jak pióropusz sterczał krzak złotokrzewiu, zawisło ciało człowieka.

Naprzeciw na jeziorze kołysał się obły kształt: Polaris.

◆
Biblioteka Polska
Kolo Zurych SPK

— To był chłop — powiedział Pychć podnosząc kufel piwa w Argyll Inn.

— Nie można tak żyć — kręcił głową zmartwiony Kamiński.

— Nie można zawsze żyć po wariacku. Tylko wariat tak jeździ z zepsutymi hamulcami.

— Co ty wiesz Kamiński. Raz się żyje.

ŚMIERĆ CUDZA

Mała, korpulentna kobieta przesunęła energicznie czarny kapelusz, który spadał jej na oczy.

— Za duży — powiedziała wyjaśniając swój gest panu Cubalskiemu. — Musiałam pożyczyć. Nie?

Cubalski westchnął nieznacznie. Siedział sztywny i poważny za swoim biurkiem i celował ołówkiem w następną rubrykę.

— Samochody? — spytał. — Czy mamy dostarczyć samochody dla żałobników?

Biuro pogrzebowe wiało zwykłym chłodem. Ściany obite dębową boazerią, takie same dębowe ciężkie biurka, po jednym w każdym rogu, rząd marmurowych tablic opartych o ścianę, sztuczne chryzantemy w białym wazonie, ustawione na kolumnie — wszystko to było zimne, odpychające.

Nawet głosy ludzkie dźwięczały w tym biurze zimno, sztucznie, wymuszenie.

— Jakże tam samochody — wzruszyła ramionami kobieta — kto zechce, to przyjedzie swoim. Nie?

— Kwiaty? — ołówek pana Cubalskiego zatrzymał się nad następną kratką formularza.

— A jakże. Naturalnie. Wielki wieniec ode mnie. Najukochańszemu przyjacielowi życia — Famelka.

Pan Cubalski podniósł głowę znad biurka. Na jego suchej, pozbawionej zmarszczek twarzy przewinął się uśmiech.

— To wszystko?

— Zaraz — zastanowiła się pani i znów przesunęła niesforne wdowi kapelusik. — Wie pan, wie pan, że tak sobie myślę, czy by mu nie dać wieńca od kolegów. „Towarzysze broni —

dzielnemu koledze Michałowi”. Przecież żaden z nich sam nie zdobędzie się na to. Nie?

— Bardzo rozsądnie, szanowna pani — Cubalski skłonił się z udanym szacunkiem. — Więc: „Towarzysze broni — dzielnemu koledze Michałowi”.

— On był dzielny — gorąco potwierdziła wdowa. Każdy to powie panu. A jaki patriota! Ten patriotyzm go zgubił, proszę pana.

— Rozumiem. Nie wyleczone rany wojenne.

— No, rany, to także... — pani wyjęła chusteczkę obszytą koronką i przycisnęła do oczu. — Ale głównie bigos i kiełbasa. Doktor nie radził, prosił, ale on uparł się. Na bigosie się wychowałem, powiadał, na bigosie umrę. I umarł...

Tu wdowa wycisnęła nareszcie łzy i pozwoliła im spłynąć po upudrowanym policzku, zanim otarła delikatnymi, eleganckimi ruchami chusteczki.

Pan Cubalski podliczał.

— Dwa wieńce. Trumna z okuciami. Samochód dla rodziny — wyliczał szeptem wszystkie zamówienia i wreszcie podniósłszy głowę spojrzął na panią, która przyciskała chusteczkę do policzków. — Razem sześćdziesiąt pięć funtów.

— Co? Ile? — tak potrząsnęła głowę, że kapelusz opadł aż na brwi.

— Policzyłem najtaniej — uśmiechnął się skąpo Cubalski. — Jak dla rodaka.

— Sześćdziesiąt pięć funtów — dziwiła się kobieta. — Skąd wziąć tyle. Akurat robotnik przerabia kuchnię na parterze i rata do banku czeka... Skąd wziąć? Nie?

— Droga pani, współczuję... — trochę niecierpliwiał się pan Cubalski.

— On tak zawsze — kobieta zsunęła gwałtownie kapelusz do tyłu. — On zawsze tej tak zwanej odpowiedzialności unikał. Kuchnia rozbabrana. Rata na karku, a on już spokojny. Jego nie obchodzi skąd te pieniądze wziąć. Ach, ci mężczyźni!

— Szanowna pani — oburzył się pan Cubalski — *de mortuis aut bene aut nihil*.

— Co pan mi będzie tu po angielsku — zawołała wdowa. — Że obywatelstwo przyjąłem, to nie powód, aby do mnie po angielsku. Nieboszczyk sam chciał tego obywatelstwa, ale ja na zawsze zostanę Polką. Ja do pana jak do Polaka przyszedłem, do polskiego zakładu.

Przestraszony gniewem klientki pan Cubalski wstał z trudem i wyprostował się, ile tylko mógł. Nie był wysoki i zaledwie o cal górował nad zaczerwienioną panią.

— Sześćdziesiąt funtów — powiedział.

— Pan Żywiecki mówił, że pięćdziesiąt — pani znów poprawiła czarny kapelusz i nabrała przez to bardziej godnego wyglądu.

— Niech będzie pięćdziesiąt pięć — westchnął pan Cubalski.

— Same trudności na kobietę — rozczuliła się nad sobą klientka. — To prawdziwie po męsku. Nie?

— Cóż my na to poradzimy — z zawodowym tym razem westchnieniem pan Cubalski wzniosł oczy do sufitu — życie człowieka jest kruche jak trzcina na wietrze.

— Ale dlaczego mężczyźni tak umierają? Przeglądnać tylko nekrologi w Dzienniku, same chłopcy. Dzielni byli, wojowali i politykowali przez tak długi czas, a teraz jeden po drugim... i co w końcu będzie? Same kobiety? Nie?

W tej chwili na biurku pana Cubalskiego zadzwonił telefon. Jednocześnie z tym otworzyły się drzwi prowadzące do tylnego pomieszczenia i stanął w nich wielki, szeroki, młody jeszcze mężczyzna. Miał mocną twarz o chłopskich rysach, małe oczki i wystające kości policzkowe. Gęsta, ciemna, poprzetykana siwymi włosami czupryna spadała mu na czoło. Ubrany był ten wielkolud w czarny żakiet z długimi połami i w spodnie w paski.

— Przepraszam — odezwał się Cubalski do klientki i wziął słuchawkę.

Przyłożył do ucha i z wyrazem pilnej uprzejmości słuchał przez chwilę. I nagle jego twarz bez zmarszczek i bez śladów wielkich wzruszeń zamarła w maskę przerażenia. Usta otwarte łąpały powietrze. Ręka trzymająca słuchawkę drżała, druga oparta o biurko zaciśnęła się w pięść i pobielała na kostkach.

— Co się stało, panie pogrzebowy? — spytała kobieta bardzo zaciekawiona. — Czy ktoś ważny zmarł?

Pan Cubalski skinął głową potakująco i siadł za biurkiem.

— Nowy klient, panie szefie? — zagrzemiał od drzwi wysoki mężczyzna.

— Jakiś ważny — powiedziała pani w za dużym kapeluszu. — Może ktoś znajomy, tak się pan zmartwił. Nie?

— Bardzo ważna osoba, bardzo ważna — kiwał głową zmartwiony Cubalski.

— Znowu jakiś... — westchnęła pani.

— Nie jakiś — nagle wybuchnął gniewem Cubalski — nie ktoś! Kobieta! Osoba rodzaju żeńskiego. Najważniejsza!



Wielka sala restauracyjna szumiała podnieceniem. Goście, którzy zeszli się na kolację i obsiedli gęsto stoliki, rozmawiali

z ogromnym ożywieniem. Ale rozmowy nie były głośne. Sprawa wymagała raczej szeptu. Siwe i łyse głowy, koafiury wszelkich kolorów i stylów pochylały się ku sobie wzajem i podawano słowa z ust do ust.

Gulasz, kapusta faszerowana i kotlety wieprzowe stygły.

Tylko w kącie na lewo, ukrytym za występem ściany, grupa młodych ludzi weseliła się, jadła i piła przy zastawionych dwóch stołach.

Patrząc na nich redaktor Wesołowski podparł brodę pięścią i zamyślił się.

— O czym pan myśli, mistrzu Ryszardzie — spytała go Teofila.

— Wiesz — odpowiedział — patrzę na tych młodych i przypominam sobie naszą młodość. Cała rzecz w tym, że wtedy śmierć była bardzo daleka od nas. Wszyscy, kogo znaleźmy byli żywi, to znaczy tak pełni życia, że nie można było myśleć o nich jako o nieboszczykach. Teraz śmierć dotyka nas bezpośrednio. Ociera się o nas na każdym kroku.

— Pisał pan czyjś nekrolog dzisiaj? — zazartował Morycowski.

— Wiesz, kolego — zwrócił w tę stronę swoją siwą, lwią głowę Wesołowski — że ja nekrologów nie piszę. Chociaż coraz częściej zdarza mi się pisać wspomnienia pośmiertne. A teraz...

— Nie, nie — wstrząsnęła się Teofila osłaniając szalem wydekoltowane ramiona — nie mówmy o tym, nie teraz, nie tutaj. Co za powód tamtego zebrania? — spytała wskazując głową na stolik młodzieży.

— Prawdopodobnie przygotowują się do sobotnich tańców — domyślał się Morycowski.

— Uczta weselna — głębokim basem odpowiedział Sarnowski — syn pułkownika Jańskiego poślubił córkę prezesa Wiszka.

— I sami młodzi na uczcie — zaśmiała się Teofila — a rodzice zostali w domu?

— Rodzice Jańskiego nie żyją, matka Wiszkówny w Polsce a ojciec...

— Prawda — zawołał Wesołowski — przecież w zeszłym miesiącu był nekrolog.

Teofila mimo woli wzdrygnęła się i opuściła oczy.

Była najmłodsza w tym towarzystwie. Obok siwego, dramatycznego Wesołowskiego, który wyglądał jak wieszak i zachowywał się jak prorok, obok pulchnego i puciołowatego Morycowskiego i ciężkiego, z szarego ciasta ulepionego Sarnowskiego ona robiła wrażenie bardzo młodej. Nie miała jeszcze czterdziestu lat. Siwe pasma w jej włosach mogły być równie dobrze farbowane. Czar-

ne, błyszczące oczy w sieci drobniutkich zmarszczek i smągła cera odmładzały ją bardzo.

Dlatego właśnie prorok Wesołowski mówił jej *per ty*, żeby przypomnieć o wielkiej różnicy wieku między mistrzem a uczennicą.

— Gdzie patrzysz, Teofilo?

— Tam gdzie wszyscy — odpowiedziała nie odwracając wzroku od mężczyzny stojącego plecami do bufetu.

Wielki, ciężki, szeroki w barach, z płaską twarzą słowiańską, z gęstymi szpakowatymi włosami stał tam i patrzył na salę.

— Też bezczelność — odezwał się wcale głośno Morycowski — ma gość odwagę tak zjawiać się publicznie.

— Dlaczego? — spytała Teofila.

— Przychodzi na swój przegląd — roześmiał się Sarnowski — ogląda przyszłych klientów.

— Wszyscy jesteście potencjalnymi klientami pana Mrocza — westchnął Wesołowski — wcześniej czy później...

— Ależ powiedzcie mi, kto to jest? — gniewała się Teofila.

— Lucjan Mroczek, pomocnik pana Cubalskiego.

— A Cubalski?

— Pani jest bardzo młoda — skłonił się ku niej Morycowski — nie myśli pani jeszcze o zakładzie pogrzebowym.

— On jest z zakładu pogrzebowego? — spytała Teofila nie przestając przyglądać się mężczyźnie, który odwrócił się na chwilę ku smutnej pani obsługującej bar i ujął kieliszek z koniakiem.

— Cubalski jest dyrektorem — wyjaśniał Wesołowski — polskiej sekcji w zakładzie pogrzebowym Watsona, a Mroczek jego pomocnikiem. *C'est tout*.

Od wszystkich stolików szły spojrzenia ku bufetowi. Wszyscy jakby taksowali z daleka posępnego Mrocza. Rozmawiając między sobą, dyskutując bardzo ważną sprawę, co chwila zwracali głowy w tamtą stronę.

— Ma gość odwagę — powtórzył swą opinię Morycowski — przecież może go ktoś wyrzucić za kołnierz stąd.

— Dlaczego? — zdziwił się Wesołowski. — Dlaczego kolego? Przecież jest członkiem klubu i może tu przychodzić, a że przypomina nam bolesne sprawy, to już nasza rzecz, nie jego.

— On nie przypomina — zawołał Morycowski — on po prostu nas zaprasza do swego zakładu. Mierzy już nas do trumny, ogląda jak rzeźnik świnie do zarżnięcia. Ohydne.

Teofila wpatrywała się w owego Mrocza i starała się ułović jego spojrzenie.

— Teofilo — Wesołowski położył na jej ręce swoją suchą, korzeniami żył gruzłowatą dłoń — wróć na ziemię.

— O co chodzi — przebudziła się i zwróciwszy głowę ku swym towarzyszom uśmiechnęła się łagodnie.

— Tak, ma pan rację — potakiwał Morycowskiemu Sarnowski — to nie jest przyjemne, to przypomina wciąż śmierć. *Memento mori* pana Mroczonek. Makabryczne.

— Wybiera nas jak raki z saka — mówił Morycowski — nie ma dnia prawie, aby kogoś nie odprowadzał na cmentarz.

— Znowu mówicie o śmierci — oburzyła się Teofila — dlaczego? Trzeba żyć, z żywymi naprzód kroczyć!

— Moja droga — smutno uśmiechnął się Wesołowski — jakże oni mają nie mówić o śmierci, jeżeli ty zakochałaś się w Charonie?

Teofila zaczerwieniła się. Morycowski z Sarnowskim zaśmieli się jak z dobrego dowcipu.

— No, już trzeba iść — podniósł się Wesołowski — tyle pracy...

Za nim podniosła się Teofila, dwaj panowie unieśli się tylko na pożegnanie. Od innych stolików szły za nimi spojrzenia i szmery słów.

— Wesołowski. To jest mistrz Wesołowski.

— Redaktor Wesołowski?

— Ten sam.

— A cóż on na to? Jakie jego zdanie?

— Na pewno idzie na naradę czynników autorytatywnych.

Wysoki, przygarbiony Wesołowski a za nim mała, czarna Teofila przeciskali się między stolikami i weszli do sali barowej.

Teofila przechyliła głowę i spojrzała w stronę bufetu. Napotkała spokojne, trochę proszące, trochę drwiące spojrzenie niebieskich oczu. Uśmiechnęła się i zaraz poczerwieniła. Mroczonek odpowiedział nieznacznym uśmiechem i podniósł kieliszek.

Przed drzwiami klubu Wesołowski pożegnał Teofilę.

— Jutro w redakcji — przypomniał jej.

Kiwnęła głową i została. Z wysokości ganku patrzyła na ulicę szeroką i mroczną. Jak okiem sięgnąć stały tu samochody po obu stronach i po środku. Wąskimi przejściami pomiędzy pustymi wozami przeciągały inne, rozpędzone, spieszące gdzieś. Naprzeciw mroczonek świeżo wykończony gmach Akademii, nad nim wisiała brudnożółta mgła, miasto odbijało w niej swoje światła pulsujące, żyjące pośpiechem i smutkiem.

— Odprowadzę panią do domu — usłyszała obok siebie łagodny, niski głos.

Wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i w kapeluszu o szerokich kryzach pochylał się nad Teofilą.

Milcząco skinęła głową i postąpiła w dół po schodkach. On ujął ją delikatnie za łokieć.



Wesołowski szedł bardzo wolno. Nie przyznawał się nikomu, nie lubił o tym mówić, ale daleko posunięta angina pectoris jak zwierz o dziwnej nazwie siedziała mu na plecach. Gniotła go, zatrzymywała dech w piersiach, zaciskała łapy na krtani i chwytowała boleśnie pod zębra.

Wesołowski przystawał i wyciągał swoją nitroglicerynę. Sssał ją i szedł dalej.

Przypominał sobie nie wiadomo dlaczego Kraków, redakcję. Oto wychodzi z gmachu po ostatnim wydaniu dobrze nad ranem i staje na brzegu chodnika, i zastanawia się, gdzie iść? Na jajeźnicę? Na śledzia? Na dziewczynki?

A może na dworzec łapać pierwszy lepszy pociąg i śmigać do Zakopanego czy do Warszawy!

Kto mógł utrzymać Ryszarda Wesołowskiego?

— A teraz — uśmiechał się sam do siebie — do domciu. Do ciepła, spokoju, odpoczynku.

Jutro od samego rana redakcja i walka o każdą godzinę i wyłożenie ze skóry, aby pokazać innym, że nie jest się jeszcze takim starym, takim chorym.

Jutro na nowe bitwy, a dziś tylko do domciu, drobnymi kroczkami, powoli.

Nie miał daleko. Jeszcze z czasów wojennych odziedziczył mieszkanie tuż przy klubie, w samym centrum, w samym *polish corridor*. Prawda że miał tylko jeden pokój, ale wciąż niekrepujący i swój.

Otworzył ostrożnie drzwi czarne, zamknięte i milczące, jakby prowadziły do domu umarłych.

Strząsnął z siebie dreszcz niemiły i wszedł do korytarza oświetlonego żarówką o najmniejszej, najbardziej ekonomicznej ilości świateł.

Na boku przy telefonie leżała karteczka. Wesołowski przybliżył ją do okularów i z trudem przeczytał:

„Pan Red. Wes. Pan Radca Szer. dzwonił, prosił zobaczyć się jutro rano w jego biurze”.

Wesołowski westchnął. Schylił się, aby podnieść stojące pode drzwiami mleko i wszedł do swego pokoju.

Można było to nazwać rupieciarnią albo pracownią geniusza.

Łóżko w kącie ledwo załane, dokoła półki z książkami, które leżały wszędzie jakby zrzucone z helikoptera, bez ładu, bez

regularności jakiejś. Jedne stały na półkach, inne otwarte zalegały stół, inne pokrywały wszystko: i półki, i fotel, i stół, i podłogę.

Na skraju stołu otwarta maszyna do pisania, w niej zaciągnięty świeży arkusz. Pod kominkiem kawalerskie gospodarstwo. Gazowa fajerka, czajnik, patelnia z zakrzepłym tłuszczem, jajka w otwartym kartonie, chleb na drewnianej desce... Na stoliku obok puszek z konserwami i po konserwach słoiki z cukrem, solą, kawą, herbatą...

Każdy, kto przyszedł pierwszy raz, kręcił głową, jeżeli był odważny, uśmiechał się do siebie ironicznie, jeżeli był potulny.

Wesołowski przyzwyczał się do tego i nie zauważał ani bałaganu, ani uśmiechów krytykujących ten stan rzeczy. A jawnie nacierających na niego uspokojał:

— Jutro, gdy tylko będę miał chwilkę czasu, uporządkuję to wszystko. Jutro, najdalej pojutrze.

Ani mu się śniło. Lubił swój bałagan i wypoczywał w nim. Upadł na fotel wyciągnął nogi przed siebie i zamyślił się. Spojrzał na kartkę trzymaną w ręku. Zaklął coś pod nosem i uspokojony zamknął oczy przygotowując się do małej drzemki przed kolacją.



Morycowski patrzył na Sarnowskiego ze zdziwieniem.

— No i co? No i nie wydobyliśmy ze starego ani słowa?

— Nie pytaliśmy wcale — odpowiedział Sarnowski skubiąc brodawkę na swej szerokiej, mięsistej brodzie.

— Przecież on najlepiej wie, musiał już być przygotowany.

— Pewnie, co to za redaktor, jeżeli nie jest gotów na taką chwilę.

Zatrzymali przechodzącego Korolkiewicza.

— Panie Marianie — zagadał Morycowski — czy pan już coś wie?

— Nic a nic — Korolkiewicz nie kwapił się pozostać w tym towarzystwie. Wyraźnie spieszył się gdzieś indziej.

— Przecież musieliście otrzymać jakieś instrukcje w redakcji.

— Ani, ani — roześmiał się Korolkiewicz — wiecie chyba lepiej ode mnie, siedzieliście przez godzinę z samym redaktorem.

— Żeby go cholera — zaklął Morycowski w ślad za uciekającym od nich Korolkiewiczem.

— Co inni mówią? — Sarnowski przyłożył palec do ust i pochylił się w stronę sąsiedniego stolika. Siedziało tam kilku panów solidnie i mroczno ubranych, wyprostowanych po wojskowemu i rozmawiających mocnymi głosami wyższych dowódców.

— Nie ważne jak — mówił siwy, wysoki pan — ważne kto.

— Właśnie — podtrzymał go mniejszy również siwy, ale mający czuprynę podstrzyżoną jak amerykański student — kto? Kto?

— Miejmy nadzieję, że tamta strona nie zostanie dopuszczona — zauważył trzeci wojskowy. — To jest wyłącznie nasz pogrzeb.

— Proszę panów — zaczął czwarty z szacunkiem pochylając głowę — czy w tym wypadku nie lepiej byłoby pogodzić się?

Trzej starsi popatrzyli na czwartego, jakby chcieli go skarcić za figle uczniowskie.

— Nie, nie — wycofywał się łysy młodzieniec po pięćdziesiątce — nie mówię o jakiejś unilateralnej zgodzie, na jakiejś szerszej płaszczyźnie politycznej. Po prostu biorąc pod uwagę, że nieboszcza właściwie nie należała ani tu, ani tam...

— Historii trzeba pozostawić ocenę — nadął się najstarszy pan, czerwony jakby na chwilę przed atakiem apopleksji.

— Nieboszcza — uśmiechnął się złośliwie drugi — zdradzała niedługo przed śmiercią dziwaczne upodobania, a nawet głosiła pewne hasła nie całkiem odpowiadające naszym celom politycznym.

— Cała jej przeszłość — zaśmiał się trzeci — pozostawia wiele do życzenia. Nasze panie nie zostawiają nitki suchej na niej, nawet teraz po zgonie. Nieboszcza leży w kostnicy a one...

— Nie przesadzajmy — huknął najstarszy — znana rzecz, że najbardziej plotkują mężczyźni.

— Panie generale — wtrącił wielbiciel plotek — ja sam nie wiem, ale od żony właśnie słyszałem, że ona miała mieć syna nieślubnego. Jeszcze sprzed wojny.

— Jeszcze sprzed wojny, jeszcze sprzed wojny — przedrzeźniał kolegę łysy wojskowy — a małoż to przed wojną wyprawiano.

W tej chwili rzucił okiem na generała i speszony umilkł.

— Tak czy inaczej — zdecydował generał — pogrzeb jest nasz i tylko my możemy się nim zająć.

— Trzeba by więc coś zacząć robić.

— Upewniam pana pułkownika — z góry przemówił znowu generał — że wyższe czynniki już się tym zajęły.

— Widzi pan? — szeptem przemówił Sarnowski zbliżając twarz do ucha Morycowskiego. — Słyszał pan?

— Biedni oni są — wzruszył ramionami Morycowski — głowę dają, że tamci prowadzą identyczne rozmowy.

— Nie będę się o to zakładał — roześmiał się Sarnowski.

— Widzi pan w tamtym kącie profesora Wintera? Przecież oni tam wyraźnie się naradzają.

— Urabiają opinię publiczną raczej. Decyzje zapadają gdzie indziej.

— Do diabła — zaklął Sarnowski.

— O co panu chodzi?

Sarnowski wstał i nagle jakby zakręlował ponad wszystkimi stolikami. Wysoki, szeroki, mięsisty. Oczki osadzone głęboko w szarej, pofałdowanej twarzy paliły się złośliwie, uśmiechał się wywiniętymi wargami i mamrotał coś do siebie.

— Tyle lat tu chodzę — szeptał — tyle lat tu siedzę, nie wiadomo po co. Takie przelewanie z próżnego w puste. Panie — głośno powiedział do Morycowskiego — dlaczego my nigdy nie możemy mówić o kinie, teatrze, telewizji, samolotach odrzutowych, strajku dokerów, podwyżce ceny biletów kolejki podziemnej? Nie, my zawsze prowadzimy zasadnicze dyskusje. W sprawach nie cierpiących zwłoki. U nas zawsze się coś dzieje bardzo ważnego, a to nikogo nic a nic nie obchodzi. O Boże, dlaczego nasze sprawy takie wielkie?

Wszyscy podnieśli głowy i przyglądali się z lękiem gniewnemu Sarnowskiemu. A on machnął ręką i skierował się do wyjścia. Odsuwano krzesła, popychano stoliki, aby dać mu drogę, aby go czasem nie dotknąć, tak jakby się go bali.

Na ulicy już podbiegł Morycowski i złapał Sarnowskiego za ramię.

— Panie Juliuszu, o co chodzi? Przecież pan sam zaczął? Przecież mówiliśmy o tym pogrzebie, a pan zaraz wybucha.

— Nie wybucham — opanował Sarnowski — tylko mówię prawdę.

— Prawdę? — zdziwił się Morycowski — a w swym artykule wczorajszym pisał pan inaczej.

— Usrać się na moje artykuły — krzyknął Sarnowski i zostawił zdumionego Morycowskiego na skraju chodnika.

— Nie przejmujemy się, panowie — powiedział generał do kolegów — on zawsze tak. Narwaniec trochę, ale pisze dobrze.

— Histeryk — powiedział profesor do swojego stolika — ale to jest wytłumaczalne. Pisze przecież w takim napięciu uczuciowym, że później chce się jakoś wyzbyć tego ładunku patetycznego.

— Zresztą wszystkich zdenerwowały ostatnie wypadki.

Tylko stolik młodzieży nie zwracał uwagi ani na szepty na sali, ani na Wesołowskiego, ani na wyskok Sarnowskiego. Po szumnej i hałaśliwej radości i kilku toastach nagle uczyniło się tu cicho i smutno.

Panna młoda, blondynka z włosami przyciętymi w grzywkę, opuściła głowę i płakała.

— Gdyby tatuś tu był — skarżyła się cicho.

— Nie płacz, nie płacz — niezgrabnie pocieszał ją młody małżonek i otaczał ramieniem. — On by się cieszył z nami. Nieprawda?

Spojrzał dokoła szukając poparcia u swych друз u druhen. Oni szybko potakiwali głowami.

— Nie powinnam była zgodzić się na ślub już teraz. Żałoba...

Panna młoda wciąż płakała wprost do talerza.

— Nonsens — dość ostro powiedział pan młody — czyż on sam nie mówił: nie czekajcie. Pobierajcie się nie czekając na nic. Trzeba żyć.

— Trzeba żyć! — zawołał na cały głos brunet siedzący na przeciw młodej pary i podniósł kieliszek z winem.

— Córka prezesa Wiszka? — dziwił się siedzący dość blisko pan, który dopiero teraz odwrócił się twarzą w stronę stolika weselnego — ci młodzi nie mają zupełnie szacunku dla śmierci.



Radca Szereszewski czekał na Wesołowskiego w swoim gabinecie. Siedział za biurkiem rozparty jak wielka szara ropucha. Ssał nie zapalone cygareto i spod zmarszczonego czoła wpatrywał się w redaktora.

— Niech siada — wyseplenił.

Wesołowski z ulgą opuścił się na krzesło, które niestety było twarde. Wszystko w tym gabinecie dręczyło człowieka. Ciemne tapety, zakurzone boazerie, sufit z odpadającym tynkiem, sterty papierzyków na stolikach, obrazy tak ciemne, że nie wiadomo jakiej treści i wielkie, szerokie dębowe biurko przyciskające małego radcę do samej ściany.

— Przejdźmy do rzeczy, redaktorze — głos radcy wskazywał na utajony gniew.

— Czekam więc, panie radco — Wesołowski postanowił być lakoniczny i nie dać się sprowokować.

— W sprawie nekrologu. Dlaczego nie ma porządnego nekrologu?

— Czy pan radca mówi o tym właśnie nekrologu?

— A o jakimże? — zdenerwował się radca i zaczął wymachiwać ręką — trzeci dzień jak umarła, a nekrologu nie ma.

— Kto miał dać? — spytał redaktor. — Pan radca wie dobrze, że nekrologi są główną naszą podporą, nie zamieszczamy ich bez zapłaty z góry. Nikt się do nas nie zgłosił.

— Żle — krzyknął radca podskakując na fotelu i drgając jak galareta — w tym wypadku należało działać bez ociągania się.

— Przepraszam — Wesołowski zaczerwienił się i namarszczył — a w czym imieniu? Kto urządza pogrzeb?

— My — zapiszczał radca bardzo podniecony. — My i należało o tym cały świat powiadomić.

— Czy to rzecz postanowiona?

— To rzecz nie ulegająca wątpliwości.

Patrzyli na siebie nieprzyjaźnie. Wesołowski ze smutkiem myślał, że nie tak dawno jeszcze zdecydowałby się na pewno rzucić temu starcowi w twarz ostre słowo i odejść.

Radca uśmiechał się złośliwie przypominając sobie, że oto ten siedzący w jego gabinecie siwy, dostojnie wyglądający pan jest na jego rozkazy każdej chwili. Nawet biorąc pod uwagę, że kiedyś ten lew osiwiwały był właśnie członkiem tamtego obozu. A może właśnie dlatego jest tak uległy. Musi być.

— Panie radco — zdobył się Wesołowski na słowa mocno wypowiedziane — w tym wypadku muszę mieć zgodę całej rady.

— Acha — kiwnął głową radca — to tak?

— To tak — odpowiedział Wesołowski i zdawało mu się, że leci w dół. Zdawało mu się, że już jest w swoim ciepłym pokoju, że siedzi przy maszynie i pisze powieść o dawnych latach. Uśmiechnął się nagle do tego obrazu, który przecież nie miał w sobie nic czarnego.

— Może to i lepiej — pomyślał — wciąż się męczyć, przy każdym pogrzebie.

— Jeszcze dziś otrzyma pan albo redaktor Wyliński dosłowny tekst nekrologu, który należy umieścić niezwłocznie.

— Tak jest — odpowiedział Wesołowski powstając i uśmiechając się na myśl, że oto znaleziony został jego następcą, Wyliński.

— Radzę tylko — dodał nie bez złośliwości — porozmawiać z dyrektorem Cubalskim, od niego najwięcej zależy.

Radca Szereszewski zgarbił się jeszcze bardziej i patrzył za wychodzącym złymi, rozbieranymi oczkami. Zgaszone cygaro zwisło bezwładnie z jego ust, ręka spoczywająca na biurku drgała konwulsyjnie.

— Panie radco — zawołał sekretarz biura wpadając do gabinetu — panie radco, pigułka!

Szybko pomógł wyjąć z kamizelki pudełeczko i położył na

brunatnej ręce radcy jedną białą pastylkę, potem podskoczywszy do bocznego stolika nalał szklanke wody.

Za chwilę wszystko się uspokoiło. Radca siedział w swym fotelu i oddychał ciężko, ale miarowo. Sekretarz z twarzą, na której nie malowały się żadne uczucia, stał naprzeciw i przyglądał się. A kiedy radca wyprostował się nieco i zaczął szukać zapalek, sekretarz podał mu ogień i wyszedł.

— No, no — wzruszał ramionami stojąc w kancelarii przy stole panny Magdy — nasz stary wykończy się na amen.

— Zawsze ten Wesołowski — stwierdziła panna Magda obrażonym tonem starej dewotki.

— I Wesołowski, i inni. Stary nie zdaje sobie sprawy, że to już nie tamte czasy. Im nie zaszkodzi, a sam się przejedzie.

Tymczasem Wesołowski skreślił za róg ulicy i przystanąwszy wysapywał z siebie zdenerwowanie. Sięgnął wolno do kieszonki i wyciągnął swoją nitroglicerynę.

— Na wszelki wypadek — szepnął do siebie — na wszelki wypadek. Muszę zadzwonić do Teofili — dodał z weselszą miną — to się uśmieje.

Telefon w mieszkaniu Teofili dzwonił bez przerwy. Nikt nie podchodził. Wreszcie podwójne ciurkanie dzwonka echem odbijające się w pustym korytarzu ustało.

Ktoś na drugim końcu drutu zrezygnował.

Za to na biurku Cubalskiego odezwał się dzwonek, ostro, nakazująco.

Cubalski nie spiesząc się podniósł słuchawkę.

— Zakład pogrzebowy Watsona, sekcja polska.

— Tu mówi radca Szereszewski.

— Czym mogę służyć, panie radco — odpowiedział Cubalski dość zimno.

— Ja w sprawie pogrzebu. Tego pogrzebu.

— Tak jest, słucham.

— Pan zajmuje się tym pogrzebem, czy to prawda?

— Tak jest — z pewnym zdziwieniem odpowiedział Cubalski — zajmuję się znakomitą większością polskich pogrzebów.

— Świetnie — ucieszył się po tamtej stronie radca — a więc panie dyrektorze, oznajmiam panu, że my jako rada i jako grupa polityczna bierzemy całkowicie na siebie ten pogrzeb. Pokrywamy wszelkie koszty i żądamy jak najlepszego ceremoniału...

— Niemożliwe, panie radco — przerwał Cubalski.

— Jak to? Rozumiem — radca zaraz zniżył ton — zakład chce jakiejś finansowej gwarancji. Natychmiast wysyłam panu czek własny na sto pięćdziesiąt funtów. Wystarczy?

— Nie chodzi o pieniądze, panie radco...

— Mało? Wyszę dwieście. My chcemy, aby to wypadło bardzo uroczyście; jeżeli tylko tutejsze zwyczaje pozwolą, to nawet jakąś muzykę, w każdym razie na chórze śpiewać będzie Drapałowski, on nam nie odmówi. Trumnę proszę odpowiednią, hermetyczną, bo przecież należy liczyć się z ekshumacją, wieńce i porządek ceremonii omówi z panem nasz delegat, pułkownik Stareszko, który naturalnie wystąpi na czele umundurowanego oddziału.

— To wszystko — dorwał się wreszcie do głosu Cubalski — jest niemożliwe.

— Co?

— To nie może mieć miejsca.

— Co pan tam wygaduje — krzyknął do słuchawki radca i nagle przerwa; widać było, że się zdenerwował. Dopiero po chwili zaczął mówić.

— Niech pan się wytłumaczy. Może już kto inny do pana się zwracał w tej sprawie?

— Właśnie, panie radco — Cubalski uśmiechał się złośliwie, ale radca tego nie mógł zobaczyć, nie poznawał nawet po tonie głosu.

— Więc musi im pan odmówić — denerwował się radca — oni są za małą grupą, nic nie znaczą ani liczebnie, ani politycznie. My reprezentujemy ogół i my jedynie jesteśmy powołani. Zresztą nieboszczka z nami do ostatniej chwili utrzymywała kontakt. Z nami, panie dyrektorze kochany.

Zakończenie wygłoszone było tryumfująco. Radca uważał, że znalazł najwłaściwszy argument.

— Kiedy, panie radco — powiedział Cubalski powoli — to nie o nich idzie, kto inny zwrócił się do nas.

— Kto inny, chyba nie...? — przerażenie odebrało głos radcy.

— Nie, nie oni — zapewnił Cubalski — zwróciła się rodzina. Po prostu rodzina.

— Niemożliwe — krzyknął radca — ona nie miała rodziny.

— Niestety — trochę drwiąco odpowiadał Cubalski — rodzina się znalazła i pogrzeb odbędzie się zgodnie z jej życzeniem. Cicho, spokojnie, prywatnie, że tak powiem.

— Co? — radcę znowu zatykało przy telefonie.

— Mam działać zgodnie z poleceniami rodziny — powtarzał Cubalski — i tak też uczynię.

— To niemożliwe! Pan wie kim ona była? Ona uosabiała nas wszystkich, ona stała na czele, ona najwyżej, ona... — radca nie dawał sobie rady z oburzeniem, a może z zadyszką.

— Wszystko to rozumiem — uspokajał go Cubalski —

wszyscy wiemy, że nieboszczka była ważną osobą, najważniejszą, ale przecież posiadała rodzinę. Nawet największy z ludzi ma rodzinę i ta jedynie piastuje prawo rozporządzania ciałem. Gdyby pan radca umarł, działałbym zgodnie z dyrektywami pana syna albo córki; nie zdaję sobie sprawy...

Nastąpiła cisza. Może radca odłożył słuchawkę nie starając się umieścić jej na widelkach? Może był w trakcie zazywania swej pigułki?

Słysząc było sapanie. Wreszcie odezwał się głos nad podziw spokojny.

— Może to i lepiej, panie dyrektorze. Może i lepiej. Ani my, ani oni. Pogrzeb sprawa prywatna. Ale w takim razie my dajemy nekrolog, taki jaki uważamy za stosowne i wieniec będzie złożony przez delegację w mundurach.

— Rodzina prosiła o powstrzymanie się od wszelkich uroczystych wystąpień.

— Ale przecież nie postawicie warty pod bramą cmentarza?

— Nie postawimy.

— Jeszcze jedno — radca mówił teraz z nutką wyższości w głosie, tak jakby właśnie załatwił wszystko po własnej myśli — kto jest ta rodzina? Skąd? Czy czasem nie z kraju?

— Tego nie jestem upoważniony zdradzić — ceremonialnie oświadczył Cubalski i uśmiechnął się marszcząc twarz suchą, obciążoną skórą egipskiej mumii.



— Czy pani tu często przychodzi? — spytał Mroczek Teofili.

Siedzieli w restauracji, której szerokie okna wychodziły na sadzawkę. Patrzyli na ciemne pomarszczone wiatrem oblicze wody i śledzili liście, które spadły z drzew parku i żeglowały gdzieś przed siebie.

— Teraz? — zaśmiała się wskazując ręką za siebie w stronę parku przygiętego jesienią, obdartego jak włóczęga, brudnego błotem i gnijącymi liśćmi.

— W lecie tutaj się kąpią.

— Tak — potwierdziła — nie miałam nigdy odwagi przyjść tu w kostiumie kąpielowym, ale lubiałam patrzeć na młodzież baraszkującą w sadzawce albo opalającą się na matach. Nie ma pan pojęcia ilu tu ludzi, jak fok.

— Przychodziła tu pani z Wesołowskim? — spytał podejrzliwie patrząc spod nastroszonych włosów.

— Tak — odpowiedziała bardzo prosto i on zaśmiał się chcąc pokryć swoją niezręczność.

Wypili już herbatę i zjedli kanapki wraz z kejkim, czyli załatwili się z tym, co szumnie nazwano *high tea*. Teraz siedzieli naprzeciw siebie i kręcili kulki z okruszków.

— Pani nie ma do mnie urazy? — spytał.

— Za co?

— Podszedłem do pani wczoraj tak obcesowo i nie tylko że zaczęliśmy i narzuciłem się z odprowadzaniem, ale jeszcze namówiłem na to spotkanie.

Roześmiała się wesoło.

— Po pierwsze jestem dość dorosła — powiedziała wtrącając nutkę goryczy — i wiem co czynię. Po drugie boję się wracać sama do domu, zwłaszcza zimą wieczorem i bardzo się ucieszyłam z pana towarzystwa. Po trzecie — zarumieniła się lekko — dzisiaj mam pierwszą od wielu lat randkę.

Na to on się zmieszał i spuścił oczy. Jego ciemna czupryna, posrebrzona gęsto, opadła na czoło. Wyglądał trochę jak wielki, niezgrabny chłopiec. A kiedy podniósł głowę i spojrzął na nią, uśmiechała się szeroko, spokojnie, radośnie.

— Wie pan co? — nie mogła powstrzymać się Teofila. — Już wiem, co mi się w panu podoba. Pan jest taki swojski.

Roześmiał się z tego szczerze.

— Nie pani pierwsza wypomina mi mój chłopski wygląd.

— Ależ skądże — broniła się przed takimi przypuszczeniami. — Po prostu tyle mi o panu mówiono, że zdziwiłam się zobaczywszy miłego, sympatycznego pana, z którym rozmawia się jak z kimś bliskim.

Zgniół okruszki, strzepnął je ze stołu i wyprostował serwetę. Czynił to, jakby się przygotowywał do większej akcji.

— Jak wszyscy zawsze — powiedział poważnie — zmierza pani do jednego pytania. No proszę je wypowiedzieć śmiało: Dlaczego pan jest karawaniarzem?

— Nie tak — próbowała się bronić — ale chyba pan ma rację. Dlaczego pan wybrał sobie taki zawód? Dlaczego? Jest pan młody, silny, może pan mieć sukcesy na każdym polu...

— Tak? — zapytał drwiąco. — Nie jestem ani młody, ani silny. Jestem na pewno grubo starszy od pani, a co do siły to proszę nie ufać pozorom. Dwa lata temu byłem w szpitalu na serce.

— Wszyscy chorują na serce. Niektórzy kryją się z tym...

— Ale nie wszyscy grzebią nieboszczyków. Proszę pani...

— Dlaczego pan nie mówi do mnie „Teofilo”? Jak żyję nikt do mnie nie mówił inaczej.

— Wiem — przytaknął — znam przecież panią dobrze. Dawno już panią znam. Nazywają panią nową Deotymą i mówią o pani „nasza Teofila”. Pisze pani wiersze, deklamuje pani na akademiach, pani imię znajduje się na okładkach książek. Słyszałem jak ludzie odzywali się do pani „Teofilo”.

— Trochę przesady z tym mandatem na poetkę — protestowała skromnie opuszczając oczy — kiedyś pisałam wiersze i kiedyś deklamowałam, teraz w tym świecie bardzo dziwnym i bardzo wiele pamiętającym nie chcą mi tego wybaczyć. Ale ja pana proszę o nazywanie mnie Teofilą dlatego tylko, że to jest moje prawdziwe i jedyne imię.

— Teofila — powiedział i roześmiał się — czy to nie trochę bizantyjsko?

— Dobrze, jeżeli panu zależy, będę pana nazywała Paleolog.

— Tylko Lucjan i, jak pani słyszy, to imię nie bardzo pasuje do mnie.

— Imię to tylko kwestia przyzwyczajenia. Wesołowski nie jest wesoły, a przecież to nas nie razi, Chudkiewicz ma gruby brzuch, Czarnecki jest siwy i biały jak śnieg.

— A Teofila nie jest córką Teofilaktosa ani kapłanką egipską patrzącą z góry na zwykłych śmiertelników.

— Cudownie — zawołała Teofila klaszcząc w dłonie. — Już jesteśmy weseli. A teraz proszę mi opowiedzieć Lucjanie o swych straconych złudzeniach.

— Racja — przytaknął — trzeba to tak nazwać, chociaż nie jestem przecież wyjątkiem. Każdy z nas ogląda się wstecz z wielkim żalem.

I poprawiwszy się na krześle zaczął opowiadać o sobie. Patrzył przy tym przez okno na wodę, która ciemniała coraz bardziej i bardziej aż znikła zupełnie i stała się tylko odbiciem latarni dalekich i czerwonego nieba nad miastem.

Kilkakrotnie kelnerka przychodziła, aby poprawić coś przy stoliku, a właściwie przypomnieć im, że czas zabierać się stąd, oswobodzić obsługę pustego o tej porze roku lokalu.

Na początku próbował być ogrodnikiem, wierzył, że w ziemi znajdzie oparcie. Przez pięć lat pracował u przedsiębiorcy, który zakładał ogródki na zamówienie właścicieli podmiejskich domków, zajmował się strzyżeniem drzew, porządkowaniem trawników, tępieniem ślimaków i skrapianiem róż. Nie była to praca najgorsza, chociaż często musiał moknąć na deszczu i w czasie zimy groziło zawsze zwolnienie z powodu braku roboty. Jednak nie doszło do tego. Przedsiębiorca, starszy wiekiem Anglik, ożenił się z młodą dziewczyną i zaczął wydawać ponad stan, wreszcie

uciekł z pieniędzmi na wypłatę i całe przedsiębiorstwo rozpadło się. Zamiast szukać pracy w ogrodnictwie, Lucjan Mroczek przeniósł się z prowincji do Londynu i niespodziewanie znalazł pracę w fabryce torebek jako krojczy. Z początku polegało to na wykraiwaniu najłatwiejszych wzorów, gdzie więcej grała rola siła niż umiejętność, a wreszcie Lucjan wyrobił się na pierwszorzędnego krojczego. Niestety, zachorował na serce. Mały zawałik, jak określił doktor, nie pozwolił wrócić do pracy. I wtedy nagle spotkał swego dowódcę eskadry, Cubalskiego.

— Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mógłbym pełnić taką funkcję — śmiał się opowiadając — grzebać nieboszczyków? Widziałem niejednego trupa na wojnie, ale tak z zimną krwią, zawodowo chodzić przy tym interesie?...

— To musi być straszne — szepnęła Teofila i przestraszyła się, że uraziła Lucjana.

— Z początku tak — powiedział poważnie — ale można się przyzwyczaić. Teraz zdaje mi się, że spełniam jakąś misję. Większość ludzi, których grzebiemy, to prości, zwykli emigranci i każdy z nich na pewno cieszyłby się, gdyby wiedział, że to rodak odprowadza go na miejsce spoczynku i stara się przy tym dać mu pochówek najbardziej zbliżony do polskiego. Wielu prosi w testamentach o specjalne pogrzeby, o krzyż z daszkiem na nagrobek, o położenie do trumny woreczka z ziemią rodziną... Wypełniając te prośby oddajemy przecież przysługę, którą tylko rodak może wykonać.

— Z tego wynika, że pan lubi swój zawód.

— Lubi? — Mroczek odgarnął czuprynę i skrzywił się nieznacznie. — Nie, nie lubię. Jeszcze jeden pogrzeb i idę na emeryturę — roześmiał się — to znaczy przenoszę się do swego domu, który kupiłem, będę uprawiał własny ogródek, użerał się z lokatorami, tapetował pokoje i to wszystko. Koniec z zawodem grabarza.

— Dlaczego? Jeżeli dostrzega pan w tym tyle szlachetnych cech?

— Widziała pani, jak inni na mnie patrzą? Widziała pani, jak się odsuwają? Zdaje się im, że ja jestem przyczyną śmierci, że czekam na nich, że zarabiam na ich nieszczęściu. Większość ludzi uważa grabarza za człowieka brudnego.

— Śmierć jest czymś brudnym — powiedziała mimo woli.

— Tak? — zdziwił się. — Przecież śmierć jest częścią naszego życia. Człowiek rodzi się ze śmiercią i dojrzewa do swego naturalnego końca.

— I owoc tego dojrzewania gnije w ziemi.

— Wszystkie owoce gniją. Zresztą — machnęła ręką — nie

mówmy o tym. Za kilka dni będę starał się zapomnieć o śmierci. Kto wie, może zacznę żyć?

— A jak sobie Cubalski da radę? Teraz coraz więcej pogrzebów i to takich ceremonialnych.

— Właśnie dlatego odchodzę. Nienawidzę ceremonii, nienawidzę fałszu, mów żałobnych wygłaszanych przez dawnych przeciwników politycznych, płaczu zawodowych płaczek. Boję się ceremonii, coraz większych ceremonii.

Podeszła kelnerka z takim wyrazem twarzy, że zrozumieli ostateczny sygnał. Powstali i wyszli z opustoszałej kawiarni.

Park był czarny, mokry i pusty. Zza bezlistnych drzew przebijały światła miasta i dochodził stamtąd szum samochodów. Szli w kierunku tego ciągłego ruchu.

— Lucjanie — spytała Teofila — jedna rzecz mnie niepokoi. Dlaczego ciebie nie lubią?

— Powiedziałem — rozgniewany przystanął — uważają mnie za swego kata. Nikt nie chce umierać. Zwłaszcza nikt z naszych autokratów i dlatego patrzą na mnie, jakbym to ja wymyślił śmierć.

— Słyszałam — z uporem indagowała Teofila — że są oburzeni twoim udziałem w nadchodzącym pogrzebie. Były podobno naciski na Cubalskiego, aby ciebie wyłączył z pogrzebu.

— Były?

— Ludzie tacy jak radca Szereszewski nazywają to skandalem.

— Owszem, słyszałem — potwierdził Lucjan — ale to na nic się nie przyda. Na złość wszystkim muszę spełnić tę ostatnią postugę.

Szarpnęła go za ramię, aż się odwrócił ku niej. Zobaczył w jej oczach prośbę.

— Nie, nie na złość. Z obowiązku.



Na cmentarzu zebrała się mała grupa ludzi. Tak jakby zmarła była nikomu nieznaną niewiastą, zwykłą właścicielką małego domu do wynajęcia, za której trumną postępują tylko lokatorzy.

Ksiądz, który wysiadł z samochodu, też był nieznanym. Z prowincji widać. Założył stulę, wziął do ręki książeczkę i skupiony czekał aż czarno ubrani karawaniarze wyciągną z samochodu ciężką trumnę.

Padał drobny śnieg. Pierwszy w tym roku. Czarna droga na cmentarzu pokryła się białą kaszką. Stopy ludzkie i koła samochodów odciskały w tej bieli czarne ślady.

Cubalski w czarnym palcie i tak samo ubrany Mroczek stali obok samochodu trzymając cylindry w rękach.

Kilkanaście osób ze znaczną przewagą pań, wysiadło z samochodów oczekując.

Powoli noga za nogą ruszył pochód do niedaleko położonego grobu. Tuż za trumną niesiono wieńce.

„Drogiej przyjaciółce”, „Ukochanej gospodyni”, „Naszej niezapomnianej partnerce do brydża” — same prywatne napisy, ani jednego urzędowego.

Cubalski spojrział ukosem na Mrocza.

— Powoli — szepnął przez zęby — bo nie zdążą.

— Niechby ich — ze złością odpowiedział Mroczek.

I nagle na cmentarzu zaludniło się. Z czterech stron spieszyli ludzie. Każdą bramą, od parku, od szosy, od zabudowań, zewsząd szli żałobnicy.

Widać było siwą, wyniosłą głowę Wesołowskiego, korpulentną postać Morycowskiego, przygarbioną figurę Sarnowskiego.

Szli, a raczej maszerowali żołnierze w *battledress*'ach, w czarnych beretach przekrzywionych dziarsko. Kroczył poczet sztandarowy. Za olbrzymim wieńcem ozdobionym zamokłymi wstęgami krył się kusztujący radca, przy nim po obu stronach wysokie postacie byłych wojskowych. Szli ławą, parli zaciekle jakby chcieli zniszczyć, podeptać cmentarz, groby, pomniki i pierwsi dotrzeć do jamy, w którą mieli złożyć trumnę.

Z drugiej strony w szyku doskonałego trójkąta kroczyli tamci. Dostojni, wiekowi, drobiący małymi kroczkami, potykający się o groby, skrzętnie wymijający marmurowe obeliski. Prowadził ich wielki starzec, którego głowę muskał zimny wiatr obsmykując ją z resztek białych włosów.

A zewsząd za tymi pierwszymi biegli inni, szarzy, siwi, zakutani w chustki, pozawijani w palta. Srebrne i rude lisy przedwojenne, jesionki z aksamitnymi klapami, kapelusze borsalino niesione w zziębłych rękach, parasole unoszone jak szable do salutu i szarość, i szarość wieku podeszłego.

Tylko z jednej strony niby strzała skosem wymierzona w cmentarz zbliżała się kolumna dziewczynek w niebieskich lekkich sukienkach z chusteczkami powiewającymi koło szyi. Za nimi wyżej od dziewczynek chłopcy ze wstążeczkami przy ramionach, z czuprynami powiewającymi przy uszach i spadającymi na karki.

— *Lousy day* — powiedział ten najmniejszy doskakując do ostatniej dwójki.

— Michał *don't lag* — krzyknął instruktor obracając się do niego.

Poza tym nie słyhać było słowa. Tylko szeptanie modlitw i pochlipywanie kobiet.

Ksiądz zbliżał się do dołu. Wykopano go solidnie, nowoczesnie, w prostokąt równy i czysty. Obok góra ziemi przykryta została sztuczną trawą z rafii.

Niosący trumnę karawaniarze postawili ją na drążkach nad jamą i założyli pasy. Potem odstąpili na bok, a na zielony kopiec obok trumny zaczęto kłaść kwiaty.

Na tę chwilę właśnie nadeszli antagoniści.

Z jednej strony żołnierz w mundurze podskoczył z wieńcem olbrzymim, z drugiej strony pan w sztuczkowych spodniach z czarnym kapeluszem w jednej ręce, drugą unosił także niepośledni wieniec.

— Panie generale — szepnął radca — do tego nie powinniśmy dopuścić.

— Panie prezesie — z przeciwnej strony mały, okrągły pan podskoczył do wyniosłego starca — oni będą pierwsi. To niedopuszczalny precedens.

— Zostaw pan — zniżył głowę generał do radcy — pułkownik da sobie radę.

Siwy starzec nie odpowiedział nic swemu adiutantowi.

Przez chwilę starszy, poważny wojskowy w *battledress*'ie z paskami i gwiazdkami na ramieniu i cywil o zaciętych ustach mierzyli się wzrokiem.

Żołnierz położył wieniec pierwszy. Wtedy cywil złożył swój tak, że zasłaniał prawie połowę tamtego wieńca.

Radca nie wytrzymał. Podskoczył i parasolem zepchnął wieniec cywilny.

— Ooo! — westchnęli gromadzący się kołem żałobnicy.

— *Pax! Pax! Pax!* — prosił ksiądz stojący nad trumną. Tuż obok niego Cubalski uśmiechał się ironicznie i wielki jak góra Mroczek wykrzywił szyderczo usta.

— Panie prezesie — wołał adiutant — ignorować?

Wyniosły pan wstrzymał swego adiutanta ruchem ręki.

Z koła zgromadzonych wypadła kobieta w kapeluszu przekrzywionym, z siwymi włosami sterczącymi na boki. Energicznie ujęła wieniec wojskowy i odsunęła go na bok.

Dwaj umundurowani wojskowi złapali wieniec i przez chwilę szamotali się z kobietą. W tej samej chwili nie wiadomo skąd zbliżył się młody, czerstwy człowieczek i na samym szczycie sztucznego kopca położył mały wieniec z zielonymi wstążkami.

— Oooo! — otworzyli wszyscy usta.

Ze wszystkich stron rzucono się na wieńce i kwiaty. Powsta-

ła taka zawierucha jak przed kinem, w którym wystawiają film z Beatlesami.

Kobiety piszczały, mężczyźni klęli histerycznie, żołnierze pchali się łokciami i odciągali przeciwników na bok. Strzępy wstęg, potargane kwiaty fruwały w powietrzu.

Ale większość żałobników stała z dala, otaczając bitwę niemym, smutnym kołem.

— Panie — wołał Wesołowski do Sarnowskiego — ależ my mamy talent do organizowania pogrzebów!

— W pewnym sensie — potwierdził Sarnowski — w pewnym sensie.

— Boże, Boże — szeptała Teofila trzymając dłonie przy ustach, jakby chciała zatamować krzyk.

— Panie majorze — krzyczał zrozpaczony sekretarz, na którego nieruchomej zawsze twarzy po raz pierwszy od Zaleszczyk małował się strach. — Panie majorze! Ratujcie pana radcę. Jemu to zaszkodzi.

— *Pax! Pax!* — piszczał ksiądz.

— Skandal — gniewała się elegancka pani wymalowana jak aktorka na scenę.

— I ksiądz z Paxu, moja droga — szeptała z oburzeniem paniusia zawinięta w zrudziałego lisa.

— Stój! — ryknął głos, mocny jak komenda sierżanta piechoty. — Stójcie, do cholery.

Na kopiec wyskoczył Mroczek. Górował nad wszystkimi i wyglądał groźnie. Kogoś potrafił, kogoś uderzył kolanem i powoli robiło się pusto koło niego, odstępowali coraz dalej na swoje strony.

Unosił ręce szeroko w obronie grobu i zarazem groził potężnymi pięściami.

— Wygląda jak rozgniewany lud — szepnął Wesołowski do Teofili, ale ona nie odpowiedziała nic. Wpatrywała się z napięciem w Mroczka.

— Miejsce dla księdza! — wołał zgubiony w tłumie głos Cubalskiego.

Wołanie to podjęły kobiety.

— Miejsce dla księdza! Miejsce dla księdza! Przepuścić księdza proboszcza!

Wreszcie wśród wrzawy i pisku cofnięto się nieco i na pagórek obok Mroczka, gniewnego jak Mojżesz w obliczu Złotego Cielca, wstąpił szczypty, trzęsący się ksiądz.

Nie słychać było modłów i ledwo widać było rękę z kropidłem, ale kobiety znajdujące się na ceremonii poklekały a za nimi mężczyźni. Tylko żołnierze w za ciasnych mundurach stali na

bacność i dwaj patrzący na siebie antagoniści trwali sztywni i niewzruszeni. Ani walka o wieńce, ani wzruszenie nie ugięło ich sztywności.

— Drodzy żałobnicy — przemówił proboszcz unosząc rękę, jakby prosił o uwagę.

— Do kogo on będzie mówił? — skrzywił się Wesołowski.

— Drodzy żałobnicy! Dla wielu z was zmarła była osobą szczególną. Dla wszystkich prawie stała się ona uosobieniem naszej doli i niedoli, naszej wędrówki poprzez obce kraje i naszej tułaczki. Wielu z nas uważa zapewne, że powinniśmy ją uczcić szczególną ceremonią. Ona tego nie chciała. Może przeczuwała — ksiądz smutnie potrząsnął spuszczoną głową — że właśnie niezgoda i wzburzenie zakłóca taki uroczysty pogrzeb i niestety bez tego się nie obyło. Ona to przewidując prosiła o zachowanie spokoju, o skromne kwiaty od przyjaciół i o to, aby ją zagrzebały w tej ziemi ręce syna. Uszanujmy jej wolę, rozejdźmy się w pokój zabierając swoje troski, wzruszenia i gniewy ze sobą. Amen.

Ksiądz tyłem cofnął się ze wzgóрка i znikł. Ludzie zaszumieli, zaczęli ruszać się i wyciągać szyje.

— Panie dyrektorze — radca podskoczył do Cubalskiego — co to znaczy?

— Proszę nie przeszkadzać — odpowiedział Cubalski zmęczonym głosem — proszę się rozejść. Panowie i panie, rozejdźcie się.

Ramionami odgarniał tłoczących się ciekawych. Zaganiał ich do tyłu. Sześciu wielkich, czarnych karawaniarzy roztrąciło szeregi brutalnie i stanęło przy trumnie. U głów pochylił się Mroczek. Wyciągnął ręce i podtrzymał trumnę, gdy tamci powoli ją opuszczali w jamę.

Ktoś chciał się zbliżyć, ktoś wyciągał rękę, aby sypnąć ziemi, ale karawaniarze jak strażnicy świętości powstrzymali ludzi.

Mroczek wyskoczył na kopiec. Gwałtownie zerwał zasłonę z zielonej rafii i odsłonił lepką glinę. Złapał za łopatę i nie zważając na resztki potarganych wieńców, na poszarpane kwiaty zaczął szerokimi ruchami sypać ziemię do dołu.

Grudy stukały głucho o trumnę, a potem zaczęły spadać miękko, napełniając grób po wręby.

Mroczek machał łopatą jak wściekły. Włosy opadały mu na twarz i chwiały się, palto czarne trzepotało na ramionach niby skrzydła, sapał i pracował jak chłop na polu, miarowo, pilnie, bez spoczynku.

Zaczął znów padać śnieg. Ludzie nakrywali głowy i powoli odchodzili. Jak na komendę robili zwrot w tył i sztywno kro-

czyli ku czterem bramom. Ustawiali się mimo woli w swoje pochody zachowując hierarchię i porządek. Zamiast wieńców odnoscili schylone głowy i zamyślenie.

— No, skończyło się — szepnął Wesołowski.

— To tak jakby minęła era — zauważył Morycowski.

— Nie tak, jak sobie wyobrażaliśmy dwadzieścia lat temu.

— Dwadzieścia lat temu nikt nie myślał o pogrzebie, a teraz... — smutno pokiwał głową stojący obok pułkownik.

— Pogrzeb — cicho wciąż mówił Wesołowski — ja nie powinienem chodzić na pogrzeby. Nie powinienem — i nie krępując się, że inni patrzą, szybko łyknął nitroglicerynę.

Spojrzał tylko, czy Teofila tego nie dostrzeża, ale Teofili nie było. Stała przy samym grobie i patrzyła z bliska, jak Mroczek kończy swoją robotę.

Wyprostował się wreszcie czerwony i spocony. Łopatą przyklepał kopiec.

— Zrobione — powiedział. Napotkawszy wzrok Teofili uśmiechnął się.

— Co teraz? — spytał przystępując Wesołowski.

Już nie było nikogo. Znikli, wsiąkli w mgłę zbliżającego się wieczoru. Szum samochodu wskazywał, że obsługa karawanu odjeżdżała. Dalej słychać było zapuszczane motory autobusów i lekkich fordziaków.

— Czy pan pyta z obowiązku dziennikarskiego? — z góry popatrzył Mroczek.

— Nie, nie, bynajmniej — trzepotał powiekami Wesołowski — pytam tak, ot tak, po prostu.

Mroczek wbił łopatę w trawnik pokryty grudami gliny i łożym śniegiem.

— Teraz — odpowiedział — trzeba żyć. To wszystko.

I ruszył w kierunku samochodu, przy którym czekał Cubalski.

— Lucjanie — dogoniła go Teofila — mogę z tobą iść?

Skinął głową w milczeniu.

— Czy to prawda? — spytała nieśmiało idąc obok niego.

— Że to ja byłem jej synem? Tak to prawda.

— Trudno uwierzyć.

— Niekochanym synem niekochanej matki. Bywa i tak. Nie mogłem płakać, uczyniłem tylko o co mnie prosiła. Napracowałem się.

— Teofilo! Teofilo! — wołał za nimi Wesołowski machając ręką.

Odwróciła się i na chwilę przystanąła.

— Gdzie odchodzisz? — pytał podchodząc bliżej. — Gdzie idziesz?

— Idę żyć — odpowiedziała i podniosła oczy na Mrocza.

Wziął ją pod ramię i poprowadził. Minęli samochód Cubalskiego i szli przed siebie. Na białej powierzchni drogi zostawiali za sobą dwa równoległe czarne ślady.

Wesołowski nie patrzył za nimi. Wrócił nad mogiłę. Chwilę potrząsł na świeży kopiec, potem schylił się i wśród podartych kwiatów wybrał kilka czerwonych goździków. Położył je na glinie i trwał schylony jakby się modlił. Jednak nie modlitwę szeptał a wiersz:

*Każdemu daj śmierć jego własną, Panie.
Daj umieranie, co wynika z życia,
gdzie miał swą miłość, cel i biedowanie.*

— A nam i tego odmawiasz — szepnął i odwrócił się, aby odejść.



Był rześki, mroźny ranek. Na trawnikach i płotach, na ganekach i na samochodach stojących przy chodniku świecił biały zamróz. Mgły uniosły się, powoli osiadając na oknach pierwszego piętra.

Przed zakładem pogrzebowym Watsona zatrzymała się czarna limuzyna. Najpierw wysiadł blady, zimnokrwisty sekretarz, potem wygramolił się radca. Zadzwończył drwi jak w sklepie spożywczym: Owiał ich chłód zakładu przenikliwszy i przykrzejszy niż zimno na zewnątrz.

Ciężkie biurka stały po rogach puste i milczące. Dębowa boazeria otaczała pokój ciemnym pasem. W oknach wysypanych grysikiem marmurowym stały białe podstawki do kwiatów na groby. O ścianę oparte były trzy tablice z wyrzeźbionymi na nich nazwiskami.

— Czym mogę służyć? — zapytał czerwony, okrągły pan po angielsku — zapowiada się bardzo piękny dzień — dodał uśmiechając się jak subiekt w męskiej konfekcji.

— Chcę mówić z panem Cubalskim — energicznie przemówił radca zadzierając jak mógł najwyżej głowę.

— Czym możemy służyć? — powtórzył uprzejmie Anglik.

— Chodzi mi o wczorajszy pogrzeb — zdecydował się radca — pan jest dyrektorem Watsonem?

— Tak jest, do usług pana. Proszę mówić dalej.

— Chodzi o przedwczorajszy pogrzeb. Może panu nie wiadomo, ale zwracaliśmy się do pana Cubalskiego i chcieliśmy przejąć organizację pogrzebu, ale niestety nie pozwolono nam. Panu chyba coś wiadomo... — radca zawahał się na chwilę i pytająco spojrzął na Anglika.

— Proszę mówić dalej — nie przestając się uśmiechać rzekł Watson.

— Na tym pogrzebie zaszyły rzeczy ubolewania godne. Powinien być to największy, najokazalszy pogrzeb. Była to chwila, można powiedzieć, historyczna, a uczyniono z niej jarmark. Tak właśnie *Fan-fair*.

— Nie wiem absolutnie, o co panu chodzi — nie tracąc uśmiechu Watson rozłożył swoje krótkie ręce.

— Może pan zawoła pana Cubalskiego, on najlepiej wytłumaczy.

— Niestety — potrząsnął głową uprzejmy grubas — pan Cubalski u nas nie pracuje.

— A Mroczek, ten duży, bezczelny Mroczek?

— Mroczek też nie jest naszym pracownikiem.

— Nie rozumiem — radca zwrócił się do swego sekretarza, który z miną ponurą i enigmatyczną wzruszył ramionami.

— Tak — skłonił się uprzejmie grabarz — ani Cubalskiego ani Mroczka u nas nie ma.

— Od kiedy? Od wczoraj? Od dziś? — krzyknął radca.

— To obojętne, szanowny panie. My nie możemy odstępować od swoich zasad. Na przyszłość solidny, angielski pogrzeb albo krematorium. Teraz spalenie jest coraz modniejsze. Polecam panu krematorium na Golders Green, największe w Europie. Razem z nabożeństwem na pięćdziesiąt osób, z transportem i kwiatami tylko sto funtów. Niesłychanie tanio. Polecam szanownemu panu.

— Proszę pana — rozgniewał się radca i odsunął ręką sekretarza, który chciał mu pomóc do wyjścia — ja nalegam na zobaczenie się z Cubalskim, wszystko jedno gdzie on jest. Natychmiast.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Pan Cubalski — tym razem Watson mówił bez uśmiechu, ale w jego głosie nie słychać było powagi, tylko zirytowanie — nie żyje. Umarł wczoraj wieczorem. Tu za tym biurkiem. Zawał serca.

Radca odsunął się od biurka, niedaleko którego stał.

— To niemożliwe.

— Niestety, proszę pana, każdy umiera — znowu uśmiech zawodowy półsmutny, półprzejmy wykrzywił lekko grube wargi Watsona. — Wszyscy umrzemy i polecamy panu nasz zakład. Najlepsza obsługa. Zwłaszcza kremacje. Wszyscy przechodzą na kremacje. Tylko — spowaźniał Watson — na angielski sposób, zgodnie z naszą najlepszą angielską tradycją. Tamto, szanowny panie, to czasy przeszłe.

Postąpił krok naprzód i nagle radca zaczął uciekać. W popłochu uderzył plecami o drzwi, wyskoczył na ulicę i szarpał drzwiczkami wozu.

Z daleka ulicą nadjeżdżał wielki, lśniący, ciężki karawan samochodowy.

Biblioteka Polska
Kafe Zarych SPK

SPIS RZECZY

<i>Drugi rzut</i>	7
<i>Amnestia</i>	38
<i>„Free Country”</i>	64
<i>Na zachód od Baranowicz</i>	86
<i>Kazio</i>	100
<i>Dwadzieścia ton brudnej bielizny</i>	119
<i>Wincenty i Anioł</i>	137
<i>Komin</i>	176
<i>Na czele pochodu</i>	199
<i>Dośćcignie cię Polaris</i>	231
<i>Śmierć cudza</i>	252

PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW
« BIBLIOTEKI KULTURY »

Biblioteka Polska
Kole Zurych SPK

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL *1984* (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem* (Francja 1940-1944), 2 tomy

23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych* (wyczerpane)
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan ĐIŁILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)
28. Marek HŁASKO *Commentarze. Następny do rajy* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956* (wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane wiodroźnienia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński* Św. Hordyńskiego (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadźmionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugostawii* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK „Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Wydanie trzecie)
45. Waclaw LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologetyki rosyjskiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (wyczerpane)
47. Tibor DERY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 7) (wyczerpane)
49. Waclaw IWANIUK *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa* (wyczerpane)
51. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*

54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOLKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*
Róża Luksemburg *Rewolucja Rosyjska* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 9) (wyczerpane)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w Wielkiej Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej* (wyczerpane)
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”, Ze-
szyt 10) (wyczerpane)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczne Powieści* (wyczerpane)
71. I. IWANOW *Jest' li ziźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza* (Poezje) (wyczerpane)
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze* (wyczerpane)
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi* (wyczerpane)
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosza do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze* (wyczerpane)
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi) (wyczer-
pane)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
83. Jerzy MOND *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Październi-
ka) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty)
(wyczerpane)
84. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania* (wyczerpane)

88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia (wyczerpane)
89. Witold JEDLIŃSKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 12-ty)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow* (wyczerpane)
92. — *We własnych oczach*. Antologia współczesnej literatury sowieckiej
93. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Drugie przyjscie* oraz inne opowiadania i szkice
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962*
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócen* (wyczerpane)
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje) (wyczerpane)
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami* (Poezje) (wyczerpane)
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia*. Tom I/III
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia* (wyczerpane)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm* (wyczerpane)
107. Abram TERC *Myśli niespodziewane* (wyczerpane)
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my)
109. Waclaw IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOW-
SKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos* (wyczerpane)
113. Borys LEWICKIJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOŚZ *Gucio zaszarowany* (Poezje) (wyczerpane)
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*

119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyczerpane)
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty)
128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni* (wyczerpane)
129. Borys LEWYČKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIĄZEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*

149. Galina SIERIEBRIAKO-
WA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
150. Swietlana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria
„Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-
CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewo-
lucji”)
152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe*
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)

Biblioteka Polska
Kole Zarych SPK



Cena 17 F. (dol. 4,00)